

MAREK KĘSKRAWIEC

# czwarty pożar Teheranu



W  
B

**Marek Kęskrawiec**

# **Czwarty pożar Teheranu**

## Spis treści

Strona tytułowa  
prolog  
dziś ulica jest nasza  
wolność na rolkach  
naród wybrany chce się bawić  
mordercy na łańcuchu  
nagle nastąpi cisza  
dwa tygodnie i będzie po sprawie  
róże na kościach Chawaranu  
w stronę paranoi  
dżomhurije eslami, dżomhurije irani!  
polowanie na lidera  
CIA donosi: spokój panuje w Teheranie  
mała konspiracja, czyli blondyn i łysy  
ta chusta wrasta mi w mózg  
jeszcze kiedyś założę tę koszulkę  
pół człowieka w całej kobiecie  
edukacja na zgubę rewolucji  
Bóg jest wielki  
tropem Alego i Hosejna  
islamski sensor  
nadzieja w jasnej kurtce  
otoczony tarczą światła  
nic nie jest tym, czym się wydaje  
nowy nos Generacji X  
zajrzeć ludziom do skrzynki  
separatyści na pół gwizdka  
Anna Turowicz 1942-1942  
wieczór z księżycem  
mój przyjaciel Jazd  
dwa światy: sobota i poniedziałek  
psi los w Persepolis  
ajatollah z papierosem

statki na piasku  
Bam, Zahedan - z karabinem na plecach  
płatna miłość u grobu imama  
szachy z cenzurą  
miasto przekrojone na pół  
antyczne maniery: piłeś, nie wymiotuj  
irańska sinusoida  
Teheran płonie po raz pierwszy...  
Teheran płonie po raz trzeci  
kiedy Saddam zrzuca sarin, świat odwraca głowę  
bahaickie państwo podziemne  
raj dla transseksualisty  
wilcze oczy Persa  
nawet coca-cola może być islamska  
atomowa małpa z brzytwą  
razem przeciwko talibom i AlKaidzie  
epilog  
podziękowania  
bibliografia

*Pewien mułła beszta dwóch wieśniaków bijących pokłony przed urną do głosowania:*

*- Dlaczego wielbicie tę skrzynkę, niedowiarki?*

*- Czcigodny mułło, ona dokonała cudu: cała wieś wrzuciła do środka Qasema, a wyszedł z niej Jusef.*

*Nicolas Bouvier, Oswajanie świata*

## prolog

Szahrama wyjątkowo męczyła dziś gra na santurze. Był wystraszony i wcale nie próbował tego ukryć. Kilka tygodni wcześniej w jego domu odbyła się prywatka. Młodzi mężczyźni, młode kobiety. Głośna muzyka, taniec, trochę alkoholu własnej produkcji. I jeden zdrajca. Do dziś nie bardzo wiadomo, kto nim był, więc teraz połowa towarzystwa patrzy na siebie wilkiem. Ustawił telefon gdzieś na szafie z książkami i nagrał kilkanaście minut zabawy. Po czym zaniósł film rektorowi uczelni. Jutro Szahram idzie na rozmowę. Zupełnie nie wie, czego się spodziewać. W Iranie nie ma jasnych reguł. Może zostać skreślony z listy studentów, może zostać zawieszony, a może tylko rektor pogrozi mu palcem.

Szahram, zazwyczaj najweselszy w całym towarzystwie moich znajomych z Szirazu, teraz widzi tylko najczarniejszy ze scenariuszy. Odkłada santur, trapezoidalny instrument z drewna orzechowego. Ręce ma sztywne i nie jest mu łatwo trafić pałeczkami w odpowiednie struny, których jest ponad pięćdziesiąt. Nie sposób osiągnąć wymaganej koncentracji, gdy w głowie słyszy się wciąż głos dziekana: „Rozpoznaliśmy na filmie pięć osób. Jednak rektor oczekuje, że poda mu pan pełną listę swoich gości”.

Siedzimy w milczeniu. Jest jeszcze Arad, który najpierw akompaniował Szahramowi na tarze, instrumencie podobnym do gitary, a potem na dafie, bębnie przypominającym wielki tamburyn. Arad był na feralnej imprezie, więc doskonale rozumie nastrój przyjaciela i męczący go dylemat: ukrywać przyjaciół czy ratować własną skórę? Uderza delikatnie w daf i zaczyna opowiadać historię.

Dwóch przyjaciół wędrowało od wielu dni po wypalonym słońcem pustkowiu. Jechali konno z Szirazu do Jazdu. Nagle zerwał się wichur, nadciągnęła burza. Jedna z błyskawic zadała śmiertelny cios, po chwili druga. Ale wędrowcy jechali dalej. Nie wiedzieli, że są martwi, nie rozumieli, że konie niosą tylko ich dusze. Kiedy byli już bardzo zmęczeni, dotarli do pięknego domu, w którym stoły uginały się od jadła i napojów. „Cóż to za miejsce?” - pytają podróżnicy. „To jest Raj - odpowiada im Gospodarz, zielonooki mężczyzna w błękitnej pelerynie. Po czym stawia warunek: - Tylko jeden z was może tu zostać, ten wyższy. Ty zaś - mówi do niższego - jesteś grzesznikiem i musisz natychmiast się stąd wynieść”. Wędrowiec, który dostąpił zaproszenia, próbuje przekonywać: „To mój przyjaciel, znam go od lat, wiem, że nie mógłby popełnić żadnej zbrodni, która skazywałaby go na śmierć z pragnienia na pustkowiu”. Jednak Gospodarz kręci głową: „Widzę dalej niż ty, potrafię zejść głęboko w duszę człowieka i odnaleźć w niej najbardziej ponure tajemnice”.

Wędrowiec nie ufa Gospodarzowi. Siodła konia i rusza wraz z przyjacielem w dalszą drogę. Nie rozmawiają zbyt wiele, nie mają sił. Ale w sercu wyższego z mężczyzn zaczyna kiełkować ziarno nieufności: „Może powinienem zostać w tamtym domu? Może nie znam przyjaciela tak dobrze, jak myślę? Może należało zaufać Gospodarzowi? Może skazałem się na śmierć z pragnienia i wieczne potępienie?”. Po kilkunastu godzinach obaj wędrowcy są na skraju śmierci. I wtedy dostrzegają kolejny dom, bardzo podobny do poprzedniego. Tym razem drzwi otwiera im niebieskooki mężczyzna w zielonej pelerynie. „Cóż to za miejsce?” - pytają podróżnicy. „To jest Raj” - odpowiada im Gospodarz i zaprasza obydwu do środka, gdzie pod ciężarem jedzenia i napojów uginają się stoły. „Ależ wczoraj trafiliśmy do podobnego domu i tylko jednemu z nas zezwolono pozostać” - mówią wędrowcy. „To miejsce było Piekłem - odpowiada Gospodarz. - Piekło to raj dla ludzi, którzy gotowi są zostawić przyjaciół w potrzebie”.

Następnego dnia Szahram idzie do rektora. Żegnając go w drzwiach, ani ja, ani Arad nie pytamy, czy przekaże listę gości.

Szahram wraca po trzech godzinach. Jest uradowany, pałaszuje monstrualne ilości jedzenia. Gdzie on to wszystko mieści? Jest przecież chudy jak patyk. Pomiędzy jednym a drugim kęsem opowiada, że usłyszał dużo gorzkich słów na swój temat od rektora, religijnego radykała z czarną brodą i w tanim garniturze à la Ahmadineżad. Ale na koniec, gdy był już pewny usunięcia z uczelni, okazało się, że rektor też jest człowiekiem. „Podobno dobry z pana student, wykładowcy pana cenią, może kiedyś pan zmądrzeje. Nie wyciągnę konsekwencji. Niech pan już idzie”. O listę gości nawet nie zapytał.

W Iranie bardzo często Raj zamienia się w Piekło, a Piekło w Raj. Jak w opowieści Arada.

## **dzisiaj ulica jest nasza**

Teheran. Szesnastego czerwca 2009 roku. Godzina 20.30. Wieczór przyniósł miastu w prezencie przyjemny, lekki powiew wiatru. Pośród gwałtownie zapadającego zmroku można jeszcze raz rzucić okiem w stronę majestatycznych gór Elburs, które odpoczywają po całodziennym boju ze słońcem próbującym roztopić ostatnie jęzory śniegu na szczytach. Zazwyczaj o tej porze ludzie wdychają świeże, czerwcowe powietrze, wyzwalając zmęczone płuca od smogu. Dają się uwodzić zapachom przypraw zapowiadających długą, późną kolację - najważniejszy ceremoniał irańskiej codzienności. Od kilku dni coś się jednak zmieniło. Zapachy są delikatne, jakby pochowane. Chyba nikt nie ma dzisiaj ochoty tracić czasu w kuchni.

Godzinę później mężczyźni, kobiety, młodzież i dzieci wychodzą na ulice, balkony, dachy i wzniesają nieprawdopodobny rumor. „Allahu Akbar! Marg bar diktator!” (Bóg jest wielki! Śmierć dyktatorowi!) - niesie się w promieniu wielu kilometrów. Płoną kontenery z odpadkami, a na murach i ulicach ludzie wybijają miarowy rytm. Czym popadnie: kijami, cegłami, pokrywami koszy na śmieci. Jak w Irlandii Północnej w latach siedemdziesiątych. W kilka minut dziesiątki osiedli dwunastomilionowej metropolii zamieniają się w twierdze.

Ludzie nie idą na demonstrację do centrum miasta. Wychodzą przed własne domy, by czekać, aż usłyszą jazgot nadjeżdżających oddziałów policji. Chwilę później lecą pierwsze kamienie, cegły z okolicznych budowli i przekleństwa. Stara Parwin - legenda dzielnicy, miotła kamieniami jeszcze w sierpniu ostatniego szacha - próbuje dyrygować młodzieżą z pierwszej linii.

- Najpierw rzucaj, potem uciekaj! Jak rzucasz, to najpierw przystań na chwilę i wyceluj! Nie marnuj sił i kamieni! Mehdi, za ciężka ta cegła, nie dorzucisz! Co za tępy dzieciak! - Siedemdziesięcioletnia Parwin krzyczy z dachu, na którym stoimy, ale nikt jej nie słyszy. Tumult niesamowity, a i głos już nie ten. Choć wzroku można pozazdrościć.

- Patrzcie na tego tam, pod bramą domu Darabich. Tego na motorze! Sprawdźcie go, to na pewno basidż! Nie dajcie się zejść od tyłu! Allahu Akbar!

Kiedy czarne i zielone mundury przypuszczają ostateczny szturm, używając miotaczy gazu, tłum rozprzeczka się we wszystkie strony. Ludzie chowają się po budynkach, by z dachów prowadzić dalszą walkę. Co odważniejsi miotają kamienie z okien swoich mieszkań. Widzę, jak z domu naprzeciwko ktoś strzela do policji z racy sygnalizacyjnej. Już za chwilę całe jego mieszkanie wypełnia dym pocisku z gazem łzawiącym. Irańczycy są bardzo emocjonalni, więc łatwo tracą głowę. Żeby strzelać do policji z własnego mieszkania?



Naszą ulicą dowodzi Ali, „pan baryłka”. Gruby, niewysoki, wąsaty właściciel pobliskiego fast foodu, z dyplomem inżyniera, miota kamienie ramię w ramię z piętnastoletnią córką Negin. Polubiliśmy się od pierwszego spotkania przed miesiącem, kiedy okazało się, że wąsy zapuścił dwadzieścia osiem lat temu na cześć Lecha Wałęsy, a na dodatek zna jeszcze Jana Tomaszewskiego, Grzegorza Latę i Kazimierza Deynę, polskie gwiazdy futbolu z lat siedemdziesiątych.

Rano Ali przyznaje mi rację, że to było głupie - wyjść przed tłum policjantów z córką. Ale kolejnej nocy Negin znów jest z ojcem na ulicy. I tak przez następne trzy noce, zanim troskliwi irańscy znajomi zdecydują, że trzeba mnie przenieść na bezpieczniejsze osiedle. „Jesteś jedynym obcokrajowcem w tej okolicy. W końcu jakiś życzliwy o tym doniesie i wszyscy będziemy mieli problem”.

Ostatecznie trafiam kilka kilometrów na południe, na Jusef Abad, ale tu jest niewiele spokojniej. Tu także ludzie są wściekli. Jeszcze tydzień temu świat był piękny, a większość wierzyła, że krwawy system da się zmienić. Bali się kolejnej, krwawej rewolucji, po której nastąpi chaos. Chcieli stopniowych, pokojowych reform i byli przekonani, że po wyborach nowy prezydent Mir Hosejn Musawi otworzy wreszcie kraj na świat, i ten świat zobaczy, że prawdziwy Iran to nie tylko brodaci mężczyźni i kobiety w czarnych czadorach. Dziś stracili złudzenia. Władza przypomniała narodowi starą zasadę obowiązującą w dyktaturach: „Głosowali, jak chcieli, a wybrali, kogo trzeba”. Czyli Mahmuda Ahmadineżada.

Walki w Teheranie toczą się wedle powtarzającego się scenariusza. Po kilkunastu, kilkudziesięciu minutach pierwszego starcia okolica się uspokaja, a policja odjeżdża. „Zieloni rewolucjoniści” (kolor kampanii wyborczej Musawiego) wychodzą przed domy i liczą straty. Sprzątają, dogaszają ogień. Nikt za nich tego nie robi. To jest ich dzielnica i muszą o nią zadbać, by następnego poranka obudzić się w miarę normalnym mieście i pójść do pracy. Teraz wszyscy zeszli się przy hyundaiu pana Abdiego. Na środku białej maski dumnie leży cegłówka. Wyłobiała w niej piękną, wielką kołyskę, co dowodzi, że leciała z wysoka, z któregoś z pobliskich domów, prawdopodobnie rzucona przez jednego z demonstrantów. I jeszcze ta wybita szyba od strony kierowcy, chociaż to akurat można zwalić na policyjną pałkę.

- Oj, pan Abdi się wkurzy, jak wróci do domu. Bardziej będzie zły na nas czy na policję? - zastanawia się komitet „zielonej rewolucji” z naszej ulicy.

- Na nas. Chyba musimy zrzucić mu się na blacharza - mówi z przekonaniem pan Nozari.

- Ale nie za dużo, przecież wiedział, co się święci. Mógł auto gdzieś przestawić -

zrządzi inny.

- Tak? Na przykład gdzie? Znasz tu jakieś spokojne miejsce? Dom to jest dom - ucina Nozari.

Następnego dnia jadę kilka kilometrów na zachód, do znajomych na lunch. Na osiedlu złożonym z kilku ogrodzonych wysokościorców zastaję wyłamaną bramę, wybite niemal wszystkie szyby w holu dwóch bloków, potłuczone doniczki. Najwyraźniej zastosowano tu zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Drzwi znajomych zdobi kartka, na której Afnaz narysowała mapę dojścia do mieszkania, gdzie odbywa się zebranie lokatorów.

Poprzedniej nocy młodzież ustawiła przed osiedlem barykadę z wielkich płonących kontenerów i czekała na krążący po okolicy oddział basidżów. To najbardziej znienawidzeni ludzie w objętym rewoltą Teheranie. Mieszkańcy są w stanie znieść widok umundurowanych policjantów, ale cywilni bojówkarze, często dowożeni przez władzę spoza stolicy i sownie przez nią opłacani - to już za wiele.

Walka z basidżami to spore ryzyko. Przemieszczają się szybko na motocyklach, w grupach liczących około dwudziestu mężczyzn, i nigdy nie wiadomo, w co będą uzbrojeni. Czasem mają tylko kije, czasem żyletki i noże, czasem strzelają z karabinków do paintballa, by znaczyć przeciwników farbą, a potem łatwiej ich wyłapywać. Bywa jednak, że używają broni palnej, mordują ludzi, a potem odjeżdżają. „Sprawca nieznany, podszywał się pod basidża. Śledztwo zamknięte” - kwituje się potem w policyjnej kartotece.

Lunch u znajomych połykam w pośpiechu, oglądając nocne zdjęcia nakręcone kamerą narzeczonego Afnaz - Dżawada, cenionego irańskiego dokumentalisty. Obraz jest wyraźny tylko w promieniu kilku metrów od płonącego kontenera.

- Kiedy chłopcy odparli zza barykady pierwszy atak, byli szczęśliwi, a my wyszliśmy przed dom gratulować im zwycięstwa. Pół godziny później, gdy nadal świętowali, basidżowie zaatakowali z drugiej strony - opisuje Dżawad, mocno gestykulując, a długie włosy co chwila niebezpiecznie zbliżają się do pomidorów na jego talerzu.

W kamerze widać tylko końcówkę finałowej akcji. Jasny motocykl wjeżdża wprost w ludzi, obok basidż goni młodego chłopaka i próbuje trafić go w plecy drewnianym drągiem. Potem już niewiele możemy dostrzec, jest tylko dźwięk. Krzyki, jęki, brzęk szkła, znowu jęki.

W kilka chwil barykada pada, a bojówkarze rozbiegają się po blokach, tłukąc szyby i doniczki. Wyłamują drzwi w kilku mieszkaniach, wybierając je na chybił trafił, biją domowników, demolują meble. Przez pół godziny chodzą w górę i w dół po metalowych schodach przeciwpożarowych na zewnątrz budynku. Walą w nie kijami, przeklinają, zaglądają przez okna.

Następnego dnia na zebraniu mieszkańcy wspólnie podejmują decyzję, że zamkną wieczorem dzieci w domu, by więcej nie brały udziału w walkach.

Kolejna noc. Serce miasta, niedaleko skrzyżowania ulic Waliasr i Enqelab. Kiedy tam dojeżdżam, z mojej komórki znika zasięg. Już wiem, że następne godziny będą gorące. W rejonach, gdzie zanoszą się starcia, władze wyłączają stacje przekaźnikowe, by uniemożliwić powstańcom kontakt. Ale teherańczycy uczą się pilnie z dnia na dzień, z nocy na noc. Po kilku porażkach, kiedy policja zaganiała manifestantów w ślepe uliczki, teraz uważniej wybierają miejsca starć. Obsadzają skrzyżowania z kilkoma drogami odwrotu, rozstawiają czujki na rogach ulic i na dachach. Wylewają na asfalt olej, by wywracać motocykle basidżów. Nie pozwalają, by w pierwszym szeregu demonstrantów pojawiali się przypadkowi ludzie. Oni potrafią tylko krzyczeć, a kiedy policja atakuje, zaraz uciekają, wzniesając w tłumie panikę.

Mija gorąca noc. Wychodzę na ulicę i nie mogę poznać świata naokoło. W nocy oczy piekły od snujących się wszędzie resztek gazu łzawiącego, panował chaos. Teraz Enqelab wygląda, jakby nic się nie stało. Nie ma policji, nie ma basidżów, ktoś zabrał spalone śmietniki. Ludzie idą do pracy, na zakupy. Czy tak wygląda miasto w środku rewolucji? Dopiero niedaleko Uniwersytetu Teherańskiego napis na murze: „Krew naszych braci będzie wodą dla drzewa naszego gniewu”. Tuż obok kolejny: „Moja krew jest zielona”. I jeszcze jeden: „Dziś ulica jest nasza”.

Tego samego dnia Pajom, student Uniwersytetu Amir Kabir, zaprasza mnie na spotkanie ze swoimi kolegami z uczelni. Trafiam akurat na moment, kiedy kilka osób w napięciu ogląda w internecie film. Widać na nim, jak kawalkada motocykli z uzbrojonymi w kije basidżami rozbija demonstrację, po czym odjeżdża. Jednak ludziom udaje się dopaść jednego z maruderów i wyrzucić mu motor. Bojówkarz, jeszcze przed chwilą tak pewny siebie, teraz klęczy na ziemi, płacze, bije się po twarzy i błaga o litość. Przed rozerwaniem na strzępy broni go jedna z manifestantek. Obejmuje jak syna, choć przecież to wróg. Odgania żądny zemsty tłum. Prawie słyszę, jak krzyczy: „Nie bądźcie tacy jak oni!”. Choć nie udaje się jej zapobiec dotkliwym kopniakom dosięgającym twarzy basidża, ratuje mu życie.

I jeszcze jeden film, nakręcony przez włoską telewizję na ulicy Waliasr. Tym razem to nie basidżowie, ale policjanci z jednostki antyterrorystycznej wbijają się klinem w tłum. Demonstrantów jest jednak zbyt wielu. Oddział musi się szybko wycofać - na zgubę jednego z motocyklistów. Tłum osacza go i powala na ziemię. A jednak zawsze znajdzie się ktoś, kto pomoże. Tym razem trzech mężczyzn i kobieta chronią wroga, sadzają go w bramie, polewają głowę wodą. Młody policjant z podbitym okiem oddycha ciężko. Jest przerażony, wciąż

chyba nie może uwierzyć, że żyje.

Pajom uważa, że litość to błąd. Zwłaszcza wobec basidżów.

- Oni dopiero wtedy zaczynają myśleć, kiedy śmiertelnie się boją. To dlatego ludzie w niektórych miejscach rozwieszają plakaty z ich zdjęciami. Jak któryś z basidżów zostanie ciężko pobity lub spalą mu samochód, inni zastanowią się, czy warto służyć władzy. - Te słowa w ustach dwudziestotrzylatka o szczupłej posturze i delikatnych rysach brzmią wyjątkowo złowrogo.

Demonstracja, walka, ogień. „Skąd wziąć cegły i gruz? Jak traktować policjantów z drogówki, kamieniem czy dobrym słowem? Na razie dobrym słowem”. Narada Pajoma i jego czterech kolegów trwa już trzecią godzinę, ale cały czas obraca się wokół ulicznych protestów, choć na samej ulicy nie da się wygrać z uzbrojonym po zęby systemem.

Irańczycy są mistrzami improwizacji. Spontaniczne, emocjonalne demonstracje to ich żywioł. Tyle że czasem jest po nich tyle trupów, że ludzie tracą ochotę na wszelką aktywność i przez następnych kilka lat siedzą cicho, cierpią w samotności i układają dla potomnych nostalgiczne pieśni upamiętniające męczenników. Wszystkie długofalowe scenariusze, plan A, plan B, efekty za kilka lat - większość Irańczyków nie ma do tego cierpliwości.

A jednak w ciągu kolejnych dni coś zaczyna się zmieniać. Spotykam coraz więcej ludzi zdających sobie sprawę, że są na początku długiej drogi ku wolności i muszą dostosować do niej swoje metody. Nie mogą dać się wykrwawić w ulicznych walkach. Planują więc spotkania z robotnikami, by namawiać ich do strajków, bojkotują towary firm podległych Gwardii Rewolucyjnej, wysyłają w niebo zielone balony, stemplują mury podobizną Musawiego, kolportują ulotki, wypisują hasła wolnościowe na banknotach, a na workach ze śmieciami piszą „Ahmadineżad”. Zасыpują internet informacjami o kolejnym blackoucie. Ta oryginalna inicjatywa polega na włączeniu maksymalnej liczby urządzeń elektrycznych o określonej porze, najlepiej podczas przemówienia prezydenta. W efekcie sieć nie wytrzymuje przeciążenia i pada, a ludzie klaszczą i krzyczą w ciemności. Co tam rozmrożona lodówka i zepsute mięso, nareszcie z ekranu telewizora zniknęła ta brodata, zakłamana twarz.

Arad, były student relegowany z Uniwersytetu Teherańskiego za zorganizowanie demonstracji upamiętniającej rozruchy studenckie z 1999 roku, mówi mi:

- Nie ma nic prostszego niż pięknie zginąć na ulicy. Ale przeżyć i zmienić kraj to naprawdę byłoby piękne. I to musi kiedyś nastąpić. Dziś wiemy, że prawda i Bóg jest po naszej stronie, że jest nas więcej niż niewolników systemu, że jesteśmy silni jak nigdy dotąd. Dlatego musimy wykorzystać tę przewagę, musimy naszych władców ciągle czynić

zaskakiwać, zawstydząć, zamęczać, doprowadzać do rozpacz. Wygramy, choćby za dziesięć lat.

Brzmi to jak przygotowane wcześniej przemówienie, ale jest szczere, z głębi serca.

## wolność na rołkach

Chyba nigdy nie zapomnę tego widoku. Dwa miesiące przed wyborami przyjechaliśmy na tradycyjną irańską kolację do mieszkania dwójki malarzy, Nedy i Madżida, na osiedlu Ewin. Po drodze był jeszcze przystanek w kawiarni, a właściwie przy kawiarnianym okienku, obok którego stało kilka innych samochodów. Między nimi kręcił się kelner z kartą. Zamówiliśmy kawę i lody. Były pyszne, potwornie słodkie, jak to w Iranie. Na początku podróży bardzo mnie to męczyło, z ledwością dawałem radę tradycyjnemu cukierkowi rozdawanemu w lokalnych liniach lotniczych. Potem bez codziennej, potężnej dawki cukru nie mogłem już żyć. W każdym razie tamtego wieczoru byłem pewny, że już nic u Nedy i Madżida nie zmieszczę. Tyle że kilkanaście minut później zobaczyłem coś pięknego: wielki stół z siedmioma potrawami, a każda w innym kolorze. Najbardziej urzekł mnie fesendżun. To coś na kształt gulaszu z kaczki (lub kurczaka), zmieszanego z przecierem z granatów, orzechami włoskimi i lekko zapiekany ryżem. Wszystko ma dość specyficzny, słodkokwaśny smak, do którego trzeba się przyzwyczaić. Ale warto, bo odrzucając fesendżun, odrzuca się kawałek irańskiej wrażliwości.

Objadaliśmy się, spoglądając na ekran telewizora. Jak w wielu irańskich domach, także i tu podstawą kontaktu ze światem była oficjalnie zakazana antena satelitarna.

Na nadawanym z Londynu kanale BBC Farsi trwa właśnie dyskusja o wyroku ośmiu lat więzienia, który tego dnia wydał teherański sąd na dziennikarkę Roksanę Saberi. Amerykańska korespondentka o japońskoirzańskich korzeniach została skazana za wykonywanie zawodu bez wymaganych zezwoleń oraz szpiegostwo - w jej teherańskim mieszkaniu policja znalazła kilka poufnych dokumentów. Madżid spoglądał w ekran znad talerza i śmiał się nerwowo.

- O czym oni gadają?! Przecież za kilka dni władze zmienią ten wyrok i ją wypuszczą. Rządowi chodzi tylko o to, by pokazać najpierw lwi pazur, a zaraz potem anielskie oblicze. „Patrzcie, jacy jesteśmy litościwi i pełni miłości, nawet dla wrogów”.

Kiedy Madżid się denerwuje, jego wygląd gwałtownie się zmienia. Zazwyczaj posturą i powolnością ruchów przypomina niedźwiedzia, ale kiedy się rozzłości, staje się niebezpieczny. Jego ruchy są szybkie, oczy płoną. Idzie wtedy na demonstrację (jeśli jest) albo do sztalug i sterty papierowometalowych śmieci, z których tworzy swoje kolaże. Wspomnienia z dzieciństwa, chłopcy z piłką lub latawcem, mali rowerzyści, rozradowane dziewczynki z warkoczykami, grające w klasy. Ale w tle ciągle jakieś ruiny, niedookreślone,

ponure postacie, fragmenty gazet z czasów rewolucji, obwieszczające kolejne egzekucje.

Dwa dni po wyroku na Saberi prezydent Ahmadineżad zaapelował do sądu o szybką rewizję procesu i już po kilku tygodniach dziennikarka wyszła na wolność.

Ale dla mnie tego dnia Roksana wcale nie była najważniejsza. Kiedy trafiłem na osiedle Ewin, przez dłuższą chwilę nie mogłem odnaleźć właściwego adresu i kluczyłem pomiędzy strzelistymi wieżowcami. Nagle dobiegł mnie hałas dochodzący zza rogu, po czym zobaczyłem coś, co wprawilo mnie w osłupienie. Po schodzącej łagodnie w dół betonowej platformie gnała na rolkach dziewczyna. Na oko siedemnastoletnia, bez obowiązkowej w Iranie chusty na głowie. Wydawała się wolna jak wiatr, który rozwiewał burzę jej czarnych włosów. Kręciła piruety, szorowała kółkami po metalowych poręczach, które imitowały profesjonalne rampy. Nic sobie nie robiła z niemiłosiernego hałasu rolek, nie bała się balkonów, na których w każdej chwili mogły pojawić się setki sąsiadów i zobaczyć jej nieprzepisowy strój. Nie przejmowała się oddalonym o kilometr, złowróbnym murem więzienia Ewin, w którym od kilkudziesięciu lat ginęli bez wieści przeciwnicy systemu - najpierw szachowskiego, potem islamskiego.

Wtedy, w połowie ciepłego, słonecznego kwietnia, byłem pewny, że rozwiane włosy dziewczyny to sygnał, iż świat radykalnej islamskiej rewolucji się kończy. Że system jest już bardzo słaby i zmęczony, skoro nawet nastolatki nie boją się zrzucać chust z głów. Zamiast uganiać się za nimi z kijami, chłostać i ogłaszać listy kolejnych wrogów islamu, funkcjonariusze systemu obwieszczali światu, że... sklonowali kożę, dołączając tym samym do ekskluzywnego grona pięciu światowych potęg, którym wcześniej udało się to samo. Tego dnia byłem pewny, że kiedy przyjadę do Iranu następnym razem - oczywiście po zwycięstwie Musawiego - zastanę cały tłum dziewczyn na rolkach.

Dwa miesiące później w tej samej okolicy w pamięć wrył mi się zupełnie inny widok. Setki osób, przeważnie matek i żon, stały pod bramą więzienia Ewin, czekając w milczeniu, by wejść do przedsionka i znaleźć na liście aresztowanych syna lub męża. Nie mogłem bliżej przyjrzeć się ich twarzom. Nie miałem czasu odszukać w tłumie sylwetki Nedy, która od wczoraj czekała na wiadomość o aresztowanym mężu. To byłoby zbyt niebezpieczne - zachodni turysta pod więzieniem to przecież szpieg. Rostam, brat Madżida, podjechał pod mur więzienia tylko na chwilę i szybko opuściliśmy to przygnębiające miejsce. Dwa miesiące wcześniej, po wspólnej kolacji, Madżid pokazywał mi zza szyby swojego czarnego citroena główną bramę Ewin i opowiadał o swoim wujku, który jeszcze za szacha był tam torturowany. Teraz sam znalazł się za murem, aresztowany za krążenie po placu Enqelab i antypaństwowe okrzyki. Może właśnie patrzył przez okno na światła swojego wieżowca?

Jeśli w ogóle miał w celi okno.

W krajach dyktatorskich społeczeństwa zazwyczaj dobrze wiedzą, co im wolno, a czego nie. Reguły są dość czytelne i jeśli się zmieniają, to najczęściej w wyniku gwałtownych wydarzeń. Iran jest zupełnie inny. Czerwona linia, odgradzająca dozwolone od zabronionego, jest w ciągłym ruchu. Ludzie codziennie odgrywiają swój taniec na linie, testując granice wolności. Każdego dnia na nowo i na własnej skórze sprawdzają, które z surowych zasad islamu obowiązują, a które zostały chwilowo zawieszane. Jednego dnia islamskie bojówki paramilitarne strącają z dachów anteny satelitarne, by za kilka tygodni - jak grzyby po deszczu - na tych samych dachach wyrastały nowe. Strach ustępuje ciekawości świata, upór zamecza bezmyślną opresję.

W jednej dzielnicy słynne busiki „Morality Police” uganiają się za dziewczynami chodzącymi w zbyt wysokich butach, które mają rzekomo wywoływać skrajne podniecenie u mężczyzn. W innej te same oddziały speców od moralności przeszukują mieszkania niezamężnych kobiet. A na drugim końcu miasta tłum innych niewiast prezentuje spokojnie najnowsze kolekcje z zachodnich domów mody, ich twarze zaś zdobi wyjątkowo - nawet jak na europejskie standardy - „rozwiązły” makijaż.

Kiedy po raz pierwszy leciałem do Iranu, niewiele wiedziałem o tym kraju. Spodziewałem się typowej autokracji, szarej, smutnej, pozbawionej energii. Jadąc z teherańskiego lotniska do północnej dzielnicy Tadzrisz, zobaczyłem świat nieprzystający do obrazu surowej islamskiej republiki, jaki miałem w głowie: ujrzałem potężne węzły autostrad, wysokościowce, neony, billboardy reklamujące nieziemsko drogie zegarki, salony Dolce & Gabbany i Armaniego, parki pełne gimnastykujących się ludzi. Czuło się w powietrzu pragnienie życia, ale także świadomość kontroli, ciągłej presji ze strony władzy, która zmusza do prowadzenia stresującej, podwójnej egzystencji.

Każdego dnia pobytu w Iranie zdobywam nową wiedzę, każdego dnia otrzymuję dziesiątki sprzecznych informacji, stawiam sobie te same pytania i żalę się moim teherańskim przyjacielom, że rozumiem ich kraj coraz mniej. Oni jednak klepią mnie po ramieniu i mówią: „Nie przejmuj się, my też go nie rozumiemy”.

Przy sprawnym rządzie Iran mógłby stać się rajem na ziemi, choćby dzięki drugim pod względem wielkości złożom ropy i gazu na świecie. Ale Iran to przecież kraj paradoksów, więc ta sama ropa i ten sam gaz w obecnych okolicznościach są przekleństwem. - Gdyby nie było w Iranie surowców energetycznych, ten rząd pełen nieuków dawno doprowadziłby ludzi do rozpacz, a w naszych lodówkach zagościłoby echo - powiedział mi znajomy architekt Sijamak. - Jak Irańczycy zaczęliby chodzić głodni, dni reżimu byłyby



policzone. Niestety, dzięki ropie rząd zawsze ma pieniądze, by w kryzysowych sytuacjach, gdy wzrasta napięcie, sięgnąć do sejfu z petrodolarami i ordynarnie przekupić część ludności podwyżkami.

Myślałem o sprzecznościach współczesnego Iranu, kiedy przerażony Rostam opuszczał okolice więzienia Ewin, starając się nie patrzeć w oczy policjanta stojącego na najbliższym skrzyżowaniu. Wieczorem dowiedziałem się, że Nedy, do której bezskutecznie próbowałem się dodzwonić, nie było już wtedy pod murami Ewin. Rano znalazła Madżida na liście aresztowanych i pojechała do Sądu Rewolucyjnego przy ulicy Szari'ati, gdzie wyczytywano nazwiska zatrzymanych i podawano sumę kaucji za zwolnienie. Jeździła tak potem cały tydzień. Musiała czekać po parę godzin, aż łaskawy policjant wyjdzie i przeczyta kilkanaście nazwisk. Jeśliby przegapiła dzień wyczytania Madżida, musiałaby przeżyć cały ceremoniał upokorzeń, próśb o udostępnienie wczorajszej listy, może musiałaby za to zapłacić łapówkę. Woląла więc codziennie zwalniać się z pracy i pocić na upalnej ulicy.

Piątego dnia po południu policjant znowu wyszedł przed komendę i zaczął czytać nazwiska. Była to jednak lista z poprzedniego dnia. Tłum oczekujących kobiet dostał szału. Zaczęły krzyczeć na mundurowego, nie bacząc, że wyciąga z kabury pistolet. Zablockowały ulicę i oświadczyły, że nie ruszą się, dopóki nie zobaczą aktualnej listy. Przepychanki trwały parę godzin, ale władza tym razem nie użyła siły.

Madżid pojawił się na liście następnego dnia. Wyszedł po wpłaceniu tysiąca dolarów kaucji. Miał szczęście, nie został dotkliwie pobity. Przesiedział tydzień ściśnięty w kilkuosobowej celi, do której zapakowano ponad dwa razy więcej ludzi. Słyszał obelgi i groźby, ale poza paroma kuksańcami nie odniósł żadnych obrażeń. Jego kolega w tym samym czasie stracił w Ewin dwa palce lewej ręki, zmiażdżone podczas ulicznej walki przez podkuty but policjanta. Nikt nie chciał wezwać do rannego więźnia lekarza. Kiedy wreszcie doktor przyjechał, było już za późno. Palce były martwe.

## **naród wybrany chce się bawić**

Hałaśliwa dziewczyna na rolkach na osiedlu Ewin i milczący tłum rodzin pod więzieniem. Te dwa obrazy dzieliło tylko kilkadziesiąt dni. Dziś patrzę na to jak na dwa zupełnie odrębne światy. Pamiętam, jak w środę 10 czerwca, w ostatnim dniu kampanii wyborczej, tłum Irańczyków opanował wszystkie najważniejsze place centralnego i północnego Teheranu: Enqelab, Waliast, Ferdousi, Hafta Tir, Wanak, Tadżrisz, Kadż. Wyglądało to prawie jak brazylijski karnawał. Od ósmej wieczorem aż do drugiej, trzeciej w nocy ludzie blokowali ulice udekorowanymi na zielono autami, trąbiąc na całego i żegnając aktualnego prezydenta: „Ahmadi, bye, bye!”. Co odważniejsi tańczyli na ulicy i na dachach aut. W okolicy Tadżriszu, gdzie mieszka tehe rańska klasa średnia, widziałem dziewczyny, które zrzucały chusty z głów. Niektóre wiązały je sobie na twarzy, aby nie dać się zidentyfikować policji lub donosicielom.

Czy wszyscy przyszli tu demonstrować poparcie dla Musawiego, kandydata reformistów? Nie. Dla wielu teherańczyków trwająca tydzień przedwyborcza fiesta była przede wszystkim głębokim oddechem, pierwszym od trzydziestu lat. Wyobraźcie sobie naród złożony z dwóch przeciwieństw. Jedna część uwielbia się bawić, chce się śmiać, doświadczać wspólnej radości. Druga część pamięta tylko o cierpieniu, wspomina zdradę i podłość, które przed wiekami przyniosły śmierć imamom Alemu i Hosejnowi, prawowitym w mniemaniu szyitów następcom Mahometa.

I nagle trzydzieści lat temu historia wyniosła do władzy ajatollaha Chomeiniego, kogoś, kto nie miał w sobie tej pierwszej, radosnej połowy duszy. Dla przywódcy rewolucji radość i zabawa nie były czymś, co normalnemu człowiekowi pozwala jakoś funkcjonować w złym świecie, hamulcem chroniącym przed stoczeniem się w otchłań zgorzknienia. Chomeini postanowił wyprodukować nowego człowieka. Homo islamicus miał żywić przekonanie o złych intencjach niemal całego świata, stać z bronią u nogi, uważnie obserwować znaki na niebie i ziemi i wyczekiwać zbawiciela - Mahdiego, by w odpowiednim momencie ruszyć z nim do ostatecznego boju z szatanem. Czy taki człowiek powinien rozpraszać swoją uwagę błahostkami, tańcami, śpiewami? Czy ma prawo wychodzić z okopu na party? A jeśli Mahdi przyjdzie właśnie wtedy? Nie zastanie swojej armii? Swojego narodu wybranego?

Jednak po trzydziestu ciężkich latach radosna część irańskiej duszy nadal żyje i podczas tamtych czerwcowych nocy postanowiła dać temu wyraz. Nawet zwolennicy Ahmadineżada jej ulegli. Podczas licznych wędrówek po ulicach Teheranu trafiłem pewnej

nocy na plac Kadż w Sa'dat Abad, jednej z najbardziej zrewoltowanych dzielnic. Stoi tam meczet, przy którym zebrała się grupa około pięciuset najwierniejszych obrońców szyickiego cierpienia. Większość twarzy zaciętych, ponurych. Wyglądają, jakby szykowali się do obrony twierdzy, jakby byli przekonani, że za chwilę tłum niewiernych przypuści szturm na ich świątynię. Ale na samym przodzie posępnego zgromadzenia kilkudziesięcioosobowa grupa zwolenników Ahmadineżada wygląda zupełnie inaczej. Tłumek młodych, nowocześnie ubranych chłopaków drze się wniebogłosy, wychwalając prezydenta. Stoją oddzieleni tylko wąską ulicą od kilku tysięcy zielonych rewolucjonistów Musawiego. Obie grupy przekonane o swoich racjach. Czasem, na obrzeżach placu, mieszają się z sobą, dyskutują zaciekle, ale i częstują papierosami. Widzę, jak dwóch ahmadineżadowców zabiera na swój udekorowany motocykl chłopaka z obozu musawistów i wspólnie robią rundę wokół placu, przekrzykując się nawzajem. Trudno to wszystko pojąć.

Tamtej nocy przypomniało mi się, jak półtora miesiąca wcześniej, dokładnie w tym samym miejscu, jadąc taksówką, utknąłem w niespodziewanym korku. Zza okna dochodził potworny hałas, więc zapłaciłem kierowcy i wysiadłem, kierując się w stronę tumultu. Na placu niedaleko meczetu kłębił się gigantyczny tłum ludzi ubranych w błękitne stroje, czasem z pomalowanymi na niebiesko twarzami.

„Esteqlal, Esteqlal, Esteqlal!!!” - już wiedziałem, o co chodzi. Przed ostatnią kolejką ligi piłkarskiej, prowadzącej w tabeli drużynie z Isfahanu wystarczał remis w meczu z jakimś słabeuszem. A jednak sromotnie przegrała, co do dziś jest przedmiotem różnych spiskowych teorii. Czempionami zostali zawodnicy teherańskiego Esteqlalu, a ich kibice właśnie wyszli na ulice, by świętować.

W Europie w większości miast, w których działa więcej niż jeden klub piłkarski, fani są najczęściej przyporządkowani do konkretnych dzielnic i raczej nie tolerują „mniejszości” na swoim terenie. W Teheranie jest zupełnie inaczej. Kibice żyją przemieszani, ale poza dniem derbów nie wchodzi sobie w drogę. Tamtego wieczoru ulice należały do kojarzonego z warstwami średnimi „niebieskiego” Esteqlalu. Fani „czerwonych koszul”, czyli teherańskiego Persepolis, uważani za nieco mniej zamożnych, ale za to liczniejszych, siedzieli w domach, przeżywając gorycz porażki. „Błękitne koszule” zupełnie zablokowały plac. Nie było końca tańcom, śpiewom, a policjanci próbujący niezdarnie kierować sparaliżowanym ruchem byli porywani i noszeni na rękach. Nikt niczego nie demolował, w tłumie pojawiały się machające flagami młode dziewczyny i stare kobiety.

Półtora miesiąca później, kiedy obserwowałem przedwyborczy, na pozór przyjacielski karnawał na placu Kadż, gwałtownie przypomniano mi, że jestem w kraju, w którym

każdemu człowiekowi w każdej niemal chwili towarzyszy niechciany towarzysz - strach. Choć wszyscy naokoło robili sobie zdjęcia, dla wielu moja europejska twarz i aparat fotograficzny oznaczały zagrożenie. Zdziwiło mnie to, bo podczas wcześniejszej piłkarskiej fiesty wykonałem ponad sto zdjęć i wszyscy byli zadowoleni.

- Bracie, nie gniewaj się, ale nie chcę zobaczyć swojej fotografii na pierwszej stronie jakiejś zachodniej gazety. Bo zobaczą ją też inni i jak coś z wyborami pójdzie nie tak, oberwę - tłumaczył mi jeden z przechodniów, prosząc o skasowanie zdjęcia. Miał jakieś dwadzieścia pięć lat, wymalowaną na zielono twarz i choć przekonany był, że za dwa dni Ahmadineżad przejdzie do historii, jego strach wciąż miał wielkie oczy. Jednak kierował nim nie tylko strach, lecz także rozsądek. Dziesięć lat wcześniej „The Economist” umieścił na okładce zdjęcie biorącego udział w studenckich zamieszkach Ahmada Batebiego. Przystojny, długowłosego chłopak miał w rękach splamioną krwią koszulkę swojego rannego kolegi. Co ciekawe, nie niósł jej, by zachęcać studentów do walki; niósł ją, by ostrzec młodych ludzi, co im grozi, jeśli wyjdą poza akademiki. Kiedy zdjęcie ukazało się w Anglii, Batebi siedział już w areszcie, oskarżony o udział w zamieszkach. Był notorycznie bity, jego głowę wpychano do klozetu pełnego ekskrementów, straszono go egzekucją, nie pozwalano spać. Próbowano na nim wymusić oświadczenie, że na podkoszulku była zwierzęca krew.

Po kapturowym procesie Batebi najpierw został skazany na śmierć, potem wyrok obniżono do piętnastu lat, w końcu do dziesięciu. Na początku 2008 roku zwolniono go z więzienia na badania lekarskie i z pomocą kurdyjskich opozycjonistów uciekł przez góry do Iraku. Stamtąd trafił do Ameryki.

Kilka minut po prośbie o zaprzestanie robienia zdjęć na rogu placu Kadż podjechał do mnie motocykl. Dwóch ponuro wyglądających, chudych brodaczy zażądało paszportu. Próbowiałem najpierw udawać, że nie rozumiem, o co im chodzi. Potem zacząłem mówić do nich po polsku, w końcu powtarzałem już tylko „embassy, embassy”. I wtedy z odsieczą pojawił się Mehsud. Dwadzieścia kilka lat, dzinsy, włosy na żelu, typowy dla modniaków przyciasny podkoszulek, elegancko przycięta bródka. Ale pozory mylą. Mehsud był wyjątkowo zdecydowanym chłopakiem, a utwierdzało go w tym dwóch kompanów, jeden wielki jak skała. Mehsud wyszeptał coś do ucha jednego z chuderlawych brodaczy, a jego koledzy znacząco wyjęli ręce z kieszeni i zaczęli je rozprostowywać. Komunikat nie pozostawiał wątpliwości. Brodacze posłuchali, pyrkająca honda odjechała. Mehsud natychmiast zarządził nasz odwrót, gdyż był przekonany, że tajniacy wrócą bardzo szybko z posiłkami. Kilkanaście minut później siedzieliśmy w restauracji na drugim końcu dzielnicy. Wnętrze jakby żywcem wzięte z wystroju Pizza Hut, choć na szczęście pizza była tu lepsza.

- W przyszłym roku zaczynam drugie studia, psychologię. Muszę to zapamiętać. - Mehsud spojrział w stronę zakorkowanej ulicy, na której kierowcy klaksonami wybijali rytm pięciu sylab: „Margbardiktator”. - Ludzie w Teheranie w ostatnich dniach poszaleli. Oni chyba naprawdę wierzą, że jak Musawi wygra, to kler straci kontrolę nad państwem. Ale przecież prezydent w Iranie to nie prezydent w USA. Prawdziwy prezydent, a właściwie król, to duchowy przywódca Ali Chamenei. Jeśli zechce zablokować Musawiego, bez trudu to zrobi. Ma na usługach podległą mu armię i gwardię, ma uległy parlament, Radę Strażników i Zgromadzenie Ekspertów. Może wszystko.

Rozumiałem, o czym mówi Mehsud tylko dlatego, że przed kolejną podróżą do Iranu ślezczałem godzinami nad wielkim arkuszem papieru, na który naniosłem najważniejsze instytucje systemu politycznego Iranu. To chyba najbardziej skomplikowany węzeł gordyjski, jaki spotkałem w polityce światowej. Służy nie tylko do rządzenia, ale też do wzajemnego blokowania, wymuszania kompromisu, zakulisowych negocjacji, uprawiania ideologicznych zapasów przez poszczególne frakcje establishmentu. Na szczycie tej niepewnej drabiny stoi duchowy przywódca, następca ajatollaha Chomeiniego - Ali Chamenei. Jest on dowódcą sił zbrojnych, może zdymisjonować prezydenta, mianuje szefów sądownictwa, państwowej telewizji i radia. Decyduje o najważniejszych kierunkach polityki międzynarodowej, dyryguje programem atomowym. Wybierany jest przez Zgromadzenie Ekspertów, osiemdziesięciosześcioosobową radę duchownych, która jako jedyna może pozbawić go urzędu, jeśli uzna, że sprzeniewierzył się ideałom rewolucji. Fakt, że członkowie Zgromadzenia Ekspertów są wybierani w głosowaniu powszechnym, mógłby wskazywać na to, że społeczeństwo w jakimś stopniu ma wpływ na duchowego przywódcę. Nic bardziej mylnego. Zanim ludzie pójdą głosować, wszyscy kandydaci muszą uzyskać zgodę na start od Rady Strażników Konstytucji. To dwunastoosobowe ciało w połowie składa się z mułłów wyznaczonych przez duchowego przywódcę. Drugą połowę stanowią świeccy prawnicy, mianowani przez szefa sądownictwa, wyznaczonego przez... duchowego przywódcę. Tak więc wpływ na odwołanie Chameneiego ma osiemdziesięciu sześciu ludzi, z których żaden nie mógłby piastować swojej funkcji bez akceptacji przywódcy.

Kontrolowana przez Chameneiego Rada Strażników zajmuje się nie tylko akceptacją kandydatów do Zgromadzenia Ekspertów. Organizuje też wybory parlamentarne i prezydenckie, co oznacza, że głównie wycina wszystkich niezależnie myślących kandydatów. W ostatnich wyborach, które wywołały zieloną rewolucję, rada popełniła błąd. Choć zaakceptowała tylko czterech kandydatów spośród prawie pięciuset chętnych, aż dwóch okazało się niespodziewanym wyzwaniem dla islamskiej republiki.

Prezydent w Iranie zajmuje miejsce gdzieś w połowie drogi między dzierżącym pełnię władzy prezydentem amerykańskim a skazanym niemal wyłącznie na przecinanie wstęg jego niemieckim czy też austriackim odpowiednikiem. W praktyce pozycja irańskiego prezydenta przypomina bardziej funkcję klasycznego premiera, który kieruje aktualną polityką i gospodarką Iranu. Stoi na czele rządu, opracowuje budżet i przedstawia go do akceptacji dwustudziestopięcioletniemu parlamentowi (madżlesowi), który ma za zadanie patrzeć na ręce prezydentowi, zatwierdzać i odwoływać jego ministrów, kontrolować budżet. Jednak w świecie, w którym za doбором kandydatów na prezydenta i posłów stoi ta sama Rada Strażników, rzadko się zdarza, by dochodziło do jakichś potężnych konfliktów. Poszczególne frakcje kotłują się oczywiście pod dywanem, ale gdy tylko zaczynają robić zbyt dużo hałasu, Ali Chamenei przywraca porządek jednym skinieniem ręki.

Nawet w tak misternie skonstruowanym budynku czasem dochodzi do nieprzewidzianych awarii. Tak działo się w latach 1997-2005, kiedy przez dwie kadencje prezydentem był Mohammad Chatami. Pierwsze zwycięstwo odniósł jako w sumie mało znany kleryk, wcześniej piastujący tylko jedną ważną funkcję państwową - ministra kultury, kiedy to dał się poznać jako zwolennik poluzowania cenzury wydawniczej i filmowej. Na początku rewolucji był też posłem w madżlesie, ale nie zapisał się w pamięci Irańczyków zbyt wyraźnie. Może poza głośnym wieczorem z 18 października 1981 roku, kiedy wraz z grupą innych duchownych krzyczał „Śmierć Bazarganowi!”, nie pozwalając dokończyć wystąpienia pierwszemu premierowi porewolucyjnego Iranu, walczącemu o pozostawienie społeczeństwu choć namiastek wolności. Po latach Chatami sam jednak dołączył do grupy reformatorów.

Podczas kampanii prezydenckiej mówił co innego i zachowywał się zupełnie inaczej niż jego gburowaci konkurenci. Łagodny uśmiech, przyjacielskie spojrzenie, wysoka kultura osobista, język pełen słów o kompromisie i konieczności respektowania praw jednostki. Do tego eleganckie półbuty zamiast sandałów oraz kremowobrazowe szaty z wysokiej jakości materiałów, w miejsce typowego dla większości duchownych ciemnego, wygniecionego stroju. Chatami nie ukrywał się przed wyborcami, ale jeździł autobusem po kraju, spotykał się z ludźmi, opowiadał o swojej rodzinie, miłości do pływania i tenisa, jak też o ulubionych filozofach (Platon, Rousseau, Locke, Machiavelli, Kant). Mówił o szacunku dla młodzieży i kobiet, zapowiadał oswobodzenie prasy z żelaznego uścisku cenzury. Wszystko to sprawiło, że zdecydowanie pokonał konserwatywną konkurencję i z niemal siedemdziesięcioprocentowym poparciem objął urząd. Szczególnie zaskakująca była frekwencja - 80 procent Irańczyków uznało, że warto wreszcie ruszyć się z domu i zagłosować. Ludzie zaufali Chatamiemu i początkowo nie zawiedli się. Gospodarka zaczęła

się rozwijać, powstawały tysiące nowych miejsc pracy, kraj powoli odzyskiwał szacunek na świecie. Nawet ajatollah Chamenei wydawał się zadowolony. Pokazywał się uśmiechnięty na spotkaniach z aktorami i sportowcami, opowiadał o swojej pasji piłkarskiej i miłości do koni. Telewizja pokazywała duchowego przywódcę, jak ozdabia swój ogród. Wydawało się, że kraj jest na dobrej drodze.

Kiedy jednak obywatele Iranu odetchnęli szerzej, napili się kawy w kawiarnianym ogródku i przeczytali odważny artykuł w gazecie, co wcześniej było niemożliwe, zaczęli żądać więcej i więcej. Na przykład chcieli prawdziwej wolności, a nie drobnych zmian w rodzaju ograniczenia patroli tropiących nielegalne randki w parkach. Na to jednak Chatami był zbyt słaby. Ani nie miał charakteru, dzięki któremu zdolny byłby postawić się islamskiej elicie, ani jego urząd nie miał tylu uprawnień, by swobodnie wcielać w życie odważne pomysły. Z czasem prezydent nie był w stanie zapewnić bezpieczeństwa nawet swoim najbliższym współpracownikom oraz zwolennikom ze środowiska irańskich intelektualistów.

## **mordercy na łańcuchu**

Sajjed Hadżarijan był jednym z przywódców ataku islamskich studentów na amerykańską ambasadę w 1979 roku, a później współtwórcą Ministerstwa Wywiadu i Bezpieczeństwa Narodowego. Instytucja ta, w skrócie zwana Wewak, miała zastąpić znienawidzoną tajną policję szacha, czyli Sawak. Z czasem jednak w brutalności zdecydowanie przewyższyła poprzedniczkę. Do pewnego stopnia była to zasługa Hadżarijana, który jednak pod koniec lat osiemdziesiątych zaczął dostrzegać, jak bardzo rewolucja odeszła od swoich korzeni. Przystąpił do obozu reformatorów, zaczął kwestionować rolę duchowego przywódcy jako jednoosobowego przewodnika narodu. Za prezydentury Chatamiego został jego najbliższym doradcą. Wtedy właśnie wybuchła afera tak zwanych morderstw łańcuchowych, serii tajemniczych zgonów i zaginięć w środowisku irańskich intelektualistów. Wiele wskazuje na to, że miały być one ostrzeżeniem dla liberalnych środowisk, a także dla samego prezydenta, iż pryncypialiści nie będą tolerować dalszego luzowania atmosfery w Iranie. Uderzono inteligentnie, nie w pierwszy szereg reformatorów, ale w ich bezpośrednie zaplecze. Metoda też była odpowiednio dobrana. Zamiast zamykać intelektualistów w więzieniach i narażać się na światowe protesty, inicjowano skrytobójcze akcje. Liczba ofiar morderstw nie jest dokładnie znana. Przyjmuje się, że co najmniej dwadzieścia przypadków to oczywiste zabójstwa polityczne.

Najgłośniejszą stała się zbrodnia popełniona na małżeństwie Dariusza i Parwane Foruharów. Ich okaleczone ciała znaleziono w domu w południowej części Teheranu 21 listopada 1998 roku. Mężczyzna otrzymał jedenaście ciosów nożem, kobieta dwadzieścia cztery.

Dariusz Foruhar należał przed rewolucją do antyszachowskiej opozycji, przeżył nawet zamach bombowy, kiedy na rok przed rewolucją ładunek eksplodował w jego domu. Po ucieczce szacha Pahlawiego Foruhar trafił do pierwszego porewolucyjnego rządu Mehdiego Bazargana, w którym było jeszcze miejsce dla świeckich idealistów. Piastował w nim funkcję ministra pracy. Nigdy nie powiesił w gabinecie zdjęcia Chomeiniego, nie chciał też zamienić dotychczasowej flagi Iranu z godłem w postaci lwa i słońca na nowy wzór - z symbolicznie ukrytym w płątku tulipana imieniem Allaha. Kiedy rząd Bazargana obalono, Foruhar z miesiąca na miesiąc coraz bardziej tracił złudzenia. Odsunął się i skupił na swojej Partii Narodu Irańskiego, założonej jeszcze w 1951 roku. Nie miał zbyt wielu zwolenników, ale znany był jako bezkompromisowy przeciwnik systemu, więc jego posesja znajdowała się pod



stałą obserwacją. Foruhar zdawał sobie doskonale sprawę, że grozi mu śmierć. Jak wspominali później jego znajomi, tuż przed zabójstwem jego dom przypominał twierdzę. Osłaniał go drut kolczasty, metalowa brama oraz antywłamaniowe okna. Małżonkowie wszędzie chodzili z pistoletem. Zawsze mieli też pod ręką torbę z najważniejszymi w przypadku aresztowania rzeczami: pastą do zębów, szczoteczką i ręcznikiem.

Poranione nożem i przywiązane do krzesła ciało Foruhara znaleziono na parterze domu. Jego żonę sprawcy zakłuli na piętrze, w jej gabinecie. Zniknęła większość dokumentów.

Zabójstwo Foruharów było początkiem całej fali zadziwiających wypadków. Zdarzało się, że ktoś wychodził do sklepu po żarówki i znikał, a po kilku dniach znajdowano go uduszonego w przydrożnym rowie pod Teheranem. Szirin Ebadi, laureatka Pokojowej Nagrody Nobla za walkę o prawa dzieci i kobiet w Iranie, przytacza w swojej książce *Iran Awakening* (polskie wydanie nosi tytuł *Broniłam ofiar. Pamiętnik z Iranu*) opis wypadku, do jakiego doszło podczas wyjazdu dwudziestu jeden irańskich autorów na kongres pisarzy do Armenii. Część uczestników podróży od lat stanowiła problem dla władz, gdyż podpisywała listy z żądaniem zniesienia cenzury. Ebadi powołuje się na wspomnienia uczestniczki wyjazdu, Fereszte Sari.

Okolo drugiej w nocy, gdy większość pasażerów drzemała w fotelach, kierowca zatrzymał autobus na poboczu i wyszedł na zewnątrz. Ktoś zauważył, że hamulec ręczny nie jest zaciągnięty i zawołał kierowcę, przypuszczając że ten poczuł senność i potrzebował chwili wytchnienia. Kierowca wrócił, uruchomił silnik i ruszył wąską, oświetloną tylko światłem księżycy drogą między wysokimi szczytami. Gwałtowne przyspieszenie i towarzyszące mu wstrząsy obudziły śpiących. Pisarze patrzyli przerażeni, jak autobus pędzi w stronę urwiska. Gdy był już blisko skraju przepaści, kierowca otworzył drzwi po swojej stronie i wyskoczył. Pisarz siedzący najbliżej siedzenia kierowcy rzucił się do hamulców i zatrzymał autobus z piskiem opon. Nikt nie miał odwagi patrzeć w czarną czeluść, w którą lada chwila mógł się stoczyć. Jedno z kół wystawało nad przepaścią, a przód pojazdu zawisł nad skrajem urwiska.

Czwartego stycznia 1999 roku biuro prasowe prezydenta Chatamiego ogłosiło wykrycie sprawców morderstw łańcuchowych. Miał to być spisek kilkunastu wysokich oficerów Wewaku, dowodzonych przez wiceministra Sajjeda Emamiego. Zanim jednak doszło do procesu, zginął także i on. Oficjalnie popełnił samobójstwo w areszcie, wypijając chemiczny środek do depilacji włosów. Niewielu jednak wierzyło w tę wersję, raczej podejrzewano, że Emami został zamordowany. Ktoś postanowił zamknąć mu usta, zanim

zdradzi swoich zleceniodawców.

Jesienią 2000 roku w grupie prawników reprezentujących rodziny ofiar morderstw łańcuchowych znalazła się Szirin Ebadi. Już pierwszego dnia podczas przeglądania akt w sądzie przeżyła szok.

Natrafiłam na stronę zawierającą znacznie więcej szczegółów niż wszystko, co widziałam dotychczas, i zaczęłam czytać wolniej, bardzo uważnie. Był to zapis rozmowy między ministrem a członkiem szwadronu śmierci. Gdy zobaczyłam te słowa - miały mnie one później prześladować przez lata - w pierwszej chwili nie zrozumiałam. Nie wierzyłam własnym oczom, ale słowa te brzmiały: „Następną osobą do zabicia jest Szirin Ebadi”. Ja. Zaszło mi w gardle.

Morderstwa łańcuchowe i późniejsza śmierć Sajjeda Emamiego były ciosem dla prezydenta Chatamiego. Widać było wyraźnie, że nie jest w stanie zapanować nad sytuacją, a zabójcy panoszą się tuż pod jego bokiem. Do pełnego wyjaśnienia afery, a zwłaszcza znalezienia mocodawców Emamiego, został wydelegowany najbliższy doradca Chatamiego, w przeszłości jeden z twórców Wewaku, Sajjed Hadżarijan. W prowadzonej przez niego reformatorskiej gazecie „Sobhe Emruz” dwaj dziennikarze śledczy Akbar Gandzi i Emadeddin Baqi opublikowali cykl artykułów, w których obarczyli winą grupę konserwatywnych, prominentnych mułłów. Na jej czele miał stać były szef irańskiego wywiadu, wysoki rangą duchowny, Ali Fallahijan. W artykułach Gandziego pojawiały się również poważne poszlaki, kierujące podejrzenia w stronę byłego prezydenta Alego Haszemiego Rafsandżaniego. Irańczycy określali go wiele mówiącym pseudonimem „Rekin”.

W marcu 2000 roku reżim postanowił zemścić się za artykuły w „Sobhe Emruz”. Hadżarijana postrzelono w głowę na schodach budynku teherańskiej rady miejskiej. Został częściowo sparaliżowany i do dziś z trudem chodzi i mówi. Kary ze strony systemu dosięgły też obu dziennikarzy. Baqi został skazany na trzy lata więzienia, Gandzi otrzymał początkowo dziesięć lat, jednak po apelacji wyrok zmniejszono mu do sześciu. Gandzi stał się w więzieniu symbolem walki z ajatollahami. Kolejnym z niezliczonej grupy antyreżimowych działaczy, który zaczynał od walki z szachem w młodzieżowej islamskiej bojówce, potem kontynuował służbę rewolucji w szeregach gwardii i Ministerstwa Wywiadu, by w końcu zrozumieć, że Iran stał się więzieniem, które władza zafundowała społeczeństwu w miejsce obiecywanej wolności.

W więzieniu Gandzi podjął dramatyczny, pięćdziesięciodniowy strajk głodowy. Przerwał go dopiero, kiedy groziło mu uszkodzenie mózgu. Niektórzy nazywali go potem irańskim Bobbym Sandsem. Ten irlandzki bojownik zmarł w więzieniu po sześćdziesięciu

sześciu dniach głodówki, domagając się przyznania członkom IRA statusu więźniów politycznych. Jego pamięć uczczono też w islamskim Iranie, nazywając imieniem Sandsa ulicę na tyłach brytyjskiej ambasady w Teheranie. Miała być dla Anglików wyrzutem sumienia.

Władze Iranu nie chciały mieć jednak ulicy Gandziego na tyłach swojego przedstawicielstwa w Londynie, stąd też odetchnęły z ulgą, gdy przerwał strajk, po czym uwolniły go. Gandzi wyszedł na wolność w czerwcu 2006 roku i wyjechał do USA.

## **nagle nastala cisza**

Morderstwa łańcuchowe nie były jedynym przykładem, dzięki któremu Irańczycy przekonali się, że tak naprawdę to nie prezydent jest najważniejszą osobą w ich państwie. Momentem przełomowym okazał się dzień 8 lipca 1999 roku, kiedy studenci Uniwersytetu Teherańskiego zebrali się na demonstracji przeciwko zaostrzeniu przez parlament ustawy prasowej i zamknięciu reformatorskiej gazety „Salam”. Był to bezpośredni cios w prezydenta, gazeta skupiała bowiem jego zwolenników, a o zakazie jej wydawania zdecydował sąd zdominowany przez konserwatystów. Nie było to jakieś wyjątkowe wydarzenie w tamtych czasach. Sądy wciąż zamykały czasopisma, które odradzały się po kilku tygodniach pod innymi tytułami, dzięki nowym licencjom przyznawanym przez urzędników Chatamiego. Zmiana prawa prasowego miała zakończyć tę zabawę w kotka i myszkę oraz ukrócić marzenia o wolności słowa.

Następnej nocy po studenckiej demonstracji akademiki uniwersytetu zaatakowała grupa około czterystu basidżów, wspartych przez wiernych władzy bojówkarzy Hezbollahu, a także policyjnych tajniaków. Wyważali drzwi, demolowali pokoje, bili pałkami mężczyzn i kobiety, niektórych wyrzucali przez okna. Jeden ze studentów poniósł śmierć, ponad setka odniosła rany. Proces sprawców inwazji na uniwersytet, który odbył się kilka miesięcy później, był kolejnym policzkiem dla Chatamiego. Jedynym skazanym okazał się policjant, któremu udowodniono... kradzież maszynki do golenia.

Po ataku na śpiących studentów przez Teheran przetoczyła się fala trwających pięć dni zamieszek, największych od czasów rewolucji. Stolicę wsparł gwałtowną rewoltą jak zwykle krnąbrny, zamieszkały przez Azerów Tabriz, a także w mniejszym stopniu Sziraz, Isfahan i Maszhad. Płonęły autobusy, na ulicach wznoszono barykady, ludzie dusili się w oparach gazu łzawiącego, nad miastem krążyły helikoptery. Do teherańskich studentów dołączyła sfrustrowana, bezrobotna młodzież - owoc wyżu demograficznego lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Studentów wspierali też zwykli mieszkańcy Teheranu, przynosząc im jedzenie oraz pomagając ukrywać się w mieszkaniach przed policją, hezbollahowcami i basidżami. Ci ostatni mieli do odegrania ważną rolę, podyktowaną przez władze. Ubrani w dżinsy i podkoszulki, z ogolonymi brodami - podpalali banki i rzucali cegłami w wystawy sklepów, po czym rabowali je. Efekty kradzieży pokazywała potem państwowa telewizja, przypisując winę studentom.

Szóstego dnia miasto poddało się.

- Najbardziej zapamiętałem, że po dniach potwornego hałasu nagle nastąpiła cisza. Byliśmy załamani, pokonani, nikt w akademiku nie miał ochoty na żadne rozmowy. Czekaliśmy na jeszcze jeden atak hezbollahowców i basidżów. Liczyliśmy się z tym, że wszystkich nas utłuką - wspomina Mehdi, jeden z uczestników tamtych zdarzeń, dziś właściciel biura rachunkowego.

Studencki opór dobił sam Chatami. Wcześniej przywódcy ulicznej rewolty byli przekonani, że występują także w imieniu prezydenta. Jednak ostatniego dnia walk Chatami odciął się od studentów, nazywając część z nich prowokatorami. Kolejnego dnia do Teheranu zjechały dziesiątki tysięcy zwolenników Chameneiego, organizując pokaz siły. Bitwa o demokrację została przegrana.

W walkach zginęły cztery osoby, prawie trzysta zostało rannych. Do więzień trafiło kilkudziesięciu aktywistów. Za przywódców ruchu uznano dwóch braci, choć tak naprawdę wydarzenia miały charakter spontaniczny i nikt nimi nie kierował. Jeden z braci, dwudziestosiedmioletni Akbar Mohammadi, najpierw został skazany na karę śmierci, po czym wyrok zmniejszono mu do piętnastu lat więzienia. Trzydziestego lipca 2006 roku zmarł po tygodniu strajku głodowego. Prawnik Akbara twierdził później, że jego klient został kilkakrotnie dotkliwie pobity, a sam strajk głodowy był jedynie protestem przeciwko odmowie przysłania lekarza do ciężko rannego więźnia.

Po zdławieniu studenckiej rewolty wielu Irańczyków straciło złudzenia względem Chatamiego. Nie bronił maltretowanych studentów, nie protestował, gdy aresztowano przychylnych mu dziennikarzy i zamykano ich gazety. Im dłużej rządził, tym rzadziej ulubione słowo - dialog - trafiało do jego słownika, a coraz częściej pojawiała się fraza: „Mam związane ręce, nic nie mogę zrobić”.

Być może Chatami miał rację, alternatywnym dla niego wyjściem była tylko piękna śmierć w pierwszym szeregu studentów. Nawet ta skromna odwilż, jaką dał Iranowi, uczyniła go śmiertelnym wrogiem duchowej elity. Blokowano większość jego reform, a na ulicach, wbrew Chatamiemu, znów było pełno patroli „Morality Police”. W publicznych miejscach wymierzano kary chłosty, zdarzało się nawet, że dziewczynom, które przyłapano na chodzeniu w sandałach bez skarpet, za to z pomalowanymi paznokciami - wkładano bosa nogi do wiader z karaluchami. Aby pozbawić społeczeństwo reszty złudzeń, twardogłowi zaczęli atakować najbliższe otoczenie prezydenta. Największy reformator w jego rządzie - minister spraw wewnętrznych, a potem wiceprezydent Abdullah Nuri - za wystąpienia propagujące rozszerzenie demokracji i kwestionujące ideę duchowego przywództwa zapłacił wysoką cenę. Trafił na pięć lat do więzienia za obrazę islamu, i to mimo że sam był

duchownym. Kilku innych polityków z obozu Chatamiego spotkał ten sam los, setkom następnym Rada Strażników odmówiła zgody na kontynuację politycznej kariery, wykluczając z list kandydatów do parlamentu.

Pod koniec rządów Chatami stał się już zupełnie zgorzkniały, utył, znikł jego serdeczny uśmiech, pewnego dnia uznał nawet, że Nagroda Nobla dla Szirin Ebadi nie ma żadnej wartości. Coraz rzadziej się pokazywał, był bierny, uległy, strachliwy. Dobrze obrazuje to anegdota z kwietnia 2005 roku. Podczas uroczystości pogrzebowych ku czci papieża Jana Pawła II Chatami został posadzony obok prezydenta Izraela Mosze Kacawa. Tak się składa, że obaj politycy urodzili się w Iranie, niedaleko miasta Jazd, znanego z licznej diaspory żydowskiej, mieszkającej tam po dziś dzień.

Po pogrzebie papieża Kacaw zdradził dziennikarzom, że uściśnął dłoń kolegi z rodzinnych stron, a nawet uciał sobie z nim miłą pogawędkę w języku perskim (zwanym w Iranie farsi). Zanim Chatami wrócił do domu, w konserwatywnych gazetach teherańskich rozpętała się gigantyczna burza. Prezydent, w swoim stylu, nie miał ochoty na konfrontację i wyparł się rozmowy z izraelskim przywódcą, choć widziało ją wielu polityków.

Do podobnego incydentu doszło już po ustąpieniu Chatamiego z funkcji prezydenta, gdy w czerwcu 2007 roku zaproszono go do włoskiego Udinese na konferencję naukową. Miał tam uściśnąć dłonie Gianoli i Cristiny Nonnino, właścioelek znanej fabryki wódki grappa. Obie panie były pozbawione nakryć głowy, co w świetle islamskiego prawa szari'atu wykluczało jakikolwiek kontakt cielesny między mężczyzną a obcą mu kobietą. Kiedy sprawa wyszła na jaw, szturm na Chatamiego przypuścił najbardziej radykalny teherański dziennik „Kejhan”. Sam Chatami najpierw wypierał się całego zdarzenia, ale kiedy w internecie pojawił się film dokumentujący uścisk dłoni z kobietami, stwierdził, że „być może ścisnął jakieś ręce, ale nie pamięta dokładnie czyje”.

Mohsen Machmalbaf, słynny irański reżyser, który pod koniec rządów Chatamiego postanowił wyemigrować z Iranu na znak protestu przeciwko powracającej cenzurze, opowiadał mi, jak namawiał prezydenta, by demonstracyjnie ustąpił z urzędu:

- Nic z tego nie wyszło. Chatami miał dobre serce i dobre chęci, ale był zbyt miękki, by stać się prawdziwym liderem. Zaprzepścił wielkie nadzieje, jakie z nim wiązaliśmy.

A jednak późniejsze cztery lata rządów Ahmadineżada zupełnie odmieniły obraz prezydentury Chatamiego. Irańczycy z perspektywy czasu docenili jego starania i kiedy ogłoszono nowe wybory w 2009 roku, zaczęli namawiać go na powrót. On jednak wolał nie angażować się w bezpośrednią walkę i dwa miesiące przed głosowaniem ustąpił miejsca swojemu najbliższemu przyjacielowi.

Mir Hosejn Musawi przyjmowany był początkowo nieufnie. Wyglądał na smutnego, przygaszonego, bez charyzmy. Zupełnie inaczej niż na zdjęciach z połowy lat osiemdziesiątych, kiedy jako ówczesny premier Iranu przemawiał do rozemocjonowanego tłumu. Prawdziwy wódz, w mundurze polowym i czerwonej przepasce na głowie. Kłopot w tym, że odszedł z polityki w 1989 roku i tak naprawdę nikt nie wiedział, jakie są jego aktualne poglądy. Starsze pokolenie pamiętało go jako premiera z czasów największego terroru, ale jednocześnie przyznawało, że nie angażował się w represje. Był raczej sprawnym gospodarzem, który mimo wojny z Irakiem walczył skutecznie ze spekulacją i nie pozwolił, by gospodarkę ogarnęła inflacja, a Irańczykom zabrakło artykułów pierwszej potrzeby. Musawi zrezygnował z funkcji dopiero po śmierci swojego protektora, ajatollaha Chomeiniego. Pożegnał politykę, wrócił do biura projektowego, w którym był architektem, potem został prezydentem Akademii Sztuki Islamskiej Republiki Iranu. Grupy reformatorów dwukrotnie próbowały namawiać go na powrót do polityki przy okazji wyborów prezydenckich w 1997 i 2005 roku. Udało się dopiero za trzecim razem.

## **dwa tygodnie i będzie po sprawie**

Musawi stał się bohaterem z przypadku. Po dwudziestu latach milczenia wypłynął na powierzchnię, wypchnięty niemal siłą przez Chatamiego i zaakceptowany łaskawie jako kandydat na prezydenta przez Radę Strażników, która najwidoczniej uznała go za niezbyt groźnego rewizjonistę. Musawi trafił jednak na moment wyjątkowego głodu demokratycznego w irańskim społeczeństwie, wymęczonym czterema latami rządów Ahmadineżada. Stał się odzwierciedleniem przysłowia „na bezrybiu i rak ryba”.

W Iranie brakuje podziemnych organizacji, stowarzyszeń, komitetów stawiających sobie sprecyzowane cele i prowadzących nieustanną działalność zmierzającą do utworzenia alternatywnego społeczeństwa obywatelskiego. Irańczykom brakuje zdecydowanych, cieszących się autorytetem liderów. W dużej mierze wynika to z bardzo prostej przyczyny.

W krajach komunistycznych przeciwników mordowano tylko w okresie stalinowskim i podczas najbardziej przełomowych wydarzeń, takich jak powstanie na Węgrzech, interwencja Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, Grudzień '70 i stan wojenny w Polsce. Polityką władz było raczej zastraszanie społeczeństwa poprzez bicie (ale nie tortury), wyrzucanie z pracy, kilkuletnie wyroki więzienia. W Iranie jest zupełnie inaczej. Brutalne tortury wobec demokratów stosowano powszechnie już za szacha, a po rewolucji doszło nie tylko do dalszej brutalizacji przesłuchań, ale też do fali zabójstw, idącej w dziesiątki tysięcy ofiar. Mówiąc najkrócej, podczas gdy opozycjonistom w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech organizowano ścieżki zdrowia i stawiano ich przed zakłamanym sądem, irańscy działacze byli okaleczani, a na koniec wieszani lub rozstrze liwani. Trudno w takiej atmosferze o budowanie trwałych struktur.

Od czerwca 2009 roku Iran gwałtownie nadrabia te zaległości. Mimo nieustannych aresztowań, a nawet kar śmierci pojawiają się kolejni odważni aktywiści, coraz lepiej dbający o swoje bezpieczeństwo. Stawiają oni na tworzenie poziomych, otwartych struktur, o wiele bardziej skutecznych w opresyjnym systemie niż zhierarchizowane organizacje, z czytelnym kierownictwem, łatwym do namierzenia i likwidacji. Liderem ruchu jest ukochany przez miliony Musawi, choć on sam wciąż wygląda na osobę nieco zaskoczoną całą sytuacją, jakby mimo woli szedł na czele tego demokratycznego pochodu. Ludzie go idealizują. Nie wiedzą, jaki jest naprawdę. Z drugiej strony trzeba jednak przyznać, że z każdym kolejnym powyborczym oświadczeniem Musawi szedł krok do przodu. Jego manifesty stawały się coraz radykalniejsze, coraz ostrzej żądał wolnych wyborów, wolności słowa, prawa do



zgromadzeń i swobodnego zrzeszania się. W jednym z manifestów Musawi ogłosił wręcz, że dla tych wartości gotów jest zginąć.

W czasie kampanii wyborczej dzisiejszy lider opozycji był zdecydowanie bardziej ostrożny. Zwłaszcza w porównaniu z innym kandydatem, mułłą Mehdim Karrubim, który otwarcie domagał się zniesienia obowiązku noszenia chust, mówił o łamanych powszechnie prawach kobiet i dzieci, o braku wolności słowa, o dyskryminowaniu organizacji pozarządowych oraz mniejszości narodowych i religijnych.

W zestawieniu z Karrubim przedwyborczy program Musawiego był o wiele bardziej mglisty i zachowawczy, a kandydat co chwilę przezornie głosił szacunek dla spuścizny Chomeiniego i wielkości islamskiej rewolucji, a także zaznaczał swój dystans wobec Izraela i Zachodu. Posiadał jednak tę przewagę, że miał u boku przebojową żonę Zahrę (pierwszą kobietę, która objęła funkcję rektora w porewolucyjnym Iranie), a przede wszystkim - Chatamiego. Temu ostatniemu ludzie wybaczyli wszystkie słabości. Porównując jego prezydenturę z rządami Ahmadineżada, czuli się tak, jakby przytrafiła im się w przeszłości jakaś mityczna Arkadia.

Dwa tygodnie przed wyborami odwiedziłem główne biura wyborcze Karrubiego i Musawiego. Wszedłem wprost z ulicy, bez umawiania. Ot, zachodni turysta chce na pamiątkę kilka plakatów wyborczych. Różnice w atmosferze obu miejsc wydawały się tak głębokie, że nie mogły być przypadkowe. U Musawiego wielki tłum, ale raczej niewielu młodych ludzi. Jeśli się trafiają, to tylko w przedsiönku. Zabierają plakaty i gnają na ulice, jest ich tam nie do policzenia. Jednak w samej kwaterze głównej przeważają osoby w średnim wieku, mężczyźni. Co zaskakujące, kampania ledwie się zaczęła, a oni już wyglądają na zmęczonych. Spodziewałem się zastać rewolucyjną atmosferę jak na ulicy: harmider, dyskusje, nawet kłótnie. Zamiast tego - rozsadzeni na krzesłach pod ścianami mężczyźni, którzy właściwie się nie ruszają. Patrzą niepewnie jeden na drugiego, jakby lekko przerażeni historią, która zbyt gwałtownie przyspieszyła na ich oczach.

U Karrubiego zupełny kontrast. Gwar dyskusji, ciągle ktoś wbiega i wybiega. Trafiam na piętro, gdzie spotykam siedmioro młodych ludzi, odpowiedzialnych za akcje plakatowe i demonstracje. Wszyscy są byłymi studentami, wyrzuconymi z teherańskich uniwersytetów za działalność opozycyjną.

- Karrubi nie jest dla nas bohaterem. Wiemy, że kiedyś sam był islamskim radykałem i zarządzał wielką fundacją, w której dochodziło do korupcji. Ale on jako jedyny głosi dziś program rzeczywistych zmian, przede wszystkim ograniczenia władzy kleru. Robi to, choć sam jest duchownym. Ale co najważniejsze, kiedy wyrzucano nas ze szkół, Karrubi był

jedyną osobą, którą obchodził nasz los. Skupił nas wokół siebie, pomagał znaleźć pracę. Tego się nie zapomina. On jest człowiekiem, który potrafi dotrzymać słowa - mówił Reza, jeden z aktywistów, pakując kolejny karton z ulotkami. - Dziś najważniejszy nie jest jednak wybór naszego kandydata, ale odsunięcie Ahmadineżada. Dwa tygodnie i będzie po sprawie, będziemy w innym Iranie, uwierz mi.

Dwa tygodnie później nie mogłem rozpoznać nawet moich najbliższych irańskich znajomych. Przed 12 czerwca chodzili po okolicznych górach, odwiedzali kawiarnie, dyskutowali o polityce i sztuce, a w domach organizowali długie, pełne radości kolacje. Bywały dni, kiedy wręcz zapomniałem, że jestem w państwie rządzonej przez dyktaturę. Na przykład kiedy pod Muzeum Sztuki Współczesnej przy parku Lale żegnałem się z Hodą i bezwiednie pocałowałem ją w policzek.

- Czy ty dobrze się czujesz? Chcesz mnie wysłać do aresztu, a siebie na lotnisko? - Hoda wskazała ruchem głowy znajdującą się niemal naprzeciwko muzeum policyjną bazę.

Wtedy wydawało mi się to nadmiernym przejawem ostrożności. Jeszcze przed chwilą oglądaliśmy wystawę złożoną ze zbiorów żony ostatniego szacha. Od nazwisk artystów bolała głowa: Monet, Gauguin, Lautrec, van Gogh, Klee, Picasso, Pissarro, Munch, Magritte, Dali, Ernst, Warhol, Rodin, Duchamp, Miró, Bacon, Kandinsky, Pollock, Bonnard, Nolde, Vuillard, Chagall, Tapies. Może nie były to ich najwybitniejsze dzieła, ale takiej kolekcji nazwisk mogłoby pozazdrościć Teheranowi niejedno wielkie zachodnioeuropejskie muzeum. Wystawa stanowiła znak czasu. Kiedy Ahmadineżad objął w 2005 roku władzę, dzieła wyładowały w magazynie. Sztuka w Muzeum Sztuki Współczesnej przestała być nowoczesna. Kiedy pierwszy raz odwiedziłem to miejsce, o jego współczesności świadczyły jedynie daty powstania dzieł. Ani ich charakter, ani technika, ani tematyka prac nie miały wiele wspólnego z XXI czy choćby XX wiekiem. Większość stanowiły ładne, grzeczne obrazki, inspirowane islamem lub eposami sięgającymi legendarnych czasów, jak *Szahname* (Księga Królewska) Ferdousiego. Teraz mogłem wreszcie zobaczyć dzieła niezrównanie bardziej awangardowe. A przecież prezydent był ten sam.

Hodzie wydawało się, że to dobry znak. Brodaty radykał przeczuwał, iż przegra, i wolał pozostawić po sobie lepsze wrażenie.

Miesiąc później stoję w tym samym miejscu i przypominam sobie pożegnanie z Hodą. Niby krajobraz ten sam, ale brama policyjnej bazy jest otwarta, a obok parkują okratowane busy z ubranymi w czarne kamizelki kuloodporne policjantami. W promieniu kilometra rozlokowali się basidżowie, członkowie potężnej, paramilitarnej organizacji wolontariuszy, gotowych na gwizdek bronić islamskiej republiki. Odróżniają się wyraźnie od przechodniów.

Ubrani raczej skromnie, prosto, wielu z nich jest z biednych, religijnych dzielnic południowego Teheranu, inni przyjechali z wiosek. Są w „pracy” któryś z rzędu dzień, niektórzy nie zabrali z domów strojów na zmianę, co widać po plamach wyschniętej soli na spodniach. Pewnie spocili się, goniąc poprzedniego dnia studentów. Broda koło brody, a jeśli jej nie ma, to przeważnie dlatego, że jeszcze za wcześnie, by wyrosła. Wielu basidżów przyprowadziło nieletnich synów, którzy dumnie obnoszą się z wystruganymi samodzielnie kijami, czasem na głowach mają policyjne kaski, które jeszcze tę dumę pogłębiają. Na razie się nudzą. Jest wczesne popołudnie, na pobliskim placu Enqelab nie zebrał się jeszcze tłum przeciwników Ahmadineżada i Chameneiego. Basidżowie chodzą więc po parku, przysypiają na trawniku, jeden bawi się nunczako.

Nudę skwarnej pory lunchu przerywa kawalkada elity basidżów, wzbudzając zazdrość młodych chłopców. Ponad dwadzieścia nowych, czerwonych motorów crossowych niemilosiernie hałasuje, przypominając przechodniom, kto tu jest panem, i ob wieszczając, że lepiej skończyć zakupy i schronić się w domach - zanim centralny i północny Teheran zamieni się w piekło.

Idę pośród tłumu basidżów i jak zwykle mam wrażenie, że jestem jedynym obcym ciałem w tym mieście. W wielkim Teheranie nawet bez zielonej rewolucji trudno spotkać kogoś z Zachodu. Ruch turystyczny jest niewielki, zresztą Teheran jest po prostu zbyt duży. Teraz trawelersi omijają szerokim łukiem stolicę, cztery dni temu rząd wyrzucił niemal wszystkich zagranicznych dziennikarzy. A jednak mój widok nie wywołuje żadnych negatywnych emocji. Słyszę co najwyżej przyciszone, ciekawskie „choredži” (cudzoziemiec). Jeden z basidżów pyta łamaną angielszczyzną, skąd jestem. „From Poland, Lahestan” - odpowiadam. On uśmiecha się i mówi: „Welcome to Iran”. Szukam na jego twarzy ironii, ale chyba naprawdę jest szczery. To bardzo dziwne, ale basidżowie zachowują się wobec mnie tak, jakby oficjalna, antyzachodnia, zajadła wręcz propaganda była im obojętna. W ogóle nie przekłada się ona na spotkanie z konkretnym człowiekiem. Jeszcze dwa razy na przestrzeni paruset metrów ktoś mnie zaczepia, mówi „salam”. Próbujemy nawiązać kontakt, ale mój perski jest niewiele lepszy niż ich angielski. A poza tym w tyle głowy mam zakodowane, że rozmowa z basidżem może skończyć się interwencją wszechobecnej tajnej policji i szybkim transportem na lotnisko oraz deportacją zbyt ciekawskiego gościa. Telewizja i radio wciąż powtarzają, że zamieszki wznecają ludzie opłaceni przez Stany Zjednoczone, Anglię i Izrael, a kraj penetrowany jest przez zagranicznych szpiegów.

Tego dnia przemierzam centrum wielkiej metropolii, udając naiwnego turystę, który ma samolot dopiero za dziesięć dni i musi jakoś przetrwać. W plecaku niosę przewodnik

Lonely Planet, mapę miasta, paszport, bilety z metra, wejściówki do muzeów i cyfrowkę z neutralnymi zdjęciami zabytków. Na dziesięciokilometrowej trasie z placu Enqelab na plac Ferdousiego najpierw mijam co pięć metrów uzbrojonego po zęby policjanta (pałki plastikowe, pałki elektryczne, miotacze gazu łzawiącego, pistolety, strzelby), potem co piętnaście metrów. Wygląda to wszystko przygnębiająco, zwłaszcza na początku, przy Uniwersytecie Teherańskim, gdzie antyterrorysty stoją pośród opustoszałych księgarń. Główna, złożona z kilku skrzydeł brama uczelni wygląda jeszcze bardziej ponuro. Zamknięta na klucz od rozruchów z 1999 roku, zabezpieczona zwojami rdzewiejących łańcuchów. Do środka można dostać się tylko małymi, bocznymi wejściami.

Idę dalej. Niemal w każdej przecznicy stoją wozy z sikawkami oraz czarne transportery pełne oddziałów szkolonych do walki z tłumem. Dzień wcześniej na tej samej trasie ludzie walczyli niemal całą noc. Dziś wiadomo, że rząd nie dopuści, by sytuacja ponownie wymknęła się spod kontroli. Tylko na początku drogi, na Enqelab, trafiam na peryferie awantury. Chronię się w sklepie znajomego antykwariusza i z dachu budynku patrzymy, jak ubrany na czarno policjant tłucze pałką kogo popadnie, nie bacząc, czy to rzeczywisty przeciwnik systemu, czy stara kobieta z torbą zakupów.

Pod miejskim teatrem zazwyczaj stoi tłum modnie ubranej młodzieży, oczekującej na przedstawienie. Kilkanaście dni temu oglądałem tu niesamowitą pantomimę młodych kurdyjskich twórców: Jasera Chaseba i Afszina Qaffariana. Sztuka opowiadała o dwóch istotach, które dramatycznie szukają porozumienia i w rezultacie okazują się dwoma częściami tej samej osoby, chorej na dezintegrację i marzącej o wewnętrznej harmonii. Zupełnie jak Iran.

Po przedstawieniu przysłuchiwałem się gorącej dyskusji o stanie współczesnego irańskiego teatru. Najbardziej zapamiętałem odważny głos samego Jasera, który prosił, by nie nadawać jego sztuce zbyt skomplikowanych znaczeń.

- Jestem zwykłym chłopakiem z kurdyjskiej prowincji. Kiedyś trenowałem sztuki walki, interesowałem się breakdance'em. Wszystko, co dziś robię, to efekt tamtych zainteresowań. Kiedy tańczę, nie myślę. To są moje emocje, moja wolność, a nie intelekt i filozofia.

Zazwyczaj artysta cieszy się, gdy publiczność i krytycy odnajdują w jego twórczości głębokie znaczenia, nawet jeśli ich tam nie ma. Jaser, słuchając podobnych głosów po swoim przedstawieniu, wyglądał na wyraźnie zirytowanego. Chciał pozostać prawdziwy, naturalny. Spędziliśmy potem godzinę na murku pod teatrem. Trochę rozmawialiśmy o sztuce, trochę o przedwyborczym szaleństwie. Zastanawialiśmy się, gdzie dane nam będzie spotkać się po raz

kolejny.

Dziś, kiedy idę długą ulicą Enqelab (słowo to oznacza rewolucję), pod teatrem stoi wielka, zmotoryzowana brygada basidżów. Nie wyglądają na miłośników teatru.

Kiedy dochodzę do skrzyżowania z ulicą Hafeza, widzę pod wiaduktem siły specjalne. Twarze zupełnie inne. Inteligentne, najczęściej dokładnie ogolone, niejednen z tych przystojnych dryblasów mógłby reklamować garnitury lub kosmetyki.

Dopiero przy samym placu Ferdousiego zaczepia mnie tajniak. Łąduję w bramie, a on najpierw dokładnie sprawdza mój plecak, dzwoni do hotelu, by potwierdzić, że jestem tam zameldowany, po czym proponuje: „Niech pan jedzie na dwa dni do Isfahanu, w tym czasie zrobimy tu porządek”. Po czym przeprasza, że mnie zatrzymał, i podaje rękę na do widzenia. To niesamowite, ale typowo irańskie reguły zachowania uprzejmości wobec obcokrajowca nawet w tak napiętym momencie, nawet u funkcjonariusza tajnych służb, są wciąż żywe. Aż mnie korci, by zapytać go, dlaczego wobec pokojowo demonstrujących rodaków policja nie jest tak grzeczna, ale pamiętam o szybkim kursie na lotnisko.

Wieczorem kolacja u znajomych mieszkających tuż obok znieawidzonej siedziby państwowego radia. Zbiera się prawie dwadzieścia osób. Ich relacje o metodach stosowanych przez irański aparat bezpieczeństwa nasuwają mi jednoznaczne skojarzenia z gestapo, NKWD lub czystkami w którejś z afrykańskich lub południowoamerykańskich dyktatur. Przesłuchania w kapturach na głowach, rozbieranie do naga, wpychanie mężczyznom kijów do odbytu, gwałty na kobietach, rażenie prądem, zmuszanie do lizania toalet, pozbawianie snu i wody lub wieszanie głową w dół. Popularną wersją tej ostatniej metody jest ponoć *chicken kebab*. Ręce i nogi ofiary przytwierdza się kajdankami do obrotowego haka pod sufitem, po czym wprawia w ruch, tłukąc więźnia metodycznie grubym kablem.

Wybite zęby, odbite nerki i płuca, złamane ręce, nogi, palce, poranione genitalia. Wszystko po to, by więźnia upokorzyć, odebrać godność, złamać psychikę, a w końcu nagrać jego przyznanie się do winy i puścić je w telewizji: „Instrukcje dostałem z Zachodu, pieniądze też. Chciałem obalić islamską republikę. Żałuję i proszę o wybaczenie”. Dla większości Irańczyków publiczne wyznania przed kamerami nie są żadnym dowodem. Znają je od czasów szacha i wiedzą, w jaki sposób rząd je wymusza. Zamiast oskarżać więźniów o zdradę ideałów, raczej im współczują.

- Czasem ludzie gotowi są od razu zeznać wszystko, czego żądają przesłuchujący, aby tylko uniknąć tortur - tłumaczył mi Abbas, jeden ze studenckich aktywistów. - Z chęcią potwierdzą nawet to, że dowodzili nimi Marsjanie. Im bardziej absurdalna jest spowiedź, tym bardziej publiczność jest pewna, że to bzdury. Procesy i tak nie mają żadnej prawnej wartości,

to zwykły samosąd. Oskarżonym odmawia się do ostatniej chwili kontaktu z obrońcami, niektórzy tracą w areszcie po dwadzieścia kilogramów wagi. Naprawdę trzeba być wyjątkowo zaślepionym fanatykiem, by uwierzyć w te wszystkie zeznania.

A jednak absurdalne tezy o spisku wciąż dobrze się mają w Iranie. Abdollah Araqi, komendant Gwardii Rewolucyjnej w Teheranie, twierdzi, że zamieszki były przygotowywane od czterech lat, a przywódca spisku mieli na swoich usługach ponad trzysta tysięcy osób, zorganizowanych w strukturę piramidy i gotowych w ciągu kilku minut wyjść na ulicę. (Jeśli tak rzeczywiście było, całe dowództwo gwardii i policji nadaje się do wymiany. Trzysta tysięcy osób spiskowało i nikt nic nie zauważył?) Prezydent Ahmadineżad dodaje, że atak na akademiki Uniwersytetu Teherańskiego w nocy po pierwszych zajściach odbył się według ściśle przygotowanego scenariusza, a sprawcy śmierci pięciu studentów (w tym dwóch kobiet) nie byli basidżami, tylko zamaskowanymi prowokatorami, pragnącymi skompromitować islamski rząd.

## **róże na kościach Chawaranu**

Im bliżej dnia mojego wyjazdu z Iranu, tym więcej przybywa nazwisk ofiar represji. Dwa, trzy, cztery tysiące zatrzymanych. Działacze opozycji, prawnicy, bezrobotni, naukowcy, studenci, ponad pięćdziesięciu dziennikarzy. Zabitych jest najpierw dziesięciu, potem trzydziestu, w końcu liczba ta urasta do siedemdziesięciu dwóch i licznik staje. Ludzie oddychają z ulgą. „Jak na irański reżim, to i tak niewiele” - mówią. Ciała okazywane są w prosektoriami lub tajnych centrach, zorganizowanych naprędce na terenie starych mleczarni lub hurtowni owoców.

W pewnym momencie najwyższe władze najwyraźniej przestraszyły się skali przemocy, którą same rozpętały. Kiedy w aresztach z powodu zatłoczenia zaczęły szerzyć się choroby, protestowali nawet członkowie madżlesu, a Ali Chamenei nakazał zamknięcie Kahrizak, jednego z najokrutniejszych teherańskich więzień. Już latem 2008 roku śmierć poniosło tam osiemnaście kobiet, które zadusiły się w mobilnym kontenerze. Trzymano je tam, gdyż w Kahrizak nie było żeńskiego oddziału. W czerwcu 2009 roku w już i tak przepełnionym więzieniu znalazło się około dwustu osób aresztowanych podczas zamieszek. Siedzieli w jednej wielkiej celi pozbawionej światła, a swoje fizjologiczne potrzeby musieli załatwiać na miejscu, na podłodze. Nieustannie byli bici. Niektórzy nie wytrzymywali psychicznie poniżenia i tracili zmysły, trzy osoby zostały zamordowane, co po kilku miesiącach potwierdziła nawet rządowa prokuratura, aresztując dwunastu oficerów straży więziennej.

Im więcej dociera do mnie takich informacji, im więcej oglądam filmów dokumentujących brutalność policji i basidżów, tym bardziej odsuwam się od znajomych. Boję się, że mogę stać się dla nich przyczyną niewyobrażalnych kłopotów. Od paru dni mieszkam więc w hotelu. Nigdy nie myślałem, że w Teheranie poznam jakiś hotel. Żaden z moich irańskich przyjaciół by mi na to nie pozwolił. Miesiącami zwiedzałem kolejne mieszkania, chłonałem zapachy kolejnych domów, wyklócałem się codziennie, gdy próbowali płacić moje rachunki, i przeważnie pojedynki te sromotnie przegrywałem. Uczyłem się historii z wszechobecnych zdjęć na ścianach. „To mój zmarły ojciec, to mój brat w Los Angeles, to siostra z Londynu. Ciągłe dzwoni, płacze i chce wracać, tak bardzo tęskni za Iranem. A to mój najukochańszy wujek. Przed rewolucją miał fabrykę czekolady, ale potem mu ją znacjonalizowali”.

Teraz stałem się zbyt niebezpieczny. Z każdym dniem walk władze sięgają coraz

głębiej w poszukiwaniu wrogów rewolucji. Oskarżenie o szpiegostwo jest jedną z pierwszych rzeczy, jaka przychodzi im do głowy.

Mehdi i Soraja błagają mnie, bym wyjechał z Iranu. A jeszcze niedawno tak bardzo denerwowali mnie swoją nadopiekuńczością. Chcieli wszędzie ze mną chodzić, starali się zorganizować mi każdą chwilę, co tłumaczyłem sobie ich profesją. Prowadzą po ojcu Mehdiego biuro rachunkowe w centrum Teheranu i wszystko musi być u nich zawsze na tiptop. Wczoraj wieczorem, kiedy jechałem do ich mieszkania, przy Kordestan Highway, trafiłem na checkpoint basidżów. Z kałasznikowami u boków, w palestyńskich apaszkach wokół szyi, delektowali się władzą, krzycząc na kierowców. Na szczęście taksówkarz nie znał adresu docelowego, powiedziałem mu, że ma jechać pod Muzeum Kina. Mam sztywną zasadę, by na wypadek podobnych spotkań z basidżami kierować się do jakiegoś turystycznego punktu niedaleko mojego rzeczywistego miejsca spotkania.

Basidż uwierzył. Co prawda muzeum jest już od godziny zamknięte, ale raczej wątpię, by ten prosty chłopak o tym wiedział. Zresztą jego zainteresowanie moją osobą jest tylko chwilowe. Przy blokadzie zrobił się lekki tłok, ktoś próbuje wyminąć stary, dymiący samochód. Jeden z basidżów zaczyna wrzeszczeć, po czym oddaje ostrzegawczy strzał w powietrze. Auto zatrzymuje się z piskiem opon, a jego właściciel podnosi ręce i krzyczy, że tylko chciał stanąć kawałek dalej, by nie blokować drogi. Za chwilę leży na ziemi, a trzech milicjantów, w tym mój kontroler, przeszukują jego kieszenie pod okiem pęczniejącego od dumy brodatego dowódcy blokady.

Znowu się udało, możemy jechać. U Mehdiego i Sorai opowiadam zdarzenie i widzę, jak rzadnie im mina. Świat musiał bardzo się zmienić w ostatnich dniach, bo jeszcze trzy tygodnie temu oboje, nie dbając o rzeczywiste ryzyko, zabrali mnie na Chawaran. To zakazane miejsce na południowoschodnich rubieżach Teheranu. Spoczywają tam ciała kilku tysięcy lewicowych bojowników - Mudżahedinów Ludowych, którzy najpierw dzielnie walczyli z wojskiem i policją szacha, a po zwycięstwie rewolucji przegrali finałowy pojedynek o władzę z armią zwolenników Chomeiniego.

Na Chawaran ciężko jest trafić. Leży na odludziu, poza ostatnimi osiedlami stolicy. Jadąc drogą szybkiego ruchu na Maszhad, wypatrujemy po lewej stronie charakterystycznej sylwety kościoła stojącego na terenie ormiańskiego cmentarza. Zjeżdżamy z głównej drogi, poruszając się dalej wzdłuż muru, po czym skręcamy w lewo. Kilkaset metrów dalej, za częścią cmentarza wydzieloną dla wyznawców hinduizmu, dojeżdżamy do miejsca spoczynku kilku tysięcy bahaitów, wyznawców religii, która sto pięćdziesiąt lat temu oddzieliła się od islamu i jest za to obdarzana skrajną nienawiścią ze strony szyickiego kleru.



Ormianie, hindusi, bahaici. Ktoś mógłby sobie wyobrazić kolorowe miejsce z tysiącami różnokształtnych, różnokolorowych grobów. Nic z tego. Okolice jest ponura, nieliczne, brzydkie domy, jakiś zakład, chyba fabryka cementu, baza transportowa. A dalej brunatnoczerwone wzgórza, wypalone słońcem. Ogrodzenie cmentarza w części bahaickiej to proste płyty betonowe, upstrzone rządowymi hasłami, które wiele mówią o stosunku islamskich władz do tej mniejszości religijnej. „Ta ziemia należy do Alego i Hosejna” - głosi wielkie graffiti. Jesteśmy u celu.

Przy wejściu na cmentarz spotykam dozorcę - bahaitę. Początkowo twierdzi, że nic nie słyszał o grobach mudżahedinów i szybko odchodzi. Po chwili jednak przystaje, zawraca i pokazuje ręką. „Tam. Na końcu”.

Po kilkudziesięciu sekundach stoję w miejscu, gdzie kończą się skromne, bliźniaczo podobne, szare groby. Przynajmniej dwa, może trzy hektary suchej jak pieprz ziemi. Część terenu ktoś niedawno obsadził młodymi drzewkami. Stoją co dwa, trzy metry. Słabe, niemal pozbawione liści. Jakby smutne. Pod korzeniami mają tysiące kości i czaszek, może dlatego.

Na Chawaran zwożono ciała już od połowy 1981 roku. Latem

1988 roku ciężarówki z Teheranu jeździły jak oszalałe. Właśnie wtedy, tuż przed zakończeniem wojny z Irakiem, Chomeini wydał rozkaz ostatecznego rozwiązania kwestii Mudżahedinów Ludowych, gnijących w celach więzienia Ewin. Postanowił ukarać śmiercią wszystkich bojowników za zdradę dokonaną przez ich przywódców, którzy pod koniec wojny z Irakiem popełnili największy i najbardziej haniebny błąd w swojej historii: sprzymierzyli się z Saddamem Husajnem.

Po ostatnim przesłuchaniu bojownicy brani byli do specjalnej sali, gdzie u sufitu kat przytwierdził sześć szubienic. Wieszano ich w grupach, przy czym tak nieumiejętnie, że tylko niektórzy ze skazańców ginęli szybko, z przerwaniem rdzeniem kręgowym. Większość męczyła się po kilka, kilkanaście minut.

Trupy wrzucano na ciężarówki i wywożono z więzienia pod osłoną nocy. Część z nich jechała na największy teherański cmentarz Beheszte Zahra, inne na południowy wschód, do Chawaran. Nawet nie starano się zakopywać ich głęboko. Ormiański ksiądz znalazł kiedyś bezpańskiego psa, który obgryzał świeżo wykopaną, ludzką kość.

Przez lata, w każdy piątek wczesnym rankiem krewni zamordowanych zbierali się na placu Chorasán i jechali autobusem lub kilkoma samochodami na cmentarz. Przeważały kobiety: matki i córki ofiar. Policja, która czasem robiła najazdy na Chawaran, nie tolerowała mężczyzn. Byli dla nich potencjalnymi mudżahedinami i też ładowali w więzieniach.

Z czasem ludzie zaczęli tworzyć symboliczne, skromne mogiły. Układali prostokąty z

białych kamieni, wiązali przy nich wstążki, sadzili drzewka. Po jakimś czasie przyjeżdżała policja i niszczyła wszystko, używając buldożerów. Potem pojawiały się nowe kręgi kamienne i znowu policja z ciężkim sprzętem. Ostatni raz buldożery przyjechały w styczniu 2009 roku. Jak zwykle nikt nie pytał bahaitów o pozwolenie wejścia na cmentarz. Bahaitów się raczej o nic nie pyta, im się wydaje komendy, powinni się cieszyć, że w ogóle żyją. No więc przyjechali i zrównali teren. Protestowała Szirin Ebadi, protestował antyreżimowy ajatollah Ali Hosejn Montazeri, ale nikt nawet nie zechciał odpowiedzieć na ich listy. Bo też oficjalnie nikt na cmentarzu nie przeprowadzał żadnej akcji. Po prostu jacyś ludzie przyjechali, kazali dozorczy otworzyć bramę. On nie pytał o pozwolenie, o dokumenty. Po co robić sobie kłopoty. Przecież po twarzach od razu było widać, że to „obrońcy ładu i porządku”. Zapowiedzieli, że już niedługo cała kwatery mudżahedinów, zwana przez władze miejscem dla niewiernych, zostanie zamieniona w park.

Dla rodzin zabitych Chawaran nie jest miejscem dla niewiernych. Mudżahedini wierzyli w Boga, tyle że próbowali powiązać sprawiedliwość z kart Koranu z tą, którą znaleźli w książkach Marksa. Dlatego ich krewni przyjeżdżają stale na Chawaran i modlą się za dusze zmarłych do Allaha. A raz do roku, wczesną wiosną, w okolicach staroperskiego Nowego Roku, organizują wielkie spotkanie, jedyne tolerowane przez władze. Przynoszą swoim bliskim słodycze, wodę różaną, kwiaty. A cmentarz nazywają różanym ogrodem.

Różany ogród: spalona, sucha ziemia, liche, chude drzewka, spękane wzgórza, baza transportowa, fabryka cementu, betonowy mur z napisem: „Ta ziemia należy do Alego i Hosejna”.

To nie był najlepszy pomysł, by w drodze na Chawaran towarzyszyli mi Mehdi i Soraja. Gdybyśmy zostali zatrzymani, wszyscy moglibyśmy za to słono zapłacić. Jednak atmosfera przedwyborczego karnawału radości odebrała nam zdrowy rozsądek. Pojechaliśmy i na szczęście nie spotkaliśmy tajnej policji, która często odwiedza to miejsce.

Dziś na wspomnienie tamtej wycieczki Soraja kuli się w sobie.

- Wierzyć mi się nie chce, że tam byliśmy. To jak wspomnienie z innego świata, z innego czasu i przestrzeni - mówi.

Oboje z Mehdim stracili całą swoją szaloną odwagę. Nie chcą ze mną nigdzie chodzić, nie chcą zamawiać dla mnie taksówki z domu, by nie zostawiać śladu mojego pobytu. Zniknęła gdzieś otwartość, pojawiły się przygnębienie i strach. Nikt mi tego otwarcie nie powie, bo każdy tu mniej lub bardziej musi stosować ta'rof: irańską szkołę eleganckiego zachowania ze szczyptą nieszczerości w tle. Podskórnie czuję jednak, jak wszyscy cierpią z mojego powodu. W końcu proponują: „Jeśli chcesz zostać w Teheranie, to nie wychodź z

domu”. Areszt domowy? Jak w tych dniach wysiedzieć w domu? To najbardziej dramatyczne i doniosłe dni od obalenia szacha, od trzydziestu lat. Nikt nie zmusi mnie, by siedzieć w czterech ścianach.

Mimo wszystko dobrze rozumiem moich przyjaciół. Mogłem na ulicach Teheranu spotykać ludzi o pozornie europejskim wyglądzie, mogłem nawet natknąć się na rude włosy i piegi, ale mój za mały nos, niezbyt rozwinięte brwi, inny kształt twarzy, inne włosy - zawsze zdradzały, że to ja jestem ten „obcy”.

- Masz zupełnie inną mimikę, inaczej gestykulujesz, inaczej się ubierasz, nawet chodzisz inaczej. Ciężko to jakoś logicznie opisać, ale na kilometr widać, że nie jesteś stąd - śmiał się ze mnie Madżid w środku nocnej awantury na Enqelab, kilkanaście godzin przed swoim aresztowaniem. Dosłownie pękał ze śmiechu, patrząc, jak ukryty pod czapką próbuję wtopić się w tłum, a i tak niektórzy pokazują mnie palcami, jeden zaś młody chłopak podchodzi i pyta, gdzie mam aparat i z jakiej redakcji jestem.

## w stronę paranoi

Nastrój mam z każdym dniem gorszy. Z trudem ruszam w miasto. Dziś, powłóczęc nogami, kieruję się w stronę dawnej ambasady amerykańskiej. Znane z licznych zdjęć graffiti ze Statuą Wolności (o twarzy zamienionej w trupią czaszkę) dawno nie widziało ręki konserwatora. Kolejne murale są w jeszcze gorszym stanie. Farba odpada w wielu miejscach, choć wydawałoby się, że ktoś powinien stale dbać o ten „zabytek” i kultywować nienawiść do Ameryki. Ktoś powinien donieść na miejskiego konserwatora. To wygląda przecież jak sabotaż.

Mój pokój w hotelu jest ponury, stara szafa, dwa łóżka, dwa krzesła, brzęcząca lodówka, telewizor, w którym odnajduję tylko irańskie, rządowe, przeraźliwie nudne stacje. Ciągące się dyskusje, południowokoreańskie filmy historyczne, modlitwy. Po pewnym czasie odkrywam jednak uroki oficjalnej propagandy, a wieczorne spotkania z kanałem informacyjnym IRINN stają się ważną lekcją Iranu. Na przykład wiadomości sportowe. Do Teheranu przyjechała delegacja chińskich pingpongistów. Wszyscy na świecie wiedzą, że Chińczycy nie mają w tym sporcie konkurencji. A jednak w IRINN wizyta mistrzów pokazana jest w specyficzny sposób. Na news, oprócz komentarza i wywiadów, składa się obraz złożony z kilkunastu wymian piłek między zawodnikami. Jakoś tak się składa, że wszystkie akcje wygrywają Irańczycy, choć w porównaniu z Chińczykami są zaledwie adeptami tego sportu.

Albo newsy na tak zwanym pasku u dołu ekranu. Liczę je uważnie i wychodzi mi, że niemal co drugi dotyczy rzekomych przestępstw syjonistycznego reżimu w Tel Awiwie. Każdy, kto ma choć odrobinę rozsądku, nawet jeśli uznaje politykę Izraela wobec Palestyńczyków za okrutną, po kilku godzinach będzie miał dość tej propagandy. Antysyjonistyczne informacje przeplatane są wiadomościami o posunięciach Iranu w polityce zagranicznej. „Przedstawiciele Iranu i Białorusi dyskutują nad udoskonaleniem systemu sądownictwa w obu krajach”.

Teraz zaczyna się audycja o zamieszkach. IRINN korzysta ze zdjęć zamieszczanych przez samych manifestantów na YouTube. Ale skrętnie pomija filmy obrazujące brutalne pacyfikowanie pokojowo demonstrujących tłumów. Wybiera tylko te fragmenty, na których widać gniew zdesperowanych ludzi, którzy biją basidżów, rzucają kamieniami, palą śmietniki. Ich twarze zaznaczone są kółkami. Kadr zostaje zastopowany, a u dołu ekranu pojawia się prośba o kontakt: telefon, email. Pełne spektrum możliwości dla usłużnego

donosiciela. „Użyliście internetu, by pokazać światu, co się działo na ulicach Teheranu? OK. Pokonamy was waszą własną bronią” - być może tak wyglądało kolegium redakcyjne w IRINN, na którym wysłannicy rządu decydowali o polityce informacyjnej na najbliższe dni.

Przełączam kanały. Tu się modlą, tam dziennikarz dyskutuje z mułłą, choć może słowo dyskusja jest w tym wypadku nadużyciem. Po prostu zadaje pytania, po czym beznamyślnie co jakiś czas kiwa głową, a mułła opowiada, opowiada, opowiada. Naciskam pilota. Przemawia mułła, na twarzach widzów maluje się głębokie znużenie. Jedni tkwią nieruchomo w jakimś sennym stuporze, inni nerwowo się wiercą.

Na kolejnym kanale ubrana w czador dziennikarka wyklina Wielką Brytanię. Anglicy wydają się jeszcze bardziej znienawidzeni przez rząd Iranu niż Amerykanie i Żydzi. Podobno za to, że to ich decyzja przesądziła o powstaniu Izraela. Klik i trafiam na końcówkę koreańskiego filmu historycznego, a potem na zapowiedź kolejnej pozycji *Władcy Pierścieni*. W Iranie bez kłopotu można zobaczyć amerykańskie produkcje, najczęściej filmy akcji (Harrison Ford, Denzel Washington, Kevin Costner, Arnold Schwarzenegger). Ale wara od scen kręconych w dyskotekach, wara od kobiecego śpiewu, no i, oczywiście, wara od seksu, choćby to były tylko pocałunki. Cenzura albo je ordynarnie wycina z filmów, albo pokazuje tylko fragment obrazu, na takim zbliżeniu, by wszystko się rozmywało. Czasem też, gdy cenzorzy są urażeni zbyt intymnymi dialogami, z pomocą przychodzi im dubbing. Miłosne rozmowy dzięki sfalszowanemu tłumaczeniu stają się poważną konwersacją o losach kraju lub rodziny, a czasem, gdy twórca dialogów wykaże się odpowiednim talentem, z zakochanej pary da się zrobić nawet brata i siostrę. Co ciekawe, nie ma problemu z wizerunkami kobiet w zachodnich produkcjach, choć przecież pojawiają się bez czadorów. Islamska cenzura nakazuje w rodzimych filmach zasłaniać paniom włosy nawet podczas scen w kuchni, natomiast w zachodnich produkcjach ten problem w ogóle nie istnieje, nawet jeśli są to długie, piękne, blond loki Nicole Kidman, bożyszczą irańskich chłopców. Jak widać, decydenci uznali, że irańskich mężczyzn niezdrowo podniecają tylko ich rodaczki.

Następna stacja i niespodzianka. Wygląda to jak telezakupy. Reklamują właśnie jakiś środek zwalczający pryszcze. Widzimy panią, której ktoś domalował ohydne plamki na twarzy. A na kolejnych zdjęciach po prostu je zmył. Kiedy to oglądam, przypominam sobie spotkanie z Aradem, fotografem pracującym dla jednego z młodzieżowych magazynów. Pokazał mi najnowszy numer czasopisma i zdjęcia kobiet, jakie w nim zamieścił. Po czym włączył komputer i otworzył plik z oryginalnymi fotografiami. Miałem je porównać. Początkowo nic nie dostrzegłem, z czasem jednak zorientowałem się, że coś nie daje mi spokoju. Jeszcze jeden rzut oka i już wiedziałem. Na części zdjęć zamieszczonych w gazecie

grafik komputerowy powiększył chusty, tak by bardziej zakrywały włosy, szyję i ramiona. Na jednej z fotografii wydłużono też pozującej kobiecie rękawy. Tak zdecydowało kolegium redakcyjne, by nie mieć kłopotów z urzędem cenzorskim.

Kolejny ruch pilota i następna stacja telewizyjna, znowu się modlą. I jeszcze jedna. Podekscytowany prezenter miota się po studiu i namawia ludzi, by dzwoniли pod wskazany numer. Na ekranie wielka tablica, typowa telegra. Trzeba wstawić brakujące litery i odgadnąć słowo. Dzwonię pod podany telefon, oczywiście komunikat głosi, że mam czekać na połączenie, bo wszystkie linie zajęte. Takie same wyciskacze pieniędzy jak wszędzie.

Islamska republika wciąż powtarza, jakim to siedliskiem zepsucia i głupoty jest Zachód. Jednak komercja oraz głupota, także w świecie oczekującym na szyickiego zbawiciela, znalazły atrakcyjną przystań.

Wieczorem odwiedzam na chwilę Mehdiego. Jeszcze wczoraj namawiał mnie na wyjazd z Iranu, ale przespał się kilka godzin i uznał, że nic prośbami nie wskóra. Nadal jednak czuje się odpowiedzialny za mój los. Rozmawiamy, jak przemycić mnie jutro na dach jednego z domów przy placu Haft-e Tir, gdzie odbędzie się kolejna demonstracja. „Skoro nie mogę cię odesłać na lotnisko, to chcę przynajmniej zapewnić ci bezpieczeństwo”.

Zazwyczaj mam tendencje do porządkowania przestrzeni wokół siebie i układania wszystkiego w kupki. To się podobno nazywa łagodną wersją nerwicy natręctw. Teraz jednak, w hotelu, nerwica ustępuje depresji. Ciuchy leżą w nieładzie rozrzucone na krzesłach i sąsiednim łóżku, a ja nie mam na nic siły. Źle na mnie działa ta wymuszona samotność. Zawsze otaczali mnie życzliwi ludzie, a teraz musimy się omijać. Jeśli już kogoś odwiedzam, tak jak dziś Dżawada i jego narzeczoną Afnaz, muszę być wyjątkowo ostrożny.

Najpierw jadę z hotelu taksówką na plac Wanak i dopiero tam, wprost z ulicy, zamawiam kurs na osiedle Dżawada. Nieustannie oglądam się za siebie i sprawdzam, czy ktoś mnie nie śledzi. Słyszałem, że tajna policja ma swoich agentów w hotelach, więc staram się być ostrożny. Nie jestem jednak pewny, czy ta moja przezorność nie jest już zaczątkiem paranoi. Przecież wczoraj w hotelu nikt nie zareagował, gdy kucharz rzucił szmatą w ekran telewizora, na którym zobaczył wymądrzającego się mułę. Kierownik zmiany dał mi też dziesięć dolarów zniżki za każdą noc, bym w moim kraju opowiedział prawdę o represjach w Iranie. Nie powinienem być wobec hotelarzy podejrzliwy. Przecież o to właśnie chodzi reżimowi - by ludzie przestali sobie ufać, przestali z sobą rozmawiać. Kiedy przyjeżdżam na osiedle Dżawada, nie wysiadam pod jego blokiem, tylko ulicę dalej i czekam, aż taksówka zniknie za rogiem. Przy domofonie uważnie oglądam się za siebie, a dopiero potem naciskam guzik. W mieszkaniu rozmawiamy cicho, choć tematy są dokładnie te same, co w większości

teherańskich domów. Telefony komórkowe leżą wybebeszone w pokoju obok, osobno aparat, osobno bateria. To najlepsze zabezpieczenie przeciw podsłuchom. Tyle że cała sytuacja wydaje mi się śmieszna. Kto by tego wszystkiego słuchał? Ile tysięcy urządzeń i ile tysięcy ludzi trzeba by do tego zaangażować? Czy wszystkim podsłuchiвачom władza mogłaby zaufać? Czy wszyscy wykonywaliby rzetelnie swoje obowiązki? Może trzeba by zorganizować drugą armię kontrolerów, którzy podsłuchiwaliby tych, co nas podsłuchują? Śmiejemy się z Dżawadem z naszej postępującej paranoi, ale następnego ranka znowu jesteśmy jej niewolnikami.

## **dżomhurije eslami, dżomhurije irani!**

W przeddzień wyborów wszyscy zastanawiali się, dlaczego Ahmadineżad jest taki spokojny. Dlaczego pozwala, by tłumy blokowały godzinami ulice Teheranu i wyrażały pogardę dla prezydenta. Dziś wiadomo, że Ahmadineżada nie zżerały nerwy, bo jeszcze przed głosowaniem znał jego rezultat. Nie ma oczywiście żadnych dowodów, że przegrałby w uczciwej walce, jednak nikt rozsądny nie wierzy w oficjalny wynik i sześćdziesięciotrzypięcioprocentowe poparcie już w pierwszej turze. Wynikałoby z niego, że prezydent nie tylko powtórzył swój wyczyn sprzed czterech lat, ale zdobył dodatkowo prawie sześć milionów nowych wyznawców. Przy zaskakująco wysokiej frekwencji (85 procent) oznaczałoby to, że ludzie zmobilizowali się, by dać wyraz swojej miłości do obecnie panującego prezydenta. Kłóci się to nie tylko z widokiem irańskich ulic, gdzie przed dniem głosowania zdecydowanie większą aktywność przejawiali zwolennicy Musawiego, ale również z logiką postępowania wyborców na całym świecie. Historia nie zna przypadków, w których frekwencję wyborczą podnoszą ludzie zadowoleni z władzy. Liczba głosujących wzrasta gwałtownie wyłącznie w chwilach, gdy społeczeństwa decydują się wyrazić dezaprobatę i odsunąć od rządzenia aktualną ekipę.

Wątpliwości jest dużo więcej. Sam widziałem lokal wyborczy w Teheranie, w którym około południa zabrakło kart do głosowania. Dowieziono je dopiero godzinę przed końcem wyborów, po czym zgodnie z harmonogramem zatrzaśnięto drzwi przed tłumem kilkuset osób, które nie zdążyły oddać głosu. Z drugiej strony, według oficjalnych statystyk w prawie pięćdziesięciu miastach przy urnach pojawiło się więcej ludzi, niż zarejestrowano osób uprawnionych do udziału w wyborach. I choć prawdą jest, że Irańczycy mogą oddawać głos w dowolnym miejscu kraju, to jednak trudno wyobrazić sobie, że poza sezonem wakacyjnym niektóre miejscowości przeżyły nagły zalew turystów z innych regionów. Na dodatek okazało się, że Ahmadineżad wygrał zarówno w konserwatywnym Chorasanie, jak i w dotychczas skrajnie niechętnym mu irańskim Azerbejdżanie czy Kurdystanie. Zastanawiające było też, że wyniki z kolejnych godzin podliczania głosów właściwie w ogóle nie zmieniały proporcji między poszczególnymi kandydatami. Wszystko wyglądało jak zaaranżowane przedstawienie, w którym nikomu nie chciało się przesadnie zadbać o szczegóły.

Patrząc z perspektywy czasu na zieloną rewolucję i wybuchające po dziś dzień zamieszki (Teheran, Sziraz, Isfahan, Tabriz, Raszt, Sari, Maszhad, Kermanszah, Kaszan, Kazwin, Zahedan, Arak, Nadżafabad), można dojść do wniosku, że reżim nie mógł zrobić



Irańczykom lepszego prezentu niż sfalszowanie wyników czerwcowej elekcji. Gdyby nawet Musawi jakimś cudem zwyciężył, prawdopodobnie stałby się kolejnym słabym prezydentem, mogącym zapewnić systemowi co najwyżej drobny lifting, a nie głębokie zmiany. Być może zwolennicy Musawiego szybko poczuli się zawiedzeni, zdradzeni i zapadliby w kolejny zimowy sen. Tymczasem fałszerstwo wyborcze przyspieszyło proces wyzbywania się przez Irańczyków wszelkich złudzeń. Początkowo większość z nich marzyła jedynie o tym, by rządzący dali im odetchnąć i choć trochę zreformowali skostniały ustroj. Kiedy wychodzili na pierwsze demonstracje, krzyczeli ostrożnie: „Esteqlal! Azadi! Dżomhurije eslami!”, czyli „Niepodległość! Wolność! Republika islamska!”. Po kilku nocnych bitwach z policją podchwycili nowe hasło: „Esteqlal! Azadi! Dżomhurije irani!”. „Niepodległość! Wolność! Republika irańska!” To odejście od religijnych fundamentów jako spoiwa społeczeństwa na rzecz uświadomienia sobie wspólnoty narodowej (i to w kraju wielonarodowym, jakim jest Iran) było czymś zupełnie niezwykłym. Tak samo jak utrzymujące się później całymi miesiącami napięcie, które nawet na chwilę nie dawało władzy odetchnąć.

Mimo krwawego tłumienia kolejnych manifestacji Irańczycy stawali się w swoich żądaniach coraz bardziej radykalni. Niektórzy zaczęli rezygnować z okrzyków przeciwko Ahmadineżadowi, by kierować swój gniew bezpośrednio w stronę największej żyjącej świętości w państwie: Alego Chameneiego. Punktem krytycznym okazało się najważniejsze szyickie święto Aszura, upamiętniające męczeńską śmierć imama Hosejna. Nawet obalony przez rewolucję szach dbał, by akurat w ten dzień policja nie używała broni przeciwko opozycji. Tymczasem 27 grudnia

2009 roku na ulicach Teheranu zabito ośmiu demonstrantów. To przelało czarę goryczy. Dziś część Irańczyków nazywa duchowego przywódcę Alego Chameneiego Jazydem, porównując go w ten sposób do znieprawdzonego przez wszystkich szyitów kalifa, odpowiedzialnego za wydanie rozkazu zabicia imama Hosejna. Jeszcze w 2008 roku okrzyki „Śmierć Chameneiemu!” byłyby niemożliwe do wyobrażenia. Teraz słyhać je niemal przy okazji każdej demonstracji.

Zanim doszło do tej transformacji zbiorowej świadomości, niewielu Irańczyków miało ochotę na rewolucyjne zmiany. Nawet młodzi ludzie, zazwyczaj radykalni, czuli żywą niechęć do gwałtownych wystąpień. Irańczykom rewolucja kojarzy się z rozlewem krwi, niemożliwym do zatrzymania, i z chaosem, z którego nic dobrego wyłonić się nie może. Dlatego też niewielu było przed wyborami zwolenników bojkotu głosowania albo zbrojnego obalenia rządu. Ludzie wpadali za to na wyjątkowo karkołomne pomysły, które miały stopniowo, latami, wprowadzać korozję w struktury islamskiej republiki.

- Będę głosował na Ahmadineżada, choć go nienawidzę. Temu człowiekowi trzeba dać czas. Niech do końca zniszczy gospodarkę, niech ludzie ostatecznie się przekonają, że to wstyd mieć takiego prezydenta - tłumaczył mi Jusef, właściciel księgarni przy ulicy Waliasr. - Jeśli wybierzemy Musawiego, dojdzie do walk na szczycie, do paraliżu władzy, do prowokacji przeciwko rządowi, a część prostych ludzi nie zrozumie, że to wina Chameneiego i jego kliki. Będą obarczać winą reformatorów.

Zadzwoiłem do Jusefa miesiąc po wyborach. Był niezwykle podekscytowany trwającymi niemal dzień w dzień demonstracjami. Uważał, że po raz pierwszy od rewolucji reżim naprawdę zaczął bać się narodu.

- Poczuliśmy się tak zwyczajnie po ludzku oszukani i zlekceważeni. Władza powiedziała nam wyraźnie, że akceptuje wybory, ale pod warunkiem że wyniki będą po jej myśli. No i teraz ta władza ma problem. Ludzie zrozumieli, jak wielką dysponują siłą, i tego uczucia łatwo się nie zabije.

- Jusef, ale powiedz mi szczerze, na kogo ty w końcu głosowałeś, na Ahmadineżada?

- Wiesz, to skomplikowane. Poszedłem głosować na Ahmadineżada, ale jak zobaczyłem go na karcie wyborczej, to jakoś nie mogłem się przemóc. No i poparłem Karrubiego.

Takich jak Jusef były tysiące. Denerwował ich lub śmieszył entuzjazm tłumów wierzących w Musawiego i Karrubiego, po czym sami mu ulegali. I zamiast na złość naiwniakom zagłosować na Ahmadineżada lub zbojkotować wybory, w ostatnim tygodniu kampanii szli w wielotysięcznych pochodach nadziei. Popadali w typową dla Irańczyków ekscytację, która odbiera zdrowy rozsądek. Byli niemal pewni, że Musawi wygra wybory w cuglach, w pierwszej rundzie. Nawet zakładali się o to, stawiając ostatnie riale. Nagle niemal wszyscy zapomnieli, że patrzenie na Iran z perspektywy północnego Teheranu to największy błąd, jaki można zrobić. Wykasowali z pamięci, że w ich kraju żyją miliony rzeczywistych zwolenników Ahmadineżada. Przestali dostrzegać, że Iran - choć różni się bardzo od birmańskiej czy północnokoreańskiej dyktatury - wciąż jednak pozostaje autokracją, która akceptuje wybory tylko do miejsca, w którym wola narodu nie zagraża rządzącej kaście.

A potem, w sobotni, powyborczy poranek coś w nich pękło.

- Przez pierwsze dwa dni byłem jak sparaliżowany. Potem jednak dotarło do mnie, że cała ta nasza władza ma nas za bezmyślne bydło. Gdyby sfalszowali wybory, powiedzmy, w proporcjach 52 do 48 procent, ludzie pokrzyczeliby i rozeszli się zrezygnowani do domów. Ale 63 procent dla Ahmadineżada? Nawet jego zwolennicy w to nie wierzą. No i naród się wściekł. Przestał być grzeczny. Przestał prosić, by mułowie posunęli się trochę na kanapie i

zrobili miejsce dla Musawiego. Teraz już nie myślimy o tym, by posadzić go obok tych zmurszałych starców. Teraz zastanawiamy się, jak wytłumaczyć im, żeby sami wysiedli z tego samochodu. Wreszcie się obudziliśmy - tak opisywał mi stan irańskiej duszy Sadeq, młody socjolog, którego pierwszy raz spotkałem jeszcze przed wyborami, jak rozklejał zielone plakaty Musawiego.

W radykalizacji postaw Irańczyków pomagał sam Ahmadineżad, który z wrodzonym talentem dolewał oliwy do ognia. Już dwa dni po wyborach nazywał swoich przeciwników brudem i kurzem. Przyrównywał ich do kibiców niezadowolonych z przegranego meczu, złodziei, łajdaków.

Następnego dnia po przemówieniu Ahmadineżada na ulice Teheranu wyległo około półtora miliona demonstrantów. Co prawda niektóre źródła podają liczbę trzech milionów, jednak należy to raczej przypisać wrodzonej skłonności Irańczyków do przesady. W każdym razie manifestanci zablokowali niemal całe miasto. Gdyby ktoś spojrział z lotu ptaka na tłum podążający w stronę placu Azadi (czyli Wolności), zobaczyłby potężną ośmiornicę, która oplata stolicę w żelaznym uścisku. Ilu trzeba by użyć żołnierzy i policjantów, by zabić to zwierzę? Jak wielka byłaby rzeka krwi, płynąca ulicami?

Piętnastego czerwca 2009 roku Irańczyków było tylu, że nic nie mogłoby ich powstrzymać, gdyby zechcieli obalić władzę. A jednak rewolucji nie da się tak po prostu zaprogramować. Jej istotą jest nieprzewidywalność. Tego dnia ogień gniewu zapłonął, ale po kilku godzinach ludzie sami go ugasili.

O podobnym mechanizmie rewolucji pisał Ryszard Kapuściński w *Szachinszachu*:

Należy rozróżniać rewolucję od rewolty, zamachu stanu, przewrotu pałacowego. Zamach i przewrót można zaplanować, rewolucję - nigdy. Jej wybuch, godzina tego wybuchu, zaskakuje wszystkich, nawet tych, którzy do niej dążyli. Stoją oni zdumieni wobec żywiołu, który nagle pojawił się i burzy wszystko na swojej drodze. Burzy tak bezwzględnie, że na koniec może zniszczyć hasła, które powołały go do życia. Błędne jest mniemanie, że narody krzywdzone przez historię (a takich jest większość) żyją nieustanną myślą o rewolucji, że widzą w niej rozwiązanie najprostsze. Każda rewolucja jest dramatem, a człowiek instynktownie unika sytuacji dramatycznych.

Niewiele jest książek o Iranie napisanych tak błyskotliwie jak *Szachinszach*, choć zapewne znawca tego kraju bez trudu dostrzeże błędy faktograficzne oraz skłonność pisarza do nadinterpretacji faktów.

Kapuściński wyjechał w 1979 roku do ogarniętego rewolucją Teheranu bez specjalnego przygotowania. Nie miał w Iranie dobrych kontaktów, nie znał farsi i, jak sam

wspomina, całymi dniami włóczył się po mieście, „właściwie bez sensu, bez celu”. Być może stąd w *Szachinszachu* pewna tendencja do wyciągania zbyt daleko idących wniosków ze strzępków informacji lub wręcz z prasowych fotografii. A jednak jest w tej książce jeszcze inna, głębsza warstwa. *Szachinszach* broni się talentem literackim, wrażliwością, intuicją i doświadczeniem autora, świadka dziesiątek rewolucji na całym świecie. Mówi więcej o ponurych mechanizmach rządzących światem, o zaklętym kręgu zmagania tyranów i rewolucjonistów niż niejeden analityczny, naukowy wywód. To dlatego książka Kapuścińskiego wzbudziła entuzjazm zachodniej krytyki, choć przecież była dziełem wschodnioeuropejskiego, reżimowego dziennikarza, który na dodatek wydał ją w apogeum stanu wojennego.

Tamtego czerwcowego popołudnia, kiedy stałem w nieprzebranym tłumie ludzi na ulicy Hafeza, czułem, jak tuż obok gotuje się rewolucyjny gniew pomieszany z entuzjazmem oraz nadzieją. I choć ludzie w ostatniej chwili cofnęli się przestraszeni - nie zostali pokonani. Tyranowi nie udało się utopić protestu we krwi, jak to wielokrotnie bywało w historii Iranu. Ludzie stanęli w pół drogi, ale zachowali siły na kolejne próby, na kolejne tygodnie i miesiące.

Czerwcową, niedokończoną rewolucją przyniosła Iranowi jedno zwycięstwo. W telewizjach całego świata pojawił się obraz młodej pięknej teheranki i młodego przystojnego teherańczyka - ubrani w te same ciuchy co ich rówieśnicy z Londynu i Nowego Jorku i tak samo jak oni pragnący swobody. To chyba największa zmora, jaka teraz dusi po nocach irański establishment. Jeszcze kilka tygodni wcześniej niewielu ludzi na świecie zdawało sobie sprawę, jak duża jest liczba Irańczyków nienawidzących władzy. Niewielu też protestowałoby, gdyby za zgodą USA Izrael zaatakował instalacje atomowe, rozrzucone po irańskich miastach. Nieunikniona śmierć setek, a może tysiący cywili byłaby ceną za światowy spokój - jakkolwiek by oceniać rzeczywiste i często wyolbrzymiane zagrożenie nuklearne ze strony Iranu. Teraz jednak przeciętny Smith czy przeciętna Kowalska odczuwają solidarność z przeciętnym Alim i przeciętną Szirin z Teheranu i kibicują ich walce o wolność.

Ludzie na szczycie irańskiej władzy zdają sobie sprawę z tempa zmian zachodzących w kraju i są coraz bardziej podzieleni. Nawet grupa szyickich jastrzębi, gotowa zaryzykować konflikt z Izraelem, nie może być pewna, czy atak na irańskie instalacje atomowe sprawi, że naród skupi się wokół duchowego przywódcy, tak jak po napaści Iraku w 1980 roku. Dlatego w Iranie rośnie w siłę kasta pragmatycznych duchownych, islamskich technokratów. Dla nich utrzymywanie się przy władzy radykałów oznacza nie tylko groźbę wybuchu kolejnych niepokojów, ale jest też przeszkodą w robieniu interesów z zachodnimi korporacjami.

Pragmatycy marzą nie o nowych konfliktach, ale o zniesieniu sankcji i cichym przepoczwarzeniu się w „uwłaszczonej nomenklaturę”, na wzór wschodnioeuropejskich komunistów. Chcieliby bez obawy korzystać z majątków zgromadzonych na tajnych kontach w Szwajcarii i Zjednoczonych Emiratach Arabskich; łagodnie przejść od reżimu do kontrolowanej, niezbyt opresyjnej półdemokracji.

Symbolem tego środowiska jest Ali Akbar Haszemi Rafsandżani: weteran rewolucji, dziś przewodniczący Zgromadzenia Ekspertów, jedynej instytucji mającej teoretyczną możliwość zdetronizowania duchowego przywódcy. Rafsandżani jest także szefem Rady Ustalania Właściwego Porządku, która rozstrzyga spory między parlamentem i Radą Strażników Konstytucji. W skomplikowanej irańskiej układance jest co prawda daleko za Chameneim, ale niemal na równi z Ahmadineżadem.

## **polowanie na lidera**

Rafsandżani pochodzi z rodziny ubogich farmerów, hodujących pistacje pod Kermanem. W 1948 roku ojciec wysłał go na studia religijne do Quom, najważniejszego centrum kształcenia szyickich duchownych. Tam poznał Ruhollaha Chomeiniego i stał się jednym z jego najwierniejszych uczniów. A także jednym z czołowych przeciwników szacha, przez co kilkakrotnie trafiał do więzienia. Po rewolucji Rafsandżani został przewodniczącym parlamentu i najważniejszym promotorem Alego Chameneiego, ówczesnego prezydenta, na stanowisko następcy Chomeiniego.

Chamenei za szacha przeżył więzienie i zesłanie do zbuntowanej, niechętnej szyickim duchownym beludżystańskiej prowincji przy granicy z Pakistanem. Przyjaciele zapamiętali go z tamtych czasów jako spokojnego, wrażliwego, wyciszonego poetę oraz zdolnego tłumacza z języka arabskiego, dobrze posługującego się też angielskim i tureckim. Choć w rewolucję angażował się od samego początku, a w czerwcu 1981 roku odniósł poważne rany w zamachu bombowym mudżahedinów, nie zaliczał się do ścisłej elity duchowieństwa. Nie był wtedy nawet ajatollahem. Jego wybór na następcę Chomeiniego uznawano raczej za kompromis niż symbol uznania dla wyjątkowych talentów. Chamenei stanowił wygodną opcję dla innych ajatollahów. Nie bali się, że zdominuje ich tak jak Chomeini. Swoją pozycję musiał dopiero zbudować.

Rafsandżani położył na szali cały swój autorytet, wyklócając się w Zgromadzeniu Ekspertów ze zwolennikami innych kandydatur oraz zawartej w konstytucji opcji, że w przypadku braku odpowiedniej osoby władzę w Iranie może przejąć grupa od trzech do pięciu duchownych mędrców. Rafsandżani walczył jak lew i osiągnął swój cel. Chamenei został liderem państwa, a Rafsandżani objął funkcję prezydenta. Z czasem jednak między obu panami zaczęły rysować się różnice. Rafsandżaniego znudziła utrzymywana przez lata oficjalna nienawiść do Zachodu. Zachód był mu już wtedy potrzebny nie jako wróg, ale jako źródło pieniędzy, które zawsze kochał najbardziej. Chciał decydować, jaką korporację wpuścić do Iranu i jaki dać jej kontrakt na ropę, po odliczeniu łapówki. Choć oficjalnie niczego Rafsandżanemu nie udowodniono, po Iranie krążą legendy o jego rodzinnym imperium, obejmującym nie tylko pistacjowe latyfundia, ale także handel bronią, gazem i ropą, budowę rurociągów, fabryk samochodowych, teherańskiego metra, apartamentowców oraz hoteli, m.in. w Dubaju.

Lobbując za otwarciem na świat, Rafsandżani przez lata pozostawał twardogłowym

politykiem w sprawach wewnętrznych. W 1999 roku bardzo ostro potępił studenckie protesty, domagając się użycia siły wobec „wrogów rewolucji”. Jego nazwisko kojarzono też ze skrytobójczymi zamachami na działaczy opozycji, zarówno w kraju, jak i za granicą. Jednak przed ostatnimi wyborami dokonał wolty, opowiedział się za Musawim i bardzo hojnie sponsorował jego kampanię. Kiedy ogłoszono zwycięstwo Ahmadineżada, Rafsandżani wydawał się kompletnie zaskoczony. On, najlepszy rozgrywający w drużynie irańskiej rewolucji, nagle zorientował się, że ktoś rozegrał mecz bez jego udziału, a o wyniku rozgrywki dowiedział się z telewizji. I choć ajatollah Chamenei szybko przeciął plotki o możliwym aresztowaniu Rafsandżaniego, to jego obrona konkurenta przypominała sytuację na ringu, gdzie po nokaucie zwycięski bokser dziękuje oszołomionemu jeszcze przeciwnikowi za piękną walkę i zrelaksowany podkreśla jego umiejętności.

Rzeczywista pozycja i poglądy Rafsandżaniego pozostają dziś tajemnicą. Raz wygłasza mowy w obronie wolności słowa i niesłusznie aresztowanych opozycjonistów, by za chwilę wyznawać pełną lojalność wobec duchowego przywódcy. To jego niezdecydowanie sprawia, że staje się coraz mniej atrakcyjny dla obozu reformatorów Karrubiego i Musawiego. Coraz więcej sympatyków zielonej rewolucji uważa, że w poszukiwaniu wsparcia wśród elity duchowieństwa trzeba zdecydować się na radykalny wybór.

W hierarchii szyickiego kleru najważniejszą rolę odgrywa ponaddwudziestoosobowa grupa wielkich ajatollahów, którzy zgodnie z szyicką tradycją cieszą się stosunkowo dużą niezależnością od duchowego przywódcy. Kilku z nich (Jusef Sanai, Abdolkarim Musawi Ardabili, Asadollah Bajat Zandżani, Ali Mohammad Dastqejb, Hosejn Kazemjani Borudżerdi) otwarcie wyraża swój sprzeciw wobec Chameneiego i Ahmadineżada. Ajatollah Sanai odważnie protestuje przeciwko skazywaniu opozycjonistów i uzasadnianiu wyroków rzekomymi przestępstwami przeciwko islamowi i Bogu. Znany jest również ze swojego skrajnie negatywnego stosunku do broni jądrowej, potępia także dokonywane w Palestynie zamachy samobójcze, uznając je za formę terroryzmu. Opowiada się też za pełnym równouprawnieniem kobiet, głosząc, że nie ma żadnych przeciwności, by mogły one być prezydentami czy nawet ajatollahami. Uważa również, że zwolennicy innych wyznań monoteistycznych mają taką samą szansę trafić do raju jak muzułmanie. Wystarczy, jeśli wierzą w jednego Boga i kierują się w swoim życiu etyką i moralnością.

Symbolem tej zrewoltowanej grupy duchownych jest Ali Hosejn Montazeri, człowiek, którego przez wiele lat próbowano zepchnąć na zupełny margines życia religijnego. Kiedy zmarł w grudniu 2009 roku, otoczenie Chameneiego odetchnęło z ulgą. Na próżno, po śmierci

Montazeriego opozycjoniści zrozumieli, jak wielką ponieśli stratę, i otoczyli go niesamowitym kultem, organizując liczne demonstracje ku czci niezłomnego ajatollaha. Montazeri jest dziś dla irańskich demokratów tym, kim dla twardogłowych pozostaje Chomeini. Paradoksalnie, ludzie walczący z islamską republiką za symbol obrali kogoś, kto był tego systemu współautorem, a zarazem jednym z liderów islamskiej rewolucji. To właśnie Montazeri stworzył koncepcję duchowego przywództwa (*welajate faqih*), czyli powierzenia jednej osobie roli nadrzędnej wobec instytucji wybieranych w powszechnym głosowaniu. Montazeri stał się głównym ideologiem nowej republiki i najbliższym towarzyszem Chomeiniego, który wielokrotnie nazywał go owocem swojego życia. W 1985 roku duchowy przywódca ogłosił go nawet swoim sukcesorem. Kiedy jednak Montazeri zorientował się, że Chomeini z miesiąca na miesiąc staje się hegemonem o kompetencjach niemal królewskich, ich drogi się rozeszły.

Kłopoty krnąbrnego ajatollaha zaczęły się, gdy w 1987 roku zaapelował o legalizację partii politycznych oraz zaprzestanie tak zwanego eksportu rewolucji, czyli finansowania ugrupowań terrorystycznych na Bliskim Wschodzie. Potem wystąpił przeciwko masowym egzekucjom tysięcy lewicowych Mudżahedinów Ludowych. Montazeri był zwolennikiem legalnych procesów przed sądami, a nie tortur, skrytobójstw i chowania przeciwników w masowych, anonimowych grobach. Los ajatollaha przesądziła wypowiedź, w której skrytykował Chomeiniego za wydanie fatwy nakazującej muzułmanom zabicie Salmana Rushdiego, autora *Szatańskich wersetów*. Stwierdził publicznie, że Chomeini przyczynia się do powstania na świecie wrazenia, że irańska rewolucja sprowadza się do jednego: mordowania ludzi.

W marcu 1989 roku Chomeini ogłosił publicznie, że Montazeri zrezygnował z roli przyszłego przywódcy. Następnie z urzędów w całym kraju zniknęły jego portrety, a z rozgłośni radiowych i gazet - jego cykliczne przemówienia. Wkrótce potem Chomeini zmarł. Na następcę wybrano Alego Chameneiego, a Montazeri trafił do aresztu domowego. Wolność odzyskał dopiero w 2003 roku, dzięki decyzji prezydenta Chatamiego. Stał się najsłynniejszym irańskim dysydem: symbolem niezłomności, pogody ducha mimo cierpień, prawdziwym duchowym przywódcą dla nastawionych prodemokratycznie Irańczyków. Przyznając narodowi prawo do energii nuklearnej (ale nie do bomby atomowej), atakował agresywny sposób dążenia do tego celu i niewybredny język prezydenta Ahmadineżada. Zarzucał mu indolencję gospodarczą oraz występował przeciwko represjonowaniu bahaitów. Po ostatnich wyborach wezwał Irańczyków do oporu przeciwko „nielegalnemu systemowi”, co wielu odebrało jako wypowiedzenie posłuszeństwa samemu



Chameneiemu. Według Montazeriego, sposób sprawowania rządów w Iranie opiera się na fałszerstwach wyborczych i przemocy w stylu znanym z czasów średniowiecza lub stalinizmu. Wielki ajatollah ostrzegł władców islamskiej republiki, że jeśli się nie opamiętają, skończą jak szach Pahlawi.

Montazeri zmarł, ale wielcy ajatollahowie Sanai, Ardabili i Zandżani wciąż pozostają aktywni, i to oni, a nie Rafsandżani, są dla obozu zielonej rewolucji naturalnym wzorem. Zapewniają nie tylko uczciwą walkę o demokrację w Iranie, ale także alibi dla uczestników ruchu, oskarżanych nieustannie o zdradę islamu i działanie na zlecenie Zachodu. W kraju, który przez całe wieki był poniżany przez światowe mocarstwa, protektorzy z grona najwyższych szyickich duchownych są dla demokratów na wagę złota.

## **CIA donosi: spokój panuje w Teheranie**

W Iranie uderzyło mnie, jak wielu ludzi marzących o demokracji na wzór zachodni równocześnie deklaruje dystans, a nawet niechęć do tegoż samego Zachodu. Przyczyną takich postaw jest pamięć o czasach kolonialnych, a zwłaszcza o sytuacji po II wojnie światowej, kiedy Iran miał wielką szansę, by po raz pierwszy w swojej historii zakosztować zarówno niepodległości, jak i prawdziwej demokracji, ale został w brutalny sposób zawrócony z tej drogi. Przez Amerykanów i Brytyjczyków.

Druga wojna światowa to czas, kiedy Iran stał się w zasadzie półkolonią. Na północy stacjonowała Armia Czerwona, na południu wojska brytyjskie, zabezpieczające kraj pełen ropy przed wejściem w orbitę Niemiec. Kiedy III Rzesza upadła, zwycięskie mocarstwa nie bardzo chciały pozbyć się swoich wpływów w Iranie. Szczególnie dotyczyło to Anglików, którzy czerpali ogromne zyski z wydobycia nafty, znalezionej w 1908 roku na południu kraju.

AngielskoIrańska Kompania Naftowa (jej spadkobiercą jest koncern BP) to typowy przykład kolonialnego podejścia do Azjatów. Umowa z bezradnym szachem Naser adDinem przewidywała, że Irańczykom przypadnie zaledwie 16 procent zysków i nikt w Londynie nie reagował na późniejsze, liczne prośby o zmianę tych proporcji. Anglików nie obchodziło, że inwestujący w tym samym czasie w Arabii Saudyjskiej Amerykanie zgodzili się na podział zysków po połowie.

Kiedy w końcu Brytyjczycy zmienili zdanie, było już za późno. W Iranie narodziła się silna opozycja, złożona z socjalistów, demokratów, islamistów i umiarkowanych nacjonalistów. Po stolicy krążyły dziesiątki tysięcy demonstrantów domagających się prawdziwej niepodległości. Na zdjęciach opublikowanych w tamtym czasie w amerykańskim magazynie „Life” widać tłumy po europejsku ubranych mężczyzn, w białych koszulach i marynarkach. A obok nich kobiety w sukienkach za kolana i okularach przeciwsłonecznych, choć trafiają się i czadory. Wszyscy podekscytowani, na transparentach mają malowidła pokazujące twardych irańskich robotników (w trochę socrealistycznym stylu), którzy wielkim kopniakiem wysyłają w kosmos grubego Anglika w cylindrze.

Taki masowy ruch nie mógł zaistnieć bez lidera. Nie mógł być nim szach - to słowo w ówczesnym Iranie oznaczało albo krwawego despotę, albo marionetkę w rękach obcych mocarstw. Irańczycy postawili na charyzmatycznego posła do madżlesu, wykształconego w Paryżu Mohammada Mosaddeqę, który jako pierwszy zaczął mówić głośno o konieczności uwolnienia się Iranu z kolonializmu. Choć wielu zarzucało mu, że w praktyce dba bardziej o

swój majątek niż o kraj, to jednak większość Irańczyków stanęła murem za Mosaddekiem. Kiedy parlament wybrał go na premiera, szybko zepchnął w cień młodego szacha Mohammada Rezę Pahlawiego, zajętego zresztą głównie balami maskowymi, podróżami na narty w Alpy i piłką nożną. Mosaddeq w tym czasie ciężko pracował jako szef rządu i lider wpływowego Frontu Narodowego, po czym niespodziewanie dla świata ogłosił potrzebę znacjonalizowania brytyjskiej kompanii naftowej. Jak pomyślał, tak zrobił.

Radykalne posunięcie Mosaddeqą zdenerwowało nie tylko Anglików, ale też początkowo sympatyzujących z nim Amerykanów. W latach pięćdziesiątych w USA panowało przerażenie gwałtownie rosnącą potęgą ZSRR. Większość polityków w Waszyngtonie była przekonana, że nacjonalizacja oraz poparcie dla niej ze strony irańskich komunistów z partii Tude to początek prostej drogi do stoczenia się Iranu w objęcia ZSRR.

Ropę z Iranu objęto bojkotem, którego respektowanie wymuszano za pomocą uzbrojonych kanonierek. Kraj ogarnął głęboki kryzys, ale popularność Mosaddeqą nie spadała. Wtedy Anglicy zrozumieli, że za chwilę Iran wymknie się spod ich kontroli, a wraz z nim całe „płynne złoto”. Do Waszyngtonu leciały więc jedna za drugą londyńskie delegacje, namawiając do przywrócenia porządku w Iranie. Tylko Amerykanie dysponowali wtedy siłą zdolną zastopować walecznego premiera z Teheranu. Imperium Brytyjskie właściwie dogorywało po utracie największego swojego skarbu - Indii. Na szczęście dla Anglików w Białym Domu pojawił się akurat nowy prezydent Dwight Eisenhower, który miał prawdziwe uczulenie na komunizm. Nie zajęło dużo czasu, by wmówić mu, że Mosaddeq to sowiecki agent. Lekarstwo na tę chorobę mogło być tylko jedno - zamach stanu.

„Operacja Ajax” okazała się majstersztykiem. Jak wynika z opublikowanych przez CIA dokumentów, za sumę około miliona dolarów przekupiono agentów, którzy w czasie antyzachodnich demonstracji wznosili prokomunistyczne okrzyki, dewastowali pomniki szacha, a także zastraszali mułłów i podpalali meczety. Łapówki trafiały również do generalicji, członków rządu, parlamentarzystów, biznesmenów i dziennikarzy, którzy w zamian zaczęli tworzyć obraz Iranu jako kraju osuwającego się w stronę proletariackiej rewolucji. Przeraziło to środowiska klerykalne, które już wcześniej były zaniepokojone zbyt republikańskimi pomysłami premiera. Kiedy duchowni jeden po drugim opuszczali Mosaddeqą, on sam zaczął nerwowo eliminować przeciwników. Swoich urzędników zmusił nawet do sfalszowania referendum, by w ten sposób doprowadzić do rozwiązania coraz bardziej niechętnego mu parlamentu. W końcu, nie umiejąc zapanować nad ulicznymi protestami, wysłał policję na demonstrantów wznoszących antybrytyjskie okrzyki. Liczył, że dzięki temu będzie mógł rozpocząć z Zachodem negocjacje. Ale jedynym efektem tych

dramatycznych decyzji było odwrócenie się od premiera komunistów.

Dziewiętnastego sierpnia 1953 roku do akcji weszli generałowie szacha, przekupieni „demonstranci”, a także część kupców bazarowych, robotników, którzy stracili pracę w wyniku blokady handlowej Iranu, oraz duchownych, obawiających się lewicowego spisku Mosaddeqą. Miliony zwolenników premiera okazały się bierne, niezdolne do przeciwdziałania. Teheran nagle się poddał. Niemal nikt nie wyszedł na ulice, by ryzykować życie w obronie ulubieńca narodu.

Premiera aresztowano i po kuriozalnym procesie skazano na trzy lata więzienia w pojedynczej celi, a potem na dożywotni areszt domowy. Premierem został dowódca puczu, generał Fazlollah Zahedi, który - według opublikowanych wiele lat później akt CIA - już po przewrocie otrzymał pięć milionów dolarów na zorganizowanie „poparcia” dla rządu. Aby udobruchać popadający w depresję naród, Zahedi z szachem Pahlawim wyjednali u mocarstw renegotjację umów naftowych i podział zysków pół na pół, z tym że profity British Petroleum zostały okrojone o połowę. Anglicy, w ramach wdzięczności, musieli się posunąć na kanapie, by zrobić miejsce dla wielkich konsorcjów amerykańskich: Exxon, Mobil, Chevron, Gulf Oil i Texaco. Do interesu dopuszczono też pozostałe dwa światowe giganty naftowe: holenderskobrytyjski Shell oraz francuski Total. Irańczycy otrzymali czytelny komunikat, że ich kraj jest zależny od zachodnich rządów i wielkich koncernów. Mieli siedzieć cicho i liczyć, że coś im skapnie z królewskiego stołu.

Właśnie to ciągle poczucie upokorzenia sprawiło, że kiedy Iranem w 1979 roku wstrząsnęła rewolucja, ostateczne zwycięstwo odnieśli w niej islamiści, a nie demokraci. Ci ostatni trafili do więzień jako agenci kolonialistów. Przywódcą kraju został duchowny, ogarnięty antyamerykańską i antyizraelską obsesją, Koran stał się podstawowym źródłem prawodawstwa, kobiety zaś - obywatelami drugiej kategorii.

## **mała konspiracja, czyli blondyn i łysy**

- Czasem myślę, że to dobrze, iż muszę nosić chustę na głowie - śmieje się Azade. Niewysoka, ładna, wielkie, ciągle czymś zdziwione oczy, styl trochę hippisowski, ubrania z Indii, do tego kruczoczarne, kręcone włosy, które za nic nie chcą się ułożyć. Trzydziestotrzyletnia absolwentka filologii angielskiej żyje w świecie, który wydawałoby się, ma niewiele wspólnego z rzeczywistością za oknem: niemieckie malarstwo, brytyjskie filmy, rosyjska literatura. Kiedyś fascynował ją też komunizm, ale po lekturze Solżenicyna i poznaniu historii gułagów - ekscytacja minęła. Jedyne, co dziś łączy Azade z lewicą, to czwartkowy poranek, kiedy teherańskie elity jeżdżą na północne krańce stolicy, do Darband. Stamtąd pną się w góry, by przystawać co chwila na ścieżce i prowadzić od lat ten sam ożywiony i bezproduktywny spór: jak długo potrwa ten krwiożerczy system?

Dzisiaj jedziemy do Darband razem. Taksówkarz wysadza nas na zatłoczonym placu, gdzie kupujemy wodę mineralną. Sprawdzam cenę i po raz kolejny dochodzę do przekonania, że najtańszym płynem w tym kraju jest benzyna. Tymczasem Azade stoi z boku i milczy, choć wyraźnie widać, że z każdą minutą jest w coraz bardziej bojowym nastroju. W ostatnich tygodniach stała się zagorzałą zwolenniczką Karrubiego. Będzie dzisiaj na szlaku zaczepiać swoich dawnych lewicowych mistrzów, którzy wciąż nie mogą się pogodzić z faktem, że to nie oni, ale zbuntowany duchowny ma opinię najradykałniejszego opozycjonisty.

- To są dobrzy ludzie, intelektualiści, a nie żadni staliniści. Po prostu pokochali lewicę, bo wydaje im się, że coś kompletnie przeciwnego religijnemu reżimowi musi być dobre. Ale co to za różnica, czy reżim ma na ustach Boga, czy komunizm? Reżim to reżim - mówi głośno Azade, nie bacząc na tłum obcych ludzi na górskim szlaku. - No więc ci moi znajomi. Oni tylko gadają i gadają. Organizują te swoje szeptane spiski w górach, ale nic nie robią. Jakby dziesięć procent energii, którą tracą na dyskusje, zamienili w działanie, to Chamenei już dawno prosiłby o azyl w Syrii.

Idziemy ścieżką, mijając liczne kawiarnie i setki ludzi. Gdyby nie chustki na głowach kobiet (czarnego czadoru tu nie uświadczysz), pomyślałbym, że jestem na jakimś alpejskim szlaku. Ubrania najlepszych zachodnich marek, modne okulary przeciwsłoneczne, uśmiechnięte, inteligentne twarze. Mijamy chłopaka wyglądającego jak Jezus z bizantyjskich ikon, mijamy dziewczynę w koszulce z wizerunkiem Kurta Cobaina, lidera Nirvany. To ma być islamski Iran?

Nadchodzi pierwsza ofiara Azade. Łatwo ją rozpoznać. Irański lewicowy

intelektualista, ale także narodowy demokrat - mają zazwyczaj siwe, dość długie włosy, górskie buty, kurtkę ortalionową i najważniejszy znak rozpoznawczy: wąsy. Jedne sumiaste jak u Wałęsy, którego wszyscy tu znają. Inne zakręcone do góry, jak na perskich obrazach sprzed wieków. Jeszcze inne cieniutkie, równo przystrzyżone, hiszpańskie. Gdybym był teherańskim fotografem, zrobiłbym wystawę pod tytułem: „Wąsy nad Darband”.

Nasza rozmowa z wąsaczem (sumiastym) jest długa i zamienia się w zgromadzenie, kompletnie blokujące ścieżkę. Azade jest w centrum wojny na słowa.

- Latami wywracaliście islamską republikę w górskich jaskiniach, aż tu nagle miliony ludzi wyszły na ulice, bez pytania was o zdanie. Co z was za przywódcy, co się ciągną w ogonie i nigdy niczego nie potrafią przewidzieć?

Uwielbiam słuchać Azade. Jest do tego stopnia zbuntowana, że im bardziej reżim coś atakuje, tym bardziej ją to fascynuje. Na złość codziennym informacjom o syjonistycznym spisku ogarniającym świat zaczęła interesować się kulturą żydowską. Wczoraj Ahmed, jeden z najlepiej zaopatrzonych dystrybutorów pirackich płyt w Teheranie, przyniósł Azade najnowsze CD izraelskiej piosenkarki Jasmin Levy oraz rarytas sprzed kilku lat: film *Wszystko jest iluminacją* Lieva Schreibera. Historia młodego Żyda z Nowego Jorku, który rusza na Ukrainę śladem swoich przodków, w towarzystwie niezwykle oryginalnego tłumacza z Odessy i jego tajemniczego dziadka. Razem przeżywają wiele wesołych przygód, wiodących ich do niewesołego finału poszukiwań. Film o Holokauście w centrum Teheranu? Nic łatwiejszego. Mogą sobie nakazywać i zakazywać, szykanować, zniechęcać i opluwać. Nic to nie pomoże. W Iranie życie publiczne i to, co się dzieje w sferze prywatnej, to zupełnie inna bajka. Irańczycy są mistrzami kamuflażu. Zawsze znajdują sposób, by wyprowadzić w pole system. Tak jak w historii przyjaźni Azade i Szirin.

Obie dziewczyny bardzo się różnią. Azade jest roztrzepaną marzycielką, idealistką. Szirin: farbowane w pasemka włosy, zapach perfum od Gucciego, jaskrawe ciuchy, biżuteria. Szirin to dusza na wskroś praktyczna, żyje dniem dzisiejszym. „Życie powinno być dobrą zabawą” - tak uważa. Kiedy zorientowała się, że islamskie władze nie pozwalają czerpać z życia pełnymi garściami, wyemigrowała do krewnych w Los Angeles.

O głębokiej, dozgonnej przyjaźni Azade i Szirin zdecydowały tenis i skrzynka pocztowa.

W roku 1988 obie miały po dwanaście lat i mieszkały w Sari, stolicy nadkaspjskiej prowincji Mazandaran. Szirin kochała się w Borisie Beckerze, ówczesnym królu Wimbledonu. Azade - jako ta mniej praktyczna, ale za to dobrze przewidująca przyszłość - za oblubienca wybrała sobie wschodzącą dopiero gwiazdę, Andre Agassiego.

Dziewczynki marzyły o długich dyskusjach, w których mogłyby przekonywać się nawzajem, że jasnowłosa Becker jest przystojniejszy od ostrzyżonego na zero Agassiego - lub na odwrót. Nie było to jednak możliwe. Rodzice Azade wyznawali bahaizm, co dla krewnych Szirin, szyickich radykałów, stało się wystarczającym powodem, by zakazać dziewczynce przyjaźni z córką religijnych odszczepieńców.

Sprawa była poważna. Iran lat osiemdziesiątych to czas wojny z Irakiem, utrwalania rewolucji, bezwzględnej walki z przeciwnikami systemu. Szesnastoletnich chłopców skazywano wtedy na śmierć za roznoszenie ulotek, więc przyjaźń małej muzułmanki z bahaitką była czymś więcej niż kradzieżą jabłek z działki sąsiada.

Związek Azade i Szirin przypominał okupacyjną konspirację. Dziewczynki wynajęły przy pomocy dorosłego kolegi skrytkę pocztową i wrzucały do niej długie listy lub umawiały się na spotkania w ustronnych miejscach. Tak pielęgnowały swój pierwszy spiszek przeciwko systemowi przez niemal cały rok. Aż matka Szirin znalazła całą kolekcję listów. Następnego dnia wpadła do szkoły w towarzystwie dwóch dryblasów z komitetu rewolucyjnego. Obie dziewczynki zostały wezwane do dyrektora i otrzymały oficjalny zakaz utrzymywania kontaktów. Próby dalszych spotkań miały się skończyć chłostą oraz szykanami dla rodziców Azade. Bo to przecież oni byli winni - bahaici zawsze są winni.

Oszukiwanie rodziców to dla dzieci pestka, więc mimo że dziewczynki spotykały się rzadziej, nigdy nie zerwały znajomości. Było to o wiele trudniejsze dla Szirin, choć teoretycznie ryzyko z jej strony było mniejsze. Miała jednak przeciwko sobie całą islamską rodzinę, z wyjątkiem starszego brata, który zawsze brał jej stronę. Także wtedy, gdy Szirin naprawdę się zbuntowała i zakomunikowała rodzicom, że wyjeżdża z Sari na studia do Teheranu. Oświadczyła też, że nigdy więcej nie będzie chodzić w czadorze.

Postanowienie Szirin - marzenie, by zrzucić kobiecy mundur islamskiej republiki - oznaczało ponadroczne wykluczenie z rodziny. Musiała znaleźć w Teheranie pracę w sklepie, bo rodzice nie tylko przestali z nią rozmawiać, ale też przysyłać pieniądze. Z czasem się poddali i zaakceptowali dziwactwa córki.

Szirin od pięciu lat mieszka w Los Angeles, ale niemal co roku przyjeżdża do Iranu. Jej najbliższą przyjaciółką jest wciąż Azade. Może nie mają wielu wspólnych zainteresowań, ale wspomnienie walki o przetrwanie dziecięcej miłości, pamięć o Borisie i Andrem są ważniejsze niż przyjaźnie zrodzone ze wspólnych zabaw lalkami. I dlatego kiedy Ahmadineżad z Chameneim wysłali wczesnym latem 2009 roku policję na ulice, daleka od polityki Szirin potraktowała sprawę bardzo poważnie.

- Jeśli ten system jest przeciwko Azade, jest przeciwko mnie. To sprawa osobista, a

sprawy osobiste są na mojej skali na samej górze - usłyszałem pewnego wieczoru w słuchawce, gdy na placu Tadżrisz dogasały walki. Kilka dni później zobaczyłem Szirin w BBC Farsi, jak z twarzą wymalowaną na zielono demonstruje w Los Angeles przeciwko Ahmadineżadowi.

Mam nieodparte wrażenie, że jeśli Iran kiedyś naprawdę się zmieni, będzie to w dużej mierze zasługą kobiet. Mężczyźni potrafią ryzykować życie podczas demonstracji, ale jak opadnie im adrenalina, popadają w niemoc. Rozprawiają godzinami przy papierosie i herbacie, najlepiej po podanej przez kobiety sutej kolacji. Po czym swoje rewolucje układają do snu. To sprawa kobiet, by stać nad nimi jak wyrzut sumienia i stale przypominać, że Iran to więzienie. Nie przypadkiem najbardziej znany irański ruch społeczny ostatnich lat to Kampania Miliona Podpisów, kobieca inicjatywa na rzecz równouprawnienia. Mimo szykan, aresztowań, kradzieży list z podpisami - kobiety uparcie dążą do celu.

Poznałem kilka Iranek zaangażowanych w tę kampanię. Żadna nie wierzyła, że parlament zgodzi się zmienić prawo. Ale im nie o to chodzi, to tylko pretekst. Tak naprawdę cel jest dalekosiężny: zmobilizować kobiety, uświadomić im, że nie są przedmiotami, że mają swoją godność, że mogą wyrwać się spod panowania mężczyzn. Na zmiany w prawie przyjdzie czas, gdy zmieni się świadomość.



## **ta chusta wrasta mi w mózg**

Szarare jest trzydziestoletnią artystką, którą poznałem dzięki moim znajomym malarzom, Nedzie i Madżidowi. Dziś zaprosiła mnie do szkoły fotografii, w której wykłada. Mam zobaczyć jej najnowszy projekt, czyli kolejny przykład artystycznej schizofrenii. Kłopot ze sztuką Szarare polega na tym, że fascynuje ją ludzkie ciało. Niekoniecznie oznacza to, że jej fotografie eksponują nagość. Jednak pojęcie nagości w islamskiej republice ma wymiar niemal wszechogarniający. Kobięca szyja, bark, plecy, łydka, goła stopa. Zakaz, zakaz, zakaz. Dla artystki oznacza to, że musi wyraźnie podzielić swoją sztukę. To, co odważniejsze, oczywiście tylko w ujęciu irańskim, przeznaczone jest dla zagranicy. Na krajowy rynek Szarare ma abstrakcję, magię świata przyrody, zdjęcia aktorów i tancerzy, owładniętych szaleństwem ruchu scenicznego.

- Trudno jest tworzyć w takim rozdwojeniu. Jeszcze trudniej jest walczyć z rolą, jaką przypisał ci świat, także ten zachodni. Kiedy jadę do Europy, właściciele galerii oczekują ode mnie potwierdzenia ich obrazu Iranu. Pragną czegoś egzotycznego, trochę groźnego i drapieżnego, trochę zahukanego i prymitywnego. Kiedy ich wreszcie spotykam, bywają mną trochę zawiedzeni. Nie chodzę w czadorze i chyba nie za bardzo różnię się od nich samych. Nie przypominam koczowniczkę jeżdżącą na wielbłądzie po pustyni jakiegoś zacofanego kraju. - Szarare, wyraźnie zła, zaczyna rytmicznie stukać pierścieniem o blat stołu.

W trakcie naszej rozmowy pojawiają się studenci. Właściwie jest to złe słowo. Z jednym wyjątkiem są to same studentki. Kiedy pytam o tę żeńską nadreprezentację, zaczynają ironizować.

- Jest południe, panowie są już zmęczeni, pewnie śpią.

Studentki Szarare mają po dwadzieścia lat, ale wyrażają się w dorosły, dojrzały sposób. W autokratycznym systemie dorasta się bardzo szybko. Kosztem gwałtownie skróconego dzieciństwa.

- Nie wiem, czy długo wytrzymam w Iranie. Dopiero zaczynam przygodę ze sztuką, a już dokładnie czuję to, co męczy Szarare. To rozdwojenie. Zdjęcia robione do szuflady i zupełnie inne, przeznaczone na pokaz. Bardzo mi z tym ciężko. I jeszcze ta świadomość drugorzędnej roli, jaką przypisał mi, jako kobiecie, islamski rząd. Muszę stąd wyjechać, zanim się przyzwyczaję, zanim obowiązkowa chusta wrośnie mi w mózg i w serce - mówi zdecydowanym głosem Parwane.

Podczas wszystkich demonstracji, które widziałem w czasie gorącego czerwca 2009

roku, zawsze mnie zaskakiwała, a czasem wręcz przerażała obecność kobiet. Niemal zawsze były w pierwszym szeregu manifestantów. Teraz po raz kolejny oglądam zdjęcia z walk na ulicach Teheranu i moje wrażenie jest stokroć silniejsze. Młoda dziewczyna w zielonej chuście. Jest piękna, ma wielkie, czarne oczy, klasycznie wyrzeźbione brwi i usta oraz szczupłe dłonie, w których niezdarnie próbuje zmieścić dwa wielkie kawałki stłuczonej cegły. Pamiętam, jak w dzieciństwie uczyliśmy dziewczyny rzucać kamieniami. Prawie zawsze był z tym kłopot. Nie ta siła, nie ten zamach, nie to ułożenie ręki.

Jak daleko jest w stanie cisnąć kawałek potłuczonej cegły dziewczyna z fotografii? Jak blisko musiałyby podejść, by osiągnąć cel? Jak wielka musi być jej determinacja i odwaga? Tłum zebrał się kawałek dalej, niepewny, czy może podejść jeszcze kilka metrów, czy może lepiej już przygotować się do ucieczki. Widać wyraźnie, że dziewczyna jest w grupie największych ryzykantów. Czy wie, na co się naraża?

Irański mężczyzna ryzykuje aresztowanie, pobicie, może nawet śmierć. Kobieta, zwłaszcza ładna, ma do stracenia coś jeszcze. Jeśli wpadnie, nie będzie dla niej taryfy ulgowej. Może trafić na zezwierzęconych basidżów lub strażników więziennych, którzy odrą ją z godności, poniżą, zgwałcą, może nawet wielokrotnie. Po czymś takim nie da się tak po prostu wrócić do poprzedniego życia.

Irańskie kobiety buntują się na skalę nieznaną w żadnym islamskim kraju. Ich walkę napędzają wspomnienia matek i babek, które żyły w zupełnie innym świecie. Szach Reza Pahlawi, choć despota, w latach trzydziestych XX wieku z emancypacji kobiet uczynił oręż do walki z zacofaniem. Jego syn w latach sześćdziesiątych poszedł jeszcze dalej, kobiety mogły ubierać się, jak chciały, pojawiały się w administracji, sądownictwie, parlamencie. Wspomnienia o nie tak dawnych, lepszych czasach dodają współczesnym Iranom sił do walki.

## **jeszcze kiedyś założę tę koszulkę**

Dwudziestego czerwca 2009 roku po godzinie osiemnastej Neda AqaSoltan utknęła w korku na ulicy Kargar w centrum Teheranu. W peugeotcie dwudziestosiedmioletniej skrzypaczki, absolwentki teologii i filozofii, siedzieli jeszcze jej dwaj znajomi oraz nauczyciel muzyki, Hamid Panahi. Wszystkich męczył upał, którego nie łagodziła niewydolna klimatyzacja. Postanowili zostawić auto na poboczu i iść w stronę tłumów gromadzących się na placu Enqelab. Neda przeszła kilkadziesiąt metrów, po czym przystanęła. Kawalek dalej basidżowie rozganiali ludzi pałkami. Nagle upadła. Zdążyła jeszcze wyszeptać: „Ja płonę”.

Władze szybko zamknęły usta Panahiemu. Jednak świat poznał dokładny przebieg ostatnich chwil życia Nedy dzięki Araszowi Hedżaziemu, pisarzowi i tłumaczowi pracującemu w Anglii, który na kilka dni przyjechał wtedy do Iranu. Feralnego popołudnia udało mu się uciec przed oddziałem basidżów w boczną uliczkę, gdzie stanął kilka metrów od ładnej dziewczyny w czarnej chuście. Po chwili rozległ się strzał. Hedżazi zobaczył, jak Neda zaczyna się chwiać. Pod szyją miała niewielką ranę. Podbiegł natychmiast i położył ją na wznak. Wtedy z jej ust i nosa buchnęła krew. Na dramatycznym filmie widać, jak Hedżazi próbuje powstrzymać krwotok. Bezskutecznie. Dziewczyna umiera w ciągu minuty.

Otwarte oczy Nedy i krew na jej twarzy stały się symbolem zielonej rewolucji. Dwa krótkie filmy dokumentujące jej ostatnie chwile zobaczyły w internecie miliony ludzi. Neda stała się legendą, choć nie była działaczką opozycji, nie była nikim groźnym dla systemu. Jej ojciec jest urzędnikiem niskiego szczebla, matka gospodynią domową. Sama Neda po studiach miała problemy z pracą, rozpoczęła jednak kurs przewodnika turystycznego, uczyła się języka tureckiego, licząc, że pewnego dnia będzie jeździć z irańskimi wycieczkami do Stambułu.

Polityka prawie jej nie interesowała. Neda zagłosowała co prawda na Musawiego, ale nie uległa atmosferze przedwyborczej ekstazy. Dopiero po wyborach poniosły ją emocje, wzięła udział we wszystkich najważniejszych demonstracjach. Ostatniego dnia życia chciała przejść wraz z tysiącami symbolicznym szlakiem: od placu Enqelab do placu Azadi, czyli od placu Rewolucji do placu Wolności. Wiedziała, że ryzykuje wiele. Poprzedniego dnia duchowy przywódca ostrzegł, że jeśli liderzy opozycji nie powstrzymają protestów, będą odpowiedzialni za rozlew krwi i chaos. Irańczycy odebrali to jednoznacznie: jako pozwolenie użycia broni. I rzeczywiście, tylko według oficjalnych danych w dniu śmierci Nedy zginęło dziesięć osób, sto zostało rannych, a niemal pół tysiąca trafiło do aresztów.

Ciało Nedy zostało spalone i pochowane na największym teherańskim cmentarzu Beheszte Zahra. Skromna uroczystość pogrzebowa odbyła się w dalekiej, niemal pustej alejce. Władze rozgłosiły oświadczenia, wedle których morderstwa dopuścili się zwolennicy Musawiego, pragnący za wszelką cenę wykreować swojego męczennika. Były szef irańskich mediów Ezzatollah Zarfqami stwierdził z kolei, że filmy pokazujące sfingowaną śmierć Nedy zostały wyprodukowane przez BBC i CNN.

- Ilekroć przypominam sobie zdjęcie tej dziewczyny, myślę, że to mogłabym być ja. Niejedna z moich koleżanek chyba myśli podobnie. Czasem budzę się rano i podejmuję decyzję, że już nie pójdę na żadną demonstrację. Potem dzwoni telefon od kogoś ze znajomych i nie wiem, co się ze mną dzieje. Wsiadam do taksówki i jadę. Odzyskuję rozsądek w tłumie, kiedy jest za późno, by się wycofać. - Mohtaram jest niewysoka, korpulentna, a kręcone, mocne, czarne jak smoła włosy oplatają jej ramiona zupełnie jak winogrona balkon w jej mieszkaniu na Amir Abad, jednej z najbardziej zrewoltowanych dzielnic stolicy.

Mohtaram od dwóch lat działa na rzecz Kampanii Miliona Podpisów, domagającej się równouprawnienia dla irańskich kobiet. Jest notowana w kartotekach policyjnych, odkąd zatrzymano ją z listami osób wspierających kampanię. Miała szczęście, wyszła po dobre spędzonej w areszcie. Skończyło się na krzykach, poszturchiwaniu, podszczypywaniu. Inne aktywistki miały mniej szczęścia. Choć irańskie władze zazwyczaj najpóźniej po kilku tygodniach starają się wypuszczać zatrzymane działaczki, to jednak wiele z nich wychodzi na wolność z wyrokiem od roku do dwóch lat w zawieszeniu. Wiedzą, że kolejne spotkanie z policją może skończyć się wykonaniem kary.

- Pochodzę z rodziny, w której zawsze traktowano mnie jak pełnoprawnego człowieka - opowiada Mohtaram. - Co z tego, skoro już w wieku dziewięciu lat poczułam, co to znaczy presja społeczna. Wtedy właśnie musiałam zacząć skrywać włosy. Dalej jednak biegałam z moimi braćmi po podwórku i grałam w piłkę. Miałam nawet koszulkę z nazwiskiem Ali Da'i, który był wtedy bożyszczem wszystkich irańskich kibiców. I nagle dwa, może trzy lata później okazało się, że to też jest problem. Choć wciąż byłam dzieckiem, to według islamskiego prawa już dorosłam i powinnam zachowywać się „godnie”. Sąsiedzi zaczęli zwracać mi uwagę, rodzice ulegli presji. Musiałam schować piłkę, schować rower. Czy ty sobie wyobrażasz, co to znaczy dla dziecka? Wszystko się zmienia, choćby twoi rodzice byli najwspanialszy. Trafiasz do społecznego więzienia i nigdy z niego nie wychodzisz. Pamiętam dokładnie, jak rósł we mnie gniew, gdy spoglądałam przez zamknięte okno na uganiających się za futbolówką braci. Już nie byłam jak Ali Da'i, moją pozycję na boisku zajął Arasz,

chłopak z sąsiedniej ulicy. Na pociechę tata przeschmuglował mnie parę razy jako chłopca na stadion, ale ja nigdy nie pogodziłam się z nowymi regułami. Obiecałam sobie, że zrobię wszystko, by jeszcze kiedyś włożyć piłkarską koszulkę. Możesz się śmiać, ale to, że działam na rzecz Kampanii Miliona Podpisów, jest dalszym ciągiem mojego futbolowego buntu.

Dla Europejczyka czy Amerykanina tak poważna deklaracja w tak niepoważnej sprawie jak sport może wydać się groteskowa. Ale nie w Iranie. Futbol to dla Irańczyków religia, choć nigdy nie odnieśli spektakularnych sukcesów poza Azją. Mecze dwóch teherańskich drużyn: Persepolis i Esteghlal, to prawdziwe święto narodowe. Na derby przychodzi regularnie po sto tysięcy kibiców i według „World Soccer Magazine” jest to najważniejsze klubowe widowisko w całej Azji. Z kolei popularny program omawiający piłkarskie wydarzenia tygodnia, *90 minut*, w każdym wydaniu organizuje konkurs. Żeby wziąć w nim udział, trzeba wysłać esemesa. Czasem przychodzi ich prawie dwa miliony.

W kraju, gdzie dyskoteki są zabronione, gdzie na koncertach muzycznych trzeba grzecznie siedzieć z rękami na kolanach, ludzie - zwłaszcza tak pełni energii jak Irańczycy - muszą jakoś dawać upust emocjom. I właśnie piłka nożna, choć sekowana przez pierwsze lata po rewolucji, stała się czymś na kształt „świeckiej religii”, której wyznawcami są również kobiety. Jednak dni, podczas których gra reprezentacja Iranu, nie są dla nich świętem, ale kolejnym dowodem, że żyją w mentalnym więzieniu, jakie zbudowała im islamska republika. Stadiony są dla kobiet niedostępne. Oficjalnie: bo kibice klną i mogłoby się to odbić negatywnie na psychice kobiet. A poza tym nie wypada, by delikatne panie z bliska patrzyły na owłosione nogi spoconych zawodników w krótkich spodenkach. Nikt nie zwraca uwagi na argument, że i tak mogą na nie patrzeć do woli podczas transmisji telewizyjnych.

Irańskie fanki futbolu nieraz dały dowód, że z miłości do tego sportu gotowe są ryzykować areszt. Do najbardziej spektakularnego wydarzenia doszło na początku 2006 roku, kiedy kilkadziesiąt dziewczyn przyszło pod stadion z biletami, a kiedy ich nie wpuszczono, rozwiesiły przed wejściem transparenty domagające się „sportowego” równouprawnienia. Po kilkunastu minutach policja zapakowała je do autobusu i wywiozła do centrum Teheranu. Wszystkich wtedy zaskoczył Mahmud Ahmadineżad, uchodzący za piłkarskiego fana i całkiem utalentowanego gracza. Prezydent zapowiedział możliwość zmiany prawa i otwarcia na stadionach specjalnych sektorów dla kobiet (oczywiście w towarzystwie ojców, braci lub mężów). Wymyślił nawet przebiegły powód: obecność kobiet wpłynie na złagodzenie nastrojów na trybunach. W konserwatywnych środowiskach zawrzało. Tego było za wiele. Dotychczasowi obrońcy wszystkich posunięć Ahmadineżada podnieśli larum, a ajatollah Chamenei wymusił na prezydencie wycofanie się z pomysłu.

Może wyda się to niezrozumiałe przy tych wszystkich zakazach, ale w kraju rządzonego przez surowych mułłów istnieje żeńska piłka nożna. Działa nawet kilkadziesiąt klubów, przeważnie uniwersyteckich. Mecze rozgrywane są oczywiście z dala od męskich oczu, a zawodniczki występują w długich dresach i chustach na głowach.

Pewnego mroźnego przedpołudnia w styczniu 2009 roku juniorzy słynnego Esteghlału postanowili złamać tabu. Zegrali potajemny mecz z dziewczynami z żeńskiej sekcji. Dziewczyny przegrały 0:7, ale wydarzenie było tak wyjątkowe, że po kilku dniach szeptał o nim cały Teheran. Władze klubu długo zaprzeczały, ale w końcu do internetu trafił film ze spotkania, nakręcony komórką. Trzeba było posypać głowy popiołem. Trzech odpowiedzialnych za skandal działaczy zawieszono na rok. Najgorzej ukarano jednak dziewczyny. Rozwiązano im sekcję.

Cały irański sport to seksizm w czystej postaci. Podczas olimpiady w Pekinie w irańskiej reprezentacji były tylko trzy zawodniczki. Reprezentowały taekwondo, strzelectwo i kajakarstwo. Oczywiście nie było żadnych gimnastyczek i pływaczek. Do Chin przyjechał za to utalentowany pływak, nadzieja Iranu w wyścigu na sto metrów stylem klasycznym. Podczas eliminacji jego słupek startowy pozostał jednak pusty. Nie chciał wystąpić, bo obok miał płynąć Izraelczyk.

## **pół człowieka w całej kobiecie**

W Isfahanie poznałem Arasza, studenta ekonomii. Kiedyś zabrał mnie z sobą na wykłady. Profesorowie byli nieco zdziwieni, ale irańska gościnność nie pozwoliła im wyprosić mnie z sali. Potraktowali mnie z najwyższym szacunkiem, traktując jak oficjalnego przedstawiciela „polskiej nauki”. Szybko znudziła mnie ta wizyta, bo pełniłem rolę dziwadła, Arasz zaś puszył się, ciągnąc mnie podczas przerw do kolejnych swoich znajomych. Jednak w pewnym momencie zacząłem z zaciekawieniem obserwować różnice w zachowaniu studentów i studentek. Chłopcy, nawet podczas wykładu, byli nadpobudliwi, ciągle się rozglądali, ukradkiem dzwonili, wysyłali esemesy lub czegoś szukali w torbach. Dziewczyny siedziały w pierwszych ławkach, skupione, wsłuchane, notujące sumiennie uwagi profesora. Nie było w tym nic specjalnie oryginalnego. A jednak po pewnym czasie udało mi się coś dostrzec. Niemal każda ze studentek przynajmniej raz na minutę sprawdzała stan nakrycia głowy. Wyglądało to jak pojedynek. Pragnienie wolności każe ściągnąć chustę jak najdalej do tyłu, odkryć jak najwięcej czarnych, mocnych włosów, ale moralność mówi „stop” i pcha rękę do przodu. To przeciąganie liny, odkrywanie i zakrywanie, odbywa się cały czas. Równocześnie trwa bój na przeciwległym froncie kobiecego ciała. Kiedy jedna ręka zмага się z chustą, druga bada stan nogawek, czy aby one również nie pokazują zbyt dużego fragmentu łydki.

Nareszcie przerwa. Chłopcy wychodzą szybko, dziewczyny zbierają się wolniej, a już na korytarzu, zanim przejdą do następnej sali, czekają, aż panowie przesuną się nieco i zwolnią trochę przestrzeni. Niby nic prostszego, podejść, poprosić o miejsce, w ostateczności przepchnąć się. Niektóre studentki rzeczywiście tak robią, ale inne pokornie czekają pół minuty, aż korytarzowy korek się odblokuje. Starają się ściśle przestrzegać zasady, by nie dotykać obcych mężczyzn, by z nimi nie rozmawiać. Czują się odpowiedzialne za respektowanie zasady segregacji płciowej, odpowiedzialne zarazem za siebie i za kolegów. Patrzę na to i przypominam sobie młodą studentkę fotografii, która marzy o wyjeździe z Iranu, zanim czador wrośnie w jej mózg. Chwilę później przed oczami staje mi też kolejne wspomnienie.

Ciepły, majowy wieczór przy grobowcu słynnego irańskiego poety Hafeza. Centralne miejsce spotkań towarzyskich obywateli Szirazu. Choć miasto to uchodzi za najbardziej (oczywiście po Teheranie) otwarte na nowe trendy, uderzający jest widok tłumów młodzieży podzielonych na dwie, wyraźnie oddzielone grupy. Dziewczyny zazwyczaj siedzą po kilka, wczytując się w wersety poezji Hafeza i co jakiś czas łypiąc okiem na przechodzących obok

chłopców, którzy rzucają jeszcze bardziej tęskne spojrzenia. Nie trzeba być psychologiem, by uświadomić sobie, jak wielką mękę przeżywają ci młodzi ludzie.

- Segregacja płci to koszmar. Nikt nie naucza chłopców, jak postępować z dziewczętami, jak zdobywać ich serca. Wiedzę o życiu erotycznym czerpią z filmów porno, a nie z dojrzałych rozmów, bo to temat tabu w islamskiej republice. W okresie, w którym najbardziej dokuczają im hormony, zaczynają się zachowywać jak wygłodniałe wilki. Kiedy już uda im się umówić z jakąś dziewczyną na randkę, nie mogą pójść za rękę na spacer lub do kina. Muszą się gdzieś ukryć, a to oznacza, że chłopcy starają się od razu dążyć do ostatecznego celu: do łóżka. Boją się, że ktoś za chwilę odkryje tę konspirację i randki z ukochaną się skończą. Potem, w dorosłym życiu, wciąż tkwią w tej swojej niedojrzałości, wręcz dziecinności. Traktują innych mężczyzn jak największe zagrożenie. Myślą, że wszyscy są tak samo napaleni, jak oni byli za młodu. Stają się zaborczy, zawłaszczają kobiety, pozbawiają resztek wolności, niby w trosce o ich godność i bezpieczeństwo - tłumaczył mi Mahmud, czterdziestopięcioletni architekt z Szirazu, którego poznałem przy lokalnym Komitecie Wyborczym Musawiego.

Seksualność, a zwłaszcza sposób dyskusowania o tej kwestii w Iranie, budziła moje spore zaskoczenie. Ajatollah Chomeini jedną z nauk poświęcił rozważaniu, czy mężczyzna, który odbył stosunek z kurczakiem, może go potem spożyć na kolację. W świecie, w którym kontakty z kobietami są obwarowane dziesiątkami zakazów, niektórzy ulegają głębokim frustracjom, szukają „miłości zastępczej” i nawet ajatollahom wydaje się to oczywiste. Tak więc w sprawie kurczaka okazuje się, że ani mężczyzna, który odbył randkę z drobiem, ani jego krewni i sąsiedzi nie mają prawa spożyć tego zwierzęcia. Ale już obcy ludzie - tak. Dla Mohtaram sam fakt, że w purytańskim państwie słynny duchowny nie wstydi się tego typu wywodów, świadczy, że Iran nie jest normalnym krajem.

- Każą ci zapinać się po szyję, broń Boże, nie pokazywać nóg. Mówią, że to w trosce o twoje bezpieczeństwo. Bo nawet najmniejszy kawałek mojej gołej łydki może wzbudzić piekielną żądzę. A już widok kobiety na rowerze, siedzącej na siodełku, no to już prawdziwa pornografia - ironizuje Mohtaram. - W normalnym państwie tak myślących mężczyzn poddano by leczeniu. W Iranie ajatollahowie wymyślili, że łatwiej zwalczyć chorobę, usuwając kobiety z oczu mężczyzn, zamieniając je w postaci o czarnej barwie i nieokreślonych kształtach, ukrytych pod czadorem. Kobiety są słabsze fizycznie, więc łatwo było im narzucić takie reguły. Przecież nie chwycą za broń.

W Iranie, jeśli dorosła kobieta zechce podjąć pracę, musi uzyskać pisemną zgodę męża. Jeżeli zapragnie wyjechać na kilka dni z domu i zamieszkać w hotelu, również musi



prosić męża o pozwolenie. A jeśli jest panną - ojca. W przypadku gdy rodzic nie żyje, powinna pójść na policję, wytłumaczyć cel podróży i uzyskać pismo z pieczętkami.

Według irańskiej wersji szari'atu kobieta ma obowiązek nakrywania głowy, a za nieodpowiedni strój (czyli na przykład zbyt dużo wystających spod chusty włosów) może być ukarana siedemdziesięcioma batami. I to już w wieku dziewięciu lat, bo wtedy osiąga wiek pełnej odpowiedzialności prawnej. Mężczyźni zaś mogą stawać przed sądem dopiero od piętnastego roku życia.

W kwestiach małżeńskich wcale nie jest lepiej. Wiek zamążpójścia to dla kobiety trzynaście lat, a o wyborze małżonka, niejednokrotnie o wiele starszego, decydują rodzice. Mężczyzna ma prawo do czterech żon.

W zasadzie kobieta nie ma też możliwości wzięcia rozwodu wbrew mężowi, chyba że dochodzi do stwierdzonej sądownie choroby psychicznej małżonka, impotencji, przemocy domowej. Z tym ostatnim jest szczególnie kłopot, ponieważ islamscy sędziowie (oczywiście są to sami mężczyźni) uważają, że kobiety to istoty bardzo emocjonalne i pozbawione rozsądku, więc nawet w sytuacjach skrajnych starają się namawiać je, by dały jeszcze jedną szansę mężowi. Poza tym w Iranie przyjęło się, że kobieta powinna znosić cierpienie w milczeniu i, broń Boże, nie pozywać męża do sądu, bo to przynosi wstyd całej rodzinie.

Dla mężczyzny droga do rozwodu jest prosta. Mąż pragnący opuścić kobietę musi po prostu trzykrotnie z rzędu oświadczyć na głos, iż się z nią rozwodzi. Ma przy tym zagwarantowane, że dzieci powyżej siódmego roku życia zostaną z nim.

Według irańskiego prawa kobieta jest w pewnych aspektach życia półczłowiekiem. Jeśli padnie ofiarą przestępstwa, sprawca zostanie potraktowany dwukrotnie łagodniej, niż w sytuacji gdyby zaatakował innego mężczyznę. I nie chodzi tylko o wyrok. Jeśli kobieta przeżyje napad, ma prawo do połowy odszkodowania należnego w podobnym przypadku mężczyźnie. Takie same zasady obowiązują przy odszkodowaniach związanych nie tylko z umyślnymi przestępstwami, ale również przy wypadkach samochodowych. Choć zakrawa to na ponury żart, oficjalna wykładnia dla sędziów zawiera zapis, że zadośćuczynienie dla mężczyzny, który w wyniku wypadku straci płodność, ma być równe sumie, jaką otrzymałaby rodzina zabitej w tym samym wypadku niewiasty.

Kobieta jest półczłowiekiem także w sporach sądowych. Aby zrównoważyć zeznanie jednego mężczyzny, potrzeba dwóch kobiet świadków. Nawet jeśli on jest biednym rolnikiem, który nigdy nie ukończył żadnej szkoły, a ona absolwentką prawa. Dyskryminacja obejmuje też prawo spadkowe. Jeśli mąż kobiety umrze bezpotomnie, ma ona prawo do niewielkiej części spadku, większość przypadnie jego rodzinie. Jeśli zmarły miał dzieci, syna

i córkę, chłopcu należy się dwukrotnie większy majątek.

W zasadzie jedynym orężem kobiet w kwestiach małżeńskich pozostaje dziś tak zwane mahrije, czyli wpisane do umowy ślubnej zabezpieczenie na wypadek rozwodu. Zazwyczaj to określona suma pieniędzy, ale bywa też, że jako mahrije występuje jedynie obietnica sfinansowania porzuconej żonie podróży do Mekki. Trzeba przyznać, że islamskie sądy bardzo poważnie traktują te zobowiązania. Niejeden mężczyzna ociągający się z wypłatą mahrije trafił już do więzienia.

Z mahrije wiąże się ciekawa anegdota. W 1996 roku irańskie posłanki złożyły projekt ustawy, która obejmowałaby mahrije indeksacją, czyli zwiększaniem wartości zadośćuczynienia w przypadku wzrostu inflacji. Konserwatywny deputowany Abbas Abbasi ostro protestował przeciwko temu pomysłowi, argumentując, że „żona, która wychodzi za mąż w młodym wieku, posiada wielką wartość dla męża. Kiedy staje się starsza, jej wartość spada. Nie można więc dostosowywać inflacji do mahrije, ponieważ wartość kobiety jest po latach mniejsza”.

W parlamencie podniósł się wielki krzyk. Nawet konserwatywnie nastawione panie poczuły się urażone, jakby ktoś nazwał je towarem z drugiej ręki. Ostatecznie Abbasi znalazł się w mniejszości i projekt uchwalono.

## **edukacja na zgubę rewolucji**

Współczesny islamski Iran toczy nieustanną walkę między nowoczesnością a wzorcami prawnymi oraz obyczajowymi, które sięgają czasów Mahometa. Walka ta trwa także w gronie elity duchowieństwa. Zdecydowana większość ajatollahów wcale nie ma jednak ochoty, by zamienić Iran w szyicką wersję afgańskiego Talibanu. Oni chcą raczej udowodnić światu, że da się połączyć zasady koraniczne z wielkim planem budowy nowoczesnego państwa, śmiało rzucającego wyzwanie Zachodowi. Stąd eksperymenty z klonowaniem zwierząt, program atomowy, instalowanie satelit na orbicie okołozemskiej czy ostatnie plany wysłania w kosmos pierwszego irańskiego astronauty. O takich sukcesach nie ma co marzyć bez nauki i szkolnictwa wyższego, więc Iran stara się je rozwijać. Kłopot w tym, że choć nad kształceniem młodzieży czuwa kadra konserwatywnych urzędników, nigdy nie będą oni w stanie zapobiec powszechnej na całym świecie regule: uniwersytety są ostoją grup społecznych domagających się zmian. Im więcej jest ludzi wykształconych, tym więcej przybywa wrogów autorytarnej władzy.

Zaskakujące, że wszystkie rewolucje za jeden z głównych celów stawiają sobie powszechną edukację. Nie zależy im na rządzeniu ciemnogrodem. Rewolucjoniści szczerze wierzą, że odpowiednio poprowadzony system nauczania pozwoli wykreować nowego człowieka, wiernego po grób rewolucyjnym ideałom.

Kiedy szach Pahlawi kończył rządy, na uczelniach studiowało zaledwie sto siedemdziesiąt tysięcy osób, a ponad połowa Irańczyków nie miała pojęcia o czytaniu i pisaniu. Dziś analfabetów zostało zaledwie 16 procent, uczelnie zaś szturmują gigantyczne tłumy, w sumie prawie trzy i pół miliona studentów. Co ciekawe, ponad 60 procent z nich to kobiety, które dzięki zdobytej wiedzy zaczynają inaczej postrzegać swoją rolę w społeczeństwie. W efekcie w Iranie szybko rośnie liczba kobiet przedsiębiorczych, majątnych i wyzwolonych na tyle, że w związkach małżeńskich stają się wręcz liderami. Oprócz wolności domagają się dóbr konsumpcyjnych, dostępnych ludziom na Zachodzie. A dzięki internetowi, antenom satelitarnym, wakacjom w Turcji oraz krewnym, których miliony przebywają w Europie, USA, Kanadzie czy Australii - doskonale wiedzą, co interesuje kobiety na świecie.

W Teheranie nietrudno natknąć się na sklepy renomowanych, zachodnich marek. Benetton, Zara, Lacoste, Gucci, Swarovsky, Armani, Adidas, Puma, Diesel, Prada, Chanel, Versace, Dior, Dolce & Gabbana, Tommy Hilfiger - otwierają swoje salony w coraz

liczniejszych galeriach handlowych centralnego i północnego Teheranu. Można w nich kupić nawet tak zaskakujące towary jak kostiumy bikini. Co prawda poza kilkoma wydzielonymi plażami nad Morzem Kaspijskim i Zatoką Perską paradowanie w kostiumie kąpielowym jest surowo zabronione, ale na szczęście są jeszcze apartamentowce. Północna część Teheranu obrodziła w ostatnich latach budynkami, których nie powstydzilyby się największe metropolie zachodniego świata. W wielu z nich baseny, sauny czy jacuzzi to coś najzupełniej oczywistego. Władza godzi się na ich istnienie z prostego powodu - sama też z nich korzysta.

Pewnego dnia wybraliśmy się z Azade na kolację do jej krewnych. Okazja była szczególna. Kuzyn Azade, niezwykle uzdolniony absolwent medycyny, wyjeżdżał kontynuować naukę do Londynu. Na spotkaniu miała zebrać się cała rodzina, więc Azade postanowiła uczcić ten dzień wizytą w salonie piękności. Czy można sobie wyobrazić coś bardziej sprzecznego z ideami islamskiej rewolucji niż salon piękności? A jednak w ostatnich latach rosą one jak grzyby po deszczu. Na dodatek ich klientkami są nie tylko żony bogatych przedsiębiorców z północnego Teheranu. Progi tych przybytków zachodniego zepsucia coraz częściej przekraczają ubrane w czarne czadorzy żony bazarowych kupców, którzy mają opinię bardzo konserwatywnych i wspierających od lat władzę ajatollahów.

- Poznałam dziś u kosmetyczki Samane, żonę jubilera z bazaru. - Azade po wizycie w salonie piękności była wyraźnie podekscytowana. - Oczywiście przyszła w czadorze. Była sympatyczna, więc natychmiast się jej uczepiłam, przecież nie znam zbyt wielu takich kobiet. Okazało się, że Samane godzinę wcześniej była u fryzjera, gdzie zrobiła sobie trwałą ondulację, a do kosmetyczki przyszła na depilację włosów, manicure, pedicure, oczyszczanie cery. Ze sposobu, w jaki rozmawiała z obsługą, zrozumiałam, że jest stałą bywalczynią. Potem zobaczyłam, że pod czadorem ma drogą biżuterię, pomalowane paznokcie i markowe ciuchy, chyba z Zary. To niesamowite, ale pod koniec mojej wizyty byłam pewna, że Samane lepiej się czuje w salonie piękności niż ja. To prawda, że moje koleżanki nieraz opowiadały mi o podobnych spotkaniach u kosmetyczki, ale co innego usłyszeć, a co innego zobaczyć na własne oczy.

Azade nie mogła powstrzymać się, by nie zapytać nowej znajomej, czy jej mąż wie o jej wizytach w salonie piękności. Okazało się, że nie tylko wie, ale się z tego cieszy.

Jednym z ostatnich przejawów irańskiej rewolucji obyczajowej jest teherańska korporacja, złożona z siedmiuset taksówek, prowadzonych przez same kobiety i wożących również tylko kobiety. Dziennie z ich usług korzysta około dwóch i pół tysiąca klientek.

„Women's Taxi” to fenomen. Nawet w Europie widok kobiety taksówkarza jest niezwykle rzadki, a co dopiero na Bliskim Wschodzie. Iran w pewnych aspektach życia jest

wyjątkowo nowoczesny. W Arabii Saudyjskiej kobietom w ogóle nie wolno siadać za kierownicą. Tymczasem w Iranie, zwłaszcza w dużych miastach, kobieta za kółkiem jest czymś tak samo powszechnym jak w Europie.

## **Bóg jest wielki**

- Oni krzyczą „zamknąć mordy!” - szepnął mi na ucho Madzid, kiedy spoglądaliśmy z dachu kamienicy w północnym Teheranie na dogorywające wokół walki. Było coś niesamowitego w widoku basidżów, którzy krążyli na motocyklach pod kamienicami i uciszali w niewybredny sposób ludzi wznoszących okrzyk „Allahu Akbar!” (Bóg jest wielki). Najważniejsze od setek lat zawołanie muzułmanów nagle stało się niedozwolone. Bo też niespodziewanie przestało być symbolem dewocji, a stało się manifestacją zaufania do Boga w świecie, w którym ludzie powołujący się na niego najczęściej okazali się kłamcami. „Allahu Akbar!” - brzmiało teraz jak hymn oczyszczenia i przywrócenia wierze jej sensu. Wyraz nowego przymierza z Bogiem, wbrew hipokrytom, którzy z tym samym Bogiem na ustach gotowi są popełnić każdą podłość.

Okrzyk ten wznoszono trzydzieści lat wcześniej podczas islamskiej rewolucji. Ludzie wychodzili na dachy oraz balkony i krzyczeli wniebogłosy. Pod domami trąbiły wozy policyjne, a funkcjonariusze szacha wołali, by nie robić hałasu, tylko iść spać. Dziś historia zatoczyła koło.

Religijność Irańczyków jest czymś szczególnym. W porównaniu z sąsiednim Pakistanem czy Afganistanem Islamska Republika Iranu to - wydaje się - nazwa zdecydowanie na wyrost. W pakistańskim Peszawarze czy Kwiecie po ulicach krążą tłumy mułłów, meczety są pełne modlących się ludzi, widać, że religijność mieszkańców jest żywa. Iran stał się przykładem zasady „co za dużo, to niezdrowo”. Im bardziej ludzi przymusza się do islamu, tym mocniej, szczególnie w miastach, się temu opierają. Coraz więcej wykształconych Irańczyków uważa islam za religię agresywną, narzuconą przemocą kosztem staroirańskiego zoroastryzmu.

Instytut Gallupa w latach 2006-2008 przeprowadził w stu czterdziestu trzech krajach świata interesujące badania. Wynikało z nich, że dla 82 procent mieszkańców ziemi religia jest najważniejszą częścią ich życia. Pierwsza dziesiątka składała się niemal wyłącznie z krajów muzułmańskich (Egipt, Bangladesz, Indonezja, Sierra Leone, Senegal, Dżibuti, Maroko, Zjednoczone Emiraty Arabskie), a procent bardzo religijnych wyznawców oscylował między 98 a 99. Iran, uchodzący za skrajnie religijne państwo, uplasował się z 83 procentami w środku stawki, na poziomie amerykańskiej Alabamy.

Inne badanie Gallupa z 2007 roku porównywało przywiązanie obywateli Egiptu, Iranu i Turcji do szari'atu. Ankieterzy pytali, czy surowe prawodawstwo religijne powinno być

jedynym źródłem porządku w ich kraju. Najbardziej konserwatywny okazał się Egipt. Aż 64 procent mieszkańców tego państwa zgodziłoby się na oparcie prawodawstwa wyłącznie na szari'acie. Podobnej odpowiedzi w Iranie udzieliło tylko 14 procent, w Turcji 7 procent. Rok wcześniej podobne badanie z udziałem obywateli dziesięciu krajów muzułmańskich przyniosło bliźniacze wyniki. Wśród najbardziej religijnych państw znalazły się Egipt, Pakistan, Jordania i Bangladesz, gdzie ponad połowa ankietowanych opowiedziała się za prawem koranicznym. Najbardziej laickie okazały się: Iran (13 procent), Turcja (9 procent) i Liban (8 procent).

Przemierzyłem Iran wzdłuż i wszerz: samochodem, autobusem, pociągiem, samolotem. Jednak tylko kilka razy widziałem ludzi modlących się o ustalonych przez szari'at porach na poboczach dróg. W Pakistanie czy Egipcie taki widok jest codziennością. W Iranie jest to możliwe tylko przy okazji świąt lub w małych miejscowościach. W dużych miastach, w meczetach, gdy następuje przerwa w obrzędach, więcej ludzi śpi na dywanach, niż się modli.

W Tabrizie miałem ulubioną świątynię, w której chroniłem się przed upałem i siadałem na miękkiej podłodze, robiąc no tatki. Pewnego dnia policzyłem, że na dwadzieścia jeden osób przebywających akurat w meczecie jedenaście spało na czerwonych, wełnianych dywanach. Sen w świątyni nie jest dla muzułmanów niczym obrazoburczym, podobnie jak meczet nie jest tylko miejscem modlitw. Kościół, cerkiew czy bożnica to przestrzenie zamknięte. W dużych meczetach najwięcej miejsca zajmuje otwarty dziedziniec. To tam zbierają się ludzie, dla których dom boży to także po części ośrodek pomocy społecznej, kuchnia dla ubogich, klub dyskusyjny, centrum życia towarzyskiego i politycznego. A że czasem kogoś zmorzy sen? Nic w tym złego, by zażyć drzemki pod okiem Stwórcy.

Myliłby się jednak ten, kto na podstawie pobieżnych obserwacji i badań Instytutu Gallupa oceniłby Irańczyków jako ludzi masowo odchodzących od religii. Jeśli Irańczycy od czegoś odchodzą, to bardziej od duchownych i ich meczetów niż od samej wiary. Czasem robią to demonstracyjnie. Wiosną 2008 roku w Kermanie, niedaleko słynnego Muzeum Świętej Obrony, widziałem, jak młody mułła próbował znaleźć taksówkę, co w Iranie rzadko trwa dłużej niż kilkanaście sekund. Tymczasem mułła stał już dobrą minutę, a taksówkarze w ogóle go nie zauważali. Jeden z nich właśnie zatrzymał się kilkanaście metrów dalej, by zabrać starszą kobietę. Mułła podbiegł do samochodu, chcąc się dosiąść (w Iranie wiele taksówek jeździ tylko po określonych trasach i bierze po paru klientów), jednak kierowca odjechał z piskiem opon. Później wytłumaczono mi, że taki widok nie jest niczym wyjątkowym.

Gdyby zapytać wykształconego i ubranego w zachodnim stylu Irańczyka, kiedy ostatnio był w meczecie, niejedyn będzie miał bardzo poważne problemy, by przypomnieć sobie ten dzień. Ale gdy zadamy mu potem pytanie „czy jesteś muzułmaninem?”, najczęściej usłyszymy, że tak, i to z pełnym przekonaniem.

Przypominam sobie spotkanie z Pajomem i Arszą, dwójką bardzo zrewoltowanych studentów, ziejących wręcz nienawiść cią do ajatollahów. W trakcie rozmowy o konieczności zlikwidowania instytucji duchowego przywódcy Arszia poprosiła mnie, bym użyczył jej telefonu. Jej aparat wyładował się, a musiała natychmiast skontaktować się z kuzynem. Nie chciała skorzystać z telefonu Pajoma, gdyż co prawda są po zaręczynach, ale rodzina Arszii jest bardzo religijna. A to oznacza, że nie akceptuje, by przed ślubem narzeczeni spędzali z sobą zbyt dużo czasu. Arszia wolała więc użyć mojego aparatu i wytłumaczyć kuzynowi, że należy on do kolegi z pracy. Było to dla mnie dość szokujące, pachniało hipokryzją. Oboje niemal codziennie chodzili na demonstracje, co groziło przecież aresztem, wnosili okrzyki przeciwko ajatollahowi Chameneiemu, ale wobec rodzinnych zwyczajów pozostawali zupełnie bierni.

- Nie chcemy ranić ojca i matki. Ślub za pół roku, jakoś wytrzymamy tę konspirację - tłumaczyła się nieco zmieszana Arszia. - A poza tym, tak naprawdę, w głębi duszy to my jesteśmy głęboko wierzący. Tylko równocześnie tacy bardziej nowocześni i liberalni.

Religia w Iranie jest czymś, co porządkuje życie ludzi. Bywa nawet, że śmiertelne ofiary szyckiego reżimu stają się powodem powrotu do Boga. Moi teherańscy znajomi po raz pierwszy od lat masowo udali się do meczetów, by uczcić pamięć ofiar zielonej rewolucji. Wchodzili co wieczór na dachy swoich domów i wołali „Allahu Akbar!”. Przez jeden tydzień każdy z nich wypowiedział ten zwrot więcej razy niż przez całe dorosłe życie.

Kiedy liczyłem śpiących w tabriskim meczecie, obok modlił się młody chłopak, na oko dwudziestolatek. Ubrany raczej skromnie, jeśli nie liczyć paska z napisem Dolce & Gabbana (firmy założonej przez dwóch włoskich gejów). Powtarzał co chwilę „bismillah” (w imię Boga), klękał, niemal kładł się w pokorze na podłodze. Po skończeniu modlitwy Mahmud, bo tak miał na imię, przysiadł się do mnie i słabym angielskim zapytał, czy jestem z Turcji. Kiedy usłyszał, że pochodzę z katolickiego kraju, był szczerze zdziwiony, ale jednocześnie radosny i dumny, że Europejczyk interesuje się islamem. Kiedy wychodziliśmy z meczetu, podeszliśmy do metalowej szafy z dziesiątkami skrzynek, w których chowa się buty przed wejściem do meczetu. Otwierając tę skrzynkę, zauważyłem, że kluczyk wyprodukowano w Szanghaju. Było to dość absurdalne. Kiedy pobożny irański muzułmanin modlił się do Allaha, jego własności pilnuje zamek wyprodukowany w komunistycznych



Chinach. Kilka dni później dowiem się jeszcze z oficjalnej prasy, że większość kupowanych w Iranie czadorów również pochodzi z Chin.

Całe popołudnie spędziłem w domu Mahmuda i jego religijnych rodziców: ojca, sprzedawcy wełnianych chodników, ubranego w skromny garnitur, oraz matki, okutanej od stóp do głowy w czador i niepotrafiącej przemóc się, by choć na pożegnanie - gdy już prawie uznała mnie za swojego syna - podać mi rękę. Co ciekawe, wszyscy troje chcieli głosować na Musawiego. Zupełnie nie rozumieli, dlaczego mnie to dziwi. W końcu ojciec Mahmuda przyniósł mi wizytówkę wyborczą Musawiego: na obu stronach był portret Chomeiniego.

- Chcemy na niego głosować właśnie dlatego, że nie wstydzi się religii i czasów rewolucji. Budzi w nas zaufanie. A poza tym ja mam prosty sposób oceny ludzi. Jeśli ktoś ciągle kogoś oskarża, szuka nieustannie nowych wrogów, wsadza do więzień za odmienne poglądy, a przy okazji uważa, że wypełnia wolę Boga, to dla mnie jest kłamcą. Taki jest właśnie Ahmadineżad, tak go widzę - opowiadał pan Hosejn, prosty, niezwykle ciepły człowiek. Starym irańskim zwyczajem sączył herbatę przez umieszczoną w ustach kostkę cukru. Było mu łatwo, bo kostka idealnie wypełniała dziurę po dwóch utraconych zębach. Mimo zaledwie czterdziestu czterech lat Hosejn wyglądał na starca. Ciężkie, biedne życie, praca w dzieciństwie przy produkcji beczek, nieustanne przeprowadzki mocno zszarpały mu zdrowie.

Następnego dnia znowu trafiłem do mojego ulubionego meczetu przy bazarze. I znowu poznałem młodego chłopaka. Odmawiał modlitwy jedna za drugą, bił pokłony aż do ziemi i ze swoją obfitą brodą mógłby stać się idealnym bohaterem amerykańskiego newsa o islamskich radykałach. Tymczasem Ali tuż po zakończeniu ekstatycznej modlitwy odwrócił się i zaskoczony dostrzegł mnie, przybysza z obcego świata. Natychmiast uśmiechnął się, pozdrowił i przyłożył rękę do serca na znak pokoju. To popołudnie spędziłem w jego domu. Poznałem też jego rodziców, nieśmiałą matkę i ojca, emerytowanego urzędnika magistratu. Nie różnili się specjalnie od rodziców poznanego dzień wcześniej Mahmuda. Może poza tym, że chcieli głosować na Ahmadineżada. Bali się, że jak zwycięży Musawi, Iran znowu stanie się zachodnią kolonią, a oni będą musieli modlić się w podziemiu.

Kilkanaście dni później w Teheranie poznałem Mohammada, kuzyna mojej znajomej Szirin, trzydziestodwuletniego inżyniera. Inteligentny, wręcz błyskotliwy, zarazem niezwykle lojalny wobec islamskiej republiki. Z Mohammadem miałem poważny kłopot. Choć mieliśmy zupełnie inne poglądy, w wielu sprawach nie sposób było mu odmówić racji.

- Powiedz mi, cóż takiego wartościowego kryje ten wasz zachodni świat? Co moglibyście przynieść nam w darze? - pytał Mohammad. - Popatrz, jak umiera rodzina w

Europie, jak wielu żyje tam ludzi samotnych, mimo całego tego bogactwa i swobody dokonywania wyborów. Ile jest wokół was kłamstw, ile zdrady. Czy myślisz, że wasze dzieci są szczęśliwe w świecie, w którym ich rodzicom tak łatwo przychodzi podejmować decyzje o rozwodach? Popatrz na waszą telewizję, na te wszystkie teledyski, gdzie kobieta, pokazywana jak przedmiot, wije się wokół mężczyzny, służy wyłącznie zaspokajaniu jego fantazji seksualnych. To jest ta wasza wyższa świadomość? Czy wy, w tym świecie pełnym „wolności”, jeszcze zadajecie sobie pytanie o sens życia? Pogardzacie religią, zamieniacie kościoły na dyskoteki, ale czy stworzyliście coś trwałego w zamian? Mój świat nie jest na pewno idealny, ale zrobię wszystko, by nie dopuścić do Iranu waszych chorób. Nie chcę, by największym marzeniem moich rodaków było spełnianie doraźnych uciech. One nie dają szczęścia, one tworzą tylko poczucie nieustannego głodu. Nasze rodziny nie zasługują na podobny los. Wciąż są pełne miłości, wciąż są żywe, wciąż są naszą największą radością. Choćby dla tej jednej rzeczy warto walczyć o islamską republikę.

Istotą udanych przewrotów demokratycznych jest pustka otaczająca rządzących. Tak było w Europie ŚrodkowoWschodniej, gdzie pod koniec komunizmu nawet partyjni aparatczycy przestawali wierzyć w idee Lenina i zamieniali się w oportunistów, którym zależało tylko na spokojnym, dostatnim życiu. Komunistyczna wierchuszka dysponowała co prawda wielotysięcznymi oddziałami wojska i policji, ale pozbawiona była wsparcia społecznego, nie mówiąc o tysiącach komunistycznych „basidżów” czy „hezbollahowców”, gotowych przelewać krew w obronie systemu.

Inaczej jest w Iranie. Władze wcale nie są aż tak wyalienowane, jak to mogłoby wynikać z obrazu irańskich ulic w czerwcu

2009 roku. Oprócz milionów Irańczyków, po ludzku zmęczonych codzienną opresją ze strony systemu lub bardziej świadomych i zdeklarowanych przeciwników islamskiej republiki, istnieje też potężna grupa obywateli, dla których radykalny, konserwatywny islam wcale nie jest inną wersją zmęczonego komunizmu. Jest wciąż czymś żywym i czymś prawdziwym.

Nawet jeśli dla większości Irańczyków islamska rewolucja to dziś synonim niewoli, to jest to niewola, którą zaordynowali sobie sami. Nie narzucił jej nikt z zewnątrz, nie przyniosły jej obce bagnety. Rewolucja oparła się na ideologii, która dotarła do Iranu prawie czternaście wieków temu i już od dawna funkcjonuje tak naturalnie jak z sukcesem przeszczepione serce. Z perspektywy północnego Teheranu może to wyglądać inaczej, ale wystarczy ruszyć w stronę południowych lub wschodnich przedmieść, by zobaczyć świat rządzony przez konserwatywnych mułłów. W małych miastach i na wsiach ten kontrast jest jeszcze większy.

Wciąż jedynym oknem na świat pozostaje tam państwowe radio, telewizja, ocenzurowana prasa, a zwłaszcza meczet. I dlatego dla biedaka z prowincji północny Teheran, z jego apartamentowcami, galeriami handlowymi, autostradami i tłumami młodzieży ubranej w drogie ciuchy - będzie zawsze światem obcym, podejrzanym, ulegającym zepsutym wzorcom. „Rewolucja jeszcze się nie skończyła” - powtarza Ahmadineżad, a miliony ludzi mu wierzą i gotowe są zaciekle bronić islamskiej republiki.

## **tropem Alego i Hosejna**

Islam trafił do Iranu, kiedy ten leczył rany po wielkiej i zarazem przegranej wojnie z Bizancjum. Nowa wiara przybyła z terenu pustyni arabskiej, na którą wcześniej władcom zoroastryjskiej Persji nie chciało się nawet spojrzeć. Ich podboje zawsze omijały tę niegościnną, na wpół martwą ziemię, z biedną, nieliczną, zacofaną ludnością. I nagle, w siódmym wieku, u południowej granicy imperium - osłabionego wojną, a przede wszystkim korupcją i zepsuciem najwyższych warstw - pojawia się arabska armia, dowodzona przez niesamowicie zdolnych wojowników, zjednoczonych pod sztandarem nowej ekspansyjnej wiary. Najeźdźcy atakują i w czterodniowej bitwie pod Kadisiją pokonują dwukrotnie liczniejszą armię perską. Całe imperium zdobywają w jedenaście lat. Początkowo nie zależy im specjalnie na szerzeniu nowej wiary, uważają, że islam jest tylko dla Arabów. Bardziej skupiają się na ściąganiu podatków niż narzucaniu nowych obyczajów. Musi minąć trzysta lat, zanim większość Irańczyków zostanie muzułmanami. Ale nawet wtedy duch Persji nie ginie. Irańczycy łatwiej ulegają islamizacji niż arabizacji. Zachowują swoje obyczaje, święta, język, czasami nawet uzyskują wpływ na najeźdźców, zaszczepiając im osiągnięcia swojej antycznej cywilizacji: organizację administracji, system podatkowy i monetarny, modę i sposoby budowy domów.

Często można spotkać się z poglądem, że właśnie dla zaznaczenia swojej odrębności, wbrew arabskim najeźdźcom, Persja wybrała szyicką formę islamu. To duże uproszczenie. Aż do XV wieku zdecydowana większość Irańczyków była sunnitami. Bastion szyizmu stał za rogiem, tam, gdzie Mezopotamia, Bagdad, Kufa i Nadżaf. To tam rezydowali szyici - arabscy spiskowcy, przekonani, że po śmierci Mahometa doszło do wielkiego oszustwa. Zamiast przekazać władzę nad muzułmanami Alemu, najbliższemu krewnemu i najwierniejszemu towarzyszowi proroka, rada wspólnoty obwołała kalifem Abu Bakra, a po jego śmierci Umara i w końcu Usmana. Choć Usman jest dobrym muzułmaninem, wielu Arabów pamięta, że jego krewni zwalczyli Mahometa. Teraz, o zgrozo, opanowują powstające w nowym państwie miasta i garnizony, na dodatek nie chcą dzielić się z żołnierzami łupami wojennymi. Grupa najbardziej niezadowolonych przybywa do Medyny, otacza skromny dom Usmana i siecze go mieczami.

W takiej atmosferze do władzy w Arabii dochodzi wreszcie Ali. Nowy kalif ma za sobą wielu zwolenników, w tym potężne garnizony w irackiej Kufie i Basrze. Znany jest tam jako odważny żołnierz, sprawiedliwy przywódca, natchniony pisarz. Wśród przeciwników

Alego pierwsze skrzypce grają krewni Usmana z Damaszku. Nie mają ochoty rezygnować z licznych urzędów w świetnie zarządzanej i prosperującej prowincji, a poza tym boli ich, że Ali nigdy nie potępił zabójców Usmana. To samo zarzuca mu ukochana żona Mahometa, Aisza. Zaczyna się wojna domowa.

Bitwy, rozejmy, mediacje - ciągną się miesiącami. Ali coraz częściej okazuje niezdecydowanie, dręczą go rozterki, chce jakoś dogadać się z Damaszkiem. Części jego zwolenników wydaje się to niezrozumiałe, ich zdaniem mógłby w każdej chwili zmiażdżyć buntowników. Najwięksi radykałowie opuszczają kalifa, który właśnie wtedy popełnia najgorszy błąd swojego życia - podejmuje decyzję ukarania śmiałków. Kaze zabić dawnych towarzyszy, ale dwa lata później dosięga go zemsta. Ginie z ręki jednego z ocalałych radykałów. Otrzymuje cios zatrutym mieczem.

Z bratobójczych walk w łonie szyitów najbardziej korzystają krewni Usmana, którzy zamieniają teren dzisiejszej Syrii w monarchię dziedziczną. Dla przebywających w irackiej Kufie po grobowców Alego jest to sygnał do ostatecznej batalii. Wysyłają poselstwo do Medyny, w której przebywa Hosejn, syn Alego. Zanim jednak nowy kalif zdoła przybyć do Kufy, by stanąć na czele armii, zostaje otoczony na równinie pod Karbalą przez czterotysięczny oddział syryjski i zabity wraz z siedemdziesięciodwuosobową grupą swoich krewnych i przyjaciół. Jak mówi legenda, imam Hosejn ginie z malutkim synkiem na ręku.

Od śmierci Hosejna szyici tracą na znaczeniu, częściowo schodzą do podziemia. Zakładają bractwa mistyczne, kontemplują fatalistyczną wizję dziejów, w której Ali i Hosejn stają się centralnymi postaciami. Są dla nich niewinnymi męczennikami, zamordowanymi albo przez zdradliwych przyjaciół, albo przez obcych hipokrytów, żądnych bogactwa i władzy, a nie porządku bożego na ziemi. Ich wersja islamu, choć ma źródło nie w teologicznych dyskusjach, ale w politycznym sporze o sukcesję po Mahomecie - coraz bardziej oddala się od głównego, sunnickiego pnia.

Ofensywa szyizmu na terenie Persji wiąże się z o wiele późniejszym, tragicznym okresem, kiedy cieszący się pewną autonomią Irańczycy odbudowywali kraj po brutalnych najazdach z północy: najpierw Czyngischana, a potem armii Tamerlana. Skośnoocy awanturnicy mordowali i gwałcili ludność, palili domy, meczety i biblioteki, niszczyli systemy irygacyjne, rabowali, co się dało. Nie stworzyli jednak podstaw trwałej władzy. Gdy odeszli, kraj rozpadł się na kilka regionów, słabych i skłóconych. Wtedy właśnie, w północnozachodniej części Iranu, we wpływowej, ambitnej rodzinie o korzeniach azerskokurdyjskich, narodził się Ismail. Oddany sufickoszyickiemu mistycyzmowi, żył w głębokim przeświadczeniu, że należy do bożych wybrańców. Dalsze wypadki potoczyły się

niespodziewanie, w błyskawicznym tempie. W 1501 roku, kiedy Ismail miał czternaście lat, jego żołnierze podbili Tabriz, a po dziesięciu kolejnych latach Ismail dzierżył władzę nad terytorium przewyższającym wielkością dzisiejszy Iran. W granicach nowego państwa znalazł się m.in. iracki Nadżaf z grobowcem imama Alego oraz Karbala, gdzie znajduje się mauzoleum Hosejna. Wtedy też Ismail postanowił przekonać do szyizmu wszystkich swoich poddanych. Niestety, nie słowami, lecz brutalną przemocą, mordując tysiące opornych. Nie oszczędzał nawet niegroźnych, sunnickich mistyków - sufich (choć za sufiego sam się uważał), jeśli tylko dostrzegł, że nie chcą zaakceptować boskiego kultu Alego i Hosejna.

Nie jest więc prawdą, że Irańczycy przyjęli w XVI wieku szyizm, by odróżnić się od Arabów. Nie jest prawdą, że cierpieli z powodu męczeństwa imamów, pozbawionych prawowitej władzy i zdradzonych ponad osiem wieków wcześniej. Szyizm został im narzucony przez fanatycznego azerskiego księcia, który na dodatek do swojej akcji misyjnej wykorzystywał głównie arabskich duchownych. A że później na nowej wierze oparto - całkiem już szczerze - irański nacjonalizm oraz antyarabski wyróżnik Persji, to już zupełnie inna kwestia.

W dzisiejszym Iranie kult Alego i Hosejna jest wciąż niezwykle żywy. To coś unikatowego w skali świata. Na cześć młodszego z imamów co roku podczas święta Aszura tysiące ubranych na czarno mężczyzn biją się w rytm bębnow po policzkach lub wręcz biczą do krwi, szlochając przy tym i rozpamiętując jego cierpienie. Pełna ekstaza, zmacone umysły, błyszczące oczy, gotowość na śmierć. Ci ludzie szczerze wierzą, że władza nad wszystkimi muzułmanami (także nad sunnickimi Arabami) powinna należeć do nieprzerwanego ciągu potomków Alego i Fatimy. W sumie naliczyli ich dwunastu. Ostatni, Mohammad AlMahdi, przebywa od IX wieku w ukryciu i pewnego dnia powróci jako zbawca na czele wielkiej armii, która pokona zastępy szatana. Po prawej ręce Mahdiego kroczyć będzie Isa, ten sam, który w Biblii występuje jako Jezus, Bóg chrześcijan.

## islamski sensor

Jedziemy do Masule, uroczej wioski, położonej na wzgórzu w północnoirańskiej prowincji Gilan. Po drodze mam okazję przekonać się, jak różnorodna jest przyroda tego kraju. Większość obszaru Iranu stanowi pustynia, a jedynym zazwyczaj krajobrazem, widzianym zza szyby samochodu, są suche, spieczone słońcem wzgórza. I dlatego widok zielonej trawy budzi u większości Irańczyków uśmiech na twarzy. „Cze sabz, cze hoszgele!” (Jakie zielone, jakie piękne!) - szepczą moi towarzysze podróży na widok pola niedojrzałej pszenicy. Mówią, że jedziemy na obrzeża dżungli, więc spodziewam się ujrzeć co najwyżej marny lasik liściasty, bo na widok prawdziwej puszczy dostaliby pewnie zawału. A jednak nie mam racji. Niedaleko Kazwinu jest tama z wielkim zbiornikiem wodnym. Nieodległe wzgórza przez dużą część roku pokrywają chmury, które wyglądają, jakby rozłożyły się na wygodnej kanapie. Kiedy przez nie przejeżdżamy, krajobraz zmienia się o sto osiemdziesiąt stopni. Pustynnokalisty kraj przeistacza się w morze zieloności. Jest kilka stopni chłodniej i bardzo wilgotno.

Przez całą niemal drogę moi teherańscy przyjaciele śpiewają piosenki (każdy Irańczyk zna ich dziesiątki) i poza zachwytem nad zielonym kolorem wydają się kompletnie nie zwracać uwagi na świat za oknem. A jednak to pozory. Co prawda pod wpływem emocji dziewczynom pospadały z głów chusty, ale kiedy tylko zbliżamy się do punktu opłat na autostradzie lub policyjnego posterunku, wszystkim włącza się „islamski sensor”. Mężczyźni odsuwają się od kobiet, które niepostrzeżenie zakrywają włosy. A wszystko w bezsłownym porozumieniu, bez przerywania rozmowy, właściwie bez udziału świadomości. Kątem oka dostrzeżone światła budynków, progi zwalniające na jezdni - sygnał jest oczywisty: trzeba uważać. Potem mijamy checkpoint i niepostrzeżenie chusty ponownie zsuwają się w kilka sekund z głów.

- Nienawidzę tego. Czuję, że jestem jak pies Pawłowa. Akcja, reakcja. Nawet gdyby jutro ogłoszono, że chusty przestają być obowiązkowe, pewnie jeszcze miesiącami chwytalabym się ze strachem za głowę - mówi Azade.

Wioska Masule ma tysiąc lat i leży niespełna czterysta kilometrów na północ od Teheranu. Ponad setka domów przycupniętych u podnóża tonącej w chmurach góry, kilkadziesiąt sklepów z pamiątkami, kilka herbaciarni i barów z tradycyjną żywnością, jedna nowoczesna, obrzydliwie niepasująca do krajobrazu restauracja. Jest dość chłodno, pada deszcz, środek tygodnia, więc mimo że wieś jest jedną z najpopularniejszych miejscowości

wypoczynkowych w Iranie, świeci pustkami. Spacerujemy powolutku z Madżidem i przyglądamy się wyłożonym towarom. Oprócz pięknego, wełnianego rękodzieła rzuca mi się w oczy zalew chińskiej tandety, która w ostatnich latach doprowadziła do upadku wielu irańskich rzemieślników. Wyblakłe kolory, niechlujnie odlane, plastikowe formy. W jednym ze sklepów cała kolekcja plastikowych żołnierzy, też chińskiej produkcji. Są to żołnierze amerykańscy. Mundury dokładnie takie jak w Iraku. Te same hełmy lub pustynne kapelusze z rondem. Te same karabiny M-16. Tuż obok następny sklep i kolejna niespodzianka. Imitacja noża bojowego komandosów z napisem „US Army”.

Do dziś nie wiem, jak to możliwe, że w Iranie, w turystycznej miejscowości, można kupić symbole największego wroga islamskiej republiki. Sprzedawca, którego o to zapytałem, tylko się uśmiechnął i rzucił:

- Jak ktoś przyjdzie z pretensjami, to mu powiem, że nie znam amerykańskiego alfabetu i nie wiem, co tu jest napisane.

Trzysta metrów dalej, nieco na uboczu, stoi piękny, mały meczet. Zielona kopuła w środku i dwa minarety po bokach. Gruby, nierówny tynk, pokryty brązową farbą, wygląda jak plusz ochraniający wyziębioną, spowitą we mgłę świątynię. Wewnątrz jest niemal pusto, modli się mężczyzna, a obok wejścia krząta się Reza, stary dozorca. Wpuszcza nas do środka, choć wcześniej pyta, jakiego wyznania jestem.

- Chrześcijanin? A to niech wejdzie. Wierzysz w jednego Boga, a ja myślę, że to ten sam Bóg co mój - rozpromienia się Reza. Wbrew powszechnemu na Zachodzie mniemaniu, religia Jezusa Chrystusa należy do wyznań akceptowanych przez muzułmanów. Posiada bowiem swoją świętą księgę, Biblię, a wiele jej fragmentów opowiada o tych samych wydarzeniach, które znajdziemy na kartach Koranu. Mamy tych samych proroków, choć nie zawsze odgrywają tę samą rolę.

Kiedy opuszczamy z Madżidem meczet, dopada nas zziębiony Mehdi, który wcześniej był niemyim świadkiem naszej rozmowy z Rezą. Wyszedł wcześniej i pobiegł po syna, który zna trochę angielski. Teraz Mehdi, na oko pięćdziesięcioletni, wysoki, gruby, z wielkimi brwiami zrosniętymi pośrodku, zaprasza nas na herbatę do swojego domu. Na największej ścianie wisi gobelin. Młody, przystojny chłopak niesie na barkach kolorowo przybranego konia i siedzącą na nim pannę z burzą rozwianych włosów. Obraz przedstawia ponoć porwanie dziewczyny, jednak branka sprawia wrażenie, jakby o niczym innym nie marzyła, niż dać się uprowadzić. Na swojego porywacza patrzy raczej zalotnym niż przestraszonym wzrokiem. Rzeczywistość w Masule jest jednak mniej urocza od gobelinu. Choć Gilan należy do liberalnych prowincji, to elementarna swoboda obyczajowa dotyczy jedynie miast. W



Masule raczej nie spotkamy dziewcząt na ulicy, o rozwianych włosach nie wspominając. Po wsi chodzą niemal wyłącznie mężatki, i to przeważnie w jasno określonym celu: do sklepu, meczetu lub na pole. Te z kobiet, które jeszcze nie wyszły za mąż, mają wręcz obowiązek siedzieć w domach, bo dbające o dobre imię muzułmanki nie powinny kręcić się bez potrzeby po wsi i kłuć w oczy mężczyźni.

- To byłoby równoznaczne z rozwiązłością w przyszłości, trudno byłoby taką dziewczynę wydać za mąż - twierdzi Reza.

Jego córka również wychodzi tylko do szkoły lub do świątyni. Resztę czasu, w imię moralności, spędza w areszcie domowym.

W drodze powrotnej kolejna wieś i kolejny meczet. Spokojne wnętrza, stare dywany w proste, geometryczne wzory, kwieciste zawijasy wymalowane na ścianach. Za drzwiami, które co jakiś czas się otwierają, by wpuścić wiernego, mającą góry. Cały czas czuję badawczy wzrok młodego mułły, który ocenia poziom mojego skupienia. Egzamin wypadł pomyślnie, bo kilkanaście minut później Naser oprowadza mnie po pobliskim cmentarzu, zatrzymując się przy płaskich płytach upamiętniających jego krewnych.

Od Nasera aż bije duma, poczucie wyjątkowości. Należy do sajjedów. Tytuł ten oznacza, że potwierdzono skoligacenie jego rodziny z rodziną proroka Mahometa. Z racji postępującej edukacji społeczeństwa coraz mniej jest chętnych, by wierzyć, iż sajjedowie są w stanie potwierdzić ciągłość swojego rodu od niemal tysiąca czterystu lat, jednak na zapadłej, irańskiej prowincji nikogo to specjalnie nie dziwi. Mułłowie przynależni do sajjedów darzeni są wielkim szacunkiem i mają prawo nosić czarne, a nie białe turbany.

Na cmentarzu poznaję historię ostatniego półwiecza, choć nie ma w niej ani słowa o polityce i rewolucji, ot, proste, wiejskie losy. Dziadek Mohammad miał kuźnię i kilka koni, ale jeden go poniósł i spadli razem z urwiska. Dziadek skręcił kark. Ojciec odziedziczył kuźnię i wyremontował ją, ale interes szedł słabo, bo i czas koni minął. Kuźnię zburzono i powstał na jej miejscu dom. Właśnie przed nim stoimy.

Obiad składa się z baraniego kebabu, cebuli, pomidorów i świeżego chleba. Do picia jest duży jogurt z dodatkiem lekko gazowanej wody i mięty. Podaje go żona Nasera. Przez całe dwie godziny mojej wizyty powie do mnie tylko cichutkie „salam” i „choda hafez” (dzień dobry i do widzenia).

W tym czasie Naser tłumaczy mi, jak postrzega świat irańska wieś.

- Zawsze byliśmy bardzo biedni. Teheran nigdy o nas nie pamiętał. Dopiero po rewolucji coś się zmieniło, a za prezydenta Ahmadineżada staliśmy się naprawdę ważni. On jakoś znajduje czas, by jeździć po kraju i słuchać naszych opowieści. No i nam pomaga.

Uruchomił tanie pożyczki, dopłaty i ceny gwarantowane, dzięki którym kilku ludzi w naszej wsi wydzierżawiło pola, kupiło sprzęt rolniczy. W przyszłym roku rząd zbuduje nam też nową drogę.

W tym, co mówi Naser, jest wiele racji. Pod koniec panowania szacha 65 procent żywności pochodziło z importu, a rolnicy klepali biedę, nie mając szans w konkurencji z wielkimi zachodnimi korporacjami, zalewającymi Iran. Teraz ponad 80 procent żywności trafia do sklepów wprost z irańskich pól i gospodarstw. A wieś, choć nadal biedna w porównaniu z miastem, dostrzega poprawę z roku na rok. Co prawda w niektórych miejscowościach, zwłaszcza na południu, łatwiej jest o stację przekaźnikową dla telefonii komórkowej niż o wodociąg czy kanalizację, ale Naser ma nadzieję, że i to się kiedyś zmieni.

- Gdyby władzę przejął Musawi, wszyscy by o nas zapomnieli - uważa. - Przecież wziął sobie do pomocy Rafsandżaniego. Każde dziecko wie, że to łapówkarz, który myśli tylko o swoim bogactwie. A Ahmadineżad? Nikt mu nie udowodnił nigdy prywaty i nikt mu pewnie nie udowodni. To człowiek skromny, szczerzy, prostolinijny, o głębokiej, prawdziwej wierze. Ufam mu.

Pada jeszcze jeden argument, dziwny o tyle, że używa go mułła. Ahmadineżad, choć postrzega się go jako uległego szyickiemu establishmentowi, jest jednocześnie pierwszym prezydentem Iranu, który nie pochodzi z duchowieństwa. Uznawany przez wielu za produkt systemu, Mahmud Ahmadineżad na swój sposób jest outsiderem.

## **nadzieja w jasnej kurtce**

Urodził się w 1956 roku we wsi Aradan, niecałe sto kilometrów na wschód od Teheranu. Jego matka zajmowała się domem, ojciec Ahmad prowadził męski salon fryzjerski. Nawet w czasach, gdy bieda zaglądała mu w oczy, zawsze pamiętał o muzułmańskim, szlachetnym nakazie płacenia jałmużny, aby wesprzeć jeszcze uboższych członków wspólnoty religijnej. W rok po urodzeniu się Mahmuda (był czwartym dzieckiem) cała rodzina ruszyła śladem tysięcy innych biedaków w stronę Teheranu. Zamieszkali w południowej części miasta, a ojciec Ahmad założył tam warsztat kowalski.

Przyszły prezydent od dzieciństwa był niezwykle ambitnym, pilnym i grzecznym uczniem, do tego niezwykle oddanym rodzinie i religii. Jak twierdzi w autobiografii na swoim blogu, od najmłodszych lat był zafascynowany charyzmą ajatollaha Chomeiniego. Kiedy w 1975 roku postanowił zdawać na uniwersytet, był już ukształtowany politycznie.

W Iranie egzamin na studia ma charakter ogólnokrajowego konkursu. Nie zdaje się do konkretnej szkoły, ale odpowiada pisemnie na przygotowane w centrali pytania z interesującego nas kierunku. W zależności od liczby zdobytych punktów kandydaci otrzymują do wyboru różniące się prestiżem i poziomem kształcenia uczelnie.

Ahmadineżad zdał egzamin celująco. Choć wraz z nim zdawało ponad sto czterdzieści tysięcy uczniów, Mahmud uzyskał sto trzydziesty drugi wynik w skali całego kraju, co pozwalało mu wstąpić na słynny w Iranie Uniwersytet Amir Kabir, specjalizujący się w kierunkach politechnicznych. Ahmadineżad wybrał jednak studia inżynierskie w trochę gorszej szkole, Uniwersytecie Technologicznym we wschodnim Teheranie, gdzie wtedy mieszkał. Niemal od razu wpadł w wir wydarzeń, które zmiotły po kilku latach reżim szacha.

Ahmadineżad przystąpił do nielegalnej islamskiej organizacji studenckiej. Jego patronem duchowym był jeden z późniejszych przywódców rewolucji, twardogłowy ajatollah Mohammad Beheshti. Młody student dał się poznać jako odważny, bystry redaktor podziemnej prasy oraz uczestnik antyrządowych demonstracji. Musiał nawet z tego powodu się ukrywać. Dzięki Behesztiemu trafił ponoć aż do Bejrutu, gdzie przyjmowali go przyszli przywódcy libańskiego Hezbollahu.

W porewolucyjnym życiorysie Ahmadineżada jest pełno dziur i sprzecznych informacji. Niektóre źródła mówią, że był urzędnikiem, inne, że służył w wojsku, wywiadzie oraz aparacie bezpieczeństwa, a nawet że miał związki z brygadami AlQuds, specjalną jednostką Gwardii Rewolucyjnej, która szkoliła w tamtych czasach palestyńskich

bojowników oraz mordowała irańskich dysydentów w krajach europejskich. Najbardziej prawdopodobna i najlepiej udokumentowana wersja (przytoczona przez Mei ra Dżawedanfara w książce *Nuklearny sfinks*) głosi, że przyszły prezydent w latach osiemdziesiątych pełnił funkcję burmistrza miast Maku i Choj na północy kraju, a potem doradcy budowlanego gubernatora irańskiego Kurdystanu. Równoległe z pełnieniem rządowych funkcji Ahmadineżad kończył pracę magisterską, a po jej obronie został żołnierzem Gwardii Rewolucyjnej i stacjonował w Ramazan niedaleko granicy irackiej. Nie brał jednak udziału w bezpośrednich walkach na froncie.

Po zakończeniu wojny z Irakiem Ahmadineżad został wykładowcą na Uniwersytecie Technologicznym, doradzał też w Ministerstwie Kultury i Przewodnictwa Muzułmańskiego. Po kilku latach wyjechał nad Morze Kaspijskie, by stać się gubernatorem prowincji Ardabil. Niektórzy jego przeciwnicy sugerują, że doszło w tym czasie do zdefraudowania ogromnych funduszy publicznych, jednak nie ma na to twardych dowodów. Mieszkańcy prowincji zapamiętali go raczej dobrze, jako sprawnego organizatora odbudowy po trzęsieniu ziemi, które nawiedziło region.

Karierę polityczną Ahmadineżada zastopował na pewien czas Mohammad Chatami, który został prezydentem w 1997 roku. Nie po drodze mu było ze znanym z bardzo konserwatywnych poglądów gubernatorem. Zawrócił go do Teheranu. Ahmadineżad ponownie pojawił się na uniwersytecie, ukończył pracę nad doktoratem i stał się jednym z popularniejszych i bardziej cenionych wykładowców. Równocześnie jego pozycja w środowisku konserwatystów wciąż rosła. Utalentowany naukowiec i inżynier, który do wszystkiego doszedł ciężką pracą, a na dodatek wierny sługa islamu, był dla systemu niezwykle atrakcyjny. Został wytypowany na kandydata środowiska fundamentalistów w wyborach burmistrza Teheranu i wygrał je, choć zwycięstwo to bardziej było efektem ogólnej apatii charakteryzującej w tym czasie Irańczyków niż atrakcyjności programu kandydata. Do urn poszło zaledwie 12 procent wyborców.

Ahmadineżad nie powtórzył sukcesu słynnego burmistrza Teheranu z lat dziewięćdziesiątych, Qolama Hosejna Karbasciego. Karbasczi zastał stolicę brudną i szarą, a zostawił czystą i zieloną. Przybysza z zagranicy może zaskoczyć, jak dużo jest w Teheranie zbudowanych za Karbasciego parków i placów zabaw, tłumnie odwiedzanych przez całe rodziny. Prawdziwym ewenementem na skalę światową są tak zwane skwery gimnastyczne. To dziesiątki terenów zielonych, czasem wciśniętych między ruchliwe ulice, w których teherańczycy, zwłaszcza kobiety, rozciągają się i ćwiczą mięśnie na specjalnych urządzeniach sprawnościowych. Kolejną pamiątką z tamtych czasów są nowoczesne osiedla, budynki

użyteczności publicznej i centra kultury, ożywiające ponure dzielnice południowego Teheranu. Część z nich powstała w miejsce domów, które pierwotnie zbudowano bez pozwolenia, a potem, decyzją Karbasczego, wyburzono.

Ahmadineżad jako burmistrz nie zapisał się w pamięci teherańczyków inwestycjami na miarę Karbasczego, brakowało mu odwagi i wyobraźni. Był jednak sprawnym populistą. Nie brał urlopu, zrezygnował nawet z kilku tysięcy dolarów pensji, utrzymując się ponoć jedynie z honorarium uniwersyteckiego wykładowcy. Choć wydawał z miejskiej kasy mnóstwo pieniędzy na uroczystości religijne i patriotyczne, zarazem odnosił pewne sukcesy, m.in. w usprawnieniu komunikacji w zakorkowanej stolicy. Właśnie wtedy w najwyższych kręgach władzy zaczęto zastanawiać się, czy nie wystawić go w nadchodzących wyborach na prezydenta Iranu. Nie dawano mu wielkich szans, miał raczej przetrzeć szlaki w wielkiej polityce. Rada Strażników zaakceptowała jego wniosek razem z siedmioma innymi osobami: trzech kojarzono z obozem konserwatywnym, czterech kolejnych miało bardziej reformatorskie poglądy. Cóż z tego, skoro żaden z nich nie cieszył się szczególnym autorytetem.

Głównym przedstawicielem reformatorów miał być Mustafa Moin, lekarz pediatra. Był już w przeszłości członkiem władz: jako minister szkolnictwa wyższego w czasach prezydentury Rafsandżaniego i minister nauki w rządzie Chatamiego. Z tej ostatniej funkcji zrezygnował po spacyfikowaniu protestów studenckich w 1999 roku. Moin był postacią szlachetną, ale brakowało mu charyzmy. Nic dziwnego, że po przegranej (zajął czwarte miejsce, uzyskując 14 procent głosów) zniknął zupełnie ze sceny politycznej Iranu.

Drętą kampanię prowadzili również twardogłowi. Z jednym wyjątkiem - Ahmadineżada, który zastosował sprytną taktykę. Przedstawił sam siebie jako skromnego wykładowcę i urzędnika, który nigdy nie dorobił się na władzy. Za przyzwoleniem Chameneiego piętnował korupcję i bogacenie się establishmentu: urzędników i duchownych. Miał stać się ożywczym powiewem w skostniałym środowisku.

Ahmadineżad trafił na podatny grunt, a kiedy sprzymierzył się z basidżami, zyskał tysiące wolontariuszy, którzy jeździli po kraju i namawiali, by głosować „na jednego z nas”. Czyli skromnego, ale zdecydowanego brodacza, obiecującego powrót do źródeł rewolucji, co uwiarygodniał tani, prosty garnitur lub najzwyczajniejsza jasna kurtka z zamkiem błyskawicznym - symbole niechęci do przepychu.

W drugiej turze wyborów Ahmadineżad pokonał Rafsandżaniego. Ludzie, mając do wyboru uczciwego, jak się wtedy wydawało, konserwatystę oraz oportunistycznego technokratę, o którego bogactwie krążyły legendy - zaryzykowali konserwatywny

eksperyment. Czterdzieści procent obywateli zostało w domach, nie mając ochoty na wybieranie między złym i gorszym.

Zwycięstwo Ahmadineżada było na rękę ajatollahowi Chameneiemu. Wiedział, że w przeciwieństwie do Rafsandżaniego Almadineial będzie wiernym wykonawcą jego rozkazów. Zwłaszcza że miał podobną, skrajnie antyzachodnią wizję świata. Zgodnie z tymi oczekiwaniami Ahmadineżad napisał historię swojej pierwszej prezydentury, podając w wątpliwość Holokaust i nadając przyspieszenie programowi atomowemu, który dosłownie zelektryzował cały świat. Nawiązał też wiele sojuszy, zbliżając się do Rosji i Chin, a zwłaszcza do Wenezueli, rządzonej przez Huga Chaveza. Irańskie gazety pełne są dziś informacji o kolejnych umowach gospodarczych i wojskowych między oddalonymi o ponad dziesięć tysięcy kilometrów krajami, których teoretycznie nic nie powinno łączyć, zwłaszcza że Chavez od lat fascynuje się Trockim i Fidelem Castro. Jednak religijnemu Ahmadineżadowi wcale to nie przeszkadza. Ważniejsze jest, że obaj z Chavezem nienawidzą Ameryki. Z tego powodu Ahmadineżad gotowy jest nawet promować największego idola Chaveza - Ernesta Che Guevarę. Dziś w wielu księgarniach Teheranu można kupić książki i plakaty, których bohaterem jest ten zdeklarowany antyimperialista, komunista i ateista. W 2007 roku doszło nawet do komicznej sytuacji podczas wizyty córki i syna Che Guevary w Iranie. Tłumy bojówkarzy Hezbollahu wznosiły okrzyki na cześć rewolucjonisty, a mówcy usiłowali udowodnić, że ani Che Guevara, ani Fidel Castro nigdy nie byli komunistami i nigdy nie walczyli z religią. Festiwal absurdu przerwała dopiero Aleida Guevara, kiedy wyraźnie zdenerwowana ogłosiła z głównej sceny, że Kubańczycy są narodem socjalistycznym, a jej ojciec nigdy nie spotkał Boga i nigdy nie uwierzył w istnienie jakiegokolwiek prawdy absolutnej.

Groteskowe sojusze i gwałtowna, antyzachodnia i antyizraelska retoryka sprawiły, że Iran zaczęto znowu postrzegać jako państwo nieodpowiedzialne i nieprzewidywalne. Wrażenie to pogłębiała nieudolna i zarazem podejrzana polityka gospodarcza. Na przykład irański Bank Centralny nie może się dziś doliczyć sześćdziesięciu sześciu miliardów dolarów z handlu ropą, które powinny do niego trafić w czasie prezydentury Ahmadineżada. Prawdopodobnie część z tej sumy wypłynęła z kraju, by wspierać walczące z Izraelem Hamas i Hezbollah, a resztę pochłonęły przepastne kieszenie skorumpowanych, wysoko postawionych duchownych i oficerów służb bezpieczeństwa. Ahmadineżad milczy w sprawie bankowej zguby, bo pamięta, że obiecywał walczyć z korupcją, ale nic ostatecznie nie wskórał.

Aby utrzymać popularność, prezydent musiał zacząć szukać poklasku na innym polu:

w rozbudowanym, populistycznym systemie subsydiów. Dziś dopłaty rządowe sięgają niemal stu miliardów dolarów rocznie (prawie 30 procent budżetu) i obejmują wszystkich Irańczyków, niezależnie od tego, czy są bogaci, czy biedni. Dla przykładu litr benzyny kosztuje równowartość czterdziestu centów. Irańczycy mają też prawo do comiesięcznego zakupu sześćdziesięciu litrów paliwa po promocyjnej cenie dziesięciu centów.

Ahmadineżad po latach zrozumiał, że subsydia wykańczają gospodarkę. W styczniu 2010 roku parlament zaakceptował jego plan, przewidujący powolne obniżanie dopłat i przekazywanie części zaoszczędzonych pieniędzy najbiedniejszym. Prawdopodobnie proces ten będzie jednak długi, bo od subsydiów zależy popularność rządu. Irańczycy będą więc jeszcze przez kilka najbliższych lat korzystać z niewielkich kosztów zakupu nie tylko paliwa, ale także żywności, leków, wody, prądu i gazu. Cena tego ostatniego jest tak niska, że w irańskich domach przyrządzanie tradycyjnej herbaty polega na tym, iż czajnik z wodą stoi na otwartym ogniu godzinami, by właściciel zawsze miał pod ręką wrzątek. W efekcie Irańczycy są klasyfikowani na czwartym miejscu pod względem zużycia gazu na świecie. To wielkie marnotrawstwo w połączeniu z paliwową kontrabandą (ludzie masowo przemycają tanią benzynę do sąsiedniej Turcji, gdzie litr kosztuje równowartość ponad dwóch dolarów) rujnuje ekonomię Iranu. Inflacja waha się od 10 do

30 procent, a nieudolnie sterowana gospodarka nie tworzy nowych miejsc pracy. Według oficjalnych danych bezrobocie sięga 12 procent, jednak liczba ta może być nawet dwukrotnie zaniżona. Wśród Irańczyków, którzy nie ukończyli trzydziestki, prawdopodobnie sięga 30 procent. Brak pracy dla młodych specjalistów wraz z coraz bardziej duszną atmosferą obyczajową doprowadziły do pogłębienia i tak już masowego exodusu za granicę. Według danych Międzynarodowego Funduszu Walutowego Iran ma w ostatnich kilku latach najwyższy wskaźnik tak zwanego *brain drain* (drenaż mózgu) spośród sześćdziesięciu jeden badanych państw. Co roku około stu pięćdziesięciu tysięcy Irańczyków wyjeżdża za granicę szukać lepszej przyszłości. To prawdziwa klęska cywilizacyjna, gdyż zdecydowana większość emigrantów to ludzie dobrze wykształceni. Na szczęście dla Iranu nie jest to emigracja w ścisłym tego słowa znaczeniu. W przeciwieństwie choćby do komunistycznych reżimów, gdzie paszporty obywateli trzymano w urzędach, Irańczycy mają je cały czas pod ręką, w domu. Jeśli więc emigrują, zawsze zostawiają sobie furtkę do powrotu, a władza nie traktuje ich jak uciekinierów. W większości przypadków w ogóle nie obchodzi jej, dokąd kto się wybiera.

## **otoczony tarczą światła**

W grudniu 2005 roku do internetu wyciekł film z prywatnej audiencji Ahmadineżada u ajatollaha Abdollaha Dżawada Amolego. Prezydent opowiadał mu o swojej pierwszej wizycie w Nowym Jorku, dokąd przyjechał na obrady ONZ. Twierdził, że po przemówieniu, które wygłosił, jeden z członków irańskiej delegacji miał podejść do niego i stwierdzić: „Kiedy zacząłeś od słów «w imię Boga», ujrzałem, jak otacza cię światło. Byłeś pod jego ochronną tarczą aż do końca”. W nagraniu Ahmadineżad zwraca się w stronę ajatollaha Amolego i potwierdza: „Czułem wtedy to samo. Czułem, że nagle zmieniła się atmosfera i przez następne dwadzieścia siedem lub dwadzieścia osiem minut żaden z liderów nawet nie mrugnął. Nie przesadzam. Patrzyłem na to. Oni byli zdumieni. Otworzyłem ich oczy i uszy”.

Ahmadineżad wielokrotnie w czasie swojej prezydentury sugerował bliski, osobisty kontakt z Najwyższym. Twierdził również, że prezydent George W. Bush działa pod wpływem szatańskich wizji, a marzeniem Amerykanów jest powstrzymanie powrotu szyickiego zbawiciela - dwunastego imama Mahdiego. Dla jednych stanowiło to dowód na transcendentne podejście do polityki, dla innych - na szaleństwo Ahmadineżada. Ta druga wersja od lat karmiona jest informacjami o bardzo bliskich związkach prezydenta z Masbahem Jazdim, skrajnie konserwatywnym i antyzachodnim ajatollahem. Po Iranie krążą setki pogłosek, kreujących Jazdiego na lidera sekretnego stowarzyszenia Hodżatije, które wypatruje znaków świadczących o zbliżającej się apokalipsie i przygotowuje się do wojny z szatanem u boku Mahdiego. Dotychczas nikt jednak nie przedstawił żadnego twardego dowodu na istnienie tajemnej sekty, a tym bardziej członkostwa w niej Ahmadineżada. Być może jest to tylko budząca dreszczyk emocji legenda, o którą łatwo w przypadku tak „oryginalnej” postaci, jaką jest irański prezydent.

Najbliższa prawdy o Ahmadineżadzie wydaje się wersja, że jest on w takim samym stopniu religijnym fanatykiem, co wytrawnym i sprytnym graczem. Wie, jak wykorzystać religię i jak zaskarbić szacunek islamskiego kleru oraz biedaków, dla których wiara w Boga jest często jedną z niewielu rzeczy, które naprawdę posiadają. Kiedy do nich jedzie, ubrany w swój prosty garnitur lub kurteczkę na suwak, w ustach ma pełno odniesień do Allaha, a w rękach prezenty: czasem ziemniaki, czasem gotówkę, czasem coś ważniejszego, jak szpital powiatowy czy nowa droga. Przed ostatnimi wyborami, według raportów wyniesionych potajemnie z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Irańczykom z prowincji - prawie pięciu milionom ludzi - rząd rozdał po osiemset tysięcy riali (czyli około osiemdziesięciu dolarów na



głową) jednorazowej zapomogi. Podwyżki w wysokości od stu do trzystu dolarów dostali też nauczyciele, pielęgniarki, urzędnicy, emeryci. Wzrosły stypendia dla studentów.

Wiara w Boga i rozdawanie państwowej zapomogi - na tych podstawach nie da się w Iranie stworzyć trwałej władzy. Potrzebna jest jeszcze realna, fizyczna siła. Tę najlepiej reprezentuje ulubiona struktura irańskiej władzy - Gwardia Rewolucyjna (nazywana tu Sepah lub Pasdaran). To prawdziwa ostoja rządu.

Ahmadineżad odbywał służbę wojskową właśnie w Sepah, tak samo jak połowa członków jego pierwszego gabinetu rządowego oraz ćwierć obecnego.

Irańskie siły zbrojne podzielone są na dwa człony. Pierwszy stanowi klasyczna armia, licząca ponad pół miliona żołnierzy. Większość służących tam ludzi to rezerwiści, którzy nie cieszą się przesadnym zaufaniem władz. Są niepewni ideologicznie. Podczas ostatniego przedwyborczego marszu zwolenników Musawiego widziałem, jak tłum podszedł pod bramy bazy transportowej ochranianej przez wojsko. Ludzie prosili o wodę i dostali ją niezwłocznie, wraz z życzeniami zwycięstwa. Kilkanaście minut później na placu Azadi dwóch żołnierzy na przepustce kręciło się w tłumie demonstrantów. Na przegubach mieli zielone wstążeczki, symbol reformatorów, i w ogóle nie wyglądali na przestraszonych swoją „antysystemową” demonstracją.

Gwardia Rewolucyjna to zupełnie inna sprawa. Jest silnie zideologizowaną, niezależną od armii strukturą, podległą bezpośrednio Alemu Chameneiemu. Liczy sto dwadzieścia tysięcy żołnierzy, którzy podzieleni są na oddziały lądowe, flotę morską, siły powietrzne. Posiada osobne ministerstwo, własne agencje prasowe, kontroluje ruch basidżów, a poprzez elitarne brygady AlQuds prowadzi działalność międzynarodową, szkoląc libański Hezbollah i finansując milionami dolarów akcje terrorystyczne. Na dole tej struktury są fanatyczni żołnierze, którzy szczerze wierzą, iż stanowią najważniejszą ostoję systemu. Wielu jest gotowych oddać życie w imię rewolucji. W szeregach dowództwa wierność państwu ma również zupełnie przyziemne przyczyny. Sepah stanowi prawdziwą potęgę ekonomiczną z setkami przedsiębiorstw, obracającymi miliardami dolarów rocznie. Firmy zarządzane przez gwardię czerpią profity z prywatyzacji, która w Iranie często polega na sprzedawaniu państwowego majątku (po zaniżonych cenach) spółkom zakładanym przez ludzi powiązanych z władzami.

Przedsiębiorstwa należące do Sepah uwikłane są w handel ropą i gazem, budowę zakładów przemysłowych, rurociągów, wodociągów, tam, mostów, linii metra, portów morskich, lotnisk, autostrad, szpitali, banków i hoteli. Do gwardii należą też spółki, które zdominowały irański rynek usług internetowych oraz telefonicznych. Firmy te, choć

korzystają z rządowych subsydiów, nie dzielą się pieniędzmi z państwem. Ich zyski nie są częścią budżetu Iranu i pozostają poza całkowitą kontrolą parlamentu. Dzięki temu gwardia może wikłać się w interesy, które teoretycznie są obce islamskiemu państwu. Po Iranie krążą legendy o sieci spółek rejestrowanych w krajach arabskich, za których pośrednictwem gwardziści sprowadzają do Teheranu zakazane towary: sprzęt do odbioru telewizji satelitarnej, najnowsze zachodnie filmy na DVD, papierosy czy nawet alkohol.

Sepah stanowi dziś ogromną, być może największą siłę w obrębie islamskiej republiki. Jest gwarancją stabilności państwa, a jej rola będzie jeszcze wzrastać wraz z rosnącą siłą opozycji i kolejnymi ulicznymi rewoltami. W skrajnym scenariuszu może nawet dojść do próby zmarginalizowania roli szyickiego kleru i zmiany zagrożonego systemu w klasyczną juntę wojskową, z duchowym przywódcą jako figurantem.

Największym sojusznikiem Sepah jest obecnie Mahmud Ahmadineżad. Co prawda to nie on, lecz Ali Chamenei jest formalnym przywódcą gwardii i może w każdej chwili wymienić całe jej kierownictwo, niemniej jednak to właśnie Ahmadineżad dba o codzienne kontakty z najwyższą kadrą.

Siłą prezydenta są również doskonałe układy z podległą Sepah kolejną potężną instytucją. Basidże Mostazafin (Mobilizacja Ciemniejących) to paramilitarna milicja założona przez ajatollaha Chomeiniego w pierwszym roku rewolucji. Według oficjalnych statystyk ruch basidżów liczy dwanaście milionów członków, w tym pięć milionów kobiet. Inne, mniej zależne od rządu źródła podają, że liczba ta jest jednak co najmniej czterokrotnie zawyżona. Waszyngtońskie Centrum Międzynarodowych Studiów Strategicznych podaje, że dziewięćdziesiąt tysięcy basidżów jest stale pod bronią, a czterysta tysięcy pozostaje w ciągłym pogotowiu. Jako że działają we wszystkich irańskich miastach, są niezwykle groźnym orężem, używanym do duszenia w zarodku każdego przejawu niezależnego myślenia. Ich rola nie jest wyraźnie określona w irańskim prawodawstwie, jednak w praktyce uprawnienia basidżów są bardzo szerokie: od zatrzymywania młodzieży za nieprzepisowy strój i konfiskowania anten satelitarnych aż po używanie noży i broni palnej podczas tłumienia antyrządowych demonstracji i wyrzucanie z okien akademików zrewoltowanych studentów. W społeczeństwie irańskim basidżowie wzbudzają strach większy niż policja. Nieprzewidywalni, gotowi wypełnić każdy rozkaz. Prawdziwi ulubieńcy władz, którzy w zamian za wierną służbę mają zagwarantowane dodatkowe punkty przy egzaminach na studia oraz atrakcyjne oferty pracy. Początek ich historii wiąże się z wybuchem wojny z Irakiem, kiedy Chomeini wezwał tysiące młodych ochotników, by bronili ojczyzny. Źle wyszkoleni, źle wyposażeni, ale za to zindoktrynowani, szli jako ludzka fala na front, wykorzystywani nie

tylko do szturmów, ale też do rozbrajania pól minowych. Wcześniej do tego celu próbowano używać krów, ale kiedy jedna wylatywała w powietrze, reszta miała niewielką ochotę na kontynuowanie marszu i zawracała, rycząc przeraźliwie. Szybko zastąpili je młodzi basidżowie, których wyposażano w plastikowe klucze do raju, by wiedzieli, że nawet jeśli zginą, to tego samego dnia czeka ich nagroda w niebie. Szli drogą męczeństwa, śladem imamów Alego i Hosejna. Niebieskie kluczyki produkowano na Tajwanie.

## **nic nie jest tym, czym się wydaje**

Arterie komunikacyjne północnego Teheranu wyglądają imponująco. Wielopasmowe autostrady, wiadukty, skomplikowane ślimaki. Niejedno nowoczesne państwo mogłoby pozazdrościć takich dróg, choć pewnie niejedno zaprojektowałoby je mniej chaotycznie. Nawet legendarne teherańskie korki wydały mi się nieco przereklamowane. Daleko im do standardów indyjskich, z ich monstrualnym tłumem rowerów i rikszy motorowych. W Teheranie czuje się o wiele lepszą organizację ruchu, większość kierowców respektuje nawet taki wynalazek, jak sygnalizacja świetlna, co w Azji wcale nie jest normą.

A jednak to wszystko jest tylko ładnie wyglądającą fasadą. Bo kiedy nasz irański kierowca ruszy już spod świateł, pocujemy się jak na rollercoasterze. Szerokie drogi z dobrą nawierzchnią natychmiast sprowokują go, by wcisnąć gaz do dechy i gnać na złamanie karku, mijając maruderów albo kierowców, którzy przejechali swój zjazd i teraz, nie bacząc na nic, cofają auta wśród pędzących ton żelastwa. Aby nasze wrażenia były jeszcze bardziej ekstremalne, kierowca przez cały czas będzie poprawiał lusterka albo obserwował z zaciekawieniem znany mu doskonale krajobraz na poboczu. Potem zacznie przypalać papierosa, wysyłać esemesy, gdzieś zadzwoni lub sam odbierze połączenie. Zawsze też znajdzie jeszcze czas, by zrobić porządek w schowku albo poszukać czegoś na półce.

Ruch uliczny w Teheranie to taniec śmierci, w którym prezentowanie najwyższych umiejętności polega na używaniu hamulca tylko w chwili, kiedy już nie da się inaczej. I nie jest ważne, czy samochód jest nowym hyundaiem sonata, czy starym i zdezelowanym pejkaniem, w którym silnik ledwo zipie, opony są łyse, a zawieszenie zachowuje się jak łódź na morzu podczas sztormu.

Ten uliczny horror powodują w dużej mierze taksówkarze. Po mieście jeździ ich kilkadziesiąt tysięcy, do tego dochodzi nieokreślona liczba ludzi, którzy nielegalnie uprawiają ten zawód. W efekcie potężnej konkurencji i stosunkowo niskich cen za przejazd taksówkarze wciąż się spieszą. Byle tylko szybko dowieźć klienta na miejsce i wziąć kolejny kurs. Efekt jest taki, że dosłownie każdego dnia pobytu w Teheranie widziałem jedną lub dwie kolizje, co i tak, przy niezliczonej liczbie sytuacji mrożących krew w żyłach, muszę uznać za minimalny wymiar kary.

Liczba zabitych w wypadkach sięga w Iranie rocznie dwudziestu pięciu tysięcy. Oczywiście spory odsetek przypada na pieszych, bo też przechodzenie przez irańskie ulice to prawdziwy survival. Drogi są szerokie, nikt nie przejmuje się przechodniami, którzy nieraz

utkną na środku jezdni, balansując pomiędzy rozpędzonymi autami, niemal ocierającymi się o nasze brzuchy i plecy. Aby zdać ten życiowy egzamin, jest tylko jedna rada. Podłączyć się do jakiegoś tubylca i robić dokładnie to co on. Po kilku takich próbach kolejne wyjście na ulicę będzie przyjemnością, choć na pewno dość perwersyjną.

W ruchu ulicznym skupia się jak w soczewce pełne sprzeczności zachowanie Irańczyków. Reagują bardzo emocjonalnie, bez względu na konsekwencje swoich poczynań. Ale równocześnie potrafią być bardzo tolerancyjni i mieć zrozumienie dla cudzych błędów. Wiele konfliktowych sytuacji, często wręcz paraliżujących ruch na ulicy, rozwiązują bez słowa, bez agresji. Zawsze ktoś się cofnie, ktoś inny skręci, ktoś przyspieszy, ktoś przystanie. Bardzo rzadko dochodzi do kłótni, choć trzeba przyznać, że jeśli już się zdarzą, bywają bardzo ostre. Irańczycy długo zachowują kulturę i spokój, ale gdy któregoś zaleje krew, w ruch idą pięści. Nie ma tu miejsca na półśrodki. Albo jest bardzo miło, albo bardzo niemiło.

Z irańskiego sposobu jazdy można czerpać przyjemność. Po dwóch dniach spędzonych za kierownicą małego peugeota pożyczonego od znajomych czułem się jak w najcudowniejszym wesołym miasteczku. Odpowiednia mieszanka brawury i rozsądku sprawiła, że jazda była nie tylko ekscytująca, lecz także w miarę bezpieczna.

Dziś wiozę kilkoro znajomych do naszych ulubionych kawiarni, które kilka lat temu obrodziły przy ulicy Gandhiego i na razie dają sobie jakoś radę z nową władzą, mimo jej niechęci do wszystkiego, co wiąże się z przyjemnością.

Przed rewolucją w Teheranie działała cała masa kawiarni i nocnych klubów (było też kilka ulic z domami publicznymi). Serwowały klientom alkohol, a podpici ludzie śpiewali z rozrzewnieniem sentymentalne irańskie piosenki. O nieszczęśliwej miłości, rozstaniu, śmierci. Jedną z najpopularniejszych napisał dla swojej córki antyszachowski, sympatyzujący z komunistami oficer. Zrobił to w 1953 roku, w więzieniu, w noc poprzedzającą egzekucję. Według legendy kartkę z tekstem przechował kolega z celi. Z tego powodu *Mara bebus* stała się szczególnie popularna jako wyraz niechęci do rodu Pahlawich. Do dziś jest zresztą katowana przy każdej okazji.

Pocałuj	mnie,	pocałuj	mnie	ostatni	raz
	Niech	Bóg	Cię		ochroni
Kiedy	pójdę	na	spotkanie		losu

Nasza wiosna odeszła Wszystko stało się przeszłością

Odejdę czarną nocą Przemierzę ciemną drogę

Spójrz,

moja

Rózo

Ale nie roń smutnych łez  
Za mną

Dziś z tamtych czasów pozostało w Teheranie zaledwie kilka lokali i wyglądają dość ponuro w porównaniu z nowoczesnymi kawiarenkami, utrzymanymi w zachodnim stylu. Z wszystkimi jest jednak poważny problem. Najmocniejszy napój, jaki się tam podaje, to herbata. Możemy co prawda kupić piwo, ale tylko „islamskie”, czyli niezawierające alkoholu. Nie do pomyślenia jest, by w lokalach tańczyć albo śpiewać. Należy też uważać, jeśli w naszym towarzystwie znajduje się kobieta. Choć nie zdarza się to często, jednak istnieje możliwość, że tuż obok pojawi się policjant, który zażąda dowodu, iż dama przy naszym stoliku to nasza żona lub siostra.

Dla tysięcy Irańczyków ten „kawiarniany stres” jest nie do zniesienia. Na szczęście istnieje miejsce, do którego zaduch islamskiej republiki nie ma łatwego wstępu. Tym miejscem jest dom - przestrzeń oddzielająca Irańczyka od ponurej rzeczywistości i restrykcyjnych zasad, narzuconych przez islamistów. Często ta przestrzeń oddzielona jest w sensie dosłownym. Jeśli Irańczyk stać na postawienie domu, najczęściej szybko pojawia się wokół niego wielki mur. Dzięki niemu w środku panuje swobodna atmosfera. Żona może rzucić z głowy chustę, pokazać łydki i ramiona, a potem wypić z mężem kieliszek pysznej, mocnej wódki z rodzynek.

Wielkim minusem tej sytuacji jest potężna schizofrenia, jaka rządzi irańskim życiem. Nic nie jest takie, jak się wydaje. Irańczycy sami przyznają, że mają na podorędziu kilka masek, które zakładają w zależności od warunków. Ustawiczna konieczność odgrywania na zewnątrz kogoś innego, niż jest się w rzeczywistości, owocuje narastającą hipokryzją, która zatruwa relacje międzyludzkie.

- W pierwszych wiekach islamu, kiedy szyitów szykanowała sunnicka większość, wypracowano zasadę zwaną „taqije”. Pozwalała ona w sytuacjach szczególnego zagrożenia ukryć swe poglądy, a nawet wyprzeć się wiary. W dzisiejszym Iranie ta „szlachetna obłuda” rozciąga się na całe życie, uczy ludzi zakłamania, nieufności i bierności - uważa Dżawad, mój teherański przyjaciel, filmowiec. - Łatwiej jest oplotkować sąsiada w całej okolicy, nie przestając się do niego uśmiechać, niż powiedzieć mu szczerze, co się myśli. Istnieje nawet takie powiedzenie: „Piękne kłamstwo jest więcej warte niż brzydka prawda”.

Dżawad uważa, że stara irańska szkoła *savoirvivre*'u, zwana *ta'rof*, bardziej przypomina dziś wytarty, pusty rytuał, niż jest oznaką dobrego wychowania.

Kiedy Irańczyk się z nami wita, zazwyczaj jego drugim po „salam” słowem jest:

„chubi?”. Na pozór to odpowiednik naszego: „jak się masz?”. Tyle że słówko to wyraźnie sugeruje odpowiedź. Oznacza coś w rodzaju „dobrze jest?” i niemal wymusza, byśmy potwierdzili, że wszystko jest w porządku. Ale co zrobić, jeśli akurat czujemy się podle albo przydarzyło nam się jakieś nieszczęście? Możemy co najwyżej pozwolić sobie na zwrot „bad nistam”, co oznacza „nie jest źle”.

Ta’rof może zainfekować nawet tak wspaniałą cechę Irańczyków jak hojność. Pamiętam pewne wydarzenie z Teheranu. Kilkanaście dni mieszkałem u Dariusza, informatyka z jednej z prywatnych spółek telekomunikacyjnych. Pewnego razu umówiłem się na obiad z Araszem, który był dobrym znajomym mojego gospodarza, gdyż razem kiedyś studiowali. W restauracji Arasz (choć później zapłacił za mój obiad) zbolełym głosem poprosił mnie o pięciodniową pożyczkę, do wypłaty. Tłumaczył, że pieniądze są dla jego przyjaciela, który znalazł się w gwałtownej potrzebie. Oczywiście pożyczyłem mu pieniądze, które zresztą oddał dzień przed terminem. Byłem jednak trochę zły, że Arasz opowiada mi bajkę o znajomym, zamiast szczerze przyznać, że sam ma problemy finansowe. Uznałem, że to typowy przykład irańskiej maskarady, która nie pozwala przyznać się do jakiegokolwiek słabości. Moja złość była tym większa, że akurat Arasz wydawał mi się wolny od teatralności i przywiązania do ta’rofu. Wtedy, w myślach, nazwałem go nawet hipokrytą.

Po dwóch tygodniach historia pożyczki znalazła niespodziewane postscriptum. Arasz zdradził mi, że tak naprawdę pieniądze przeznaczone były dla Dariusza, u którego wtedy mieszkałem. Tak więc wszystko wskazywało na to, że mój gospodarz zapożyczył się u Arasza, by odpowiednio mnie ugościć. A że Arasz pożyczył pieniądze ode mnie, wychodziło na to, że Dariusz gościł mnie za moje własne pieniądze. O wiele prościej byłoby, gdybym płacił sam za siebie, niż uczestniczył w tej skomplikowanej układance, ale cóż - ta’rof ma swoje prawa.

Szczerść w uzewnętrznianiu swoich problemów uważana jest w Iranie za przejaw słabości, pobłażania sobie. Etykieta wymaga, by nasze kłopoty, nawet ogólnie zarysowane, były zarezerwowane dla najbliższych przyjaciół, a przede wszystkim dla rodziny, która dla niemal każdego Irańczyka jest świętością. Z drugiej strony, ten sam Irańczyk, który uzna naszą szczerść w mówieniu o złym samopoczuciu za brak dobrego wychowania, za chwilę nie będzie miał żadnych oporów, by zadawać wyjątkowo osobiste pytania: ile masz dzieci? Jaka jest twoja żona? Ile zarabiasz?

Niektóre przejawy ta’rofu są dla przybysza z Zachodu zaskakujące. Kiedy taksówka dojedzie na miejsce i spytamy o cenę za przejazd, niemal zawsze usłyszymy ten sam zwrot: „qabel nadore”, co oznacza, że kierowca nie oczekuje od nas żadnych pieniędzy. Jeśli

potraktujemy to poważnie, podziękujemy i zaczniemy wysiadać, mogą spotkać nas trzy scenariusze. Irańczyk zaniemówi i puści nas wolno (rzadko), uśmieje się i spróbuje wytłumaczyć, że to tylko grzecznościowy zwrot (rzadko), pokręci głową z politowaniem i poda cenę (często), potraktuje nas jak złodzieja i zacznie krzyczeć (rzadko). Obowiązująca w Iranie etykieta, nie tylko w taksówce, ale też w wielu sklepach, wymaga od sprzedawcy, by wyrażał pewne zakłopotanie z konieczności oskubania klienta z pieniędzy. Klient zaś powinien udawać, że w to zakłopotanie wierzy.

Podobne normy obowiązują też przy ślubach (panna młoda powinna powiedzieć „tak” dopiero po trzecim pytaniu mułły), jak i podczas oferowania poczęstunku czy gościny. Niech nas Bóg broni, jeśli zgodzimy się za pierwszym razem, bo wyjdziemy na chama i natręta. Mamy obowiązek odmówić grzecznie dwa, trzy razy, czerwieniąc się skromnie, o ile to możliwe, a dopiero potem przyjąć ofertę. Zwłaszcza powinniśmy uważać przy zaproszeniach do domów. Kilkakrotnie zdarzało mi się korzystać z gościny u kompletnie obcych, poznanych przypadkowo ludzi, jednak za każdym razem starałem się początkowo odmawiać, by mieć pewność, że nie chodzi o zwykłą etykieta.

Elaine Sciolino, wieloletnia korespondentka „New York Timesa” w Iranie, w książce *Persian Mirrors* przytacza wiele mówiącą historię na temat ta’rofu. Do Teheranu przyleciała pewna Amerykanka. Wcześniej była w Egipcie, gdzie kupiła czador, jakiego nie powstydzilyby się najbardziej radykalne zwolenniczki islamu. Sięgał do ziemi, zakrywał czoło i nadgarstki. Sprawiał wrażenie, że turystka nie tylko szanuje zasady noszenia się obowiązujące w Iranie, ale wręcz się nimi delectuje.

Sciolino była świadkiem, jak jej irańskie koleżanki, choć same wykształcone i nowoczesne, zaczęły zachwalać strój, który dość absurdalnie wyglądał na Amerykance. Jedna z nich zaczęła głośno zastanawiać się, czy aby sama nie powinna sprawić sobie podobnego czadoru. Po spotkaniu zaskoczona Sciolino zapytała ją, skąd się wzięły te zachwyty, skoro ona sama nigdy czadoru nie używała. Usłyszała, że takiego zachowania wymagał ta’rof i dobre wychowanie. Wolą udawać zachwyty niż po prostu wytłumaczyć Amerykance, że jej strój jest prześladny, a ona sama lepiej się poczuje w czymś bardziej swobodnym.

Sadeq, młody socjolog, którego poznałem pod biurkiem wyborczym Musawiego, żalił mi się kiedyś, jak wielką przeszkodą jest ta’rof dla ruchu demokratycznego.

- Bywa, że w trakcie dyskusji ktoś wpada na jakiś pomysł. Ludzie mu przyklaskują, cieszą się, podziwiają autora, po czym wystarczy, że ten zamknie za sobą drzwi, a już zaczyna się obgadywanie. To źle, tamto trzeba by zmodyfikować, a w ogóle to cały pomysł jest głupotą. Trudno coś zorganizować, mając w tyle głowy świadomość, że nie za bardzo wiemy,



co ludzie nas otaczający myślą naprawdę. Mnie osobiście odbiera to bardzo wiele energii.

Zdaniem Sadeqa, brak szczerości i zaufania sprawia, że Irańczycy oduczyli się zespołowego działania. Poza spektakularnymi, emocjonalnymi wydarzeniami, jak antyreżimowe demonstracje, trudno jest im zmusić się do współpracy. Na dodatek w Iranie każdy, kto wyrasta ponad przeciętność, od razu chciałby być liderem. Niejeden ruch, niejedna partia ugrzęzły w walkach frakcyjnych, zamiast skupić się na konfrontacji z systemem.

Pamiętam moje rozmowy z polskimi działaczami humanitarnymi, którzy w 2003 roku, po koszmarnym trzęsieniu ziemi w irańskim Bamie, pomagali jednemu z teherańskich stowarzyszeń budować publiczne toalety. Gdy już umowa była dopięta, Irańczycy przez kilka dni nie byli w stanie ustalić, kto złoży podpis pod dokumentem. Zgliszczom Bamu groził wybuch epidemii, ale w irańskiej organizacji roilo się od intelektualistów i każdy chciał być szefem. W końcu umowę podpisało kilkunastu „prezesów”.

Irańczyków cechuje poczucie własnej wyjątkowości nie tylko w sferze indywidualnej. Choć często wewnątrznie skłóceni i niezdolni do kolektywnego działania, w konfrontacji ze światem zewnętrznym nagle zaczynają okazywać zadziwiająco zgodność poglądów i solidarność. Nienawidzą, gdy ktoś obcy ich poucza lub wytyka im wady. Irytują się nawet wtedy, gdy zgadzają się z doradcą i wiedzą, że jest im życzliwy i proponuje sensowne rozwiązania. Irańczycy uważają, że ich liczona w tysiące lat historia daje im gwarancję, że znajdą bez pomocy z zewnątrz najlepsze wyjście. Niektórzy są wręcz przekonani, że Iran posiada mandat cywilizacyjnego pierwszeństwa na świecie. „Co tam Egipt czy jakaś Grecja. Widziałeś Persepolis?” - można usłyszeć od wykształconego Irańczyka. Albo: „Prawdziwa sztuka należy do Irańczyków i do nikogo więcej” - jak głosi hasło na billboardach, rozwieszonych w kilku miejscach Teheranu.

Grecki historyk Herodot pisał, że Irańczycy szanują najbardziej tych, co mieszkają najbliżej ich siedzib, potem tych z dalszej okolicy, a najmniej tych, co mieszkają za górami, za lasami. Uważają bowiem, że „sami są pod każdym względem najtęższymi ludźmi, a inni się tylko do ich tężyzny zbliżają, tak że najdalej od nich mieszkający są najpodlejsi”.

W Szirazie spotkała mnie przygoda. Przy mauzoleum poety Hafeza schodzą się dzień w dzień tłumy, by oddawać mu hołd i wróżyć sobie przyszłość z jego poematów. Lubilem siadywać tam wieczorami. Nieraz moje rozmarzenie było przerywane przez szirazyjczyków, którzy starali się egzaminować mnie ze znajomości kultury perskiej. Byli niezwykle dumni, gdy okazywało się, że wiem sporo na temat ich historii, architektury, nauki i sztuki. Dziękowali za szacunek, jakim darzę Iran, ale jednocześnie pęcznieli i puszyli się. Nie wystarczało im, że cenię poezję Hafeza. Oni domagali się natarczywie, bym potwierdził, że

Hafez był najwspanialszym i najsłynniejszym poetą w historii świata. Za pierwszym razem z grzeczności przytaknałem, za drugim zacząłem się denerwować, za trzecim już nie wytrzymałem. Moją ofiarą stał się emerytowany nauczyciel historii.

- Poezja to nie mecz futbolowy, w którym reguły są ściśle określone i łatwo ocenić, kto jest lepszy - zacząłem z grubej rury, dewastując z miejsca wszystkie zasady ta'rofu. - Cenię Hafeza, ale znam kilkudziesięciu innych poetów z całego świata, którzy budzą we mnie podobne emocje. A co do tego, kto jest najbardziej znanym poetą, to również jest niemożliwe do weryfikacji, kandydatów zaś byłoby wielu. Zapewniam pana, że większość wykształconych Europejczyków zapewne nigdy nie przeczytała ani jednego wiersza Hafeza, a może nawet nie potrafiłaby przypomnieć sobie jego nazwiska. Nie jestem z tego powodu dumny, ale takie są fakty - zakończyłem i natychmiast zdałem sobie sprawę, że ostatnie zdania mogłem sobie zdecydowanie darować.

Mój rozmówca gwałtownie zamilkł, zrobił się czerwony, zaczął ciężko oddychać. Stał tak kilkanaście sekund, zapewne szukając odpowiednich słów. Nie znalazł, więc odwrócił się na pięcie i bez słowa odszedł, co Irańczykom raczej się nie zdarza. Zapewne uznał, że moja bezczelność bardziej nadawała się, by ukarać ją klapssem niż słowną kontrą.

Marjam, chłodno patrząca na rzeczywistość właścicielka małej restauracji w centralnym Teheranie, uważa, że przekonani o swojej wyjątkowości Irańczycy tak naprawdę budują piękne zamki na piasku.

- *We are great begginers* - powtarzała mi wielokrotnie. - Zawsze, kiedy ruszaliśmy do boju, zdobywaliśmy od razu pół świata, ale nigdy potem nie potrafiliśmy stworzyć czegoś trwałego. Nasze państwa rozpadały się tak szybko, jak powstawały. A kiedy zrobiliśmy rewolucję i obaliliśmy szacha, to od razu pojechaliśmy na piknik. Jak z niego wróciliśmy, okazało się, że zamiast szacha siedzi w fotelach tłum mułłów. My po prostu nigdy nie umiemy przypilnować własnych spraw. Albo tracimy szybko zainteresowanie jakimś problemem, albo ciągle coś zmieniamy, majstrujemy bez sensu, bez planu. A potem, kiedy coś zepsujemy, to winę zwalamy na obcych.

Byłoby jednak niesprawiedliwe, gdyby skupić się jedynie na sprzecznościach tkwiących w Irańczykach, skoro znajdziemy w nich tak jednoznacznie wartościowe cechy, jak gościnność, serdeczność, kultura osobista, umiejętność czerpania radości z życia - nawet w islamskiej republice. A także dobry gust i umiłowanie poezji. Spotkałem w Iranie dziesiątki osób, znających na pamięć całe długie wersety z Hafeza, Ferdousiego, Rumiego lub Sa'diego. Nie wspominając o romantycznych piosenkach z czasów szacha. Wielokrotnie po wejściu do taksówki raczony byłem („to coś specjalnego, mister, na pewno się panu spodoba”) klasyczną

już dziś muzyką Mohammada Rezy Szadzarijana lub Szahrama Nazeriego albo łzawymi pieśniami sprzed rewolucji, kiedy życie było ciężkie, ale o miłości do kobiet można było śpiewać bez ograniczeń.

Kiedyś, w środku teherańskiej nocy, jechałem z kierowcą, który usiłował znaleźć taśmę Szadzarijana z jego słynną pieśnią ku czci ludzi poległych podczas demonstracji z rąk siepaczy szacha. Kierowca był raczej ubogi, ale bez trudu dostrzegłem, że skromna marynarka jest odprasowana, a koszula świeża.

Kiedy w końcu mój kierowca znalazł kasetę i był o krok od włożenia jej do odtwarzacza, auto całym impetem wjechało na poprzeczny garb, tak zwanego leżącego policjanta. Po chwili usłyszeliśmy zgrzyt i cała skrzynia biegów rozpadła się. Tak oto biedny, ale schludny teherański taksówkarz zapłacił poważną awarią za chęć podzielenia się z Europejczykiem dźwiękami pięknej muzyki. Chciałem mu jakoś zrekompensować straty, oferując sowity napiwek, ale bardzo stanowczo odmówił. Przyjąłby go za wykonaną usługę, ale do jej pełnej realizacji zabrakło niemal dziesięciu kilometrów.

Irańczycy mają dość zadziwiający gust muzyczny. O ile powszechny, nawet wśród biedoty, szacunek dla klasycznej twórczości budzi zazdrość i podziw, o tyle gdy próbują penetrować zachodnie rejony muzyczne, rzadko znajdują coś oryginalnego. Iran to kraj, w którym wciąż słucha się George'a Michaela, Chrisa de Burgha, Eltona Johna i Queen (zwłaszcza ich sentymentalnych piosenek). Młodsza publiczność jest z kolei uzależniona od papki rodem z MTV czy VIVY albo jej imitacji, kreowanej przez teherańskich przystojniaków z żelazem we włosach.

Istnieje na szczęście muzyczne podziemie, najczęściej rockowe (za granie heavy metalu grozi oskarżenie o satanizm) lub hip-hopowe. Jedną z jego legend jest Hiczkas (co w farsi znaczy Nikt), który nigdy nie miał ochoty być wyzłobioną kukłą. Krótko ostrzyżony, miksujący elektronikę i ciężkie basowe brzmienia z tradycyjnymi perskimi instrumentami, śpiewa zachrypniętym głosem o ludziach wykształconych na największym irańskim uniwersytecie, czyli na ulicy, żyjących poza oficjalnym społeczeństwem, mierzących się codziennie z przemocą i opresją władz.

Taka muzyka nie jest w Iranie mile widziana. Nie wolno wydawać płyt, nie wolno organizować oficjalnych koncertów. Nielegalne występy odbywają się co najwyżej w prywatnych domach albo w teherańskich parkach, oczywiście dopóty, dopóki nie przyjedzie policja i nie przegoni kijami muzyków i publiczności.

Rostam, młodszy brat mojego przyjaciela Madzida, zabrał mnie na jeden z takich nielegalnych występów. Może to za dużo powiedziane. Po prostu w parku Mellat odbył się

mały turniej wokalny. Młodzi teherańscy chłopcy nosili stroje imitujące murzyńskich raperów, zupełnie niepasujące do metroseksualnych żelowych fryzur. Zbici w grupkę uprawiali rymowaną melodeklamację. Tuż obok dwóch innych próbowało popisywać się breakdance'em. Całość nie wyglądała zbyt profesjonalnie, jednak trudno wymagać od nastolatków, by prezentowali światowy poziom w kraju, w którym uliczny taniec uważany jest za szatański wynalazek i bezwzględnie tępiony. Po dwudziestu minutach do chłopaków podeszło dwóch strażników parku i kazało natychmiast się rozejść.

- Teraz jest i tak w miarę spokojnie. Czasem od razu wzywają policjantów, którzy tłuką nas pałkami - twierdził Rostam wyraźnie zadowolony, po czym jego mina nagle spoważniała. - Jak ja bym chciał stąd wyjechać. Choćby na jeden dzień, na jeden koncert jakiejś rapowej gwiazdy. Najlepiej Snoop Dogga albo Cypress Hill. Żeby tak móc się raz porządnie wyszaleć. Potem niech mnie zabiją.

## nowy nos Generacji X

Zostałem w Teheranie zaproszony do udziału w modlitwie ku czci Fatimy, żony imama Alego i zarazem córki Mahometa. W pewnym momencie, kiedy duchowny opowiadał o tragicznej śmierci Fatimy, siedzący nieopodal mnie dwaj mężczyźni zanieśli się płaczem, choć obaj zapewne słyszeli tę historię setki razy. Po chwili płakał też tłumaczący mi ceremonię młody konserwatywny inżynier, wielki miłośnik Ahmadineżada.

W Iranie ci sami mężczyźni, którym etykieta zabrania zwierzać się z osobistych nieszczęść, bez oporów będą śpiewać sentymentalne pieśni miłosne albo głośno łkać podczas ich słuchania. Tym bardziej mają więc prawo wzruszać się losem Fatimy.

Silne emocje są chlebem powszednim dla Irańczyków. Bez nich więdną, tracą energię. Dlatego płacz w pewnych sytuacjach jest dopuszczalny, a nawet pożądanym, tak samo jak okazywanie szalonej radości, choć tego akurat obecna władza nie toleruje. Na szczęście wielu Irańczyków nie dało się nigdy wtłoczyć w cierpiętnicze ramy, przygotowane przez ajatollahów, i nie straciło radości życia. Irańczycy kochają życie, zabawę, taniec.

Głównymi partiami ciała, które nadają rytm w irańskim tańcu, są biodra, ramiona i szyja. Ważna jest też mimika twarzy, zgodna z uczuciami obecnymi w tekście piosenki. Byłem uczestnikiem imprez, na które sąsiedzi przychodzili zwabieni hałasem zza ściany, ale nie po to, by się awanturować, lecz by wziąć udział w zabawie. Byłem też w mieszkaniach, w których tańczyliśmy na paluszkach przy muzyce, której rytmu trzeba było się niemal domyślać. Szczególnie zapamiętałem prywatkę u Dariusza. Dariusz wraz z narzeczoną uczęszczają na nielegalne lekcje salsy. Pewnego dnia postanowił zaprosić swoich znajomych z kursu. Była to najcichsza impreza w moim życiu. Prawie dwadzieścia osób zachowywało się tak, jakby za ścianą spało ciężko chore dziecko. W rzeczywistości nie chodziło o dziecko, tylko o parę staruszków piętro niżej. Małżonkowie trzy razy przychodzili nas uspokajać, choć o imprezie można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że była hałaśliwa. W końcu starsza pani zagroziła: „Jeśli natychmiast nie skończycie, zadzwonię po policję. Wiem, że w środku są niezamężne pary i macie tam alkohol”.

Po trzeciej wizycie sąsiadki Dariusz zarządził wyłączenie sprzętu grającego, a towarzystwo usiadło grzecznie na podłodze. Zaczęli opowiadać o swoich przygodach z „Morality Police”. Okazało się, że niemal połowa zwiedziła w swoim życiu co najmniej jeden areszt.

- Miałam osiemnaście lat i byłam na prywatce u kolegi z klasy, którego rodzice

wyjechali do krewnych - opowiadała Szabnam, narzeczona Dariusza. - Któryś z sąsiadów doniósł, że się bawimy. Kiedy przyjechała policja, nikt się nawet nie zorientował. Panował harmider, świetna zabawa, drzwi nie były zamknięte na klucz. Tajniacy weszli do mieszkania w samym środku tańców. Zobaczyli też butelki z winem, więc trudno było nam się wytłumaczyć. Policjanci najpierw zaczęli nam prawić morały, po czym zabrali wszystkich na komendę. Tam szybko zapomnieli o czystości obyczajowej i zaczęli nas obmacywać na oczach chłopców. Doszło do awantury, ale przyszedł dowódca zmiany i wysłuchał naszych żalów. Molestowanie się skończyło. Pierwsza noc była okropna. Z pięcioma innymi dziewczynami wylądowałam w dużej celi, w której było już kilka dość wulgarnych i agresywnych prostytutek. Nawet na chwilę nie zmrużyłyśmy oka, tak się bałyśmy. Nad ranem byłyśmy już spokojniejsze, bo większość prostytutek zniknęła. Następnego dnia, kiedy przywożono kolejne kobiety, czułyśmy się już jak weteranki. Człowiek tak łatwo przyzwyczaja się do trudnych sytuacji i tak szybko przejmuje zastane wzorce. Kolejnej nocy o wiele lepiej dogadywałyśmy się z dwiema prostytutkami niż z pozostałymi czterema przerażonymi dziewczynami, zgarniętymi z jakiejś prywatki. Nawet krzyczałyśmy na nie, żeby nie płakały, bo nas to denerwuje. W końcu trzeciego dnia wydano wyrok. Miałam dostać ponad trzydzieści batów, ale pod aresztem stała już moja mama z łapówką i obyło się bez bicia.

Dziś Szabnam raczej nie uczestniczy w hucznych imprezach, więc ma niewiele okazji, by narazić się „Morality Police”. Miejsce Szabnam zajęła dużo bardziej hałaśliwa i „zepsuta” młodzież. Irańska Generacja X.

Na teherańskich ulicach łatwo natknąć się na dziewczyny, których wygląd może szokować. Przesadnie wymalowane usta, tony pudru na policzkach, nadmiernie podkreślone oczy, włosy zaplecione w cienkie warkoczyki, wystające z ciągle osuwającej się chustki. No i plastry na nosach.

Operacje plastyczne nosów to prawdziwa plaga w Iranie. Faktem jest, że Iranki z natury mają trochę wydatne nosy. Zmiana kształtu nosa (ma być mały i lekko zadarty na końcu) coraz częściej staje się najważniejszym marzeniem nastolatek - jego realizacja przynosi kokosy nie tylko klinikom kosmetycznym, ale także gabinetom psychologicznym, gdzie rodzice szukają głębszych przyczyn tego zjawiska.

- Młode dziewczyny z dużych miast oglądają zachodnie stacje satelitarne. Chcą wyglądać tak samo jak europejskie czy amerykańskie gwiazdy muzyki. Oczywiście kiedy zapytasz je o przyczynę, niemal każda będzie powtarzać wyświechtaną bajkę o złamanym nosie w dzieciństwie albo wrodzonej krzywej przegrodzie, która utrudnia oddychanie - śmieje

się Azade. - W rzeczywistości to przejaw frustracji życiem w islamskiej republice. Te dziewczyny zaczynają nienawidzić wszystkiego, co się z nią kojarzy, nawet typowo irańskiej urody. Poddając się operacji, chcą zatrzeć ślady swojego pochodzenia. Ciężko jest jednak zmienić całą twarz. Za dużo to kosztuje. Najłatwiej zrobić sobie nowy nos.

Zdaniem Azade popularność operacji plastycznych oraz ostrego makijażu u części irańskich dziewcząt ma jeszcze jedną przyczynę. Restrykcje związane z ubiorem sprawiają, że kobiece kształty najczęściej są ukryte pod szczelną i długą zasłoną. Najbardziej widoczną częścią ciała znamionującą urodę staje się twarz z centralnym punktem - nosem. Aby uczynić go idealnym, irańskie dziewczyny muszą zapłacić od półtora do czterech tysięcy dolarów. Różnice w cenie zależą od renomy kliniki. Tylko około trzystu spośród wielu tysięcy dysponuje rzeczywiście wykwalifikowaną kadrą. Efekt jest taki, że wiele zabiegów kończy się katastrofą, a czasem także poważnymi kłopotami z oddychaniem. To dlatego uznani lekarze mają zapełnione notesy na wiele tygodni naprzód. Irańscy ajatollahowie i rząd na razie przemykają oczy na te ekstrawagancje i nie likwidują klinik. Być może trochę boją się wystąpić przeciwko poglądom ajatollaha Chomeiniego. Wódz rewolucji, zapytany o operacje nosa, miał stwierdzić: „Bóg jest piękny i kocha piękno”. Tyle że było to pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy moda na upiększanie twarzy dopiero zaczynała zarażać Irańczyków.

Dziś Teheran jest światową stolicą operacji nosa. Według nieoficjalnych statystyk wykonuje się tu około trzydziestu pięciu tysięcy zabiegów rocznie. Nawet jeśli dane te są nieco przesadzone, i tak szokująco wypada porównanie na przykład z Wielką Brytanią, gdzie rocznie na korektę nosa decyduje się tylko sześć tysięcy osób.

Parę lat temu szal na punkcie nosów zaczął ogarniać również młodych irańskich mężczyzn. Jeszcze dekadę wcześniej każdy z nich po dokonaniu podobnego zabiegu musiałby się liczyć z tym, że stanie się pośmiewiskiem kolegów, a może i oberwie po świeżo zoperowanym organie. Dziś operacja plastyczna to w niektórych środowiskach powód do dumy, a widok plastra na środku męskiej twarzy staje się częścią mody.

- Zobacz tego chłopca. On nie zrobił sobie operacji, ale plaster przykleił. Skąd wiem? To proste. Po operacji zostaje ogromna, sina opuchlizna pod oczami. On nie ma nawet śladu. - Stoimy z Azade przed oknem salonu fryzjerskiego przy ulicy Dżordan. Okolica ta słynie z tak zwanych samochodowych miłości. Polega to na tym, że aleją przez cały wieczór krążą w samochodach spragnieni wrażeń chłopcy i dziewczyny. Przyglądają się sobie, czasem ktoś rzuci jakąś zaczepkę przez okno. Jeśli kontakt zostanie nawiązany, młodzi wymieniają się kartkami z numerami telefonów. Dalej - wiadomo.

W środku salonu fryzjerskiego, przed którym stoimy z Azade, rozmawia pięciu około

dwudziestolletnich chłopców. Są weseli, machają do nas, zapraszają do środka. Wyglądają, jakby ktoś wyprodukował ich w tej samej fabryce. Włosy na czubku głowy postawione na żel, a po bokach przyklepane. Bardzo podobne, przyciasne podkoszulki i takie same dzinsowe spodnie ze świecącymi cekinami. Na nogach trampki. Od razu widać, że więcej czasu poświęcają oglądaniu MTV niż studiowaniu Koranu.

- Nie interesuję się ani religią, ani polityką. Nie wierzę w żadne wybory w tym kraju. Wierzę tylko w to, że kiedyś dostanę wizę do USA i zostawię za sobą ten wariacki kraj. - Mohsen, niespełna dwudziestojednoletni, bystry modniś, kuzyn właściciela salonu fryzjerskiego, ma wyraźnie dość ojczyzny. - Dwa miesiące temu byłem pierwszy raz w Europie, w Barcelonie. Nie mogłem uwierzyć, że możesz zrobić tam wszystko, nawet rozebrać się na ulicy, i nikogo to nie obchodzi. Pewnie dlatego ludzie się tam nie rozbierają, bo nie muszą sobie nic udowadniać. A u nas? Mogę co najwyżej iść za Musawim, który chce reformować ten system. W jego tempie Barcelonę dogonię za dwieście lat. Sorry, ale nie mam tyle czasu. Chcę możliwie najszybciej zacząć nowe życie jak najdalej od Iranu. Jakoś nie mam specjalnej ochoty się poświęcać i ginąć od kul basidżów.

Takich jak Mohsen są setki tysięcy, może miliony; chłopców i dziewcząt. Nie żądają niczego wielkiego, chcą po prostu normalnie, bezpiecznie żyć. Nawet jeśli uznamy tę młodzież za bezideową, bierną, tchórzliwą, materialistyczną i oportunistyczną - jest ona wciąż niezwykle groźna dla systemu. Rozkłada go od środka, pozbawiając dopływu świeżej krwi. Elita pierwszych rewolucjonistów powoli wymiera, ich następcy zaś nie mają już tego żaru, są zgorzkniali lub skorumpowani. W dorosłość wkracza pokolenie urodzone już po rewolucji, które nie pamięta brutalnego reżimu szacha, za to wie doskonale, że wtedy nie nakazywano nikomu noszenia czadoru, nie zabraniano chodzić na randki, nie likwidowano nocnych klubów.

Według danych Irańskiego Centrum Statystycznego (niemal identyczne dane podają raporty CIA) ponad 60 procent mieszkańców tego kraju nie przekroczyło trzydziestego roku życia. To oni są dziś największym zagrożeniem dla systemu, bo dla wielu z nich islamska rewolucja to wyłącznie puste słowa z kart podręczników.

W Szirazie odwiedziłem kiedyś mieszkanie Alego, młodego, dość próżnego bawidamka z bogatego domu. Wielki telewizor, wielka lodówka pełna jedzenia, zmywarka do naczyń, mikrofalówka, klimatyzator, domofon zaopatrzony w kamerę. W czasie naszej rozmowy Ali zamówił pizzę przez telefon, a godzinę później zadzwonił też po zakupy, choć sklep znajdował się sto metrów od jego domu. Widać było, że jest zupełnie usidlony przez konsumpcjonizm. Kiedy próbowałem mu to delikatnie wytykać, w ogóle nie rozumiał, o



czym mówię.

Ahmadineżad może sobie powtarzać w kolejnych przemówieniach, że Iran nie boi się sankcji gospodarczych, gdyż nie uczestniczy w światowym wyścigu szczurów i skierowany jest ku prawdziwym, ponadmaterialnym wartościom - jednak chodząc po teherańskich i sziraskich deptakach, widzimy zupełnie nie co innego: setki kuszących reklam i sklepów oferujących te same „grzeszne” przynęty co na Zachodzie.

- Jesteśmy narodem religijnych materialistów - uważa Dżawad, który zamierza w najbliższym czasie zrobić na ten temat film dokumentalny. - Jedyna pociecha, że ta sama choroba dotyka konserwatystów i rozmywa ich surową, ascetyczną ideologię. Oni też uwielbiają te wszystkie gadżety: telewizory, mikrofalówki, wielofunkcyjne komórki. Z tego można się tylko cieszyć. Może kiedyś znudzą się islamem jak komuniści Leninem.

## **zajrzeć ludziom do skrzynki**

Film nakręcono z balkonu. Widać na nim policjanta w kasku na głowie oraz tajniaka: brodatego, z wydatną łysiną, w ciemnej marynarce. Stoją na pustej ulicy. Policjant mierzy ze strzelby, a tajniak z pistoletu ku czemuś, co znajduje się poza kadrem. W tle słychać okrzyki, więc nietrudno się domyślić, co jest celem - zbliża się demonstracja. Kiedy głosy stają się wyraźne, ten w kasku przymierza się kolejny raz. Słychać huk, przy drugim wystrzale widać mały język ognia dobywający się z lufy. Ośmielony, grubawy tajniak staje w rozkroku i również oddaje dwa strzały. Po chwili obaj szybko się wycofują, a z balkonu, na którym ktoś kręci komórką film, słychać oklaski i kobiecy głos, wyraźnie niechętny policji.

Zbliża się forpoczta demonstrantów, którzy, choć uzbrojeni wyłącznie w kamienie, zdobywają kolejne metry. Jakby wierzyli, że Allah jest w stanie zatrzymać kule. Może i jest, ale nie tym razem. Młody chłopak pada na ziemię i wyjąć z bólu, chwytając się za udo. Dwóch towarzyszy odnosi go na tyły, ale inni nie zatrzymują się. Za chwilę cała ulica należy do nich.

Drugi film. Też nakręcony komórką z balkonu. Ponaddwudziestoosobowy oddział jednostki antyterrorystycznej idzie małą uliczką, zapewne w stronę kolejnego zgromadzenia przeciwników islamskiej republiki. Choć wróg jest jeszcze daleko, emocje już sięgają zenitu. Widać, jak policjanci tłuką pałkami w szyby samochodów, po czym zabierają się za zaparkowane kilka metrów dalej motocykle. Może według nich należą one do demonstrantów, a nie do mieszkańców ulicy? Tylko skąd mieliby to wiedzieć, na motorach nie ma żadnych zielonych znaków, świadczących o sympatiach dla Musawiego. Wygląda to tak, jakby ci ludzie w czarnych mundurach nienawidzili całego świata dookoła. Jakby byli przekonani, że wszystko, nawet motocykle, jest częścią antyrządowego spisku.

Gdyby ktoś te zdarzenia tylko opisywał, można by nie uwierzyć. Ale mogliśmy je zobaczyć. Iran, niepostrzeżenie dla władz, przeszedł rewolucję technologiczną, która rzuciła poważne wyzwanie systemowi.

Aby ukryć prawdę o brutalnym pacyfikowaniu tłumów, dwa dni po wyborach rząd wyprosił prawie wszystkich zagranicznych dziennikarzy. Jednak ich rolę natychmiast przejęło irańskie społeczeństwo. Największe stacje telewizyjne świata nagle zostały sprowadzone do funkcji jedynie przekaźnika, a nie twórcy informacji. Wstrząsające zdjęcia i filmy szły w świat dzięki sprytnym internautom, którzy okazali się mądrzejsi niż rządowi informatycy. Pomimo gwałtownego spowolnienia łączy (nie można ich było zupełnie zastopować, gdyż wiele instytucji i banków zależnych jest od sieci) ślali filmy na Zachód, dzieląc je na małe

odcinki i umieszczając na stronach popularnych serwisów społecznościowych - Facebooku, Twitterze i YouTube. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie pomoc internautów z Europy, Ameryki, Australii. W sieci zaroilo się od udostępnianych Irańczykom serwerów pośredniczących (proxy), które umożliwiały szybszy transfer danych i łączenie się internetowymi bajpasami z zablokowanymi przez rząd stronami światowych agencji informacyjnych. Przy okazji serwery te chroniły irańskich użytkowników przed namierzeniem ich prywatnych adresów IP.

Do zielonej rewolucji opinia publiczna na Zachodzie żyła na ogół w przeświadczeniu, że Iran jest izolowanym, prymitywnym krajem, którego nie łączą z naszym światem żadne znaczące więzy. Tymczasem prawda jest o wiele bardziej skomplikowana. Iran to atrakcyjny, siedemdziesięciomilionowy rynek, z dużą warstwą ludzi wykształconych i zamożnych, korzystających z osiągnięć współczesnej techniki. Jednym z najważniejszych przejawów irańskiego dążenia do nowoczesności jest fascynacja internetem, traktowanym zarazem jako antidotum na niedostatek miejsc umożliwiających swobodne spotkania i wymianę myśli. Mimo że rząd zablokował dostęp do ponad pięciu milionów stron, pasja ta nie gaśnie. W Iranie są już dwadzieścia trzy miliony użytkowników sieci, z których aż siedemdziesiąt tysięcy prowadzi aktywne blogi. Niejednokrotnie ich autorami są dziennikarze publikujący pod pseudonimami treści, których nikt nie pozwoliłby im umieścić w oficjalnych gazetach. Niestety, ryzyko nawet w internecie jest wielkie. Sieć jest kontrolowana przez spółki związane z Gwardią Rewolucyjną, nic więc dziwnego, że wciąż powtarzają się aresztowania blogerów. W marcu 2009 roku w więzieniu Ewin zmarł dwudziestoosmioletni Omid Reza Mir Sajafi, którego wcześniej oskarżono o zniesławienie islamskiej republiki i skazano na dwa i pół roku więzienia. Sajafi cierpiał za kratami na ciężką depresję, ale nie pozwalano mu skorzystać z pomocy lekarskiej. Do dziś nie wyjaśniono, jaka była bezpośrednia przyczyna jego zgonu.

Z potencjału irańskiego rynku internetowego postanowiły skorzystać m.in. dwa europejskie giganty: fińska Nokia i niemiecki Siemens, które jako jedne z pierwszych zainwestowały w irański rynek. Może zastanawiać, dlaczego irański rząd zgodził się na rozwijanie usług, które raczej podkopują, niż wzmacniają islamską republikę. Z jednej strony chodziło zapewne o przyciągnięcie inwestycji, dających osaczonemu sankcjami rządowi miliony dolarów. Ale reżimowi szło jeszcze o coś więcej - o nowoczesną kontrolę nad społeczeństwem.

W drugiej połowie 2008 roku Nokia i Siemens zawiązały spółkę joint venture, która miała rozwinąć irańską telefonię oraz internet. Przy okazji zgodziły się, by warunkiem

wielomilionowych inwestycji stało się przekazanie rządowi w Teheranie jednego z najnowocześniejszych systemów monitoringu. Pozwala on na podsłuchiwanie rozmów, odczytywanie esemesów, zbieranie i archiwizowanie niezliczonych ilości danych oraz na śledzenie, z jakimi stronami internetowymi łączy się użytkownik.

Dzięki dwóm światowym gigantom telekomunikacyjnym irański reżim może dziś się dowiedzieć, co myślą obywatele i kto jest najbardziej aktywny w ruchu oporu. Pomaga mu w tym wewnętrzna struktura sieci, która nie jest tak zdecentralizowana jak na Zachodzie. W Iranie wszystkie międzynarodowe połączenia najpierw trafiają do jednego punktu - ogromnej bramy internetowej zarządzanej przez rządową spółkę.

Ujawnione przez „The Wall Street Journal” fakty wywołały gniew w Iranie. Niektórzy użytkownicy telefonów Nokia i Siemens zaczęli zamieniać aparaty na inne marki. W internecie pojawiły się sarkastyczne rysunki parodiujące słynne hasło Nokii „Connecting People”. W nowym wcieleniu brzmi ono „Jailing People”. Protest nie przyniósł Nokii wielkich strat finansowych, jednak zachwiał wizerunkiem firmy. Ujawnił jednocześnie, jak skomplikowany jest Iran. Kraj uważany dotychczas za zacofaną teokrację nagle pokazał się jako społeczność dojrzała technologicznie, prowadząca nawet własną, zaawansowaną wojnę informatyczną. Choć strona rządowa jest tu w wyraźnej defensywie, to jednak stać ją na spektakularne akcje, jak choćby udane ataki hakerskie na Twittera lub skuteczne zakłócanie sygnału zachodnich telewizji satelitarnych, nadających w języku farski.

Z tą dojrzałością technologiczną chyba jednak przesadziłem. Wystarczy spojrzeć na największy skarb Iranu: złoża surowców energetycznych. Źródła gazu ziemnego na południu kraju zajmują drugie miejsce pod względem wielkości na świecie (po Rosji) i skupiają 16 procent światowych zasobów. Kłopot w tym, że z racji zapóźnienia technologicznego Iran wciąż niewiele go wydobywa, a co za tym idzie - prawie w ogóle nie eksportuje. Północne regiony kraju są wręcz zmuszone importować gaz z Turkmenistanu.

Kolejny skarb Iranu to ropa naftowa. Tu również Iran jest na drugim miejscu na świecie, po Arabii Saudyjskiej, a jego źródła (nie licząc trudno dostępnych złóż w kanadyjskich piaskach roponośnych) stanowią około 10 procent wszystkich potwierdzonych rezerw tego surowca. Wpływy ze sprzedaży ropy to

80 procent wszystkich zysków z eksportu Iranu oraz niemal połowa dochodów całego budżetu. Gdyby nie ropa, irański handel ze światem nadal opierałby się co najwyżej na szafranie, dywanach, pistacjach czy dość kiepskich samochodach. Z naftą wiąże się jednak poważny problem. Trudno przewidywać realne wpływy do kasy państwa i prognozować przyszłe wydatki, jeśli cena ropy zachowuje się jak statek pośród wzburzonego morza. Raz

wznosi się gwałtownie do stu pięćdziesięciu dolarów za baryłkę, by po kilku miesiącach pikować do poziomu pięćdziesięciu dolarów.

Drugi problem związany z naftą to benzyna. Irańczycy mają najtańsze, po Turkmenistanie i Wenezueli, paliwo, co wpływa nie tylko na jego marnotrawstwo, lecz także masowy przemyt do Turcji, Pakistanu i Afganistanu. Najbardziej absurdalny jest jednak fakt, że przedmiotem kontrabandy bardzo często nie jest wcale produkt irański. Do niedawna aż 40 procent dostępnej w Iranie benzyny (oraz 12 procent oleju napędowego) w ogóle nie pochodziło z tutejszych rafinerii, ale z importu. Kraj potrafiący klonować kozy i budować elektrownie atomowe nie był w stanie stworzyć dotychczas odpowiedniej liczby rafinerii, które pozwoliłyby zamienić surową ropę na paliwa. Nie umiał też zbudować odpowiedniej liczby stacji benzynowych. Ich znalezienie nie należy do prostych zadań, a jeśli już nam się poszczęści, zobaczymy stary, sfatygowany budynek z zardzewiałymi dystrybutorami, kolejką samochodów i kiepskim paliwem dewastującym silniki.

Ostatnio jednak sytuacja ta się zmienia. Wystraszony możliwością wprowadzenia przez Zachód embarga na sprzedaż benzyny do Iranu, rząd Ahmadineżada zaczął poważnie inwestować w sektor paliwowy. W Iranie rozpoczęto budowę siedmiu rafinerii, które podwoją, a pewnie i potroją zdolność przerobu ropy. Za kilka lat może się okazać, że Iran stanie się wreszcie eksporterem benzyny i oleju napędowego. Na razie topniejące z każdym miesiącem dostawy z zachodniej Europy uzupełniane są importem paliw z Kuwejtu i Rosji, a przede wszystkim z Chin.

Pekin jawi się obecnie jako największy gracz na rynku irańskiej ropy i gazu. Chiny od lat potrzebują coraz więcej energii. Agencje informacyjne są wprost zalewane kolejnymi depeszami o idących w miliardy dolarów inwestycjach w złoża gazu oraz irański przemysł naftowy. Już dziś to najludniejsze państwo świata importuje z Iranu 11 procent swojej ropy i z każdym rokiem będzie jej więcej. O ile oczywiście chińska gospodarka nagle nie osłabnie (co może się zdarzyć, gdy radykalnie zwolni ekonomia Zachodu, od którego zamówień Pekin jest uzależniony).

Bardziej niż zachodnich sankcji irańska dyktatura boi się obecnie kryzysu światowego, który wymusza ograniczenie popytu na energię. Przy skrajnym uzależnieniu finansów państwa od eksportu ropy, irańskie władze raczej modlą się po cichu o uzdrowienie kapitalistycznej gospodarki niż o jej upadek. Dobrze rozumieją, że żadne państwo na ziemi nie jest samodzielną wyspą.

O tym, że do Iranu docierają te same choroby, które gnębią państwa zachodnie, świadczy choćby rynek nieruchomości. Za rządów Chatamiego, kiedy gospodarka zaczęła się

szybciej rozwijać, a ceny ropy nieustannie rosły, Iran przeżył wielki boom budowlany. Gdy nastały czasy Ahmadineżada, nafta nadal szybowiała w górę, napędzając koniunkturę. Nie osłabła ona nawet wtedy, gdy w związku z rozbuchanymi programami społecznymi na prowincji i miliardami wrzucanymi w subsydia zaczęła szaleć inflacja. Wręcz przeciwnie. Dla wielu Irańczyków inwestycje w nieruchomości stały się receptą na utratę wartości papierowego pieniądza. Zapewniały zyski o wiele wyższe niż lokaty bankowe. Ceny metra kwadratowego na początku

2006 roku osiągały w północnym Teheranie równowartość dwóch tysięcy dolarów i było to o połowę więcej niż rok wcześniej. Na początku 2008 roku koszty zakupu mieszkań były już astronomiczne. Za metr płacono po osiem tysięcy dolarów. W końcu, zgodnie z ogólnoświatową tendencją i zawaleniem się rynku nieruchomości w USA, bańka cenowa pękła też w Iranie. Cena metra w północnym Teheranie ukształtowała się na poziomie około czterech tysięcy dolarów.

Pokłosie zapaści widać na każdym kroku. W Teheranie stoją tysiące domów, zbudowanych w 60-70 procentach. W niektórych roboty jakoś tam się wloką, w innych zupełnie ustały. Deweloperzy, którzy liczyli, że sfinansują budowy, sprzedając większość mieszkań już na pierwszym etapie inwestycji, przeżyli szok. Taka sytuacja jest nie tylko w Teheranie. W dwumilionowym Tabrizie wystarczy pójść na wzgórze ponad parkiem Elgoli. Miasto wygląda stamtąd jak wielka budowa, na której akurat trwa przerwa obiadowa. Szkielety wieżowców i zastygłe w bezruchu dźwigi czekają na lepsze czasy.

Sklep warzywny w Maszhadzie. Imam Ali nigdzie na świecie nie jest tak wielbiony jak w Iranie. roga z Teheranu do Isfahanu.

Mauzoleum szacha Cyrusa w Pasargadach. Dawna stolica perskiego imperium była otoczona cyprysowym parkiem oraz ogrodami pełnym lili i róż. ain w centralnym Iranie. Rezerwuar wodny z zapewniającymi entylację wieżami - bodgirami.

Huseinia, miejsce obrzędów pasyjnych upamiętniających męczeństwo imama Hosejna. a ziemi.

Wąskie uliczki bronią dostępu samochodom. Stare miasto wygląda tak jakby czas cofnął się tu o setki lat. racownia wydziału sztuk pięknych uniwersytetu w Jazdzie.

Irańczycy okazują obcokrajowcom sympatię niemal na każdym kroku.

Zoroastrijska wieża milczenia koło Jazdu. Wieczorami młodzież urządza tu wyścigi motocyklowe.

W centralnym kręgu wież milczenia składano przed wiekami ciała zmarłych, które były potem rozszarpywane przez ptaki.

Ogień to dla zoroastrian najświętszy i najczystszy z żywiołów, stworzonych przez Boga.

Zoroastrijskie nabożeństwo w centralnej świątyni w Jazdzie.



14. Obecność wizerunku byłego prezydenta Chatamiego pod postaciami ajatollahów Choeminiego i Chameneiego świadczy o sympatii lokalnej społeczności dla obozu reform.





15. Tradycyjna siłownia w Kermanie. W rytm bębnów i recytacji poematów Ferdousiego atleci poszukują równowagi wewnętrznej i czystości ducha. W każdy piątek miliony

Irańczyków wyruszają za miasto. Place zabaw znajdziemy nawet na pustyni.

Kaluty to miejsce pozbawione życia. Zanotowano tu najwyższą temperaturę w dziejach ludzkości: 70,7 stopni Celsjusza.

Manekiny na bazarze w Kermanie odzwierciedlają wzorzec eleganckiego mężczyzny. Bez krawata, który władze uznają za symbol zachodniej dekadencji.

Ściany domów w Kermanie zdobią potężne murale. Codziennie przypominają przechodniom, że Iran to islamska republika.

Centrum kulturalne w południowym Teheranie. Konkurs plastyczny w rocznicę wyzwolenia miasta Chorramszahr spod irackiej okupacji.. Muzeum Świętej Obrony w Kermanie.

Zrekonstruowana w detalach linia frontu wojny irackoirańskiej. Bunkry, zasieki, pola minowe.



22. Kobieta w Iranie żyje w cieniu mężczyzny. Bez jego zgody nie może podjąć pracy ani podróżować.



23. Studentka uniwersytetu w Jazdzie. Mimo prawnej dyskryminacji aż 60 procent absolwentów irańskich uczelni to kobiety.



24. Góry Zagros. Ślub w rodzinie koczowników z plemienia Bachtarów. Jednym z weselnych zwyczajów Bachtarów jest sypanie cukru na białą chustę, rozwieszoną nad młodą parą. Dzięki

temu ich życie ma być słodkie.

Port w Bandare Abbas nad Zatoką Perską. Burki noszone przez zameżne kobiety są dziś bardziej wyrazem mody niż nakazem.. Mauzoleum Hafeza w Szirazie. Suficki mistyk interpretuje znaczenie słów najsłynniejszego z perskich poetów.

Beludżystan jest najbardziej niespokojnym regionem Iranu. Im bliżej granicy z Pakistanem, tym częściej na drogach pojawiają się policyjne blokady.

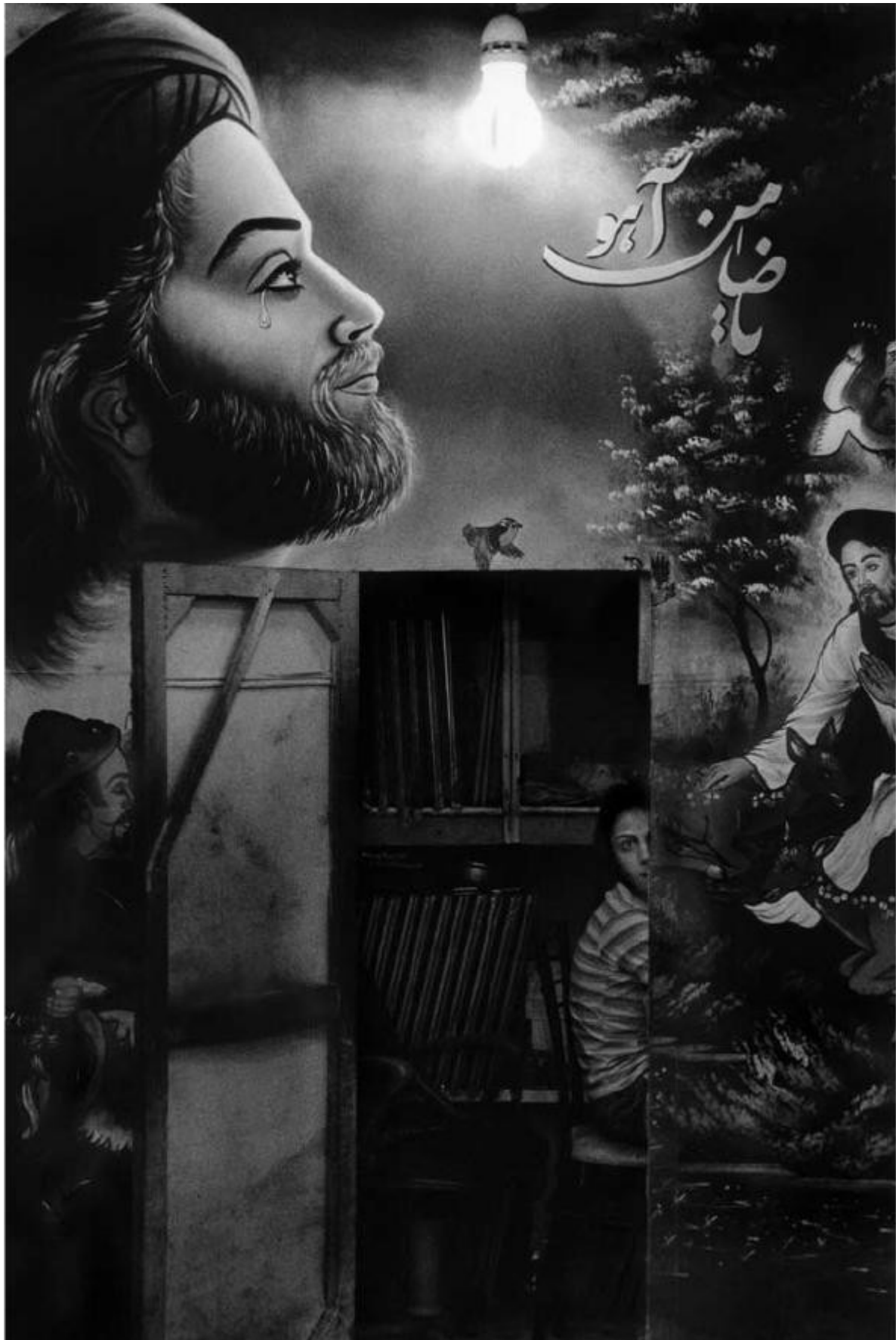
Sistan przy granicy z Afganistanem. Po wyschniętym korycie jeziora Hamun suną nocami dżipy z uchodźcami oraz stada tresowanych wielbłądów przemycających do Iranu heroinę. Ruiny twierdzy w Bam, zniszczonej w 2003 roku przez silne trzęsienie ziemi. Pod gruzami zginęło niemal 30 tysięcy mieszkańców.. Okolice Qarra Tappe Szejjch na północy Iranu nie przypominają pusty nej kolebki perskiej cywilizacji. To niekończąca się przestrzeń łąk, pó pastwisk.

Wiejskie podwórko przy turkmeńskiej granicy.

Pogańskie cmentarzysko niedaleko górskiej świątyni mistyka Chaled Nabiego. Rozłożone skrzydła motyla symbolizują groby kobiet.

Meczet w Isfahanie. Wieczorna modlitwa.

Tabriz. Muzułmanie przychodzą do świątyni nie tylko po to, by się modlić. Meczet to również miejsce relaksu pod łaskawym okiem Alla Mauzoleum imama Rezy w Maszhadzie. Aby dostać się do środka, trzeba przejść szczegółową kontrolę. Innowiercy w zasadzie nie mają tu wstępu.



37. Studio fotograficzne w Maszhadzie. Po wizycie u grobu imama Rezy szanujący się Irańczyk powinien zrobić sobie zdjęcie pod portretem szyickiego

myśliciela. Dwunastomilionowy Teheran to pełna życia, chaotyczna, tonąca w smogu metropolia, rozłożona u podnóża majestatycznych gór Elburs.





39. Mural w centralnym Teheranie, tuż przy ormiańskiej katedrze. Trupie czaszki i bomby - z tym ma się Irańczykowi kojarzyć Ameryka. Studenci Uniwersytetu Amir Kabir. Obeznani z kulturą i historią, także polską. Nasz kraj to dla nich dwie ikony: Krzysztof Kieślowski i Lech Wałęsa.

Uczniowie szkoły średniej w Teheranie. Plus konsola playstation.

Helena Stelmach w wieku ośmiu lat trafiła do sowieckiego łagru. Do Iranu przybyła z pierwszymi żołnierzami generała Andersa. Mieszka w Teheranie.

Zakazany cmentarz Chawaran na peryferiach Teheranu. W nieoznaczonych grobach leżą tysiące pomordowanych na rozkaz Chomeinieg mudżahedinów.

Plac Kadż w północnym Teheranie. Fiesta kibiców Esteghlału po zdobyciu mistrzostwa kraju w piłce nożnej.

Isfahan. Na czele ostatniego przed wyborami marszu zwolenników opozycji studentki miejscowego uniwersytetu, jednej z najlepszych szkół w Iranie.

Niektórzy teherańczycy gotowi byli poświęcić karoserie swoich samochodów, byle tylko przekonać jak najwięcej ludzi do głosowania na Musawiego.

Teheran, dzień po sfałszowanych wyborach. Pierwsze starcia demonstrantów z uzbrojonymi po zęby oddziałami policji i basidżów



48. Teheran, 14 czerwca 2009 roku. Jedno z najślynniejszych zdjęć dokumentujących brutalność tajnej policji.

## separatyści na pół gwizdka

Do Tabrizu jechałem skuszony wybitną prozą szwajcarskiego pisarza Nicolasa Bouviera, który w 1953 roku, jako dwudziestoczteroletni absolwent studiów literackich i prawniczych, sfatygowanym fiatem topolino wyruszył w podróż w stronę Indii. Do Tabrizu dotarł przed zimą i nie wy dostał się, aż wiosna zlitowała się nad podróżnikiem.

Bouvier pisze z własnej perspektywy, z ogromną wrażliwością. Niemal fizycznie czuć, jak w zatkanym śniegiem Tabrizie doświadcza chorób, głodu i chłodu, choć ludzi zawsze odbiera gorąco. Kiedy rozmawia z prostym tabriskim Ormianinem, wiadomo, jak on wygląda i co mu w duszy gra. Gdy przechadza się ulicami zmrożonego miasta, widać dym z kominów, czuć zapach ulicznych palenisk i gorącej herbaty.

Tabriz nie jest perłą architektury. Za dużo przetoczyło się tędy krwawych najazdów. Ot, jeden miły deptak i jeden piękny, XVwieczny Niebieski Meczet, który chciało już powalić kilka trzęsień ziemi, ale ludzie zawsze pomagali potężnym kopułom wznosić się na nowo. Jest jeszcze średniowieczna cytadela, która pełniła rolę twierdzy, meczetu i miejsca kaźni jednocześnie. Skazańców strącano z murów, wysokich na dwadzieścia osiem metrów. Aż do dnia, kiedy, zgodnie z legendą, miano zrzucić w dół kobietę, która została w cudowny sposób uratowana przez czador. Wzdął się jak balon i zadziałał jak spadochron.

Kilkanaście lat temu miejscowi mułowie wpadli na pomysł, by ten najwyższy i najstarszy zabytek w mieście wyposażyć w nowoczesnego towarzysza. Najpierw kazali mu się trochę posunąć, niszcząc koparkami część otoczenia twierdzy, a dziś kończą budowę gigantycznego meczetu, który przyćmić ma wszystko, co dotychczas zbudowano w Tabrizie. To prawda, meczet jest gigantyczny. Jednak gdyby nie minarety, wyglądałby jak wielka galeria handlowa.

Najciekawszym miejscem w Tabrizie jest, liczący ponad pięćset lat, kryty bazar z wysokimi ścianami i krzyżowożebrowymi sklepieniami z czerwonej cegły (zupełnie jak w gotyckich kościołach); z krągłymi kopułami dachów, ze świetlikami, którymi wpada powietrze i snopy słonecznych promieni, oświetlające drobiny tańczącego kurzu. Labirynty korytarzy, jedne senne, z wiecznie drzemiącymi sklepikarzami, inne pełne życia, z tłumami handlarzy, ich podekscytowanych klientów oraz śmiertelnie zmęczonych tragarzy, ciągnących wąskimi korytarzami wielkie przeładowane wózki: „Ludzie, zejście z drogi, bo zaraz mi się to wszystko zwali na plecy!”. Tuż obok wspaniałe tabriskie dywany, grube, gęsto tkane,

węlnianobawełniane, pastelowe, w wielkie, ale delikatne, geometryczne kształty. Mijam sklepy z naturalnymi perfumami, składy egzotycznych, różnokolorowych przypraw, uformowanych w kopce, drewniane pojemniki z niesamowitą w smaku, nadkaspijską herbatą. Przystaję co chwila, biorę głęboki oddech. Wokół gwar, tłok, nawoływania, śmiechy. Bazar to prawdziwe serce Tabrizu.

Z zamyślenia wybija mnie Habib. Czterdziestodwuletni azerski kupiec handluje dywanami, biżuterią i starociami z epoki szacha. Jest dokładnie w moim wieku, ale ciężkie życie, praca od dzieciństwa wyłobiły dziesiątki zmarszczek na jego twarzy, wybieliły mu wąsy, pozbawiły kilku zębów. Wygląda, jakby był ze dwadzieścia lat starszy, więc kiedy pyta o mój wiek, odmładzam się o dekadę.

Zawsze, ilekroć spotykam tu kogoś takiego jak Habib, zastanawiam się, dlaczego tak uprzejmy i kulturalny naród ma tak krwawą historię. Habib co prawda zaczął mnie na ulicy, ale bardzo szybko i dobitnie zaznaczył, że choć jest kupcem, nie ma zamiaru mi nic sprzedawać. Po prostu chce porozmawiać z przybyszem z zagranicy. Rzadko ma ku temu okazję, gdyż niewielu turystów odwiedza w ostatnich czasach Tabriz.

Habib zaprosił mnie na obiad do restauracyjki, w której stołują się bazarowi kupcy. Wyglądała dość obskurnie, ale kucharz okazał się mistrzem. Nigdy nie jadłem tak dobrego abgusztu. Spożywanie tej potrawy (baranina, ciecierzycy, pomidory, fasola) to prawdziwy rytuał. Kelner wręcza garnczek z abgusztem, głęboki talerz, chleb, miętę, jogurt, obcęgi i coś w rodzaju tłuczka. Obcęgi chwytny garnek z abgusztem i odsączamy sos do talerza. Potem rozrywamy na drobne kawałki chleb, moczymy go w sosie i zjadamy tak przyrządzoną papkę. Na koniec ugniatamy tłuczkiem mięso, wybieramy kości, żeby sobie nie połamać zębów, i zjadamy potrawę.

Ktoś, kto zna irańską kuchnię tylko z perspektywy przypadkowych barów i restauracji, może być zdziwiony moimi zachwykami. W Azji jest cała masa krajów, które na pierwszy rzut oka oferują dużo więcej, choćby Indie, gdzie niemal na każdym kroku można natrafić na bar z wyśmienitym jedzeniem. W Iranie dominują w zasadzie dwa rodzaje lokali. Typ pierwszy to fast foody w zachodnim stylu, gdzie królują nudne hamburgery i pizza oraz gigantycznych rozmiarów (na wzór amerykański) sandwicze. Największą konkurencję stanowią dla nich tradycyjne restauracje (*resturane sonnati*). Ciężko jednak znaleźć te z najlepszymi potrawami, gdyż nie są w ogóle reklamowane. Łatwiej o niezbyt czysty lokal, w którym sprzedaje się prosty, szaszłykowy kebab według koczowniczej receptury, czyli kawałki mięsa z cebulą.

Rzeczywisty obraz możliwości irańskiej kuchni objawia się w prywatnych domach.

Wołowina, drób, baranina, szpinak, cebula, pomidory, granaty, szafran, mięta, kolendra, orzechy, cynamon, kminek, kurkuma, zapiekany ryż, jogurt - przeniosą nas do specyficznego świata, będącego wypadkową burzliwej historii Iranu: wpływów arabskich, kaukaskich, afgańskich, środkowoazjatyckich, europejskich, indyjskich.

Niemal każda kolacja składa się z kilku dań, pochłanianych w ilościach niewyobrażalnych dla Europejczyka. Na szczęście mimo postępującego konsumpcjonizmu Irańczycy wciąż nie są narodem żyjącym w nadmiernym pośpiechu, więc na przyswojenie jadła dają sobie zazwyczaj kilka godzin. Spore przerwy między potrawami urozmaicane są opowieściami z życia uczestników uczy. Niektóre z przygód obfitują w tak wielką liczbę zaskakujących szczegółów, że można mieć wątpliwości, czy zdarzyły się naprawdę. Wiarygodność nie ma jednak w tym momencie większego znaczenia, historie są niezbywalnym elementem wspólnej celebracji przy stole.

Innym sposobem biesiadowania jest odgrywanie pantomimy mającej swe źródło w tradycyjnej irańskiej sztuce opowiadania, w której ważną rolę odgrywa żywa gestykulacja. To niezwykle popularna w Iranie gra, prosta, ale zarazem rozwijająca umysł. Stół biesiadników dzieli się na dwa obozy, z których po kolei delegowani są przedstawiciele obu drużyn. Podchodzą do przeciwnego zespołu i otrzymują zadanie. Mają za pomocą mimiki i gestów odegrać scenkę symbolizującą tytuł filmowy, postać aktora, słynnego polityka lub piosenkarza, nazwę państwa albo, co znacznie trudniejsze, przysłowie bądź abstrakcyjne pojęcie (sławę, strach, odpowiedzialność). Zgadujący hasło mogą zadawać pytania pomocnicze, ale odpowiedź trzeba wyrazić bez słów, samymi gestami. Gra rozbudza wyobraźnię, ujawnia talenty aktorskie, pokazuje różnice charakterów. Jedni grają oszczędnie, inni miotają się po całym pokoju. Habib i ja należymy do tej drugiej grupy, co pomaga nam wygrać w cug lach pojedynków z sąsiadami z tabriskiego bazaru.

Habib nauczył się angielskiego sam, z książek, żeby móc sprzedawać dywany turystom z zagranicy. Niestety, ma z nimi coraz rzadszy kontakt. Prezydentura Ahmadineżada wymiotła większość turystów, których przecież i tak nie było tu nigdy zbyt wielu. Teraz siedzimy w biurze Habiba i co chwila odwiedza nas któryś z jego kolegów. Pijemy kolejne herbaty, irańskim zwyczajem nie rozpuszczając cukru w szklance, ale trzymając słodką kostkę w ustach i filtrując przez nią napój. Habib stawia na stole szachy - to właśnie Iran jest ich kolebką. Na trzy partie przegrywam dwie. To idealne rozwiązanie. Ja nie wychodzę na kompletnego amatora, a Habib może poczuć się zwycięzcą, co gwarantuje mu dobry humor aż do wieczora.

W historii Iranu Tabriz zawsze był oknem na Europę, w niektórych okresach urastał

nawet do rangi stolicy. Ludzie mieli tu otwarte głowy i często, ku zgorszeniu władz, eksperymentowali z nowoczesnymi ideami płynącymi z Zachodu. Czasem marzyła im się demokracja, czasem tabriskich intelektualistów i artystów kusił socjalizm. W głowie mieli ciągle jakieś eksperymenty, jak ten po wojnie, kiedy azerscy komuniści, przy wydatnym wsparciu okupujących północ Iranu Sowietów, utworzyli tu republikę ludową. Przetrwała rok. Potem część komunistów zginęła z rąk szacha, a reszta uciekła do ZSRR, gdzie zresztą szybko pozbyła się złudzeń co do sowieckiego raj.

Tabrizyńczykom zawsze coś zaprzętało głowę, zawsze chcieli coś zmieniać. To tu po raz pierwszy w Iranie zainstalowano telefony, tu zbudowano pierwszą drukarnię, park, uniwersytet, a także szkołę dla niesłyszących, szkołę dla niewidomych, sieć bibliotek publicznych, pierwsze w Iranie kino i izbę handlową.

Dziś miasto utraciło trochę ze swojej dawnej energii. Nie jest już tym samym urokliwym Tabrizem z Bouviera, żywą mieszkanką azerskoormiańskoperską. Zresztą już wtedy miasto powoli traciło na znaczeniu. Dojście do władzy bolszewików zniszczyło szlaki handlowe z Azją Środkową i po części z Europą, a późniejsze lewicowe i separatystyczne tendencje odebrały władzom w Teheranie ochotę do nadmiernych inwestycji w ten północny region.

Tabriz zamienił się w dwumilionowy, chaotyczny i dość zaśmiecony moloch. Na szczęście miasto zyskuje wieczorem, kiedy ludzie wychodzą na ulice, rozświetlone licznymi neonami. Setki zatłoczonych sklepów, pijalnie soków i koktajli, czyli ulubione miejsca przesiadywania całych rodzin. A na wprost wielkich salonów z telefonami komórkowymi (Irańczycy są od nich krańcowo uzależnieni) siedzą drobni handlarze sprzedający postery gwiazd. Na topie od lat Leonardo DiCaprio i Tom Cruise oraz piłkarska megagwiazda Cristiano Ronaldo. Wśród kobiet niekwestionowaną królową jest Aiszwarzja Raj, była Miss Świata i zarazem słynna indyjska aktorka. Jej plakat aż kłuje w oczy, nikt nie zadbał, by Aiszwarzję ocenzurować i komputerowo zakryć włosy. Ale nie ma obaw, „Morality Police” nie aresztuje dziś nikogo za aktorkę. Islamska republika wyraźnie rozróżnia to, co krajowe, i to, co zagraniczne. Hinduska gwiazda ma więc prawo pokazywać włosy, tak samo jak modelki na opakowaniach zachodnich szamponów.

- Mam jeszcze dwa gobeliny z tą boginią - zachęca handlarz, widząc moje zainteresowanie Aiszwarzją. - No i coś specjalnego. Musisz to zobaczyć.

Wąsaty Azer zostawia stoisko koledze i prowadzi mnie do pobliskiego sklepu z dywanami. Jego właściciel uważnie mi się przygląda, po czym stawia herbatę. Żali się przez kilka minut na nieudolny rząd, po chwili podchodzi do drzwi sklepu i zamyka je. Na koniec

przedłużającej się ceremonii na stole przede mną łąduje gobelin, metr na dwa, z utkaną misternie, leżącą na łożku nagą blondyną o wydatnym biuście.

- To jest prawdziwa sztuka - żartuje towarzyszący mi Habib. - Wiem, wiem, nie kupisz tego. Macie przecież „Playboya”. Ale dla nas taki gobelin to prawdziwy skarb. Można przez niego zdrowie stracić w więzieniu. No ale czasem warto zaryzykować. Cóż warte byłoby życie bez kobiet?

W drodze powrotnej z bazaru przystajemy przy piekarni, z której dobywa się cudowny zapach chleba. W Iranie, tak jak w wielu krajach azjatyckich, pieczywo wypieka się na oczach klientów, w wielkich, półokrągłych piecach, wykopanych w ziemi. Płaskie, sporej wielkości placki przykleja się do wyłożonej ceglami, wewnętrznej ściany pieca i czeka, aż zaczną puchnąć i wydawać charakterystyczny aromat, będący gwarantem pierwszorzędnego smaku. W piekarni pod moim hotelem dowodzi Mehsud, dumny czterdziestolatek. Wielkie (jak to u piekarza) dłonie, ogorzała twarz, wąsy i kontrastujące z surowym wyglądem rozradowane, bystre oczy. Mehsud jest oczywiście Azerem i od dwóch dni namawia mnie, bym porzucił naukę farsi i zaczął uczyć się azerskiego. Większość tabrizyjczyków, jakich poznałem, nie lubiła używać farsi, za to uwielbiała psioczyć na stolicę. Wielu można by określić separatystami, ale takimi na pół gwizdka. Jeśli pogadać z nimi dłużej, niemal zawsze okaże się, że choć nie pozwala im się nawet używać języka ojczystego w szkołach, wcale nie chcą się odłączać od Iranu, tylko mieć na niego wpływ. W końcu to oni od wieków ciągną ten kraj do przodu, to oni za niego walczą i to oni go zmieniają. Tabrizyjczyk nie będzie marzył o przyłączeniu do Azerbejdżanu. Azerbejdżan to takie małe państewko, nic ważnego, ale Iran - to jest dopiero coś.

W pobliżu Tabrizu leży wioska Kandowan, przypominająca nieco turecką Kapadocję. Ponad siedemset lat temu ktoś wpadł tu na pomysł, by w przepięknych, różnokształtnych skałkach, przypominających czapki krasnala, wydrążyć domy. Dziś w Kandowanie mieszka kilkaset osób, niezbyt zakochanych w turystach. I trudno się dziwić, przyjeżdżają tu, chodzą z rozdziawionymi ustami, patrzą na tubylców jak na jakiś wymarły gatunek. A przecież, proszę, tu też jest cywilizacja. Wioska ma prąd, a w niektóre z otworów okiennych, wykutych wieki temu w skale, wstawiono nawet nowe, plastikowe okna.

Spacerując pośród tych osobliwości, spotykam wycieczkę szkolną z liceum w Teheranie. Same dziewczyny, na oko mają po siedemnaście, osiemnaście lat. Ładne, pełne życia. Markowe ciuchy, modne okulary, drogie, sportowe kurtki, aparaty Nikona i Canona. Nauczyciel właśnie poszedł szukać toalety, więc dziewczyny zaczynają szaleć. Urządzają pojedynki, ale zamiast z pistoletów strzelają do siebie z cyfrówek. Tuż obok zgięta w pół stara

kobieta targa na górę ciężki worek z drewnem, tak jak setki lat temu. Dwa Irany: młody i stary. Świat Nikona i świat paleniska w skalnej grocie.

Oba te światy są dla islamskiej władzy wyzwaniem. Rząd ani nie jest dumny z nowoczesnych dziewcząt (co oczywiste), ani z mieszkańców Kandowanu. Elaine Sciolino pisze w książce *Persian Mirrors*, że podczas swojej pracy w roli teherańskiego korespondenta „New York Timesa” opublikowała kiedyś artykuł o życiu w Kandowanie. Okazało się, że tekst wzbudził oburzenie o wiele większe niż niejeden krytyczny materiał o prawach kobiet czy represjach przeciwko opozycji. Oficjele dzwonili do autorki i jej przyjaciół, twierdząc, że artykuł o mieszkańcach skalnych grot jest poniżający dla Irańczyków i pokazuje ich jako ludzi zacofanych. Zachowywali się dokładnie tak samo jak ostatni szach, który nie rozumiał, że unikatowi irańscy koczownicy: Kaszkajowie i Bachtiarowie, są potężną wartością i atrakcją kraju. Zamiast promować ich kulturę, kazał im się osiedlać i skończyć z pasterstwem. Nie po to kupował najnowocześniejszą broń i komputery z Zachodu, by Iran kojarzył się z koczownikiem jeżdżącym na wielbłądzie. Szach Pahlawi wydał więc rozkaz, by wielbłądy i ich właściciele zniknęli z gazet i albumów fotograficznych.



## **Anna Turowicz 1942-1942**

Do rewolucji miasto nazywało się na cześć szacha Bandare Pahlawi i było największym irańskim portem nad Morzem Kaspijskim, leżącym trzysta kilometrów na wschód od Tabrizu. Przyjeżdżały tu tysiące turystów i przechadzały się po uroczej, portowej promenadzie, kąpały w morzu, odwiedzały drewniane domy w podmokłej delcie rzeki Sefid. Okolica jest bajkowa. Rozbuchana przyroda, lasy gęste jak dżungla, niskie chmury, wilgoć. I zatopione w wodzie pola ryżowe, przedzielone wystającymi ponad taflę miedzami. Ze szczytów pobliskich wzgórz wyglądają jak niekończące się zielonkawosrebrne witraże. Dla Irańczyka, przywykłego do skwaru i pustynnego krajobrazu, wybrzeże Morza Kaspijskiego było od wieków czymś osobnym, dziwnym, ekscytującym.

Potem przyszedł Chomeini i nazwę zmieniono na Bandare Anzali, a promenada i plaże wyludniły się. Dziś to ponadstutysięczne miasto, stolica irańskiego kawioru, powoli leczy porewolucyjne rany i odbudowuje hotele. Na promenadzie jest coraz więcej kolorowo ubranych Irańczyków, choć plaże wciąż świecą pustką. Nie przyjechałem tu jednak, by martwić się o irańską turystykę. Miasto ma dużą wartość historyczną dla każdego Polaka. Serce podchodzi do gardła, gdy w tym dalekim, szyickim kraju jadę asfaltową ulicą, pełną napisów w obcym alfabecie, i nagle dostrzegam biały mur, dwa orły, krzyż i dwa słowa w moim własnym języku: „Cmentarz polski”.

Kiedy londyński rząd emigracyjny zdecydował w 1942 roku o ewakuacji z ZSRR armii generała Władysława Andersa, Bandare Pahlawi stało się punktem zbornym dla wszystkich żołnierzy i cywilów, zwalnianych przez Sowietów z gułagów. Do dziś, jeśli się bardzo postarać, można tu kupić pokątnie produ kowaną wiśniówkę, która funkcjonuje pod oryginalną, polską nazwą. Irańczycy wymawiają ją: „wiszniowka”.

Helena Stelmach w dniu wybuchu wojny miała osiem lat. Mieszkała z matką w majątku rodzinnym Horodno na Wołyniu. Ojciec, który służył w polskim wojsku, został na zachodnim brzegu Bugu, zajętego przez Niemców. Tuż przed Bożym Narodzeniem do posiadłości wpadli Sowieci. Dali kilkanaście minut na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy, po czym zawieźli ciężarówką na stację. Helena z matką trafiły do bydlęcego wagonu z paroma innymi rodzinami. Przez całą kilkudniową podróż do Moskwy nikt nie dał im jedzenia. Za napój służyły lód i szron obrastający drewniane ściany. W połowie drogi jedna z kobiet urodziła dziecko, które po kilku godzinach zmarło.

Po krótkim postoju w radzieckiej stolicy transport ruszył na Daleką Północ. I któregoś

dnia dojechał do starego carskiego więzienia dla zbuntowanych popów. Polacy już jednego z pierwszych dni dokonali przerażającego odkrycia. W poszukiwaniu gniazd pluskiew jeden z mężczyzn wyrwał deskę z podłogi. Pod spodem leżały kości zamordowanych duchownych.

- Byłam wtedy dzieckiem i nie powinnam widzieć takich rzeczy - kręci głową pani Helena. - Pamiętam, jak przynoszono z lasu wycieńczone, czasem ranne, piętnastoletnie dziewczyny, które zmuszano do katorżniczej pracy przy obróbce ścinanych drzew. Pamiętam chleb z oliwą i wypadające dorosłym zęby. Pamiętam, że minus czterdzieści stopni to była w zimie norma. Pamiętam, że pytałam matkę, dlaczego słońce wstaje tylko na parę godzin, a ona mówiła mi, że słońcu też jest chłodno i nie ma siły dłużej chodzić po syberyjskim niebie.

Po prawie dwóch latach Sowieci ogłosili, że Polacy mogą wracać do domów. Ale jak to zrobić? Nikt nie chciał podstawić im pociągów lub choćby sań. Mężczyźni rzucili się do robienia tratw, którymi po kilku dniach ruszył na południe orszak nędzarzy. Płynęli pod prąd całymi tygodniami, odżywiali się, okra dając chłopskie zagrody i sady. Niejeden profesor czy inżynier zebrał baty od kołchoźników, którzy przyłapali go z przerażoną kurą pod pachą. Niejeden utonął lub zmarł z wycieńczenia i chorób wywołanych brudem lub niedożywieniem. Reszta po dwóch miesiącach dotarła do uzbeckiej Samarkandy. Tam matka Heleny dowiedziała się, że niedługo z turkmeńskiego Krasnowodska odpłynie sowiecki statek do Iranu. Tak długo zamęczała oficerów z polskiej misji wojskowej, aż wydali jej przepustkę. Był to pierwszy polski transport do Bandare Pahlawi.

Dawny więzień radzieckich łagrow, Stanisław Kowalski, pisał w swoich wspomnieniach:

Przy porannym świetle wschodzącego słońca przed oczyma Polaków ukazała się panorama irańskiego miasta Pahlawi. Na pierwszym widoku urządzenia i zabudowania portowe, a na dalszym widoki wschodniej architektury i wspaniały krajobraz nadmorskich okolic. Już tylko krótkie chwile dzieliły ich od dotknięcia stopą perskiego lądu - lądu poza zasięgiem stalinowskiego terroru. Jeszcze przed południem tego pamiętnego dnia, pierwszego kwietnia 1942 roku, polska stopa stanęła na portowym bruku perskiej ziemi. Niemal natychmiast przed Polakami ukazało się inne życie - życie ludzkie, logiczne i dla nich wolne. W czasie marszu ku plaży ich zgłodniałe oczy chłonęły bogate wystawy sklepów i różnorodność towarów w ich oknach [...] W mniemaniu Europejczyka Persja nie była bogatym krajem, a Pahlawi nie należało do cudów świata, ale w oczach niedawnych nędzarzy mały perski port na wybrzeżu Morza Kaspijskiego był rajem piękniejszym od tego, który Adamowi i Ewie użyczył Bóg.

Dla Heleny i jej matki Iran bardzo szybko przestał być rajem. Wśród zmordowanych,

niedożywionych polskich emigrantów wybuchła epidemia tyfusu. Mimo pomocy udzielonej przez hinduskich lekarzy, służących w armii brytyjskiej, aż sześć set osiemdziesiąt dziewięć osób zmarło w Bandare Pahlawi. Dziś wszyscy leżą w jednej kwaterze, wydzielonej na terenie ormiańskiego cmentarza. „Pamięci żołnierzy polskich, kobiet, mężczyzn i dzieci. Do kraju ojczystego zdążających, na ziemi obcej zgasłych i tu pochowanych w roku 1942”.

Helena ominęła choroba. Została przetransportowana do miasteczka namiotowego, utworzonego dla Polaków w Jusef Abad, wówczas wiosce na północ od Teheranu, dziś jednej z lepszych dzielnic metropolii.

- Szerzyły się choroby, cierpieliśmy z niedożywienia i awitaminozy. Jedliśmy wciąż fasolę, która wywoływała wzdęcia. Daleko było do rajy - uśmiecha się gorzko pani Helena. - Moja matka była jednak szalenie zdeterminowaną osobą. Gułag nauczył ją sztuki przetrwania, sprytu. Szybko stała się jedną z najbardziej aktywnych osób, dostała funkcję szefa kuchni, co bardzo nam pomogło.

Dalsze losy Heleny zdeterminowała pogłoska, że polscy cywile zostaną wysłani do Afryki Wschodniej lub Południowej, która wtedy była pod brytyjską kontrolą. W grę wchodziły Kenia, Uganda, Madagaskar, Rodezja, RPA. Matka Heleny nie chciała w ogóle o tym słyszeć. Ona chciała do Polski, a każdy z tych afrykańskich krajów tylko ją od niej oddalał. Wybłągała u jednego z teherańskich dostawców, przywożących towar do kuchni, by ukrył ją z córką w ciężarówce i wywiózł z obozu. Kiedy wysiadały z auta na ulicy Ferdousiego w centrum Teheranu, miały przy sobie tylko dwie torby. Chodziły od przechodnia do przechodnia i pytały: „gawarisz pa russki?”. Za którymś razem pewien Ormianin wskazał im drogę do hotelu, prowadzonego przez carskich imigrantów. Przez następne miesiące matka, arystokratka z Wołynia, szorowała na kolanach podłogi, potem trafiła do warsztatu tkackiego prowadzonego przez żydowską rodzinę. Pracowała ciężko i odkładała do pończochy każdy możliwy grosz. Dzięki temu najpierw wynajęła, a po latach wy kupiła sklep przy ulicy Enqelab, w samym centrum Teheranu. Początkowo sprzedawała tam sandwicze i pierogi, potem ubrania, aż w końcu ręcznie szyte buty, które można kupić w tym miejscu do dziś.

- Jako nastolatka byłam jedyną blondynką w promieniu wielu kilometrów, więc wzbudzałam wielkie zainteresowanie. - Pani Helena gładzi po głowie swoją ulubioną papugę. Samiec jest bardzo zazdrosny i wciąż, głośno skrzecząc, stara się przypominać mi o minimalnym dystansie, jaki powinienem zachować od jego pani. - Niech pan spojrzy, ochrania mnie zupełnie jak moja matka. Ona była przywiązana do tradycji katolicką, więc nie akceptowała ani adorujących mnie muzułmanów, ani, z drugiej strony, spódniczek mini,

popularnych za szacha. Mama traktowała Iran przejściowo, wciąż łudziła się, że komunizm w Polsce upadnie, a my wrócimy.

Nastoletnia dziewczyna z długimi warkoczami chodziła do amerykańskiej szkoły kościelnej, niedaleko egipskiego konsulatu. Codziennie na tamtejszy balkon wychodził przystojny, młody, zielonooki (po matce Greczynce) dyplomata, który nie spuszczał z niej oczu. Wybuchła wielka miłość, potem były zaręczyny i ślub - Helena miała dziewiętnaście lat. Jednak matka sprzeciwiała się temu związkowi i nigdy nie pozwoliła Helenie zamieszkać z mężem, choć Egipcjanin wiele poświęcił, by udowodnić swą miłość. Ślub z niemuzułmanką sprawił, że musiał zrezygnować z kariery w dyplomacji i został dziennikarzem. Miał jednak zbyt otwarty umysł i słono za to zapłacił. Swoimi artykułami wspierał rząd premiera Mosaddeqą, któremu marzyło się wydostanie z orbity brytyjskich wpływów i nacjonalizacja ropy, eksploatowanej bez ograniczeń przez Anglików. Kiedy przestraszeni Brytyjczycy poprosili CIA o pomoc w zorganizowaniu przewrotu, po czym obalili Mosaddeqą, dni egipskiego męża Heleny były policzone. I to w sensie dosłownym, ponieważ musiał w ciągu 72 godzin opuścić Iran. W odruchu rozpacz przyszedł błagać o zgodę na zabranie Heleny do Egiptu, gdzie jego ojciec miał fabrykę. Matka jednak nie ustępowała, sama Helena zaś czuła się zbyt od niej uzależniona, by podjąć samodzielną decyzję. Nie pomogły błagania i groźby, Egipcjanin musiał wyjechać sam. Potem kilkakrotnie słał do Heleny emisariuszy, ale bez skutku. W końcu zginął w wypadku samochodowym.

Dopiero po wielu latach Helena powtórnie wyszła za mąż za Mohammada Alego, syna właścicieli sąsiedniego sklepu z butami. Chodził za nią pięć lat, nauczył się dla niej angielskiego, lamentował, groził samobójstwem, więc uległa. Uległa też matka, pogodzona z faktem, że komunizm w Polsce nie upadnie za jej życia.

- Kiedy w końcu zaczęliśmy traktować Iran jak dom, wybuchła rewolucja - wspomina pani Helena. - Wielu ludzi nie rozumiało, co się wokół nich dzieje. Niby chodziło o szacha, ale ja widziałam głównie biedotę rabującą sklepy oraz „idealistów”, którzy zabijali swoich niedawnych sojuszników. Do dziś mam w głowie obraz młodych chłopców z ogromnymi karabinami, którzy najpierw walczyli z policją szacha, a potem ginęli pod moim sklepem na Enqelab od kul rówieśników. Kiedyś nie wytrzymałam i wyszłam wprost na oddział gwardii, przygotowującej się do ataku na niedobitki mudzahedinów. Krzyczałam, by przestali się nawzajem mordować, błagałam. Musieli być bardzo zaskoczeni, bo mnie nie zastrzelili.

Pani Helena należy dziś do nielicznej grupy około dwudziestu polskich kobiet, które są ostatnimi żyjącymi przedstawicielkami wojennej emigracji w Teheranie. W sumie przez Iran przewinęło się wtedy sto szesnaście tysięcy Polaków, w tym czterdzieści tysięcy

cywilów, z czego połowa to dzieci. Rozlokowano je w sierocińcach Teheranu, Maszhadu i Isfahanu. Stąd rozjechały się po całym świecie, trafiając do Meksyku, Nowej Zelandii, Indii, Wielkiej Brytanii i Południowej Afryki. Niewielka liczba wróciła do Polski.

Wstrząsającym śladem wojennej tułaczki Polaków jest cmentarz Dulab we wschodnim Teheranie. To piękna chrześcijańska nekropolia, otoczona murem i niewidoczna z ulicy, oblepionej szarymi, biednymi kamienicami. Groby rodzin włoskich, ormiańskich, francuskich, niemieckich, rosyjskich, czeskich i polskich, osiedlających się tu jeszcze w XIX wieku, a tuż obok - duża kwatera z ponad dwoma tysiącami cywilów i żołnierzy z armii Andersa, którzy zmarli (w większości z powodu tyfusu) na irańskiej ziemi. Szeregowiec, strzelec, starszy strzelec, kapral, porucznik. Nie zdołali wystrzelić ani jednego pocisku w stronę Niemców.

Szczególnie przygnębia widok prawie czterystu grobów dzieci. Wszystkie są kamienne, małe, bliźniaczo podobne. Edek Muszyński - trzy lata, Irena Radziwinowska - dwa lata, Tatiana Noskowicz - sześć lat, Antek Chramiec - niecały rok, Anna Turowicz - niecały rok, Irena Sienkiewicz - trzy lata, Teresa Surma - dziesięć lat.

Trudno pojąć, co czuli ich rodzice. Może tylko rozpacz, może zawód, żal i gniew. Ich dzieci odeszły, gdy były już poza zasięgiem stalinowskiego terroru, gdy wydawało się, że może być już tylko lepiej.

Chrześcijańskim cmentarzem opiekuje się od lat ta sama irańska rodzina, opłacana przez polską ambasadę. Nie jest to łatwa praca. Dozorca mówi mi, że okolica jest bardzo religijna. Mimo że islam szanuje chrześcijaństwo, prości ludzie uważają, że wstyd dla muzułmanina pracować na cmentarzu innowierców.

W historii Iranu i Polski był jednak czas, gdy kwestie wiary nie stanowiły problemu, a szachowie mieli więcej sympatii dla jezuickich misjonarzy niż do muzułmanów z sąsiedniej, sunnickiej Turcji. Zdarzało się nawet, że perscy władcy wspólnie z polskimi królami planowali jednoczesne uderzenie na imperium otomańskie, podbijające wówczas Europę. Koncepcja wielkiego przymierza z Persją narodziła się za Stefana Batorego i przeżyła swój rozkwit za czasów króla Zygmunta III Wazy i szacha Abbasa Wielkiego, dwóch potężnych władców ówczesnego świata. Do Polski sprowadzano wtedy wspaniałe konie, tkaniny, pasy kontuszowe oraz bogato zdobione, jedwabne dywany. Wiele z nich zdobi do dziś Wawel oraz państwowe i diecezjalne muzea w całej Polsce.

Dwaj władcy, choć nigdy się nie spotkali, polubili się i ślali do siebie posłów. W 1601 roku ormiański kupiec z Warszawy Sefer Muratowicz nadzorował w irańskim Kaszanie produkcję szabel, kobierców z insygniami dworu Jagiellonów oraz specjalnego namiotu dla

polskiego króla. Gościł też na licznych przyjęciach, organizowanych przez Abbasa, na których raczył się litrami przedniego wina. Zyskał ponoć nawet osobistą, wielką sympatię ze strony szacha, co nie było zbyt częste. Abbas cierpiał na paranoję, wszędzie widział spiski, wciąż bał się o swoje życie i dla zachowania władzy gotowy był nawet zabić najstarszego syna, a dwóch młodszych oślepić i zamknąć w twierdzy.

Na starych obrazach Abbas wygląda trochę jak polski magnat kresowy. Długie, sumiaste wąsy, wspaniałe żółty żupan w błękitne kwiaty, pas kontuszowy, wielka czapa z piórkami, zakrzywiona szabla. Trudno byłoby na podstawie XVIIwiecznych sztychów domyślić się, że Polska i Persja to kraje z dwóch różnych kręgów kulturowych.

Cztery lata po wizycie Muratowicza wysłannik Abbasa Mehdi Kuli Beg przyjechał w ramach rewanżu na ślub Zygmunta III Wazy z Konstancją Habsburżanką, a jego wjazd do Krakowa został uwieczniony na kilku rycinach. List, jaki przywiózł polskiemu królowi, zawierał otwartą propozycję wspólnej wojny z Turkami. „Opowiadamy to, aby między nami dwoma panami miłość i przyjaźń tak gruntownie stanęła, jako między panami chrześcijańskimi z dawna stawać jest zwykła. Turek jest nam i wszystkim wam chrześcijanom nieprzyjacielem”. Brzmi to zaskakująco w ustach muzułmańskiego władcy, jednak sunnicka Turcja była wówczas największym konkurentem rosnącej w siłę, szyickiej Persji. Wystarczy też rzut oka na mapę XVIIwiecznego świata, by zorientować się, że wielka, kończąca swój złoty wiek Polska była dla Abbasa niezwykle atrakcyjnym sojusznikiem.

Z pomysłu wzięcia Turcji w kleszcze ostatecznie nic nie wyszło, bo polski sejm liczył na to, że jakoś da się ominąć wojnę z potężnym sułtanem. Problemem była też komunikacja. Nie jest łatwo zgrać wielką militarną operację, gdy poselstwa sojuszników jadą do siebie całymi miesiącami.

Ostatni wielki orszak perski przybył do Polski w 1609 roku. Rolę lobbyisty irańskiego szacha odegrał Anglik Robert Sherley. Odwiedził Niemcy, Włochy, Watykan i Hiszpanię, ale pierwszą wizytowaną stolicą była Warszawa, która świeżo zdetronizowała Kraków. Sherley mógł zobaczyć, jak rozwija się to miasto w porównaniu z tonącym w bieli i błękitnie Isfahanem, do którego Abbas przeniósł stolicę z Qazwinu zaledwie kilka lat wcześniej. Zapewne porównanie nie wypadło zbyt pomyślnie dla Warszawy. Isfahan był wówczas największym przedsięwzięciem architektonicznym świata. W ciągu trzydziestu lat z ośrodka podupadłego po mongolskich najazdach stał się potężnym organizmem. W siedemdziesięciu tysiącach domów żyło pół miliona ludzi, działało sto sześćdziesiąt meczetów, czterdzieści osiem szkół religijnych i ponad dwieście siedemdziesiąt łaźni publicznych. Przy szerokich ulicach projektowano parki i fontanny, a wiele domów miało własne ogrody pełne róż,

tulipanów i drzew cyprysowych. Pośród kolorowo ubranych perskich notabli przechadzali się kupcy z Holandii, Portugalii, Anglii, Polski, Rosji, Indii, Arabii, Gruzji i Armenii. Słuchali poezji i muzyki, oglądali tancerki, którym żadni fundamentaliści nie zabraniali występów. O mieście mówiono wówczas: „Esfahan nesfe džahan” (Isfahan jest połową świata). Jeśli raz trafiłeś do Isfahanu, to tak, jakbyś odwiedził pół ziemi.

Kremowa cegła domów, pałaców i mostów, misterne, pełne błękitów mozaiki ścian meczetów, ruch, gwar, życie - nic dziwnego, że w przybyszach z Zachodu Isfahan budził podziw. Na dodatek nikt nie obawiał się, że te cudowne budynki pochłonie kiedyś najbardziej powszechny w Iranie kataklizm - trzęsienie ziemi. Kiedy Abbas decydował o przeniesieniu stolicy z Qazwinu, przyświecała mu nie tylko myśl o bardziej centralnej lokalizacji nowej metropolii, ale także fakt, że miasto leży na jednym z niewielu sejsmicznie bezpiecznych terenów Iranu. Tej wyobraźni zdecydowanie zabrakło jego następcom, którzy pod koniec XVIII wieku zdecydowali o zbudowaniu nowej stolicy w Teheranie, należącym - obok Tokio, San Francisco i Sztambułu - do najbardziej zagrożonych miast na świecie.

Wolny od podobnych zagrożeń Isfahan do dziś może cieszyć nasze oczy wspaniałą architekturą. Jednak kolorowy tłum kupców z całego świata zniknął z ulic, nikt też nie pamięta o sojuszu króla Zygmunta z szachem Abbasem, ani tym bardziej o Janie III Sobieskim, który jako ostatni z polskich władców słał emisariuszy na dwór perski. Polska kojarzy się raczej z eksportowanymi tu przed laty krzesłami giętymi (zwanymi w Iranie polskimi) oraz wyrobami warszawskiej fabryki Norblina, takimi jak zastawy stołowe, samowary, naczynia do gotowania, wazony i świeczniki. Do dziś można je bez trudu znaleźć w licznych sklepach z antykami i prywatnych domach.

Jednak Polska to nie tylko drewniane i srebrne starocie. Wielu Irańczyków, gdy tylko dowiadywało się, skąd pochodzę, natychmiast uśmiechało się od ucha do ucha: „Lahestan? Lech Walesa!”. Przywódca „Solidarności” stał się dla nich symbolem tego, co w Iranie było dotychczas tylko naiwnym marzeniem. Zwycięstwa w walce o demokrację, i to bez rozlewu krwi.

- Ojciec często mi powtarzał, że ten robotnik z wąsami to chodzący dowód, że na świecie wszystko jest możliwe. Nawet to, że bez broni można pokonać największe państwo świata, ZSRR - opowiadała mi kiedyś Azade.

Tak jak Wałęsa jest autorytetem dla irańskiej opozycji, tak dla intelektualistów i artystów jeszcze ważniejszą postacią jest Krzysztof Kieślowski (czasem też Andrzej Wajda i Krzysztof Zanussi). Zarówno w teherańskich sklepach z filmami, jak i w prywatnych domach wielokrotnie widziałem na honorowych miejscach *Dekalog*, *Podwójne życie Weroniki* lub

*Trzy kolory*. W opinii Irańczyków Kieślowski należy do ścisłego grona największych reżyserów w historii światowego kina. Na pewno jest dziś o wiele bardziej popularny w Iranie niż w Polsce.

Muszę wspomnieć o jeszcze jednym aspekcie polskiej kinematografii, który budzi największy szacunek Irańczyków. *Bolek i Lolek*, *Reksio*, *Zaczarowany ołówek*, *Pomysłowy Dobromir* oraz *Porwanie Baltazara Gąbki* to jedne z najbardziej kultowych kreskówek. Wychowały się na nich miliony Irańczyków. Kiedy gościłem w Krakowie dwoje teherańskich znajomych, ich pierwszym życzeniem było zrobić sobie zdjęcie pod pomnikiem Smoka Wawelskiego. To przecież on uratował profesora Gąbkę i obalił reżim panujący w Krainie Deszczowców! Dla niektórych Irańczyków Kraina Deszczowców to właśnie ich dzisiejsza ojczyzna.



## wieczór z księżycem

W drodze powrotnej z polskiego cmentarza w Bandare Anzali zatrzymuje nas policja - za przekroczenie prędkości. Nagle okazuje się, że mamy problem. Kieruję autem, w którym siedzą dwie irańskie kobiety - Szabnam, czyli narzeczona mojego teherańskiego przyjaciela Dariusza, oraz jej siostra Bahore. Kiedy wyjeżdżaliśmy ze stolicy, nie przyszło mi do głowy, że stanowią niezlą beczkę prochu, która w każdej chwili może wybuchnąć. Przejechanie setek kilometrów w składzie dwie niezamężne Iranki oraz turysta z Zachodu to spore ryzyko. Islamskie prawo zabrania, by kobieta podróżowała z mężczyzną, który nie jest jej krewnym lub mężem. Teraz, gdy podchodzi do nas policjant, Bahore wymyśla na poczekaniu bajkę, że jest moją żoną. Policjant udaje, że w to wierzy. Wypisuje mandat, po czym puszcza nas wolno. Po chwili jednak biegnie za naszym peugeotem. Dopada go zziębiony.

- Lepiej by było, gdyby ten pan nie prowadził samochodu. Niech się położy z tyłu i prześpi do Teheranu.

Niedaleko Rasztu zjeżdżamy znowu nad morze. Mamy odwiedzić Afsun, właścicielkę warsztatu ceramiki artystycznej. Afsun jest wyjątkową osobą. Żyje na uboczu, sprzedaje swoje wyroby do teherańskich galerii i restauracji, dochowała się dwóch córek, dwa razy się rozwiodła, wyszła za mąż po raz trzeci.

Wieczorem oglądamy fotografie z albumu rodzinnego Afsun. Swój pierwszy ślub wzięła kilka lat przed rewolucją. Jej zdjęcia z tego okresu przypominają fotografie moich rodziców i ich studenckie czasy. Nawet stroje mają podobne. Dziewczyny w kolorowych sukienkach przed kolana, chłopcy w luźnych marynarkach, z bokobrodami. Potem nagle zdjęcia zaczynają blednąć, szarzeć, czernieć. Twarze mniej wyraźne, smutniejsze. Nastąpiła rewolucja, skończyły się tańce, wizyty w kawiarniach, szaleństwa na nartach. Zamiast sukienek czadory, długie włosy przyduszono chustami.

- Grunt nam się usuwał spod nóg, ale wciąż nie wierzyliśmy, że to się dzieje naprawdę. Po wygnaniu szacha miało być więcej wolności, a po dwóch latach okazało się, że zamieniono nam zwykłe więzienie na zakład karny o podwyższonym rygorze - stwierdza Afsun, wertując album.

Rewolucja omal nie zakończyła się dla niej tragicznie. Pewnego dnia w jej ówczesnym, teherańskim mieszkaniu zjawili się przyjaciele z Tabrizu, którzy poprosili Afsun o pomoc. Nie mieli gdzie mieszkać, więc dała im klucze do sklepu, w którym wówczas sprzedawała meble. Po dwóch miesiącach wpadła do niej policja. Okazało się, że przyjaciele

byli członkami bojówek Mudża hediniów Ludowych. A w sklepie trzymali broń i ulotki.

- Wszyscy zostali rozstrzelani. Ja dostałam trzy lata więzienia. Uratowało mnie, że przez kilka tygodni mój telefon był stale na podsłuchu. Policjanci zorientowali się, że nie mam zielonego pojęcia, co się dzieje w moim sklepie. No i trafiłam chyba na przyzwoitego sędziego. W tamtych czasach nieświadomość nie była okolicznością łagodzącą - opowiadała Afsun. - Wiesz, ja nie żałuję tego więzienia. Zanim tam trafiłam, moje życie było płytkie, niewiele myślałam o poważnych sprawach. Dopiero w więzieniu dojrzałam.

Siedząc na werandzie domu Afsun, można zupełnie zapomnieć, że jest się w mużułmańskim Iranie. Posiadłość stoi na uboczu, stąd też wszyscy domownicy i przyjeżdżający goście nie muszą się martwić surowymi nakazami obyczajowymi. A wieczorem wystarczy przejść kilkaset metrów przez las, wyjść na piękną, bezludną plażę i wykąpać się bez obawy, że zza krzaka wyłoni się patrol „Morality Police”.

U Afsun przypomniałem sobie smak i zapach marihuany. Goniłwę myśli, poczucie odrealnienia, absurdalne skojarzenia, dziecięce wybuchy śmiechu. Nie ma barier. Czuję się wolny i zarazem głodny jak wilk, choć przecież półtorej godziny temu jedliśmy kolację. Afsun jakby czytała w moich myślach. Puszczą do mnie oko, wychodzi, a za chwilę wraca i stawia na stole wielką blachę tiramisu. Rozmowy się urywają.

Córka Afsun, Marzi, specjalnie dla mnie włącza płytę Hosejna Alizade, który od lat nadaje nową jakość klasycznej muzyce perskiej. Zakładam słuchawki, bo reszta zna tę płytę na pamięć i woli odbyć cowieczorny rytuał zbuntowanego Irańczyka, czyli włączyć którąś z emigracyjnych, satelitarnych stacji telewizyjnych. Po godzinie wracam do rzeczywistości i widzę, jak moi irańscy przyjaciele siedzą na wprost ekranu telewizora w zupełnym bezruchu. Zostawiam ich w stanie hipnozy i po cichutku wymykam się nad morze. Droga prowadzi przez las oświetlony tarczą księżyca. Każde drzewo ma swój własny zapach, swój własny kolor. Przeskakuję strumyk. Ścieżka prowadzi na pustą asfaltówkę, przy której jakiś biurokrata postawił betonowe ogrodzenie i nie widać morza. Ale tu gdzieś jest przecież dziura. No tak, jest. Mogę więc godzinami patrzeć na setki gwiazd nad morskim, czystym niebem, ale wybieram księżyc. Odnajduję miejsce, gdzie jest Tycho, wielki krater po uderzeniu asteroidy ponad sto milionów lat temu. Uwielbiam oglądać go przez teleskop z mojego balkonu. Dziś ten mały punkcik, który bardziej sobie wyobrażam, niż go widzę, daje mi poczucie bezpieczeństwa i związku z domem.

W Iranie marihuana w zasadzie jest zabroniona, jednak niespecjalnie się z nią walczy. Jak wytłumaczyła mi Afsun, duchowni uznali, że rośliny konopi stworzył Bóg, trudno więc ścigać ludzi za palenie czegoś, co rośnie sobie swobodnie pod słońcem od tysięcy lat, a

jedyny proces przygotowania rośliny do użycia polega na jej wysuszeniu. Żadnej skomplikowanej obróbki chemicznej, jak w przypadku heroiny czy usankcjonowanego przez tak zwaną większość najpopularniejszego narkotyku - alkoholu.

W Iranie, jeśli zatrzymany przez policję posiadacz marihuany nie okaże się dilerem zaopatrzonym w dziesiątki gramów, incydent skończy się na grzywnie. Ściganie trawki byłoby fanaberią. Iran cierpi o wiele bardziej z powodu heroiny, sprzedawanej często w postaci tańszego, nieprzetworzonego i mniej sterylnego opium. Źródłem nieszczęścia jest sąsiedni Afganistan, odpowiedzialny według danych ONZ za 92 procent światowych dostaw opium. Co ciekawe, tylko raz w najnowszej historii Afganistanu udało się zlikwidować niemal wszystkie plantacje maku. Było to w 2001 roku, kiedy przywódca talibów, mułła Mohammad Omar, po latach nacisków świata uznał produkcję opium za niezgodną z islamem. Ludzie go posłuchali, gdyż wiedzieli, że brak podporządkowania się woli Omara może oznaczać tylko śmierć. Potem jednak przyszli Amerykanie i sprawy zupełnie wymknęły się spod kontroli. Mimo wielu obietnic odbudowy zniszczonego wojnami kraju szybko stracili zapał i skierowali niemal całą swoją uwagę w stronę Iraku. Gospodarka Afganistanu nadal jest zrujnowana, a cały kraj chaotycznie podzielony na strefy wpływów kabulskiej administracji, talibów, klanów plemiennych, mafii narkotykowej i uzbrojonych gangów. W tym chaosie uprawa maku stała się dla chłopów najbardziej stabilnym i zapewniającym najlepsze zyski interesem. Mafie producentów i szmuglerów kontraktują mak jak europejskie rządy zboże, a zachodnia koalicja do tej pory nie wymyśliła, w jaki sposób można byłoby nakłonić rolników do zmiany repertuaru zasiewów.

Według danych ONZ najważniejszy szlak przerzutowy opium i heroiny biegnie przez Iran, Turcję i Bałkany. Transportuje się tędy do Europy ponad 50 procent afgańskich narkotyków. Trasy przez republiki poradzieckie są dłuższe, pełne granic, a przez to mniej popularne. Niestety dla Iranu, spora część towaru znajduje nabywców już na jego terenie, wskutek czego islamska republika trafiła do ścisłej czołówki państw z najwyższym odsetkiem osób uzależnionych. Według bardzo ostrożnych wyliczeń narkomanów są tu prawie dwa miliony, wielu z nich cierpi też na AIDS. Co ciekawe, najgorsza sytuacja panuje w Quom, świętym mieście szytów, pełnym szkół koranicznych.

Opium ma w Iranie długą tradycję. Jeszcze za szachów było powszechnie akceptowanym środkiem, używanym przez starszych ludzi na wszelkiego rodzaju dolegliwości bólowe. Marjane Satrapi, autorka kultowego komiksu *Persepolis*, w swojej kolejnej książeczce, *Wyszywankach*, wspomina ukochaną babcię jako narkomankę, która wpadała od rana w paskudny nastrój, a jedynym sposobem na przywrócenie jej do równowagi

było podanie opium.

W dzisiejszym Iranie oficjalna akceptacja dla opium znikła do tego stopnia, że państwo prawie w ogóle nie pomaga uzależnionym. Służby specjalne przechwytyją tego narkotyku najwięcej na świecie, z handlarzami zaś rozprawiają się w brutalny sposób. Na początku lipca 2009 roku w Karadżu powieszono jednego dnia dwudziestu szmuglerów, którym wcześniej skonfiskowano ponad siedemset kilogramów opium, heroiny i kokainy. Egzekucja ta raczej nie zachwiała rynkiem. W miejsce straconych przemytników szybko pojawili się następni ryzykanci, gotowi nasycić spragnionych odbiorców. Życie w islamskiej republice stało się dla wielu ludzi tak uciążliwe, że już nie tylko starszaki, ale wszystkie grupy pokoleniowe zaczęły sobie fundować fikcyjne wycieczki do bardziej przyjaznych krain. Opium można kupić w wielu teherańskich parkach i na skwerach, a czasem wprost na ulicy. Kilka dni przed wyborami prezydenckimi, kiedy szedłem z przyjaciółmi na pełen manifestantów plac Wanak, zaczepił mnie młody chłopak na motorze, oferując heroinę. I zapewne nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że do tylnego siedzenia miał przytwierdzoną tekturkę z plakatem Ahmadineżada. Narkotyki w Iranie są ponad wszelkimi podziałami.

## mój przyjaciel Jazd

Z wilgotną, pełną rozpasanej zieleni północą Iranu niełatwo się rozstać. Wsiadłem do samochodu, przejechałem czterysta pięćdziesiąt kilometrów, pożegnałem się z Szabnam i Bahore pod lotniskiem Mehrabad, a już trzy godziny później meldowałem się w hotelu w Jazdzie. Siedząc pośród wyschniętego krajobrazu, otoczony delikatnym pyłem pustynnym, który nienachalnie towarzyszy tu przez cały czas - otworzyłem walizkę, z której buchnęła wilgoć - tu, w środkowym Iranie, rzecz niespotykana.

Iran jest jedyną antyczną cywilizacją, która powstała na pustyni, niemal bez wody. Nie jest przywiązany do wielkich rzek lub mórz, jak Babilonia, Egipt, Chiny, Grecja, Kartagina czy Rzym. Centrum cywilizacji perskiej to zawsze były spieczone słońcem, na wpół martwe wyżyny. Nic więc dziwnego, że społeczeństwo miało przez wieki charakter koczowniczy, ludzie tysiącami podążali za upragnioną, ale wciąż znikającą wodą. Ten nabożny stosunek do wody obecny jest i dzisiaj. Irańczyk będzie bez umiaru marnotrawił subsydiowane gaz i prąd, ale nie wodę. Tej nigdy nie pozwoli kapać bez wyraźnej potrzeby. Irańczyk będzie też z dumą podkreślał, że jego kraj jest jednym z niewielu w Azji, gdzie wodę można pić wprost z kranu, bez obawy o żółtaczkę czy amebę, które są zmorą choćby w Indiach.

Mimo szczególnie niekorzystnego położenia, wciśnięty między dwie pustynie, Jazd okazał się jednym z najprzyjemniejszych, najpiękniejszych i budzących największą zadumę miejsc, jakie kiedykolwiek dane mi było zobaczyć. Tkwi w samym sercu Iranu i nie wiadomo dokładnie, ile ma lat. Niektóre źródła podają, że ludzie mieszkają tu już od siedmiu tysięcy lat, co czyniłoby Jazd najstarszym stale zamieszkanym skupiskiem ludzkim na ziemi. Wolę być jednak ostrożny z podobnymi tezami, Irańczycy uwielbiają przesadzać. Ilekroć jadę do jakiegoś dużego miasta i pytam, ilu ludzi w nim mieszka, niemal zawsze odpowiadają mi liczbami idącymi w miliony. Lepiej więc nie przywiązywać się do żadnych zasłyszanych tu liczb. W przypadku Jazdu wystarczą mi zachodnie źródła, według których miasto ma „zaledwie” trzy tysiące lat i przez wieki było ważnym centrum produkcji słodczy i rękodzieła z jedwabiu, o czym wspominał w XIII wieku Marco Polo.

Aby dobrze poznać Jazd, nie jest potrzebny żaden przewodnik. O wiele lepszym pomysłem jest wybrać hotel w starej części miasta i zapomnieć o całym bożym świecie. Nie myśleć o niczym, dać się porwać wąskim uliczkom, gdzie ściany domów chronią przed pustynnym słońcem. Nieważne, w którą stronę pójdziemy, i tak w końcu odnajdziemy wszystkie najświetniejsze miejsca: kremowe meczety pomalowane w błękitne, geometryczne

wzory, mauzoleum szyickiego uczonego Roknaddina Mohammada Qaziego czy też kompleks Amir Czakmaq, gdzie odbywają się rytualne obrzędy ku czci imama Hosejna. Najważniejsze są jednak zwykłe domy, stojące od wieków w tym samym miejscu. Labirynty kremowej, niewypalanej cegły - uformowanej starym sposobem z kleistej, glinianej masy mineralnej, piasku, słomy i wody. W południe ostre światło słońca rozgrzewa je i wybiela, wieczorami z nieba schodzi ciemnobłękitna poświata i wspólnie z żółtym światłem latarni dodaje magii zmęczonym, wyciszonym, układającym się do snu uliczkom.

Jazd, choć związany z południową nitką Jedwabnego Szlaku, zawsze leżał trochę na uboczu. Od północy pustynia Daszte Kawir, od wschodu pustynia Daszte Lut, na południowyzachód góry Zagros. Niełatwy do znalezienia, osobny, niezależny świat. Mimo islamskoarabskiej konkwisty do dziś przetrwała tu mała diaspora Żydów oraz największa w Iranie, czterdziestotysięczna społeczność zoroastrian, wyznawców starożytnej, państwowej religii wszystkich Persów. Jazd nigdy nie okazał się na tyle atrakcyjny, by paść łupem barbarzyńców. Ani Czyngischanowi, ani wojskom Tamerlana nie chciało się znosić trudów podróży, cierpieć niewygód i braku wody, by w nagrodę splądrować to miasto. Przyrodnicze przekleństwo okazało się najlepszą polisą ubezpieczeniową. Ale czy klimat Jazdu rzeczywiście jest przekleństwem? Bardziej przeraża otoczenie miasta niż to, co kryje się w oku cyklonu. Owszem, gorąco tu jak w piekle, ale z drugiej strony jest sucho, nie ma tej męczącej wilgoci, która potrafi zatruć każdy dzień nad Zatoką Perską.

Miasto sprawia nieco senne wrażenie. Recesja zamknęła setki sklepów, wielu młodych ludzi wyjechało szukać szczęścia do Teheranu, Isfahanu i Szirazu. Nie ma tu tłumu na chodnikach ani kawalkady aut tworzących monstrualne korki, nie ma smogu, ludzie nie trąbią zapamiętałe jak w innych irańskich miastach. Na wąskich uliczkach najstarszej części grodu trwa cisza, chodzą nieliczni, życzliwi, łagodni ludzie. Tu ktoś piecze chleb, tam ktoś inny wyciąga dywany z magazynu, by za chwilę zawieźć je na pobliski bazar. Czasem przejedzie warczący motocykl, ale nie ma prawie żadnych samochodów. Zresztą skąd miałyby się tu wziąć? Większość z tych uliczek jest zbyt wąska, by na nie wjechać autem.

Na pierwszy rzut oka Jazd wydaje się bardzo konserwatywny, zwłaszcza w porównaniu z Teheranem czy Szirazem. Na drzwiach wielu domów zachowały się dwie kołatki, każda wydająca inny dźwięk. Jeśli do drzwi podchodzi kobieta, używa tej okrągłej, jeśli mężczyzna - podłużnej. Dzięki temu unika się niepotrzebnych, wstydliwych, koedukacyjnych spotkań. Kobiecie zawsze otworzy kobieta, mężczyźnie mężczyzna.

Na każdym kroku mijam czarne czadory. Jest w nich jednak coś zaskakującego, coś przyjaznego. Zazwyczaj mijając kobietę ubraną w tradycyjny strój islamski, czuję dystans,

obcość. W Jazdzie pozbywam się tych europejskich uprzedzeń. Tu kobiety w czadorach są inne, potrafią się do mnie uśmiechać, spoglądać z ciekawością, zdarza się nawet, że pierwsze mówią mi „salam”.

Pamiętam pijalnię soków przy ulicy Chomeiniego i dwie okutane w czarne stroje niewiasty: matkę i około dwudziestoletnią córkę, która próbowała bezskutecznie opanować dwójkę małych szkrabów, pewnie jej dzieci, uganiających się wokół krzeseł. Popatrywała na mnie przed ponad minutę, po czym nie wytrzymała, podeszła i zaczęła wypytywać całkiem przyzwoitym angielskim. „Skąd jesteś? Jakim językiem mówisz w kraju? Ile masz dzieci? Co sądzisz o Iranie? Na kogo byś głosował, gdybyś był Irańczykiem?” Grzecznie odpowiadałem, z niepokojem zerkając na matkę, czy przypadkiem nie odwróci się nagle i nie wyrazi głośno swojej dezaprobaty. W końcu przyzwoita islamska kobieta raczej nie powinna rozmawiać z obcymi mężczyznami. A jednak nic takiego nie nastąpiło. Po kilku minutach naszej pogawędki dziewczyna grzecznie się pożegnała, życzyła mi szczęścia w życiu, po czym dokładnie zrelacjonowała zaciekawionej matce całą rozmowę. W żadnym innym mieście nic takiego mnie nie spotkało.

- Widzisz, Jazd to miasto trzech religii, nikogo specjalnie nie dziwi tu odmiennosc. Dlaczego ktoś miałby się ciebie bać? - tłumaczył mi Alireza, dwudziestopięcioletni student miejscowego uniwersytetu. - Ja wyznaję islam, ale wierzę też, że Bóg dał mi rozum. Dzięki niemu widzę, że ludzi na ziemi dzieli nie wiara w Boga, ale religia, czyli ten nadbudowany system obrzędów, nakazów i zakazów, stworzonych nie przez Allaha, ale przez samych ludzi.

Dla mieszkańców Jazdu, z ich liczącą tysiące lat historią, radykalna islamska republika jest tylko zakłóceniem, które pojawiło się pewnego dnia i pewnego dnia zniknie. Tak uważał Alireza. Słuchając go, myślałem o przepięknych, olejnych obrazach, które widziałem w Isfahanie. Artysta namalował na nich perskiego szacha Abbasa podczas hucznej uroczystości. Siedząc na pięknym dywanie, władca popijał wino, słuchał orkiestry i obserwował wraz ze swoim dworem tańczące, kolorowo ubrane kobiety, z długimi warkoczami, których nikt na siłę nie wpychał pod chusty. Dla Chomeiniego, Chameneiego czy Ahmadineżada coś takiego we współczesnym Iranie byłoby gorszące. Szach Abbas, muzułmanin i symbol perskiej potęgi, zapewne zostałby wtrącony do więzienia, gdyby żył w naszych czasach i ktoś odkryłby, jak niecznie się bawi. Coś, co nikogo nie gorszyło w szyckim Iranie czterysta lat temu, dziś uważa się za niegodne.

Najbliższym przyjacielem Alirezy jest od lat Babak, zoroastrianin, student elektroniki. Razem spędzają większość czasu i zupełnie nie przeszkadza im odmienna religia. Teraz we trójkę jedziemy za miasto oglądać słynne zoroastryjskie wieże milczenia. To pradawne,

umieszczone na wzgórzach, okrągłe minitwierdze. Pod nimi stoją podniszczone, nieużywane od lat konstrukcje, na których przygotowywano kiedyś zwłoki do ostatniej drogi. Dziś jest tu zupełnie pusto, okolicę omiata ciepły wiatr, powietrze jest niezbyt przejrzyste. Wzgórza, im dalej położone, tym bardziej są niewyraźne, mgliste, bardziej mgliste, w końcu znikają w nieokreśloności. Gdzieś pośrodku krajobrazu biegnie prosta jak strzała, cienka linia drogi, po której sunie samotne auto. Gdyby nie ta kreska, można by pomyśleć, że ktoś cofnął nas o dwa tysiące lat, a zza któregoś z pagórków wynurzy się zaraz kolorowy orszak na czele z kapłanemmagiem, który poprowadzi ostatnią ceremonię. Po niej nagie ciało zostanie wyniesione do okrągłej twierdzy na wzgórzu.

Wysokie, ceglane mury nie pełniły nigdy funkcji obronnych. Miały raczej odgradzać wnętrze od ciekawskich oczu. Były swoistymi cmentarzami. Wedle tradycji zoroastryjskiej przygotowane podczas uroczystości pogrzebowej zwłoki przynoszono do wież milczenia i pozostawiano samotnie w potężnym kręgu. Potem zlatywały się sępy oraz inne dzikie ptaki i załatwiały resztę. Po zmarłym zostawały tylko kości. Zoroastrianie uważali za niegodne ziemi, by kalać ją gnijącym ludzkim ciałem. Zwłok nie można było też spalić, kalałoby to święty ogień.

Dzisiejsi zoroastrianie nie są już tak ortodoksyjni. Składają ciała krewnych do grobów.

W drodze powrotnej zatrzymujemy się w wiosce, obok której stoi wspólny cmentarz muzułmanów i zoroastrian. Cmentarz dzieli się na dwie części. Jedna należy do zmarłych, których krewnych stać było na ozdobne nagrobki, zapewniające długotrwałą pamięć o tych, co odeszli. Tuż obok widać ponad dwadzieścia kopczyków z gliny, to groby biedoty. Niektóre rozbite. Dziury odsłaniają leżące w nieładzie kości i czaszki. Są pozbawione zupełnie tkanek, więc musiały tu leżeć co najmniej kilka lat. Ktoś chyba szukał w tych grobach kosztowności, jednak cóż wartościowego można znaleźć w tak skromnej mogile?

W Iranie uderza dziwny stosunek do historii, przeszłości, pamięci. Pełno tu pięknych zabytków, przypominających o czasach potęgi Iranu. Ale bardzo często te świadectwa wielkości stoją w otoczeniu pustki lub brzydoty. W europejskich miastach, zwłaszcza tych, którym dane było uchronić się przed skutkami wojen światowych, widać dość regularne mieszanie się czasów, nawarstwianie epok architektonicznych, stylów. Centralnym placem towarzyszą kwartały pięknych mieszczkańskich kamienic. Iran jest inny. Nawet w zabytkowym Isfahanie, uważanym za prawdziwą perłę, wystarczy odejść kawałek od królewskiego placu Naksze Dżahan, by trafić na dziesiątki brzydkich, postawionych kilkadziesiąt lat temu budynków. A jeśli trafia się pośród nich jakaś perełka, często przypomina ruinę. O ile jeszcze parter jest zadbane, bo mieści sklep lub biuro, o tyle kolejne



piętro zieje już zazwyczaj szarością starych, spękanych ram okiennych, wybitych szyb i pustych, zaśmieconych czeluści, w których zamiast ludzi spotykają się gołębie. Tak jest w Isfahanie, Szirazie, Teheranie, Tabrizie, Kermanie. Ma się wrażenie, że Irańczycy potrafią szanować tylko spektakularne pamiątki własnej przeszłości.

Na szczęście Jazd jest inny. Pozwala w pełni nacieszyć się starym miastem, spójnym, niezachwianym, nienaruszonym przez czas organizmem, znajdującym odpowiedź na każdą niedogodność codziennego życia. Taką jak choćby upał. Niemal w każdym domu przed gorącym chronią nas grube ściany oraz... klimatyzacja. Tutejsza odmiana klimatyzatorów ma co najmniej dwa tysiące lat tradycji. Składa się z kilku bodgirów, czyli ceglanych wież, rozstawionych wokół budynku. Każda z nich wyposażona jest w specjalne wiatrolapy. Podczas drogi powietrza z góry na dół wieży dochodzi do jego oziębienia w grubym, izolowanym kanale. Potem wiatr zostaje jeszcze raz schłodzony, przepływając nad specjalnym zbiornikiem wodnym w piwnicy. Bo trzeba wiedzieć, że domy w Jazdzie zaopatrzone są w równie starożytny system qanatów, czyli podziemnych wodociągów. Wykute w okolicznych górach, długie na kilka kilometrów wąskie tunele sprowadzają wodę do miasta z czystych, podziemnych źródeł. Służy ona nie tylko do picia i mycia, ale również do nawadniania okolicznych pól oraz schładzania powietrza, zstępującego bodgirami do domów.

Chodząc po Jazdzie, co chwila przekonuję się, jak bardzo upał i deficyt wody wpłynęły na wyobraźnię mieszkańców. Walcząc o maksymalne wykorzystanie każdej kropli i każdego podmuchu wiatru, nie tylko wymyślili qanaty i bodgiry, ale również lodówkę. Jachczal jest dużym, zagłębionym w ziemi, stożkowatym zbiornikiem z grubej cegły, służącym do przechowywania lodu. Lód sprowadzano zimą z gór w dużych blokach, by używać go latem do zabezpieczania żywności przed zepsuciem. Dziś jachczale stoją opuszczone, ale zadbane. Zasłużyły sobie na godziwą emeryturę. Ich rolę przejęły elektryczne chłodziarki.

Klimatyzacja, wodociąg, lodówka, a wszystko to bez użycia prądu. Może bodgir wraz z qanatem nie jest w stanie schłodzić powietrza aż tak bardzo jak automatyczna klimatyzacja w mercedesie, ale za to nie ma żadnych filtrów, w których gromadziłyby się zarazki i wirusy. Nie wymaga też specjalnej konserwacji, płatnej wymiany chłodziwa w instalacji, no i nie wysusza powietrza. Samo zdrowie.

W hotelowej restauracji poznałem Kobrę i Pejmana, młode małżeństwo z północnowschodniego Teheranu. On architekt, ona - projektantka ubrań. Zaciekawili mnie. Ślęczeli godzinami nad miejscowymi gazetami, coś analizowali na mapie. Okazało się, że

szukali ogłoszeń o sprzedaży domów. Mieli zamiar przeprowadzić się do tego lekko prowincjonalnego, ospałego miasta z wymarzonego przez miliony Irańczyków bogatego i tętniącego energią Teheranu.

- W stolicy życie gna zbyt szybko, ludzie są zestresowani. Niedługo będzie tam jak w Londynie czy Los Angeles. Irańczyk nie powinien tak żyć, to nie w naszym stylu - tłumaczył mi Pejman. - Dlatego wolne dni lubimy spędzać w Jazdzie. Szukamy dla siebie domu. Całe posesje z ogrodami są tu warte tyle, co nasze teherańskie mieszkanie. Jeśli znajdziemy coś odpowiedniego, natychmiast się przeprowadzamy. Znalazłem tu już nawet pracę.

Rozmawialiśmy dwa tygodnie przed wyborami prezydenckimi. Nie chcieli w nich uczestniczyć. Uważali je za show, teatr dla tłumu, w którym wszystko wygląda z pozoru autentycznie, ale role zostały już dawno rozpisane. Mieli rację.

A propos show i teatru. W Jazdzie działa jedna z najświetniejszych, tradycyjnych siłowni irańskich, zwanych zurchane. Utworzony w dawnym zbiorniku wodnym i otoczony czterema bodgirami budynek w środku kryje salę gimnastyczną. Rozstawione naokoło krzesła otaczają zagłębioną, kolistą przestrzeń. Mężczyźni, ubrani we wzorzyste spodnie, rozciągają ciała i prężą mięśnie w rytm bębnow i recytacji wersetów poezji Ferdousiego.

Zurchane to z pozoru jedynie połączenie gimnastyki, zapasów i ćwiczeń siłowych, z wykorzystaniem ciężkich tarcz oraz zonglerki czymś na kształt rozdętej pałki bejsbolowej. Jednak w tradycji tej dyscypliny jest wiele miejsca dla sufickiego mistycyzmu, a jednym z najważniejszych elementów zrytualizowanej ceremonii jest specyficzny taniec. W rytm uderzeń bębna siłacze, często poważnej tuszy, obracają się wokół własnej osi niczym derwisze. W medytacyjnym transie poszukują równowagi wewnętrznej, która nada ich rozedrganym ciałom jednocześnie siłę i spokój, nie pozwoli się przewrócić. Na ich wysiłki spoglądają portrety najświętszych szyickich przewodników: Alego i Hosejna. Obaj przystojni, lekko uśmiechnięci, zamyśleni.

Ostatniego wieczoru w Jazdzie Babak zabiera mnie do zoroastryjskiej świątyni. Pali się tam święty ogień, przedmiot największego kultu. Jest symbolem najczystszej, pierwotnej siły i najdoskonalszym tworem jedyne boga - Ahury Mazdy. Im dłużej ogień pali się w świątyni, tym lepiej. Ten, który pali się w Jazdzie, ma już grubo ponad sto lat, co oznacza, że zawiera w sobie moc oczyszczania, uzdrawiania i spełniania życzeń.

Podczas gdy Babak adoruje ogień, ja życzę sobie, by moja jutrzejsza podróż do Isfahanu zakończyła się sukcesem. Trochę mi głupio, że moje życzenie jest przyziemne. No ale cóż, muszę po raz kolejny przedłużyć wizę, a przecucia mam tym razem jakieś niewyraźne.



## **dwa światy: sobota i poniedziałek**

Kilka dni wcześniej dzwoniłem do policyjnego biura dla obcokrajowców, gdzie połączono mnie z „english speaking” oficerem.

- Niech pan przyjedzie do Isfahanu w sobotę. Załatwimy to w dwie godziny - zapewniał sympatyczny niski głos w słuchawce.

W sobotę nie mogłem. Przyjechałem w poniedziałek.

Iran jest krajem rzadko odwiedzanym przez turystów, więc w biurach dla obcokrajowców spotyka się zazwyczaj jedynie afgańskich uchodźców. Skulonych, przestraszonych, niepewnych dalszego losu. Od wielu lat ich liczba w Iranie nie spada poniżej półtora miliona. Zaczęli tu przybywać niedługo po rewolucji, kiedy ZSRR napadł na Afganistan, przyjeżdżali też w czasach krwawego chaosu po wyjściu Sowieców, jak również podczas reżimu talibów. Przekradają się przez granicę i teraz. Mają dość skrajnej biedy i nieustannej wojny domowej. Trudno się dziwić, że wybierają Iran. To najbogatszy z sąsiadów, a na dodatek połowa ludności Afganistanu mówi w dari, który jest odmianą języka perskiego. W Teheranie uchodźcy z Afganistanu są najtańszą siłą roboczą. Można spotkać ich na większości budowli, gdzie ciężko pracują, a czasem też mieszkają. Podczas prezydenckiej kampanii w czerwcu 2009 roku, kiedy na ulicach trwał karnawał, niemal codziennie spotykałem kilku młodych chłopaków spod Heratu, afgańskiego miasta niedaleko granicy z Iranem. Pierwszy raz zauważyłem ich, gdy przepychali się z zakupami wśród rozemocjonowanego tłumu niedaleko mojego domu na północy miasta. Byli zbyt zmęczeni, by choćby na moment przystanąć i popatrzeć na radość innych. Może też wstydzili się trochę swoich znoszonych, szarych ubrań. Po wyborach, gdy basidżowie pojawili się masowo na ulicach, imigrantów było widać jeszcze mniej. Jak tłumaczył mi jeden z afgańskich robotników z sąsiedztwa, Burhanuddin, wszyscy bali się deportacji.

- Może w Iranie panuje dyktatura, ale w porównaniu z moim krajem to i tak raj. Tam żyjesz jak zwierzę, nastawione jedynie na przetrwanie - opowiadał mi Burhanuddin, szczupły i żyłasty trzydziestolatek, dokładnie ogolony, ujmująco grzeczny, z żywym, bystrym spojrzeniem. - Nie dziw się, że nas nie interesuje polityka w Iranie, że żyjemy na uboczu tego świata. Po prostu nie chcemy żadnych kłopotów. Ja zarabiam tu na chleb, śpię w baraku postawionym przez szefa, uczę się trochę angielskiego, mam telewizor, dostęp do wody. Nawet nie wiesz, jak ważna jest dla mnie świeża, czysta woda. Kiedy dostaję dzień wolny, zakładam marynarkę, idę do kina, na bazar lub do centrum handlowego popatrzeć na ludzi.

Czasem kupię jakiś mały prezent dla matki lub dla rodzeństwa, bo z dziesięciu dolarów, jakie dziennie zarabiam, wydaję na życie tylko połowę. Ostatnio myślałem nawet, by rozejrzeć się za czymś dla przyszłej żony. Nie, nie mam narzeczonej, ale ją sobie wyobrażam i wtedy łatwiej mi żyć.

Wielu Irańczyków czuje się współodpowiedzialnymi za los emigrantów. Dzięki takim ludziom, jak Szirin Ebadi i reżyser Mohsen Machmalbaf (autor wstrząsającego *Kandaharu*, pierwszego na świecie filmu fabularnego o rządach talibów), część afgańskich dzieci uzyskała prawo do opieki zdrowotnej i nauki w irańskich szkołach. Jednak oficjalna polityka państwa, jak i stosunek irańskiego społeczeństwa do uchodźców są dużo mniej przyjazne. Iran od kilku lat stara się wyekspediować większość z nich z powrotem do Afganistanu. Obarcza ich odpowiedzialnością za wzrastającą przestępczość, kradzieże, handel narkotykami i odbieranie miejsc pracy Irańczykom. Władze w Teheranie tłumaczą, że nastąpiła już pora, aby uchodźcy wracali do domów. W końcu Afganistan jest dziś „wolny”, a władze organizują nawet wybory. Problem w tym, że władza państwowa sięga niedaleko poza Kabul, a na prowincji panują chaos i bezprawie. Iran jest o wiele spokojniejszym miejscem i wielu deportowanych z uporem maniaka wraca, przekradając się przez długą, dziurawą granicę.

W Teheranie poznałem Bitę, pracownicę miejscowej filii UNICEFu, która od lat pomaga dzieciom uchodźców.

- Niedawno dostałam całą kolekcję listów z Afganistanu, w których uczniowie pisali o swoich marzeniach. Zazwyczaj nawet w biednych krajach dzieci chcą być lekarzami, biznesmenami lub strażakami. Tymczasem z listów afgańskich chłopców wynikało, że największym marzeniem jest przedrzeć się do Iranu i pracować fizycznie na budowie - opowiadała Bita.

Teraz, kiedy stałem w kolejce do policyjnego okienka w isfahańskim biurze dla obcokrajowców, uderzył mnie smutny, zmęczony, pozbawiony energii, częściowo pusty już wzrok uchodźców. Gdzieś uciekło z nich życie. Stali z plikami karteluszek przed okienkiem, w którym siedział policjant, pierwszy cerber strzegący dostępu do irańskiego raju. Funkcjonariusz przybrał wyniosłą pozę, ale na szczęście nie wyczuwało się w nim pogardy dla biedaków.

Teraz moja kolej. Policjant jest wobec mnie grzeczny, nieco oficjalny. Po chwili rozpromienia się, gdy zaczynam kaleczyć farsi, próbując wyjaśnić przyczynę wizyty w biurze. Znam to zachowanie doskonale. Irański urzędnik, kasjer w banku, strażnik na lotnisku czy policjant w budce na skrzyżowaniu - wszyscy oni są najczęściej krańcowo znudzeni swoją robotą albo sprawiają wrażenie, jakby każda rzecz, którą wykonują, wymagała

wielkiego wysiłku. Widok zachodniego turysty zazwyczaj lekko modyfikuje to zachowanie. Robią się poważniejsi, jakby godniejsi. A gdy usłyszą parę słów w farsy, maska spada, pojawia się uśmiech. Wygląda to na wyraz wdzięczności za wysiłek, jaki włożyliśmy, za szacunek, jaki okazaliśmy Iranowi, ucząc się jego mowy. Wystarczy kilka prostych zwrotów, by zadziałały jak zaklęcie.

Niestety, dzisiaj mój urok niewiele pomaga. Trafiam na coś, co bywa zmorą w Iranie - niewytlumaczalną, bezsensowną biurokracją, która jednego dnia pozwala nam na wszystko, a drugiego, z zupełnie niemożliwych do ogarnięcia przyczyn, staje się murem, którego nie sposób sforsować. Policjant oświadcza, że mogę dostać nową wizę na kilka dni, i to za wcześniejszym okazaniem biletu powrotnego do Polski. Tłumaczę, że niedawno rozmawiałem z oficerem, który zapewniał mnie, iż przedłużenie wizy nie będzie żadnym problemem. W odpowiedzi policjant rozkłada bezradnie ręce i każe mi jechać do Szirazu. Tam ma być łatwiej.

W akcie rozpaczy dzwonię jeszcze raz do mojego anglojęzycznego funkcjonariusza. Na szczęście udaje mi się go złapać. Schodzi na dół, rozmawia z szefem dyżurki, naciska, ale jakoś tak bez przekonania, więc nic nie udaje mu się wskórać. Ja jestem coraz bardziej zły, bo myślę, że gdybym znał dobrze farsy, dałbym radę. A teraz stoję zirytowany i wiem, że za chwilę zacznę się gmatwanie sprawy. Irańczyk, jeśli ma do przekazania złą informację, rzadko mówi wprost. Zazwyczaj zwala winę na jakieś niezależne od niego, tajemnicze okoliczności.

- Mówił pan, że przyjedzie w sobotę, a dziś jest poniedziałek - zaczyna oficer, drapiąc się za uchem i nie patrząc mi w oczy.

- Czy to znaczy, że przepisy wizowe zmieniają się w Iranie zależnie od dnia tygodnia?  
- Próbuję być złośliwy, co nie jest najlepszym sposobem na wyjście z kłopotów w irańskim urzędzie.

- Czasami właśnie tak jest - odpowiada mój rozmówca, a z wyrazu jego twarzy rozumiem więcej niż ze słów. Coś w rodzaju: „Człowieku, czemu żeś się spóźnił. W sobotę w biurze było normalne towarzystwo, dziś są sami formalisci. Chyba rozumiesz, że nie mogę tego powiedzieć na głos?”. W końcu oficer doradza to samo co policjant z dyżurki. - Niech pan jedzie do Szirazu lub do Teheranu.

- Ale ja byłem już w Szirazie, i to długo. Teheran też już znam. Teraz chcę poznać dokładnie piękny Isfahan i załatwić wizę w dwie godziny, tak jak pan obiecał. Bardzo proszę.

- No to może niech pan przyjdzie jutro lub pojutrze, ale nic nie obiecuję - kończy zboliałym głosem mój doradca.

Niestety, nie mam czasu na takie eksperymenty. Co prawda jego rada nie jest pozbawiona sensu i wiem, że naprawdę mam szansę na wizowy happy end, jednak tym razem wolę nie ryzykować. Za kilka dni wybory, muszę zdążyć z wizą przed nimi, bo potem wszystko może się zmienić. Żegnam się i biegnę na ostatni spacer po Isfahanie. Chcę jeszcze raz zobaczyć piękny plac Naksze Dżahan i moje ulubione, XVII-wieczne mosty, które rozsiadły się na rzece Zajande Rud. Nazwa ta oznacza „dawcę życia”, ale dziś trudno byłoby sobie wyobrazić bardziej nietrafione określenie. Patrząc i oczom nie wierzę. Zajande Rud zawsze była rzeką płytką, wykorzystywaną ponad miarę przez rolnictwo, przemysł i wzrastającą gwałtownie ludność. Teraz jednak w jej korycie nie ma ani kropli wody (pojawi się dopiero za kilka miesięcy), znikły też herbaciarnie, które od lat gościły tu tłumy ludzi. Nowością jest za to stado owiec, które przechadza się po odsłoniętym dnie.

Sohrab, student informatyki, którego spotkałem przy moście, miał na ten temat własną teorię:

- Mówią nam, że ten ponury widok zdychającej rzeki to wina suszy, która od paru lat niszczy Iran. Ale moim zdaniem to wina Ahmadineżada. Odkąd on rządzi, nawet woda znika nam z rzek.

Następnego dnia w Szirazie, mieście ogrodów i poetów, policjanci z biura dla obcokrajowców witają mnie jak starego znajomego. Wygląda na to, że wszyscy tu pamiętają moją wizytę przed miesiącem. Ten sam szef wydziału, na pierwszy rzut oka surowy, ale tak naprawdę dusza człowiek. Ten sam anglojęzyczny młody oficer, który poprzednio częstował mnie herbatą i reklamował perską muzykę.

Mój wniosek o wizę czeka na rozpatrzenie trzy godziny, dwa razy dłużej niż poprzednio, ale teraz irańska policja uważnie sprawdza, czy nie byłem notowany za jakiś wybryk. Egzamin przechodzę pomyślnie i prostokątna, niebieska pieczętka ląduje w moim paszporcie. Mogę wracać do Teheranu. Na pożegnanie opowiadam moim gospodarzom historię o kłopotach w Isfahanie i jeszcze raz dziękuję za pomoc. Szef sekcji wizowej staje, kłania się w pas i mówi:

- Jesteśmy tu po to, by wam służyć.

W przewodnikach turystycznych można natknąć się na opisy różnic w charakterze między mieszkańcami poszczególnych regionów Iranu. Najczęściej stereotypy te są dość niemądre. Kto uwierzy, że mieszkańcy Rasztu to seksoholicy, Qazwinu - homoseksualiści, Jazdu - tchórze, a niemal wszyscy Kurdowie i Turkmeni to mściwi brutale? Pewnie nikt rozsądny nie da temu wiary. Ale mądrość ludowa uczy, że nawet w niemądrych powiedzonkach ukryte jest czasem ziarno prawdy.

Teherańczycy szczególnie dużo miejsca poświęcają w swoich opowieściach obywatelom Szirazu i Isfahanu. Tych pierwszych kochają, tych drugich nienawidzą. Isfahańczycy mają opinię zbyt pewnych siebie, przekonanych o swojej wyższości, niezbyt uprzejmych, zakochanych w pieniądzach, wyjątkowo skąpych i konserwatywnych. Zapewne opinie te są mocno przesadzone, w końcu poznałem tu kilku wyjątkowo serdecznych ludzi, jednak prawdą jest również, że w Isfahanie na bazarze będziemy się musieli o wiele dłużej targować, by wynegocjować korzystną cenę, niż w innych miastach. A jeśli użyjemy argumentu, że gdzieś indziej widzieliśmy to samo taniej, nasz rozmówca poczuje się urażony. „Tu jest Isfahan, tu wszystko ma lepszą jakość i musi być droższe!”

Szirazyjczycy uchodzą za przeciwieństwo isfahańczyków. Otwarte głowy, tolerancja, luz, czasem wręcz lenistwo i hołdowanie zasadzie: „Jeśli jest coś, co możesz zrobić jutro, to dlaczego z tego nie skorzystać?”. Szirazyjczycy umieją się bawić, chodzą bardziej kolorowo ubrani niż isfahańczycy, kochają wylegiwać się w ogrodach i na trawnikach, jedząc najlepsze w Iranie lody.

Głównymi miejscami spotkań towarzyskich szirazyjczyków są oczywiście mauzolea dwóch średniowiecznych poetów: Sa'diego i Hafeza.

To Sa'diego jest bardziej na uboczu, przestrzenniejsze, spokojne, wtopione w górzysty krajobraz, pełne cyprysów i róż. Skłaniające do zadumy.

Kto	swojego	miłowania	wyrzec	się	nie	zdoła,
wielu	wichrom	nieprzyjaznym	musi	stawić	czoła	-
albo	przyjdzie	mu	się	żegnać	z	rubinową różą,
albo	godzić	się	trzeba	z	cierniami	dokoła.

Trzeźwą głowę w zamroczenie wpędza twoja miłość, szczęśliw ten, kogo przez ciebie serce opuściło. Bez ciebie wszystko niczym jest w świecie istnienia, gdy ty jesteś, jest wszystko, choćby nic nie było.

Sanktuarium Hafeza znajduje się bliżej centrum miasta i od późnego popołudnia jest zupełnie zatłoczone. Jego środek stanowi grobowiec otoczony ośmioma kolumnami i nakryty daszkiem w kształcie czapki derwisza. Tysiące ludzi zjeżdżają tu codziennie, by w otaczających mauzoleum ogrodach rozkoszować się wierszami chwalcymi radość życia, piękno, miłość, prawdę i wino. Jakby na przekór wszystkiemu, co wokół. I nawet jeśli szirazyjczycy bywają nieznośni ze swoim fanatycznym uwielbieniem dla Hafeza, to chyba nigdzie na świecie nie ma drugiego takiego miejsca, gdzie grób poety byłby tak pełen życia. Gdzie ludzie oddawaliby tak wielką cześć, i to codziennie, twórcy wierszy. Nie spotkamy



tego w Grecji, nie spotkamy w żadnym mieście Włoch, Francji, Niemiec czy Anglii. W Szirazie młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, otwierają na chybił trafił zbiory pełnej metafor mistycznej poezji i starają się wróżyć sobie przyszłość. Siedzą u grobu wielkiego sufiego, dotykają marmurowej płyty i wierzą, że tylko słowo poety może mieć siłę sprawczą. Dumają nad sensem słów pisanych ponad sześćset lat temu, ale jakże dziś aktualnych.

Nie	czyń	wyrzutów	nicponiom,
	asceto		niepokalany,
bo	grzechów	innych	na pewno
nikt	nie	przypisze	tobie.

Czy	dobry	jestem,	czy	zły,
odejść	ode	mnie,	bądź	sobą,
bo	każdy	na	swojej	niwie
to	w	końcu	zbiera,	co
				posiał.

Każdy		swojej		miłości
pragnie	-	pijany	czy	trzeźwy;
i	dom	miłości	jest	wszędzie
w	meczecie	i	w	synagodze.

Uległa		jest	moja	głowa
i	cegła	u	drzwi	mej
a	jeśli	tych	słów	oskarżyciel
nie	pojmie,	mów:	Cegła	i
				głowa.

Nadziei		mi	nie	odbieraj
na	z	dawna	pisane	mi
				łaski.
Kto		wie,	co	za
będzie		złe,	a	co
				dobrze?
	Nie	tylko	ja	upadłem
u	progu	mej	pobożności	-
i	ojciec	mój	się	zagubił
na	drodze	do	rajskich	ogrodów.

Hafezie,                   jeżeli                   w                   dniu                   śmierci  
                 weźmiesz                   do                   ręki                   czarę,  
                 z                   tego                   zaułka                   ruin  
                 zanosą                   cię                   prosto                   do                   raju.

Kiedyś chwałą Szirazu były nie tylko ogrody i wiersze, ale też alkohol. Sziraz to miejsce, gdzie znaleziono najstarsze na świecie naczynie z winem, pochodzące sprzed siedmiu tysięcy lat. Od wieków też białe wina pochodzące z tutejszych winnic uznawano za najlepsze na Bliskim Wschodzie. Dziewięćset lat temu zachwycił się nimi Omar Chajjam, perski filozof, matematyk, astronom i poeta. Powiadał on: „Ciesz się winem i kobietą. Nie bój się. Bóg ma dla ciebie współczucie”. Dziś za głoszenie podobnych myśli trafiłby zapewne do więzienia.

## psi los w Persepolis

Sześćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Szirazu leży Persepolis, miasto utworzone w czasach największej potęgi Persji, kiedy imperium Achemenidów sięgało od Indii aż po Grecję i było największym hegemonem na ziemi. Budowę nowej stolicy (pół tysiąca lat przed Chrystusem, w czasach Buddy Sakjamuniego) zaordynował najświetniejszy szach perski, Dariusz Wielki. Wybrał skierowaną ku południowemu zachodowi płaską platformę, tuż pod łagodnym wzgórzem. Tam, na stu dwudziestu pięciu tysiącach metrów kwadratowych, powstało najwspanialsze miasto Iranu. Właściwie był to raczej rozbudowany pałac, gdyż szach nie pozwalał, by ludzie swobodnie osiedlali się w jego otoczeniu. Szach nie był opiekunem, lecz dumnym, niedostępnym hegemonem. W ogromnym Persepolis tolerował jedynie rodzinę, doradców, urzędników, armię oraz sługi i rzemieślników pracujących na potrzeby dworu.

Trudno sobie wyobrazić, jak wielki szok musiała wzbudzać w podróżnikach lub wasalach perskich monarchów ta gigantyczna budowla, gdy nagle znaleźli się u jej stóp. Potężne bramy i strzegące ich rzeźby skrzydlatych byków z ludzkimi twarzami, imponujące pałace, sale audiencyjne z dziesiątkami kolumn, hale zgromadzeń, dziedzińce, fontanny, grobowce wykute w skałach na wzgórzach, statuy i obrazy na ścianach - orły, kwiaty, polujące lwy. Wreszcie słynne płaskorzeźby ciągnące się wzdłuż schodów i ścian, z postaciami lenników z wszystkich prowincji, niosących dary dla szacha i proszących o posłuchanie. Jakże musieli być onieśmieleni, zbliżając się ku potężnym, widocznym z oddali, wysokim na ponad dwadzieścia metrów ścianom pałaców i murów obronnych. Potem wchodzili na schody, wdrapywali się na każdy ze stu jedenastu stopni i wreszcie stawali na skalnej platformie, której nie sposób było ogarnąć jednym spojrzeniem. Wszędzie ciemny marmur oraz złote nitki farby, uwypuklające szczegóły rzeźb byków, ptaków i lwów, w budynkach czerwone dywany. Czerń, złoto, czerwień. Zestaw trochę piekielny.

W Persepolis możemy dotknąć kruchości ludzkiej cywilizacji. Choć kompleks pałacowy był największym przedsięwzięciem architektonicznym antycznego świata, pozostał niedokończony i miał bardzo krótki żywot. Zanim upłynęło dwieście lat od wzniesienia pierwszej budowli, w Persepolis pojawił się Aleksander Macedoński. Ogarnięty żądzą zemsty za dawne niszczycielskie najazdy na Grecję, pozwolił swoim żołnierzom splądrować, a potem spalić całe miasto. Jak pisze grecki historyk Diodor, Aleksander decyzję podejmował po pijanemu, za namową tancerki, zamroczony irańskim winem. Potem miał jej ponoć bardzo

żałować.

Historia Persepolis gwałtownie się skończyła i przez wieki nikt nie próbował jej wskrzesić. Ruiny powoli zasypywał piasek, słońce rozjaśniało ciemny marmur, złodzieje zrywali złotą farbę z budzących kiedyś grozę byków. Przez wieki żadnemu z rodowitych Persów nie przyszło do głowy, by przywrócić blask starożytnej stolicy. Dopiero w latach dwudziestych ubiegłego stulecia, kiedy w Iranie pojawił się niemiecki archeolog Ernst Herzfeld, sprawy ruszyły z miejsca.

Spacer po dzisiejszym Persepolis to nie tylko podróż do czasów największej potęgi Iranu, ale także droga ku źródłom zoroastryzmu, pradawnej narodowej religii Persów, która wywarła ogromny wpływ na judaizm, chrześcijaństwo i islam. Najbardziej podstawowe pojęcia: sąd ostateczny, wolna wola, nieśmiertelna dusza, wędrówka po śmierci do nieba lub piekła, przekonanie o istnieniu diabła oraz wiara w nadejście mesjasza - wszystko to najpierw pojawiło się w zoroastryzmie.

Do Persepolis pojechałem z Aradem, muzykiem i historykiem z Szirazu, który obiecał opowiedzieć mi o ruinach. Wynajęliśmy taksówkę. Po drodze kierowca zatrzymał się na stacji benzynowej, po czym długo zwlekał z odjazdem, wyraźnie chcąc coś ważnego nam powiedzieć. W końcu wykrztusił, że w bagażniku trzyma zziąjanego psa i bardzo chciałby go wpuścić do środka auta. Za chwilę poznałem małą Szeri rasy york, ledwie żywą z gorąca i pragnienia.

W Iranie psy nie cieszą się sympatią, są traktowane jak stworzenia nieczyste, czworonożni padlinożercy, roznoszący zarazki i tarzający się w odchodach. W zasadzie prawo szari'atu zabrania ich hodowania. Szeri jednak nie wyglądała na padlinożercę, raczej na arystokratkę. A jej pan nie wyglądał na znawcę psów. Kiedy dojechaliśmy do Persepolis, postanowił zamknąć ją po raz kolejny w bagażniku, z miską wody. Długo nie dawał się przekonać, że po kilkugodzinnym spacerze bagażnik zamieni się w blaszaną trumnę, z psem nie żywym, lecz pieczonym. Taksówkarz okazał się wyjątkowo uparty (a może to był tylko ta'rof?), więc machnąłem ręką i poszliśmy. Byłem jednak pewny, że z powodu Szeri nie doświadczę żadnej przyjemności ze zwiedzania albo będzie mi się bardzo spieszyło. Stałem na środku drogi i powiedziałem Aradowi, że nie idę dalej. W ramach kompromisu udało nam się wcisnąć Szeri do namiotu, gdzie zwiedzający zostawiali podręczny bagaż. Tak to za jednym zamachem zobaczyłem największy antyczny zabytek na ziemi i uratowałem jednego z najmniejszych psów, jakie udało się kiedykolwiek wyhodować człowiekowi. Byłem do tego stopnia dumny z pomyślnej lekcji asertywności, że z rozpędu wieczorem w Szirazie postanowiłem zmusić moich przyjaciół, by pozwolili mi zapłacić za pożegnalną kolację.

Udało się, potem udawało się coraz częściej. Zacząłem czuć się w Iranie jak w domu.

## **ajatollah z papierosem**

Dwa tysiące lat temu Kerman był małą, umocnioną placówką wojskową u bram południowowschodniego Iranu. Gdy już stał się miastem, wciąż leżał na uboczu, żyjąc niespiesznym rytmem, produkując dywany i szale z koziej wełny, ponoć dorównujące jakością tym z Kaszmiru. Pod koniec XVIII wieku błogi spokój się skończył. Kerman przeżył krwawy i bardzo charakterystyczny dla Iranu epizod. Wtedy to liderzy turkmeńskiego rodu Kadzarów przegrali z Szirazu, ówczesnej stolicy Persji, ród Zandów. Ci ostatni też nie byli rodowitymi Persami, tylko Lurami z zachodniej części kraju, i również sięgnęli po władzę w wyniku zamachu stanu, dokonanego czterdzieści lat wcześniej.

Obywatele Kermanu należeli do najwierniejszych sojuszników Zandów i spotkała ich za to dyscyplinująca kara. W 1794 roku Kadzarowie wzięli miasto szturmem, po czym spalili je. Wszystkie kobiety i dzieci poszły w niewolę. Dziesięć tysięcy mężczyzn czekał jeszcze gorszy los. Wszystkich brutalnie oślepieno, a ich gałki oczne uformowano w stos i zaniesiono w prezencie Mohammadowi Chanowi, pierwszemu z nowych szachów. Przez następne lata po okolicach Kermanu snuły się tłumy niewidomych, budzących litość żebraków. Mając w pamięci takie historie, trudno się dziwić, że w umysłach Irańczyków słowo „szach” nigdy nie budziło przesadnie ciepłych uczuć. Kojarzyło się bardziej z terrorem niż opieką.

Po krwawej wendecie Kadzarów Kerman nigdy nie odzyskał blasku. Omijają go dziś nieliczni w Iranie turyści, bo też poza bazarem, kilkoma pięknie zaprojektowanymi herbaciarniami i zabytkową łaźnią niewiele jest tu do oglądania. Najbardziej osobliwe miejsce znajduje się kawałek na północ od starego miasta, za placem Basidżów i za potężnym murem z surowym obliczem Chomeiniego. To Muzeum Świętej Obrony.

Nowoczesny budynek otoczony jest kilkoma placami, równo przystrzyżonymi trawnikami, fontanną i kilkudziesięcioma pomnikami bohaterskich, zawsze brodatych męczenników (szahidów), poległych w walce z armią Saddama Husajna.

Wewnątrz piętrowego czworoboku, którego wejścia strzegą dwa transportery opancerzone, czeka na nas izba pamięci wojny irackoirańskiej. Gabloty ze sprzętem wojennym, mapami pokazującymi przebieg najważniejszych operacji, listami z pola walki, zdjęciami rannych, okaleczonych żołnierzy oraz wygiętych w bólu, martwych ofiar irackich ataków chemicznych. Pomędzy gablotami wisi kolekcja tradycyjnych, z dużym pietyzmem namalowanych obrazów olejnych.

Tu stary ojciec i matka żegnają dwóch synów ruszających na wojnę, tam dwóch

żołnierzy płacze nad mogiłą przyjaciela, a kwiaty przy grobie podlewa anioł ze skrzydłami i twarzą zasłoniętą białą chustą. Tak pokazuje się Mahdiego, zbawiciela wszystkich muzułmanów. Na kolejnym płótnie zamyślony szahid pisze ostatni list do rodziców. Na głowie ma czerwoną przepaskę z sentencją wzywającą do walki za ojczyznę. Obok leżą Koran i flaga narodowa, a na workach z piaskiem przycupnął biały jak śnieg gołąb, który za chwilę odprowadzi duszę bojownika do raju. Za plecami żołnierza wznosi się nasyp, za którym widać ogień pożarów.

Na kolejnym obrazie front w całej okazałości. Płonie czołg iracki, trafiony przed chwilą z ręcznej wyrzutni. W okopie jakiś Irańczyk zapamiętale strzela z kałasznikowa w stronę najeźdźców, ktoś inny poi ostatnią kroplą z manierki ciężko rannego kolegę. Tuż obok leżą zwłoki ich towarzysza.

Jeszcze jeden obraz. Kawalkada czołgów od strony lasu palmowego mknie ku irańskim umocnieniom. Naprzeciwko nich ostatni z ocalałych żołnierzy Chomeiniego, brodaty, bez hełmu, nie bacząc na śmiertelne niebezpieczeństwo, sam jeden rzuca się z granatem na pierwszego stalowego potwora.

Ostatnie z malowideł. Pojmany Irańczyk, przywiązany za nogi do drąga, zaciska z bólu powieki, z trudem znosząc tortury siepaczy Husajna, bijących go w stopy grubym kablem.

Na zewnątrz muzeum stoi kolekcja wozów bojowych i czołgów, na czele z radzieckim T-72. Kilka metrów od nich widać kompletnie zrekonstruowaną linię frontu. Bunkry, okopy, stanowiska karabinów, zasieki i ziemianki. Te ostatnie wyglądają tak, jakby za chwilę miał wbiec do nich zziębnięty gwardzista. Wyciągnąć Koran z wiszącego przy ścianie plecaka, potem szybko zjeść obiad z metalowego talerza, pozdrowić ajatollaha Chomeiniego spoglądającego z plakatu, zabrać dla kolegów skrzynkę z nabojami, po czym ruszyć w bój, może ostatni. Nietrudno to sobie wszystko wyobrazić. Zwiedzaniu linii umocnień towarzyszy cały czas dźwięk nagrany ponoć bezpośrednio na froncie: krzyki komend, huk wystrzałów, komunikaty radiowe.

Za oddzielającym front zbiornikiem wodnym, zasiekami i polem minowym znajduje się iracka linia okopów. Tu nie zadbano o szczegóły. Chyba zabrakło pieniędzy. A może front wojsk Saddama Husajna specjalnie zięje pustymi czeluściami schronów? Może mają być takie bezduszne, opuszczone, bezideowe.

Niedaleko muzeum, po drugiej stronie ulicy, stoi tablica ogłoszeń. Na niej sfatygowany plakat. Ktoś niemal doszczętnie zerwał część z twarzą Chomeiniego, a towarzyszącej mu postaci miejscowego ajatollaha domalował długą brodę i papierosa w

ustach. W Iranie zawsze zastanawiało mnie, dlaczego antysystemowo nastawieni ludzie nie wyładowują swoich emocji na tysiącach plakatów i murali, ukazujących wizerunki przywódców rewolucji i państwa. Najczęściej tłumaczono mi to wszechpotężnym strachem, torturami i wysokimi karami więzienia w przypadku aresztowania. Taki niewinny czyn, jak domalowa nie papierosa w ustach duchownego, może być oceniony jako działalność kontrewolucyjna. Jeśli jeszcze pojawi się przy muzeum wojny z Irakiem, do której Irańczycy mają wyjątkowo nabożny stosunek, lepiej nie być w skórze żartownisia.



## statki na piasku

Podczas gdy nad Teheranem, w górach Elburs, kończy się sezon narciarski, osiemset kilometrów na południowy wschód, pod Kermanem, rodzi się piekło. Jego centrum stanowi pustynia Daszte Lut - jedno z najbardziej nieprzyjaznych człowiekowi miejsc na ziemi. W 2005 roku NASA zaobserwowała tam najwyższą temperaturę, jaką odnotowano w dziejach ludzkości: 70,7 stopni Celsjusza.

Stary Mehdi, wiejski filozof i jednocześnie dozorca na posterunku policji u bram pustyni, doskonale pamięta tamte upały. Nawet nocą temperatura nie chciała spadać poniżej czterdziestu stopni. Jeden z funkcjonariuszy dostał zawału i nigdy już nie wrócił na tę piekielną ziemię.

- Ja nigdy bym stąd nie wyjechał - zarzeka się okutany w turban i jasną pelerynę starzec, bezskutecznie próbując zapalić na wietrze mocnego, irańskiego papierosa. - Ludzie mówią co prawda, że to przeklęte miejsce i że na Daszte Lut mieszka diabeł, ale mnie to nie przeszkadza. Skoro gdzieś tu ukrył się szatan, to blisko musi być też Bóg. Władca czasu i przestrzeni lubi mieć oko na największego ze złoczyńców.

Większość pustyni Daszte Lut to zupełnie martwy obszar, bez żadnych form roślinnych i zwierzęcych, bez wirusów i bakterii. Przed kilkoma laty grupa naukowców zabrała na pustynię mleko, po czym zostawiła je w otwartym pojemniku, w ocienionym ustępie skalnym. Mleko, mimo upału, wcale nie chciało się zepsuć. Stało rozgrzane, bezskutecznie czekając na wizytę choćby jednej bakterii.

Zbudowanie w takim miejscu asfaltowej drogi wydaje się niemożliwe. A jednak od kilku lat Irańczycy uparcie wydzierają pustyni kolejne metry, walcząc o nową, krótszą trasę z Kermanu do Maszhadu. Równiutki, twardy jak skała, biegnący prosto jak wzdłuż linijki asfalt wygląda niesamowicie pośród złowrogiego pustkowia. Nie po to jednak przyjechałem na Daszte Lut, by patrzeć na nową jezdnię, ale by podziwiać Kaluty, czyli magiczne, ogromne, uformowane w niesamowite kształty, pustynne wzgórza. Od milionów lat zastygła, ciemna lawa ściąga promienie słońca, które wypalają w niej dziury. Dzięki różnicy temperatur i wysokości pomiędzy wyżynną pustynią i sąsiednimi regionami przesuwiają się wielkie masy powietrza. Wiatr żłobi ponadstukilometrowe pasáže, zdiera kolejne warstwy skał, a potem szlifuje je w niesamowite kształty. Potężne formacje wyglądają jak średniowieczne twierdze lub armady statków z fantazyjnie wyprofilowanymi dziobami, sunące przez piaszczyste, wzburzone, lekko zamglone morze. Niektóre z piaszkowych fal są równie imponujące, jak

największe z fregat skalnej armady. Osiągają niemal pięćset metrów wysokości, przez co są najwyższymi piramidami z piasku (bo trudno nazwać je wydmami), jakie kiedykolwiek widziano na ziemi.

Również z kosmosu pustynia wygląda niesamowicie. Jakby twardą powierzchnię wystającej lawy ktoś uczesał niewidzialnym grzebieniem, lekko na bok, z północnego zachodu na południowy wschód.

Kaluty najbardziej niesamowite wrażenie robią pod wieczór, kiedy światło się zmienia, a góry ze złotych stają się najpierw czerwone, potem niebieskie, w końcu szare. O tej porze zrywa się wiatr, a spod stóp, pod wpływem spadającej temperatury, dobywa się chrobotanie. To pęka ziemia, oddając ciepło słońcu.

Pośród wyjącego wiatru, smagającego piachem w twarz, wzgórza wyglądają szczególnie przerażająco, ale po kilkudziesięciu minutach wszystko się uspokaja. Zapada noc, na niebo wychodzą tysiące gwiazd. Świecą ostro. Gdzieś w oddali widać światła samotnego pojazdu, przecinającego środek krajobrazu. Jest jak w bajce.

## **Bam, Zahedan - z karabinem na plecach**

Czarny świeży asfalt pośrodku pustynnego krajobrazu kusi, by jechać nim aż do Maszhadu. Droga nie jest jednak ukończona, więc z czystym sumieniem wybieram bliższy kierunek. Dwieście pięćdziesiąt kilometrów stąd stoi magiczna twierdza Bam. Kiedyś budziła podziw podróżników i kupców, ale dziś niewiele się różni od poszarpanych wiatrem wzgórz pustyni Daszte Lut. Dawna cytadela, licząca sobie niemal tysiąc osiemset lat, perła architektoniczna południowej odnogi Jedwabnego Szlaku - z trudem podnosi się z ruin.

Trzęsienie ziemi przyszło 26 grudnia 2003 roku o godzinie 5.26. Osiągnęło niemal siedem stopni w skali Richtera i zniszczyło doszczętnie 75 procent budynków. Pod gruzami zginęło dwadzieścia sześć tysięcy ludzi, drugie tyle odniosło rany. Tylko jedna trzecia ludności okalającego twierdzę miasta wyszła z kataklizmu bez obrażeń. Cóż z tego, skoro stracili niemal wszystko. Stare, zbudowane chałupniczą metodą posesje waliły się jak domki z kart. Do dziś wiele z nich nie zostało odbudowanych, choć te, które wyrastają z ziemi, budzą zaufanie. Elastyczne fundamenty, wraz z solidnymi ceglami oraz metalowymi klamrami, mają zapewnić budynkom odpowiednią sprężystość i zarazem przetrwanie w razie nowego kataklizmu. Na tym terenie może się on zdarzyć zawsze. W najważniejszym punkcie miasta, w zdruzgotanej cytadeli, prace toczą się mozolnie. Wygląda to tak, jakby mimo upływu lat gospodarz wciąż nie wiedział, od czego zacząć. Kiedy pierwszy raz odwiedziłem to miejsce wiosną 2008 roku, niewiele obiektów zostało zrekonstruowanych. Po ruinach kręciło się kilkunastu robotników, którzy głównie zgarniali gruz na kupki. Choć początkowo rząd obiecywał, że miasto odbuduje w piętnaście lat, dziś jest już pewne, że przy kosztach sięgających miliarda dolarów nic z tego nie wyjdzie. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie pomoc z Europy i Japonii, dzięki której odbudowywane są w mieście szpitale, szkoły oraz obiekty sportowe.

Bam ma wielkie problemy z funduszami na rekonstrukcję m.in. dlatego, że wśród większości Irańczyków nie budzi zbyt pozytywnych skojarzeń. Wielu ludzi wprost nie cierpi jego mieszkańców. Niby są to jeszcze Persowie, ale w powszechnej opinii mają więcej wspólnego z mieszkającym na wschód od Bamu ludem Beludżów. Beludżowie uchodzą za niechętnych Iranowi, bliżej im do sunnickiego Pakistanu. Mają też opinię nieokielzanych buntowników i przemytników narkotykowych, którzy nie wahają się używać broni. Jadąc od strony Kermanu, natknąłem się na kilka obwarowanych checkpointów, gdzie funkcjonariusze mówili wprost, że walczą z kontrabandą ciągnącą z Bamu. A w samym Bamie otrzymałem

oficjalną ochronę. Kilka miesięcy przed moim przyjazdem porwano tam japońskiego turystę. Była to zemsta za fałsz aresztowań w rodzinie Szahbakszów, czołowych handlarzy w okolicy. Krewni aresztowanych liczyli, że mając w ręce Japończyka, będą mogli coś wytargować. Porwali go na wprost wejścia do hotelu.

Dziś w tym samym miejscu parkuje granatowy peugeot. W środku smaży się dwóch policjantów z karabinami, którzy czekają, aż wyjdę na spacer. Podobno w sprawie dwudziestotrzyletniego Japończyka interweniował osobiście prezydent Ahmadineżad, który miał zagrozić, że jeśli jeszcze kiedyś zniknie w Bamie jakiś zagraniczny turysta, szef policji zniknie razem z nim. Stąd takie nadzwyczajne środki ostrożności. Cokolwiek by mówić o reżimie, bezpieczeństwo gości z zagranicy to w Iranie świętość.

Ali i Pejman, czyli opiekujący się mną policjanci, gwałtownie zaprzeczają, gdy pytam, czy są z Bamu.

- Skąd! Jesteśmy z Kermanu, a tu tylko służymy, bo władze nie mają zaufania do miejscowych policjantów - mówi konfidencjonalnie Ali, bawiąc się magazynkiem radzieckiego automatu.

Nasza komitywa wygląda dość dziwnie. Chodzą za mną krok w krok lub jeżdżą powolutku, zamęczając silnik peugeota. Razem zwiedzamy cytadelę, razem idziemy do obskurnej restauracji. Oni za każdym razem starają się zachować służbowy dystans, ale z drugiej strony są ciekawscy, zwłaszcza niższy Ali.

- Ciężko jest służyć w Bamie. Nigdy nie wiadomo, co tym ludziom wpadnie do głowy. Tyle zażywają opium, że w głowach im się miesza. Pamiętam, jak pewien nastolatek zabił nożem nauczycielkę w szkole, bo powiedziała mu, żeby przestał interesować się jedną z dziewczyn. Myślisz, że go złapaliśmy? Krewni wywieźli go w góry. Nienawidzę tego miasta - syczy Ali.

Według oficjalnych danych ponad 50 procent mężczyzn i 15 procent kobiet w Bamie jest uzależnionych od opium i heroiny. Najmłodszy zarejestrowany narkoman ma jedenaście lat. Jak się patrzy na te statystyki, nie sposób po raz kolejny oprzeć się wrażeniu, że Iran to jeden wielki paradoks. Przecież Bam postawiono właśnie po to, by trzymać za twarz krnąbrnych, wiecznie buntujących się Beludżów. Teraz okazało się, że cały wysiłek poszedł na marne. Minęły wieki i to Beludżystan wziął twierdzę w Bamie cichym szturmem w łagodnych oparach opium. I nic nie wskazuje, by ta niewola szybko miała się skończyć. Nie w miejscu, gdzie zamiast przewodników turystów oprowadza patrol policji z kałasznikowem pod pachą.

Towarzystwo moich ochroniarzy jest w sumie miłe i pozbawione nachalności. Kłopot

w tym, że z lufą karabinu na plecach zwiedza się miasto bardzo źle, a nie sposób się wyrwać. Zresztą nawet gdybym zgubił moich opiekunów, narobiłbym im tylko kłopotów. Jedyne wyjście to opuścić Bam i wrócić za kilka lat, może coś się tu zmieni.

Japoński turysta odzyskał wolność kilka tygodni po moim wyjeździe, po ośmiu miesiącach niewoli. Porywacze wypuścili go, chcąc udobruchać policję, która dokonywała nieustannych rewizji po wsiach i miastach, trzebiąc szeregi rodziny Szahbakszów. Japończyk zwiedził w tym czasie pakistańską część Beludżystanu, dokąd przeszmyglowali go porywacze. Podobno niewiele cierpiał.

Z zewnątrz Iran wygląda na bardzo jednorodny twór, wyraźnie odróżniający się od innych państw Bliskiego Wschodu. Oryginalna, starożytna kultura perska, wyjątkowe w świecie islamu wpływy szyizmu, własny język, który przetrwał w doskonałej kondycji mimo silnego nacisku ze strony Arabów. Wszystko to może rodzić poczucie, że Irańczycy od wieków są homogeniczną społecznością, zamkniętą na świat zewnętrzny i przez to tak dobrze znoszącą wszelkie próby dominacji ze strony obcych mocarstw. A jednak gdy przyjrzymy się bliżej, zauważymy, że w porównaniu z innymi krajami regionu Iran jest niezwykłą wprost mozaiką kultur, narodowości, języków. Załedwie połowa Irańczyków to etniczni Persowie. Czwartą część mieszkańców stanowią tureckojęzyczni Azerowie, od lat tworzący wpływowe lobby. Poza nimi żyją tu jeszcze Gilakijczycy, Mazandaranie, Kurdowie, Arabowie, Turkmeni, Beludżowie, Lurowie, na wpół koczowniczy Kaszkajowie i Bachtiarowie, a także niewielkie społeczności Ormian, Żydów, Gruzinów i Asyryjczyków. Właśnie z tej różnorodności powstała jedyna w swoim rodzaju potrawa. Czasem jest pachnąca, kolorowa i smaczna, pełna wartości odżywczych i energii. Czasem jednak ta różnorodność bywa przekleństwem, zwłaszcza gdy któryś ze składników „irańskiej zupy” uzna, że jest ważniejszy od pozostałych i próbuje zdominować resztę. W historii Iranu pełno jest plemiennego egoizmu i anarchizmu, zamachów na władzę królewską, a potem nieudolnych prób tworzenia kolejnych dynastii przez nienadających się do tego watażków. Stąd też tyle w dziejach Iranu najazdów z zewnątrz na osłabione wieczną wojną domową państwo, stąd przekonanie żywione przez mocarstwa kolo nialne (zwłaszcza Anglię i Rosję), że Iran jest doskonałym polem do wprowadzenia w życie rzymskiej maksymy: „dziel i rządź”. Jednym plemionom dać dużo, drugim nic, potem tym pierwszym zabrać, a drugim ofiarować. Tych przekupić, tamtych upokorzyć. A z czasem wszystkich śmiertelnie skłócić. I jeszcze zrobić to tak umiejętnie, żeby się nie zorientowali, iż są manipulowani.

Revolucja z 1979 roku była nie tylko gwałtownym protestem przeciwko brutalnemu szachowi, ale też udaną próbą pokazania Brytyjczykom, Rosjanom i Amerykanom, że okres

„nieświadomości narodowej” już się skończył. Nawet jeśli uznamy islamską rewolucję za katastrofę dla Iranu, to musimy jednocześnie przyznać, że właśnie wtedy kraj odzyskał prawdziwą niepodległość. Nie byłoby to możliwe bez powolnego uświadamiania sobie przez poszczególne narody, że tylko razem są w stanie stworzyć coś silnego i trwałego.

Dzisiejszy Iran wydaje się krajem dość dobrze zintegrowanym. Nawet odwieczne dążenia separatystyczne uciskanych Kurdów - trzydziestomilionowego narodu bez państwa - są tu dużo mniejsze niż w sąsiednim Iraku czy w Turcji. Właściwie jedyną naprawdę zrewoltowaną społecznością pozostają rozłożeni wzdłuż granicy z Pakistanem i Afganistanem sunniccy Beludżowie. Choć stanowią zaledwie 2 procent populacji kraju, zajmują bardzo duży teren i znacznie różnią się od innych mieszkańców Iranu.

Pamiętam, że na lotnisku Mehrabad w Teheranie bez trudu mogłem zgadnąć, które stanowisko wydaje karty pokładowe do Zahedanu, półmilionowej stolicy Beludżystanu. Zawsze stały tam kobiety szczelnie zasłonięte czadorami, a większość mężczyzn miała brody, powłóczyście, białe koszule, szerokie, białe portki i sandały, których raczej nie noszą Irańczycy. Z wyglądu o wiele bardziej przypominali mieszkańców pakistańskiej Kwety czy Peszawaru niż obywatele Isfahanu lub Qazwinu.

Beludżowie uważani są przez pozostałych Irańczyków za dzikusów, przemytników, narkomanów, porywaczy i terrorystów. Duchowy przywódca, ajatollah Chamenei (Azer po ojcu, Pers po matce), ma do tego miejsca osobisty stosunek. W 1975 roku został zesłany przez urzędników szacha do Iranszahru, drugiego pod względem znaczenia miasta Beludżystanu. Jak później wspominał, był tam obrzucany kamieniami i wyśmiewany przez sunnickich mieszkańców.

- Jeśli słyszysz w radiu komunikat o wybuchu bomby, niemal na sto procent możesz być pewny, że zdarzyło się to w Beludżystanie. To taki nasz wewnętrzny, rozchwiany Pakistan - uważa mój teherański przyjaciel Dżawad.

Do Zahedanu dojeżdżam nad ranem. Po drodze czytam o historii regionu. Najciekawszy jest fragment o pułku wojska z Jazdu, pułku, który w połowie XVIII wieku wracał tędy do domu po łupieżczej wyprawie do indyjskiego Delhi, zaaranżowanej przez szacha Nadera. Jazdeńscy piechurzy byli do tego stopnia przerażeni wizją marszu przez Beludżystan, że poprosili króla o eskortę. Nie jestem jednak pewien, czy anegdota ta (jeśli w ogóle jest prawdziwa) więcej mówi o krwiożerczości Beludżów, czy o tchórzostwie wojów z Jazdu. Mieszkańcy mojego ulubionego miasta w Iranie uchodzą za ludzi dość strachliwych.

Pierwszy spacer po Zahedanie robi przygnębiające wrażenie. Widać, że miasto jest młode i naprędce sklecone. Po szerokich ulicach, obstawionych brzydkimi, szarymi

pudełkami domów, hula pustylny wiatr. Bazar jest brzydki, brudny, a wąskie źrenice mówią wiele o długiej tradycji zażywania opium.

Na bazarze poznaję Mehdiego, studenta agrokultury na miejscowym uniwersytecie. Żali się, że jako sunnita i Beludź zarazem nie miał szans, by kształcić się w Teheranie. Mimo dobrych wyników na egzaminie zabroniono mu wyjazdu do stolicy. Władza centralna patrzy na takich jak on podejrzliwie i traktuje jak potencjalnych terrorystów.

- Zamiast zachęcać nas do integracji, najchętniej postawiliby nam mur na granicy prowincji i wszystkich zamknęli w środku - mówi ze złością. - Im się wydaje, że jak nas spacyfikują na miejscu i naślą na nas tysiące żołnierzy z perskiej części Iranu, to w końcu nas uspokoją. A przecież przemoc rodzi przemoc. Będzie tylko gorzej. Jestem wściekły, gdy pomyślę, że spędzę w tej zapadłej dziurze resztę życia.

Mehdi ma dwadzieścia cztery lata i bez żadnego wstydu przyznaje, że jego rodzina żyje z kontrabandy. To jedyny dochodowy biznes w całej prowincji.

- Musimy to robić, bo Teheran nie chce u nas umieszczać żadnych większych inwestycji, ludzie nie mają po prostu pracy - tłumaczy mi. - Teheran żąda, by Beludżystan najpierw sporządził. Tylko jak to zrobić, kiedy nic innego niż przemysł się tu nie opłaca?

Ilekcio Mehdi mówi o Iranie, używa słowa „Teheran”, które w jego ustach brzmi jak „obcy”, „oni”. Czuje się szykanowany, nienawidzi rządu i perskiego nacjonalizmu, ale jednocześnie czuje, że musi wyrwać się z Beludżystanu, bo inaczej niedługo sam będzie wyglądał jak część rodziny usidlonej przez opium: wąskie źrenice, dziury w uzębieniu, matowa, sucha skóra, spowolnione ruchy, odruch drapania po wiecznie swędzących kończynach.

Mehdi zabiera mnie na pustynię. Jedziemy środkiem piaszczystego oceanu, na zewnątrz wieje wiatr, więc w ustach mamy pełno trzeszczącego piachu. Mijamy zakopane w wydmach drewniane łódki, a Mehdi uświadamia mi, że zmurszałe kadłuby nie są fragmentem artystycznej instalacji, ale wspomnieniem po jeziorze Hamun. Jeszcze kilka lat temu nad piaskiem unosiła się woda, a ludzie łowili ryby. Jezioro żyło dzięki rzece Helmand, płynącej z Afganistanu, i stopniowo zaczęło wysychać, kiedy Afgańczycy przesadzili z budowaniem tam na rzece i nawadnianiem pól. Dziś Hamun zapełnia się okresowo i tylko w części. Nocami po jeziorze śmigają w tę i z powrotem auta szmuglerów ze zgaszonymi światłami. W stronę Iranu kursuje opium i nielegalni emigranci, w stronę Pakistanu i Afganistanu - tania benzyna. Przemysłnicy muszą uważać, bo po jeziorze wędrują też stada szkolonych dromaderów, które robią to samo co kierowcy terenowych toyot - przemycają narkotyki. Tyle że zwierzętom nie grozi za to kara śmierci.





## **płatna miłość u grobu imama**

Wracam do Kermanu, a za dwa dni lecę na północ, do Maszhadu, jednego z najświętszych miast szyitów, którego nazwa oznacza „miejsce męczeństwa”. Tuż przy wejściu na lotnisko charakterystyczna scena. Dwóch Irańczyków stoi przy drzwiach i prawi sobie uprzejmości. „Proszę, pan pierwszy”. „Ależ skąd, niech pan idzie najpierw”. „Nie, no, pan jest starszy”. „Ale pan podszedł do drzwi wcześniej, proszę iść”. Za dwójką niezdecydowanych Irańczyków tworzy się korek, ale nikt się nie niecierpliwi. Wszyscy wiedzą, co to ta’rof. W końcu starszy z podróżnych decyduje się ruszyć.

Na sali odlotów etykieta już nie obowiązuje. Ci sami Irańczycy, którzy przed chwilą z wielką kulturą przepuszczali się przez drzwi, przy punkcie odpraw pchają się bez litości. Nie ma tu żadnej kolejki, żadnego wyraźnego kierunku, żadnej zasady. Po kilku minutach zator „jakoś” sam się rozpuszcza i wszyscy są zadowoleni.

Na pokładzie tupolewa czeka mnie niespodzianka. Z ekranu puszczają *Wakacje Jasia Fasoli*, czyli kolejny odcinek przygód angielskiego nieudacznika, tym razem zmuszonego opiekować się rosyjskim chłopcem w drodze na południe Francji. W filmie jest scena, w której Fasola z podopiecznym próbują zarabiać na życie, odgrywając pantomimę do kobiecej arii z opery Giacomu Pucciniego. Dla uwiarygodnienia roli Jaś zakłada na głowę czarną, długą bluzkę. Ma imitować włosy, ale pasażerom samolotu kojarzy się z zupełnie czymś innym. Po pokładzie idzie ściszony chichot. „Czador, czador, męski czador!” Obracam się i widzę, że śmiechem parska ponad połowa ludzi. Tylko dlaczego prawie wszyscy zakrywają usta rękami, jakby się wstydzi? Już rozumiem, na jednym z foteli siedzi dystyngowany szyicki mułła, jadący do świętego miasta. Policzki drgają mu ze złości, twarz cała czerwona, najchętniej wstałby i wyszedł, ale samolotu tkwiącego na wysokości dziesięciu tysięcy metrów nie da się tak po prostu opuścić.

Maszhad jest drugim co do wielkości miastem Iranu. Ma trzy miliony mieszkańców, ale co roku odwiedza go niemal dwadzieścia milionów pielgrzymów. Ściąga ich tu los ósmego przywódcy szyickiej społeczności, imama Rezy - dobrego, skromnego i mądrego teologa. W IX wieku, kiedy żył święty, Maszhad był niewielką miejsciną z letnim pałacem gubernatora prowincji Chorasán. Zarządzający nią Arab AlMamun, miłośnik astronomii, miał wielkie ambicje, marzył o przejęciu władzy nad całą wschodnią częścią muzułmańskiego imperium. Potrzebny był mu do tego duchowy sojusznik, i na takiego nadawał się charyzmatyczny Reza. W tamtych czasach, choć szyici stanowili nieliczną sektę, to akurat w

Chorasanie mieli duże wpływy. Chcąc zyskać ich sympatię, Mamun zaprosił przebywającego w Medynie Rezę i uczynił go oficjalnie swoim sukcesorem. Dla szyitów był to jednak pusty gest. Reza był za stary, aby przeżyć Mamuna.

Jako że intryga się nie powiodła, imam przestał być potrzebny gubernatorowi. Mamun uznał, że najlepiej zrobi, jeśli natychmiast pozbędzie się „następcy” i otruje go winogronami. Kiedy po prowincji rozeszła się wieść o nagłej śmierci Rezy, nikt nie miał wątpliwości, kto za nią odpowiada. Mamun postanowił jednak zagrać *va banque*. Kategorycznie zaprzeczał, by miał jakikolwiek udział w zbrodni, zalewał się krokodylimi łzami, aż wreszcie zaczął budować wspaniałe sanktuarium ku czci Rezy. Z czasem obrosło ono bazarami, meczetami i budynkami mieszkalnymi, a powstałe w ten sposób miasto stało się najważniejszym miejscem kultu irańskich szyitów. Dziś mauzoleum imama Rezy to wyłożony złotem kompleks świątynny z czternastoma minaretami, dwudziestoma halami modlitewny mi, muzeami, bibliotekami, seminariami, uniwersytetem i podziemnym cmentarzem. Ceny za umieszczenie sarkofagu w najbliższym otoczeniu grobu imama sięgają ponoć stu tysięcy dolarów. Bogacze myślą, że kupując sobie miejsce koło Rezy, kupią sobie też miejsce w raju.

Ktoś, kto choć raz odwiedził sanktuarium, nigdy go nie zapomni. Tłumy najczęściej prostych, skromnie ubranych ludzi powoli zmierzają do centralnej, świetlistej sali, wyłożonej złotem i odbijającymi światło lusterkami. Tam, pod sarkofagiem Rezy, przeżywają prawdziwą ekstazę religijną. Mężczyźni i kobiety, w dwóch osobnych pochodach, z różnych stron dochodzą do grobu imama i zanoszą mu swe modły. Na miejsce trafiam wraz z Mohammadem, poznanym na ulicy emerytowanym nauczycielem angielskiego, który przy okazji ma znajomości w biurze świątynnym i przemyca mnie do sanktuarium jako muzułmanina z Bośni. Oficjalnie innowiercy mogą zwiedzać tylko zewnętrzne kwartały mauzoleum.

Mohammad klepie biedę na emeryturze, ale za nic nie chce przyjąć pieniędzy, które oferuję mu za oprowadzanie po mauzoleum. Co najwyżej weźmie ode mnie równowartość pięciu dolarów, które pozwolą mu wrócić do mieszkania na przedmieściach taksówką, a nie trzema różnymi autobusami.

Tuż przy grobie imama musimy uważać. Podłoga jest śliska od spoconych stóp i łatwo się wywrócić. Tłum mężczyzn napiera na złotą klatkę okalającą mogiłę, dorośli brodaci ludzie płaczą ze wzruszenia, ktoś próbuje zmusić dwuletnie przerażone dziecko, by pocałowało złoconą ścianę grobowca. Po drugiej stronie, za szybą z pleksiglasu, podobnej wielkości tłum kobiet w czadorach szlocha jeszcze głośniejsze. Słychać, jak wiele cierpienia przyniosły w darze świętemu. Mohammad tłumaczy mi po cichu treść okrzyków wyrzucanych w stronę Rezy.

„Panie, odsuń chorobę od mojego syna. Niech jego nogi znowu go poniosą”. „Tego roku nasze pole nie zaznało zbyt wiele wody. Wytrzymałyśmy, ale co będzie za rok? Pomóż nam”.

Po opuszczeniu sanktuarium mijamy plac, na którym kilkunastu porządkowych z plastikowymi, chińskimi kijami kieruje ruchem i dba, by do środka dostawali się ludzie przyzwoicie ubrani. Mijamy zatłoczone rondo i kilka studiów fotograficznych, w których można zrobić sobie eleganckie zdjęcie na tle fototapy przedstawiającej rozświetlony kompleks świątynny. Ledwo żegnam się z Mohammadem, podchodzi do mnie wąsaty mężczyzna.

- Nie ma pan ochoty na małżeństwo czasowe? Takie na jedną noc? - pyta łamaną angielszczyzną, łobuzersko się przy tym uśmiechając.

- Nie mam, najmniejszej - odpowiadam mocno zaskoczony, choć korce mnie, by choć przez moment zobaczyć, z kim to ma zamiar mnie ożenić i ile to kosztuje. Trochę jednak boję się ryzykować. Gdyby to była prowokacja, za chwilę stanąłbym oko w oko nie z maszhadzką prostytutką, ale z tajną policją.

Małżeństwo czasowe (zwane siqe) to przykład typowo szyickiego eksperymentatorstwa z prawem szari'atu, mającego w założeniu ułatwić życie przede wszystkim mułom. W przeciwieństwie do katolickich księży, mułowie mogą posiadać żony (nawet cztery) oraz dzieci. Prawo do siqe pozwala, by mężczyzna oprócz legalnej małżonki miał równie legalne konkubiny. We współczesnych czasach ajatollahowie nadali tym związkom rys nowoczesności. Uznali, że aranżowanie małżeństw przez rodziców prowadzi czasem do niepotrzebnych konfliktów w rodzinie. Pozwolili więc, by młodzi ludzie, zanim wejdą w trwałe związki, poznawali się bliżej. Oznacza to m.in. zgodę na kontakty seksualne, ale z założeniem, że mężczyzna przejmuje finansową i rodzicielską odpowiedzialność za ewentualne owoce takiego związku.

Siqe może być zawarte na kilka godzin lub na kilkadziesiąt lat. Określa dokładnie, ile czasu małżonkowie muszą z sobą spędzać oraz ile pieniędzy zapłaci „pan młody” swojej tymczasowej towarzyszce. Właśnie ta zapłata za ślub sprawia, że dla wielu irańskich kobiet siqe nie jest niczym więcej niż zalegalizowaną formą prostytucji. Tak zresztą funkcjonowało to w Iranie w przeszłości. Kontrakty oferowano bowiem głównie wygłodniałym seksualnie pielgrzymom do miejsc świętych.

## szachy z cenzurą

Z Maszhadu wydostaję się autobusem. Kierunek - zachód, Morze Kaspijskie i turkmeńskie miasteczko Bandare Torkaman. Po drodze mijam osobliwość. Wielki globus z bardzo dziwnymi oznaczeniami. Tam, gdzie znajduje się Ameryka Północna, napis głosi: „Latin American”, tam, gdzie jest Ameryka Południowa, litery układają się w „Northen American” (pisane z błędem). Jeszcze większą osobliwością niż globus okazuje się jednak film puszczonej nocą w autokarze. Kino irańskie, nawet to klasy B, obfituje w tysiące depresyjnych historii. Ta jest wyjątkowo zagmatwana i opowiada o młodym mężczyźnie, nie pamiętam imienia, ale nazwę go Hamidem. No więc Hamid po kłótni z bogatym ojcem postanawia zerwać z rodziną i wieść zwykłe, proste życie. Traf chce, że zakochuje się w pięknej dziewczynie, nazwijmy ją Negin. Ona także pochodzi z zamożnej rodziny, nic więc dziwnego, że kiedy młodzi zamierzają się pobrać, na drodze ich szczęściu staje ojciec panny młodej, nieznaną rzeczywistego, wysokiego pochodzenia amanta córki. Aranżuje porwanie Hamida, który trzymany jest w podziemnej celi i faszerowany heroiną. Kiedy wychodzi z niewoli, jest już wrakiem człowieka. Jego wybranka nie wierzy w porwanie, myśli, że Hamid zawsze był narkomanem, tylko umiejętnie to ukrywał. Dziewczyna popada w depresję.

Ojciec Negin widzi jej rozpacz i zaczyna mieć wyrzuty sumienia. Na dodatek wychodzi na jaw prawdziwe pochodzenie amanta córki. Chłopak trafia na kurację odwykową do szpitala i znowu zaczyna się spotykać z Negin. I kiedy wszystko wydaje się zmierzać ku szczęśliwemu zakończeniu, Hamid znika ponownie.

Jak się później okazuje, bandyci wstrzykujący mu w piwnicy heroinę przy okazji zarazili go wirusem HIV. Hamid nie chce spotykać się z Negin, nie chce jej zarazić. Ucieka do rodzinnego domu nad Morze Kaspijskie. Negin jednak nie ustępuje. W dniu, kiedy Hamid postanawia się utopić, w mieście pojawia się jego narzeczona. Idzie tropem Hamida, ale przegrywa walkę z czasem. Kiedy dociera nad morze, znajduje już tylko kurtkę ukochanego, porzuconą na piasku. Domyśla się, że Hamid postanowił zakończyć życie w głębinach i w akcie rozpaczony sama wchodzi do morza i znika pod wodą. Kilkadziesiąt sekund później spod stojącej nieopodal łódki rybackiej wyłania się zaspany Hamid. Myślał co prawda o samobójstwie, ale postanowił się zdrzemnąć. A teraz znalazł wyrzuconą przez falę, ulubioną chustę Negin. Film się kończy. Resztę możemy sobie dopowiedzieć. Hamid albo za chwilę też się utopi, albo spędzi resztę życia niszczonej przez zgryzotę i wirus pustoszący jego ciało.

Kiedy w Iranie wybuchła rewolucja, tłumy podjudzanych przez kler radykałów spaliły

ponad sto osiemdziesiąt kin. Uznali je za siedliska płynącego z Zachodu upadku moralnego. Cała produkcja filmowa została skazana na karę milczenia, a po kwarantannie - poddana ścisłej kontroli. Scenariusze musiały zyskiwać akceptację urzędów cenzorskich, gotowe filmy również. Cenzorzy mieli prawo żądać zmian, decydowali również, czy film ma szansę na szerokie rozpowszechnianie, czy też trafi na półkę lub na nieliczne, poranne pokazy w małych, obskurnych salach kinowych. Dla reżyserów był to czytelny sygnał, że mają trzy wyjścia. Zmienić zawód, zaprzedać duszę systemowi, wypracować nowy język sztuki filmowej. Wielu wybrało to ostatnie. Tworzyli metaforyczne światy w pozornie realistycznych dekoracjach, których cenzorzy nie rozumieli albo udawali, że ich nie rozumieją. W części z nich świat ubrany jest w dziecięcy kostium. Oglądamy rzeczywistość z perspektywy niewinnego, osaczonego, małego nadwrażliwca, który czasem szuka zagubionej, jedynej pary swoich butów, a kiedy indziej tropi zło tą rybkę. Może też pracować ciężko na budowie, oczyszczać z narażeniem życia pole minowe, zarabiać jako przemytnik na operację kalekiego brata, zmagać się z własną ślepotą lub z prymitywnym ojcem, który wstydzi się choroby psychicznej córki i trzyma ją w zamknięciu. Jednak te filmy o dzieciach prawie nigdy nie są filmami dla dzieci. Reżyserzy nie mogli pokazywać w prawdziwy sposób świata dorosłych, w którym nawet najbardziej podstawowe relacje damskomęskie otoczone były tabu. Widz oglądał więc historie o głębokiej, czasem trudnej przyjaźni małego chłopca i małej dziewczynki, widząc w nich metaforę głębokiej, dorosłej miłości, nad którą roztacza się mroczna atmosfera kraju duszącego się od wszechobecnej opresji.

Irańskie filmy bardzo często są minimalistyczne, pełne długich ujęć oraz ciszy. Kontemplują naturę, drobne szczegóły, gesty. Zwykła, szara rzeczywistość nigdy jednak nie jest tym, za co się podaje. Rządzi nią jakaś tajemnicza siła, a bohaterowie są jak Syzyf targający ciężki kamień na górę, pomimo świadomości beznadziei tego zajęcia. Czasem ten upór jest niespodziewanie nagradzany, czasem sami musimy dopowiedzieć sobie koniec urwanej nagle historii.

Współczesna irańska kinematografia zaliczana jest do najwyżej cenionych na świecie. Takie nazwiska, jak Abbas Kiarostami, Madżid Madżidi, Mohsen Machmalbaf, Amir Naderi, Dżafar Panahi czy Bahman Qobadi, to prawdziwe ikony współczesnego kina, nagradzane na największych festiwalach w Cannes, Berlinie, Chicago, Wenecji, San Sebastian, Montrealu czy Tokio. Fascynujące jest również to, że właściwie co roku idą w świat kolejne zastępy młodych, utalentowanych reżyserów, na czele z obsypywanym na całym świecie nagrodami Asqarem Farhadim i całą falą utalentowanych kobiet (Samira Machmalbaf, Marzije Meszkini, Manize Hekmat, Granaz Musawi, Mania Akbari). Irańskie kino cały czas się zmienia, staje się

coraz bardziej buntownicze. Mniej jest dziś w nim poezji i metafor, a więcej surowego realizmu i bezpośredniej konfrontacji z opresyjną rzeczywistością islamskiej republiki. Filmowcy śmieiej też pokazują choroby trawiące współczesne społeczeństwo irańskie, jego inercję, zakłamanie, materializm i rozpad więzi rodzinnych, tak ważnych w tradycji tego kraju.

Jest to możliwe, bo w ostatnich latach coraz więcej filmów powstaje potajemnie, bez oficjalnej akceptacji ze strony ministerialnych urzędników lub wręcz poza Iranem. Władza, choć co jakiś czas straszy artystów konsekwencjami, w większości przypadków przyryka oko na te wybryki. Islamska republika wyznaje regułę: lepiej nie szykanować najsłynniejszych twórców, lepiej pozwolić im zdobywać nagrody, a później wmawiać światu, że cieszą się w Iranie wolnością twórczą. Warunek jest jeden: wara ich dziełom od rodzimej publiczności. Produkcje najsłynniejszego reżysera, Abbasa Kiarostamiego, od 1997 roku mają zakaz wstępu do irańskich kin, inni mogą liczyć na bardzo wąskie, czasem wręcz jednorazowe rozpowszechnianie.

Pamiętam jego *Close Up* z 1990 roku. Główny bohater, nieszczęśliwy, bezrobotny, rozwiedziony pan Sabzian przeżywa głęboką fascynację sztuką i kinem. (Jak ironizuje mój przyjaciel Tumaż: „W Iranie jest siedemdziesiąt milionów poetów i reżyserów”.) Pewnego dnia Sabzian jedzie głodny autobusem, czytając wydany w formie książki scenariusz do filmu Mohsena Machmalbafa. To jego wzorzec artysty. Machmalbaf tworzy filmy o ludziach cierpiących, dokładnie takich jak Sabzian.

Kiedy siedząca obok kobieta, pani Ahancho, zdradza, jak bardzo ceni sobie tego reżysera, nasz bezrobotny bohater postanawia wejść w jego rolę. A nuż podając się za Machmalbafa, zostanie zaproszony na obiad? Przez następnych kilka dni Sabzian roztacza przed rodziną Ahancho wizję nowego filmu, w którym wszyscy zagrają, organizuje w ich domu plan filmowy, zajada się obiadami, pożycza pieniądze. W końcu zostaje aresztowany.

Historia nie jest zmyślona. Zdarzyła się naprawdę, a Kiarostami przeczytał ją w gazecie. Potem nagrał w zasadzie dokumentalny film (z paroma fabularnymi retrospekcjami), w którym wszystkie role odegrali prawdziwi bohaterowie tej historii. Akcja dzieje się w więzieniu, na sali rozpraw, w gabinecie sędziego, w domu państwa Ahancho. Widzimy świat oczami Sabziana, skromnego, zahukanego, dotkliwie samotnego człowieka. Patrzymy na niego i głęboko wierzymy, że nie jest oszustem. Że cała jego mistyfikacja była tylko po to, by choć raz w życiu mógł poczuć się potrzebny i szanowany. Amatorzy grają naturalnie, a my czujemy, że mówią nam prawdę o życiu w islamskiej republice.

W końcowej scenie pan Sabzian spotyka prawdziwego Machmalbafa. Zdjęcia kręcone

są z dystansu. W pewnym momencie znika dźwięk. Przez następnych kilka minut słyszymy urywki rozmowy, trzaski. A jednak Kiarostami nie zdecydował się powtórzyć zdjęć. Uznał, że po raz pierwszy można spotkać się tylko raz. Jest w tej scenie jakaś siła, moc prawdy i autentyczności.

Tak się zamyśliłem, że nie zauważyłem, iż za oknem autobusu zrobiło się jasno. Cudowne, szarobrazowe, łagodne wzgórza, a między nimi wijąca się szosa. Im bliżej Morza Kaspijskiego, tym robi się coraz bardziej zielono. W końcu wysuszony krajobraz zostaje zupełnie zastąpiony przez gęstwinę drzew.

W Gorganie przesiadam się do taksówki. Po godzinie w oddali majaczy błyszcząca w przedpołudniowym słońcu tafla wielkiej wody. Za chwilę wyłania się też Bandare Torkaman - stary, słynący z kawioru port, zamieszkany głównie przez Turkmenów. Skośnookie twarze, zupełnie inne stroje. Kobiety nie noszą tu czadorów. Dominują kolorowe, kwieciste chusty oraz czerwone płaszcze (zwane mantu), gustownie zdobione geometrycznymi wzorami. Ten ludowy strój dla wielu nowoczesnych teheranek stał się w ostatnich latach jednym z głównych wzorców mody i symbolem niechęci do islamskiej republiki.

W porcie rybackim jest dość ponuro i biednie. Teheran niespecjalnie interesuje się losem sunnickich Turkmenów i niechętnie inwestuje w ten region. Kamienny brzeg, trochę śmieci, obok blaszany bazar, gdzie piękne turkmeńskie rękodzieło z trudem opiera się chińskiej tandecie. Na szczęście w kilkanaście minut można przedostać się łódką na spokojną, urokliwą wyspę Aszurade, gdzie pośród trzciny snują się stada dzikich koni, widok dawno zapomniany w tak zwanym cywilizowanym świecie. Kawałek dalej kończą się mokradła, a brzeg znaczą plaże z drobnych, łagodnych kamyczków. Obok spaceruje kilka irańskich rodzin, dzieci wyszukują muszle, parę osób w małej herbaciarni pali fajkę wodną (zwaną tu qaljun).

Jedna z rodzin wchodzi do wody. Mężczyźni i dzieci rzucają się z radością, w samych spodenkach, na fale, a kobiety i dziewczyny brną w wodzie w całym swoim rynsztunku. Z każdym metrem ciężkie od wilgoci ubrania stawiają coraz większy opór, więc panie szybko zawracają. Okolica jest przeraźliwie senna, ale nie mam wątpliwości, że gdyby ludziom pozwolono się kąpać, wyspa natychmiast zamieniłaby się w tętniące życiem centrum turystyczne.

Z Bandare Torkaman jadę na północ, w stronę granicy z Turkmenistanem. Zatrzymuję się na bajkowej farmie szalonej Amerykanki Louise Firouz, która po raz pierwszy odwiedziła Iran w połowie lat sześćdziesiątych i od razu się w nim zakochała. Przy granicy z dawnym ZSRR odnalazła ginący gatunek małych koni kaspijskich, które są bliskimi krewnymi

wyścigowych arabów, a ich wizerunki można znaleźć na płaskorzeźbach w Persepolis. Louise postanowiła uratować je od zapomnienia i na płaskim pustkowiu założyła hodowlę. Kiedy odwiedziłem ją wiosną 2008 roku, była już bardzo chora. A może nie tyle chora, co zmęczona siedemdziesięcioczeroletnim życiem. Zmarła trzy tygodnie po moim wyjeździe.

Farma Louise leży w cudownym miejscu. Ogromna, równa jak stół okolica, pełna pól zboża i pastwisk. Czasem z tej płaskiej platformy wystają pagórki, przypominające wielkie, śpiące zwierzaki. Mijam głębokie zapadliska, powstałe wzdłuż starych, wyschniętych strumieni. Im bliżej granicy z Turkmenistanem, tym jest wyżej i wyżej, coraz bardziej bezludnie. Wreszcie po południu docieram do górskiej świątyni mistyka Chaleda Nabiego. Zanim miejsce to wziął we władanie islam, pojawiali się tam chrześcijanie, a wcześniej bardzo „zepsuci” poganie. Dziesięć minut od meczetu, na wysokim, płaskim wzniesieniu znajduje się stary cmentarz sprzed co najmniej trzech tysięcy lat. Miejsca pochówku mężczyzn znaczone są kamiennymi fallusami, wysokimi czasem na półtora, a czasem na ponad dwa metry, zapewne w zależności od pozycji społecznej zmarłego. Żeńskie mogiły rozpoznajemy po mniejszych nagrobkach, w kształcie rozłożonych skrzydeł motyla. Miejsce jest niesamowite, otoczone, zdawałoby się, nieprzekraczalną barierą niemal łysych, wysokich, łagodnych gór, ciągnących się w każdą stronę po horyzont. Nie jest specjalnie reklamowane w przewodnikach, trudno znaleźć na jego temat jakieś bliższe informacje, nigdy nie zostało gruntownie przebadane. I pewnie szybko nie zostanie. Na pewno dopóki Iran pozostaje islamską republiką, niechętną kamiennym fallusom.



## miasto przekrojone na pół

Wracam do Teheranu autobusem z Gonbade Kawus. Zza wysokich na ponad pięć tysięcy metrów gór Elburs wyłania się wreszcie smukła sylweta Milad Tower, jednego z najwyższych budynków na ziemi. To nowoczesne centrum biznesowoinformatyczne jest symbolem współczesnej islamskiej republiki, jej dumą. Kiedy za chwilę do widoku wieży dołączy panorama wieżowców północnego Teheranu, trudno uwierzyć, że to wciąż ten sam kraj. Ekskluzywne apartamentowce z bogatą business class, modną młodzieżą i samochodami terenowymi mknącymi po ulicach pokazują przepaść, jaka dzieli stolicę i biedną prowincję. Ale czy tylko prowincję? Sam Teheran jest jak organizm przecięty na pół. Jego drugą, mniej spektakularną, wstydliwą część ukryto w południowych dzielnicach, gdzie ceny za metr kwadratowy są czterokrotnie niższe niż na północy. Przez długie tygodnie miałem poważny problem, by namówić któregokolwiek z moich znajomych na wycieczkę w te rejony. Niektórzy mieli bardzo poważne problemy, by w ogóle przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz odwiedzili zamieszkane przez kilka milionów ludzi dzielnice. Co najwyżej przychodził im na myśl główny bazar, uważany za granicę między centrum a południem stolicy, czasem ktoś wybrał się na jeszcze „niżej” umiejscowiony główny dworzec kolejowy.

- Zrozum, w południowym Teheranie nie ma ciekawych miejsc, a ludzie są bardzo konserwatywni. W mojej dzielnicy, Giszy, nikogo nie ekscytuje, że wynajęłam mieszkanie sama. W południowym Teheranie spotkałabym się z niechęcią i zapewne wielokrotnie byłabym molestowana, bo ze względu na mój kolorowy strój miałabym opinię zepsutej, łatwej panienki. Nie dziw się więc, że wśród swoich teherańskich znajomych nie znajdziesz nikogo, kto zdecydowałby się na wynajęcie lub kupno mieszkania na południe od bazaru. Całe nasze życie toczy się zupełnie gdzie indziej - tłumaczyła mi Mohtaram, bojowniczką o prawa kobiet.

Ilekróć słyszałem o południowym Teheranie, czułem dreszczyk emocji. Znałem przecież słynne powiedzenie: „Jeśli chcesz odbyć podróż w czasie, niepotrzebna ci żadna kapsuła. Wystarczy, że pojedziesz z północy na południe stolicy”.

Różnice zaczynają się już od klimatu. Położony u podnóża gór północny Teheran jest o wiele przyjemniejszy i z racji wyżynnego umiejscowienia o wiele czystszy niż tonące w smogu, rozłożone na równinie południe. Jednak ktoś, kto spodziewa się tam slumsów, namiotów i domów z dykty na wzór przedmieść Kalkuty, Nairobi czy São Paulo, będzie rozczarowany. Można oczywiście znaleźć podobne miejsca, zaludniane przez świeżych

emigrantów z irańskiej prowincji lub uciekinierów z Afganistanu, jednak nie ma ich wiele. Południowy Teheran to ponure blokowiska, a przede wszystkim gęszcz dwulub trzykondygnacyjnych, prostych, na szybko postawionych domów z nieotynkowanej cegły. Tworzą smutny krajobraz, którego dominantę stanowią szarość i nudna powtarzalność. Raczej nie do pomyślenia jest, by ktoś zestrzelił tu policyjny helikopter, jak to zdarza się w zrewoltowanych fawelach Rio de Janeiro. W południowym Teheranie bardziej niż z uczuciem strachu i zagrożenia będziemy zmagać się z wyobcowaniem.

Od lat sześćdziesiątych dwie części pełnego energii miasta zaczęły odwracać się od siebie jak bracia obrażeni o podział rodzinnego majątku. I nawet rewolucja, choć zapowiadała równość i sprawiedliwość, nie zastopowała tego procesu. Dziś nie wystarczy powiedzieć o sobie, że jest się teherańczykiem. Trzeba jeszcze dodać, którym teherańczykiem. W wielu przypadkach za całą odpowiedź wystarczy rzut oka na ubranie. Po mieszkańcach południa widać, że są o wiele biedniejsi i bardziej konserwatywni. O wiele więcej tu brodatych, męskich twarzy i kobiet w czadorach. Raczej nie spotkamy wymalowanych, kolorowo ubranych dziewczyn, choć przyczyną jest w takim samym stopniu głęboka religijność ich rodziców, jak i zwykły brak pieniędzy na podobne ekstrawagancje. Biedę widać także po sklepach. Rzadko który oferuje coś więcej niż podstawowe produkty. Nie ma żadnych centrów handlowych.

- Tutaj ludzie w większości są robotnikami, rzemieślnikami lub drobnymi handlarzami i ledwo wiążą koniec z końcem. Sporo ludzi nie ma w ogóle pracy, a niektórzy nawet domów, więc śpią na skwerach i w parkach, przeganiani od czasu do czasu przez policję. Całe ich życie nastawione jest na przetrwanie, nawet dzieci zmuszane są do ciężkiej pracy - opowiadał mi Sohrab, pracownik pozarządowej fundacji, walczącej o prawa nieletnich. - Kiedy ci ludzie jadą na północ stolicy, widzą zupełnie inny, niezrozumiały dla nich świat. Ci biedacy czują, że w kraju opartym na religijnym porządku takie nierówności nie powinny istnieć. Nie do końca jednak wiadomo, kogo w związku z tym nienawidzą bardziej: klasy średniej z północy, przedstawianej jako forpoczta zepsutego Zachodu, czy własnego rządu? Jeszcze parę lat temu powiedziałbym, że władze mogą spać spokojnie, ale teraz nie jestem już tego taki pewien.

Rząd co prawda uspokaja i twierdzi, że tylko 18 procent Irańczyków żyje poniżej granicy ubóstwa, czyli za mniej niż dwa dolary dziennie, ale zdaniem ekspertów, a nawet niektórych irańskich parlamentarzystów, te dane są bardzo zaniżone.

Nie każdy ma podobne zdanie jak Sohrab. Azade, która również współpracuje z fundacją wspomagającą dzieci z południa stolicy, uważa że mimo wszystko dzielnica powoli się zmienia. Potrafi oczywiście sypać szokującymi informacjami, jak ta, że wielu spośród jej

małych podopiecznych żyje w takim zacofaniu, iż nie ma pojęcia, co to futbol albo wóz strażacki. Z drugiej jednak strony zauważa, że z krajobrazu znikają stopniowo dystrykty opanowane przez gangi, coraz mniej jest osiedli, w których uzależnieni od narkotyków ludzie leżą wprost na ulicach, a kokainę i heroinę sprzedaje się zupełnie otwarcie, nie bacząc, że za handel nimi grozi tu śmierć.

Południowy Teheran zaczął wychodzić z zapaści w latach dziewięćdziesiątych. To zasługa ówczesnego burmistrza miasta Qolama Hosejna Karbasczego, który założył w stolicy liczne parki i skwery, zbudował centra kulturalne z salami wystawowymi i koncertowymi, teatrami, kinami, restauracjami, bibliotekami, salami gimnastycznymi i klasami warsztatowymi, w których młodzież z ubogich osiedli mogła rozwijać talenty.

Na swoją zgubę Karbasczi nigdy nie bał się odważnych decyzji. Zlikwidował większość antyzachodnich graffiti na murach, zaczął ściągać skutecznie podatki z bazaru, wcześniej nietykalnego ze względu na ścisłe koneksje z religijną władzą. Otwarcie wspierał też reformatorskiego prezydenta Chatamiego. Stał się tak niewygodny, że wylądował na dwa lata w więzieniu. Fakt, istniały poszlaki, że z zamówień publicznych korzystały zaprzyjaźnione z nim firmy, był to jednak niewielki grzech w porównaniu z masową korupcją i nepotyzmem w instytucjach rządowych.

Proces Karbasczego o zdefraudowanie pięciu milionów dolarów był transmitowany w 1999 roku przez telewizję i do dziś wspominany jest przez teherańczyków z wypiekami na twarzach.

- Ojciec sadzał mnie przed telewizorem i zmuszał do oglądania, choć w tamtym czasie tylko zabawę miałem w głowie. Z czasem tak się wciągnąłem, że cała reszta zeszła na margines - wspominał tamte dni mój przyjaciel Dżawad. - To był pierwszy w historii Iranu reality show. Karbasczi toczył pasjonujący spór z sędzią, w ogóle nie okazując strachu. Jego odwaga udzieliła się świadkom. Jeden z nich opowiadał, że bito go kablem elektrycznym i zmuszano do picia wody z pojemnika, do którego wcześniej oddawał mocz. Choć Irańczycy już wcześniej wiedzieli, że tortury w więzieniach są normą, po raz pierwszy usłyszeli o tym w państwowej telewizji.

Samego Karbasczego nie odważono się torturować. Być może władze wiedziały, że nic tym nie wskórają. Burmistrz miał już doświadczenie w podobnych sprawach. Za czasów szacha, po studiach religijnych w Quom, spędził trzy lata w więzieniu. Teraz dawni antysystemowi sojusznicy wtrącili go do więzienia w imię obrony kolejnego systemu. Ot, typowy los irańskiego rewolucjonisty.

Jednym z najważniejszych dzieł Karbasczego jest wielkie Centrum Kulturalne

Bahman, zbudowane na skraju dystryktu Nazi Abad w południowym Teheranie. Nazwę okolicy nadali urzędnicy przedostatniego szacha na cześć nazistów, którzy w latach trzydziestych jawili się jako sojusznicy króla. Reza Pahlawi, choć zdobył władzę dzięki poparciu Anglików, szybko miał dość roli marionetki w rękach brytyjskiego imperium. Europejczycy będzie to ciężko zrozumieć, ale dla Azjaty synonimem zła pochodzącego z Europy nigdy nie byli Niemcy, ale angielscy kolonialisci. Trzecia Rzesza przedstawiała im się jako jedyne mocarstwo zdolne zachwiać potęgą brytyjskiego imperium. Nic więc dziwnego, że kokietowany przez Hitlera szach uczynił gest i nazwał jeden z peryferyjnych dystryktów na cześć partii nazistowskiej. Przed rewolucją, jakby na przekór nazwie, dzielnica stała się bastionem skrajnej lewicy, czym wyraźnie różniła się od sąsiednich, bardziej konserwatywnych części południowego Teheranu. Najpierw ogromne wpływy wśród robotników z okolicznych fabryk tekstyliów mieli komuniści z partii Tude, a potem zbrojne bojówki zafascynowanych Che Guevarą fedainów i próbujących łączyć Marksa z islamem mudżahedinów. Ich przegrana w walce z armią zwolenników Chomeiniego odbiła się na przyszłości dzielnicy. Mnożyły się represje i aresztowania, ulice patrolowali uzbrojeni basi dżowie. Nazi Abad gwałtownie zaczął umierać, a najgorzej było na jego zachodnim skraju. Stała tam wielka rzeźnia, która zamieniła okolicę w jedno z najgorszych miejsc w Teheranie: gorące, cuchnące, z walającymi się po chaotycznych wysypiskach resztkami zwierząt. Rządzili tu przestępcy, szerzyła się prostytutka.

Kiedy w 1989 roku burmistrzem Teheranu został Karbaschi, zagrał *va banque*. Zdecydował o zburzeniu rzeźni i postawieniu w jej miejscu centrum kultury. Okolica stopniowo zaczęła się odradzać, zmienił się diametralnie krajobraz, wzbogacony o estetyczne budynki otoczone parkiem. Miejsce stało się modne i zaczęło urastać do roli centrum towarzyskokulturalnego. Szczególne znaczenie miało to dla kobiet. Mogły wreszcie - oficjalnie zachęcane przez władze - ruszyć z domów wraz z dziećmi i przekonać się, jak wygląda życie z innej niż kuchenna perspektywy.

Trafiłem tu pod koniec maja 2009 roku, w rocznicę wyzwolenia Chorramszahr, miasta przy granicy z Irakiem, o które podczas wojny wywołanej przez Saddama Husajna toczyły się niezwykle krwawe boje. To tam po raz pierwszy w walkach wzięły udział dzieci, a męczennikiem został trzynastoletni Hosejn Fahmide. By oddać życie za ajatollaha Chomeiniego, chłopak uciekł z domu w rodzinnym Quom i przyjechał na front autostopem. Zginął w jednej z ostatnich bitew, broniąc wąskiej drogi wzdłuż kanału przed nadciągającą kolumną czołgów. Według oficjalnej wersji, kiedy już większość obrońców zginęła, Hosejn zabrał granat leżącemu obok martwemu gwardziście, po czym rzucił się pod pierwszy czołg.

Zginął na miejscu, jednak eksplozja na tyle uszkodziła pojazd, że zablokował on całą kolumnę. Dziś potężne graffiti z dziecięcą buzią męczennika, irackim stalowym potworem oraz portretem Chomeiniego, który spogląda na chłopca, zdobi ścianę dziesięciokondygnacyjnego budynku w samym centrum Teheranu.

W dniu, w którym trafiłem do Centrum Bahmana, odbywał się konkurs plastyczny dla studentów sztuk pięknych. Z okazji dwudziestej siódmej rocznicy wyzwolenia miasta malowali obrazy upamiętniające tę datę. Jedni skupili się na radości żołnierzy, inni na zabitych lub matkach oplakujących swoich synów. Jedne obrazy były tradycyjne, inne zdradzały fascynację ekspresjonizmem, jeszcze inne - abstrakcją. Mimo narzuconej z góry, martyrologicznej tematyki miały w sobie więcej świeżego oddechu niż niejedna wystawa w Muzeum Sztuki Współczesnej, zduszonym przez oficjalną ideologię.

## **antyczne maniery: pileś, nie wymiotuj**

Jeśli chcemy Teheran przekroić, rozdzielić, osłabić, przetniemy go zawsze w poprzek, tworząc północ i południe. Jeśli pragniemy odnaleźć harmonię, poprowadzimy linię z góry na dół. Otrzymamy część lewą i prawą, zachodnią i wschodnią (trochę słabszą). Kiedy uważnie przyjrzymy się naszemu dziełu, w samym środku dostrzeżemy charakterystyczną, długą zmarszczkę. To ulica Waliar. Biegnie spod dworca kolejowego, najważniejszego miejsca w południowym Teheranie, aż na plac Tadżrisz, główny punkt na północy miasta, niemal u podnóża gór. Waliar to najdłuższa ulica w stolicy, dwadzieścia kilometrów asfaltu, przypominającego aortę. Jeśli spojrzeć na mapę Teheranu jak na ciało człowieka, Waliar rozcina je niemal centralnie z lekkim odchyleniem na wschód, zupełnie jak główna tętnica w naszym organizmie.

Poznanie historii Waliar pomaga zrozumieć historię współczesnego Iranu. Jej budowę nakazał jeszcze przed wojną szach Reza Pahlawi, kiedy w stolicy mieszkało niecałe pół miliona osób. Już wtedy miała być ona najważniejszą arterią miasta, co przypieczętowano, nadając jej dość oczywistą w ówczesnych czasach nazwę: Pahlawi. Tuż po obaleniu syna Rezy w 1979 roku, jeszcze zanim Iran zamienił się w teokrację, na patrona ulicy wybrano Mosaddeqą, legendarnego premiera, obalonego w 1953 roku w wyniku zamachu stanu. Ostatnia metamorfoza przyszła niecały rok później. Mosaddeq miał zbyt wiele wspólnego z demokracją i nacjonalizmem, a zbyt mało z walczącym islamem. Decyzją Chomeiniego ulica po raz kolejny zmieniła patrona. Dzisiejsza nazwa - Waliar - oznacza dosłownie „władcę wieków” i odwołuje się do Mahdiego, dwunastego imama i jednocześnie zbawiciela, wyczekiwanego przez szyitów.

Waliar z każdym mijanym kilometrem zaznajamia z różnorodnym, pełnym sprzeczności charakterem stolicy. W południowej części teherańskiej „aorty” można spotkać meczety i szkoły koraniczne, które z czasem zamieniają się w budynki rządowe, by tuż za centrum miasta gwałtownie poddać się rozpasanej komercji. Krajobraz zostanie niemal całkowicie pożarty przez setki sklepów, barów, restauracji oraz banków. Jedynymi śladami po rewolucji są tu łuszczące się ze starości murale i dawny dom rodziny Chomeiniego.

Rewolucja w Iranie była chyba najdziwniejsza ze wszystkich, jakie przytrafiły się dotychczas światu. Zazwyczaj wybuchają one w krajach zrujnowanych wojną, dotkniętych bardzo ostrym kryzysem, gdzie armia jest w rozsypce, a któraś z poniżanych warstw społecznych nagle uświadamia sobie własną siłę i podejmuje wyzwanie obalenia

próchniejącego systemu. Tymczasem Iran lat siedemdziesiątych kroczył drogą modernizacji, czerpał gigantyczne zyski z handlu ropą, a cykliczne kryzysy nie były bardziej spektakularne niż w innych krajach regionu. Na dodatek porządku w państwie strzegła dobrze opłacana, prawie czterystutysięczna armia. Cóż takiego się stało, że Irańczycy w gwałtownym buncie obalili władcę, wyrócili do góry nogami panujący porządek, a na koniec rzucili wyzwanie całej zachodniej cywilizacji, ku której - zdawałoby się - konsekwentnie zmierzali? Jak to się stało, że na czele rewolucji stanął kler? Nie ma przecież chyba dwóch bardziej sprzecznych pojęć jak duchowieństwo i rewolucja.

Aby zrozumieć ten paradoks, musimy cofnąć się o całe wieki wstecz. Musimy poznać historię narodu, który swoje odwieczne przekonanie o wielkości i wyjątkowości mieszał z poczuciem poniżenia i kompleksami.

Iran stał się potęgą za sprawą szacha Cyrusa II, zwanego Wielkim, który około roku 550 przed Chrystusem pokonał dominujących na terenie ówczesnego Iranu Medów. Kilka lat później ruszył w stronę Grecji i na terenie dzisiejszej Turcji pokonał lidyjskiego króla Krezusa. Pokonanemu władcy okazał łaskawość, pozwalając mu pozostać na emeryturze przy dworze perskim, a nawet brać udział w kolejnych podbojach Cyrusa. Krezus otrzymał też zgodę na podróż ze skargą do świątyni w Delfach. Król lidyjski żalił się, że Pytia błędnie przepowiedziała mu wynik wojny z Persją. Miał być w niej wielkim zwycięzcą - stał się ekskluzywnym niewolnikiem. A przecież gdyby Pytia udzieliła mu prawdziwych informacji, nigdy nie wyruszyłby na wojnę! Jeśli ta opowieść jest prawdziwa, godzący się na Krezusową podróż Cyrus był władcą o ogromnym poczuciu humoru.

Następnym celem podboju perskiego szacha był pogrążony w kryzysie Babilon, najpiękniejsze miasto świata. Z jego zajęciem wiąże się pierwszy ważny etap w kontaktach Persów z Żydami. Jakże jednak różny od tego, z czym mamy do czynienia obecnie. Kiedy Cyrus rozgromił armię władcy Babilonu, Baltazara, w mieście od pięćdziesięciu lat żyła duża diaspora żydowska. Trafili do Babilonu na reedukację w ramach kary za bunt wzniecony w Judei przeciwko imperium. Zbawcą Żydów okazał się Cyrus, który pozwolił im na powrót do Jerozolimy i odbudowę najważniejszej świątyni w mieście. Oddał im też złote i srebrne klejnoty, zrabowane przez babilońskiego najeźdźcę Nabuchodonozora. W ramach wdzięczności za zakończenie niewoli babilońskiej Cyrus trafił na karty Biblii. To jedyny w Piśmie Świętym nieŻyd, który określany jest mianem bożego pomazańca.

Cyrus rządził swoim państwem z Pasargadów, nieistniejącego już dziś miasta w środkowym Iranie, leżącego niecałe pięćdziesiąt kilometrów od późniejszej stolicy - Persepolis. Zbudował tam zamknięty zespół pałacowy, rozłożony pośród ogrodów i oczek

wodnych. Dziś wiadomo, że niektóre elementy posiadłości, w tym zachowane do dziś mauzoleum Cyrusa, stanowiły najstarszy znany przykład budowli zdolnych przetrwać trzęsienie ziemi. Istotą pomysłu były dwie warstwy fundamentów. Niższa, kamienna i sporo szersza od osadzonej na niej budowli, miała nad sobą kolejną warstwę fundamentu, odizolowaną za pomocą sprężystej powłoki mineralnej. Warstwę wyższą składano z dużych, wypolerowanych kamieni, połączonych z sobą metalowymi klamrami. Podczas trzęsienia ziemi warstwa niższa pochłaniała większość energii wyzwalanej podczas ruchów tektonicznych, umożliwiając oparcie się kataklizmowi. Reszta energii wytracała się w łagodniejszych ruchach giętkiej izolacji i wyższego fundamentu. To niesamowite, ale inżynierowie Cyrusa zastosowali podobne reguły, które dwadzieścia pięć wieków później wykorzystują japońscy i amerykańscy specjaliści w narażonych na wstrząsy miastach, takich jak Tokio czy San Francisco. W przypadku Pasargadów niektóre budynki były w stanie przetrwać kataklizm sięgający siódmego stopnia w skali Richtera. Niestety, większości z nich nie udało się przetrwać działalności ludzi - konkretnie Aleksandra Macedońskiego, którego armia, przy okazji rujnowania Persepolis, dość mocno nadwyreżyła też poprzednią stolicę.

Cyrus uważany był za władcę szanującego podbite narody. Nie burzył ich stolic, gwarantował respektowanie dotychczas obowiązujących praw, pozwalał na elementarną autonomię. A jednak, jak wielu innych władców, zgubiła go zachłanność. W ramach udowodnienia światu swojej wyższości zawędrował aż nad brzeg Jeziora Aralskiego, by podbić lud Massagetów. Przeprowadził się przez góry, przemierzył pustynie i stepy, przepłynął Amudarię. Na terenie królestwa Massagetów jego armia była już w tak opłakanym stanie, że nie dała rady azjatyckiemu przeciętniakowi, choć wcześniej rozbijała w pył największe potęgi. Cyrus poległ na polu bitwy, a królowa Massagetów Tomyris napoiła jego trupa bukłakiem pełnym krwi.

Pytanie tylko, czy powyższa historia jest prawdziwa. Grecki historyk Ksenofont twierdził w *Cyropedii*, że władca Persji zmarł we własnym łóżku, w Pasargadach. Konkurencyjną i zarazem najbardziej znaną wersję o śmierci Cyrusa na stepach znamy z relacji Herodota, najsłynniejszego i najbarwniejszego z greckich dziejopisarzy, który mieszał fakty z legendami. Kiedy pisze o oblężeniu Babilonu, zapewnia, że losy wojny przesądził jeden Pers, niejaki Zopyrys. Nie mogąc znieść przedłużającego się oblężenia i drwin ze strony Babilończyków, postanowił obciąć sobie uszy i nos, po czym poszedł do szacha perskiego Dariusza i zaproponował, że w takim stanie uda się do oblężonego miasta. Miał podać się tam za okaleczonego przez perskiego władcę zbiega, łaknącego zemsty. Zdaniem Herodota, Babilończycy uwierzyli w tę historię. Mało tego, powierzyli Zopyrysowi oddział wojska,



potem kolejny, aż wreszcie uczynili go dowódcą całej armii. Ten w dniu szturm Persów otwiera po kolei dwie bramy i wpuszcza najeźdźców. Co na to wojsko Babilonu? Stoi i patrzy, jak ich dowódca chodzi od bramy do bramy dwustutysięcznej metropolii? Nikt nie reaguje?

Herodot zazwyczaj wypowiada się o Persach z wyższością. Opisuje ich jako ludzi wyjątkowo okrutnych, jednak - o dziwo - szanuje ich wierzenia. Persowie za rzecz niegodziwą mają uważać wznoszenie świątyń, ołtarzy i posągów z wizerunkami bogów, z tego względu, że istoty z innego świata nie mogą być podobne do ludzi. Tym zaś, co tak czynią (czyli na przykład Grekom), zarzucają głupotę. A kiedy się modlą, nie robią tego tylko dla siebie, bo to byłby przejaw egoizmu. Modlą się za powodzenie wszystkich współbraci.

Według Herodota Persowie uwielbiają wino. Najważniejsze obrady toczą zresztą po pijanemu, choć, jak przyznaje Grek, potem na trzeźwo korygują swe ustalenia. I, co ważne, jak już się upiją, nie akceptują, by „w obecności drugiego rzygać albo mocz oddawać”.

Ten szacunek dla reguł życia starożytnych mieszkańców Iranu kończy się przy opisie wojen greckoperskich, które stały się dla Herodota alegorią odwiecznych zapasów między wolnością a tyranią. Pisana świeżo po najeździe Kserksesa historia mogła być najbardziej wiarygodną częścią dziewięciotomowych *Dziejów*, a stała się podstawą do ciągnących się po dziś dzień uprzedzeń. To za Herodota po raz pierwszy postawiono opozycję między kulturalną Europą i demoniczną, prymitywną Azją, tak jakby pojęcie Azji było jednolite, a Babilonia, Persja, Indie, Chiny czy Japonia stanowiły jedność cywilizacyjną. Mit ten tym bardziej jest niezrozumiały, gdy spojrzymy na mapę ówczesnego świata. Gdzie była bowiem ta kulturalna Europa? Gdzie były Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Hiszpania, Włochy, nie mówiąc o Polsce i Rosji? Zdecydowaną większość kontynentu stanowiły leśne ostępy z tajemniczymi ludami, ubranymi w zwierzęce skóry. Jedyne, co naprawdę w tej Europie było wartościowe (według miar Herodota), skupiało się w nielicznych miastachkoloniach na wybrzeżu Morza Śródziemnego i w malutkiej Grecji, czyli na południowoschodnim skraju kontynentu. Centrum ówczesnego świata znajdowało się w Azji, a nasz Stary Kontynent uchodził za bardzo młody i w większości prymitywny.

Zostawmy jednak Herodota. Po śmierci wielkiego władcy i krótkim okresie kryzysu na tronie zasiadł Dariusz. Uśmierzył bunty w Persji i w bogatej Jonii, odepchnął w głąb stepów Scytów. Jego imperium rozciągało się w pewnym momencie od terenów dzisiejszego Pakistanu aż po Egipt włącznie. Mając do zagospodarowania władzę na tak wielkim obszarze, Dariusz musiał przeprowadzić gigantyczne reformy. Podzielił kraj na dwadzieścia prowincji, stworzył system prawny i podatkowy (podatki płacono w formie zboża lub kamieni

szlachetnych), a także armię zawodową. Nowy szach był niezwykle bystrym obserwatorem. Mimo przytłaczającej świat potęgi dostrzegł, że leżąca na peryferiach Grecja ma nie tylko dynamiczniejszą gospodarkę, ale także o wiele nowocześniejszą flotę i dużo lepiej wyszkoloną, choć niewielką, armię lądową. Mając ambicję panowania nad całym światem, Dariusz musiał zniwelować te różnice. Zunifikował system miar i wag, powołał armię urzędników dowodzących budowami na zlecenie dworu, zaczął bić monety (złote darejki), które z czasem stały się czymś na wzór dolara dla dużej części wschodniego świata. Dariusz nakazał też rozpocząć budowę kanału łączącego Morze Czerwone z Nilem oraz wytyczyć nowe szlaki komunikacyjne. Główny trakt z Persji nad Morze Egejskie był regularnie patrolowany przez wojsko, stały przy nim liczne gospody i stacje pocztowe z gotowymi do wyruszenia konnymi posłańcami, odpowiadającymi za konkretne odcinki. W efekcie ogromny dystans niemal trzech tysięcy kilometrów, który zwykłemu podróżnikowi zająłby prawie trzy miesiące, sztafeta kurierów była w stanie przebyć w dziesięć dni.

Nie ma sensu, by na przekór greckiej propagandzie tworzyć wyidealizowany obraz Dariusza. Według wielu źródeł, zdarzały mu się akty okrucieństwa, a słudzy na jego dworze mieli przykazane oddychać płytko, by nie zabierać powietrza władcy. Mimo wszystko był jednak wyjątkowym jak na tamte czasy wizjonerem, czego nie można powiedzieć o jego następcy, Kserksesie. Kiedy w roku 480 p.n.e. ruszał z wyprawą na Grecję, myślał wyłącznie o styanizowaniu całego świata. Nie na darmo kazał się nazywać królem królów oraz panem ziemi, powietrza i wody. Miał poważne problemy z ego i pewnie dlatego nakazał biczować morze, gdy burza zniszczyła przeprawę mostową przez Bosfor, liczącą prawie półtora kilometra i stanowiącą dumę perskiej inżynierii.

Najkrótsza droga do Aten wiodła przez nadmorski przesmyk Termopile, który w najważszym miejscu pozwalał przemieszczać się swobodnie tylko jednemu rydwanowi. Istniała oczywiście jeszcze droga okrężna, ale Persowie woleli nie tracić kontaktu z poruszającą się ich śladem flotą sześciuset statków, wiozących zaopatrzenie. Wiedząc o ich ruchach, w stronę morza wyruszył sześciotysięczny oddział Greków, na którego czele szło trzystu spartańskich hoplitów pod wodzą Leonidasa.

Nie wiadomo, ilu dokładnie Persów stanęło pod Termopilami. Między bajki można włożyć opowieść Herodota o dwuipółmilionowej armii. Żaden władca starożytnego świata nie mógł śnić o tak wielkiej potędze, a gdyby nawet udało mu się ją sformować, to zapewne żołnierze umarliby z głodu podczas marszu. Tak wielkiej ciżby ludzi nie wyżywiłaby w tamtych czasach żadna ziemia.

Według współczesnych historyków pod Termopile dotarło co najmniej sto tysięcy

Persów, w tym oddział dziesięciu tysięcy doborowej gwardii Kserksesa, tak zwanych Nieśmiertelnych. Według starożytnych Greków, swoją nazwę wzięli od jednorodnego ubioru i zwartego szyku. Kiedy któryś z nich ginął, natychmiast był zastępowany przez towarzysza, co w dalszych szeregach wroga sprawiało wrażenie, jakby w pierwszej linii Persów walczyli wciąż ci sami, nieśmiertelni rycerze.

Mimo desperackich ataków Persom dopiero po trzech dniach udało się przebić przez wąwóz. Brak długich włóczni, metalowych hełmów na głowach i osłon na nogach, a także niezbyt wytrzymałe tarcze stanowiły problem w starciu z greckimi piechurami. Poza tym w wąskim przesmyku mogło walczyć jednocześnie nie więcej niż stu żołnierzy, co dramatycznie niwelowało przewagę Persów. Rosnące przed linią greckiej obrony sterty trupów jeszcze bardziej gmatwały sprawę. Persowie musieli wspinać się na wzgórze zwłok, wpadali między ciała, brodzili we krwi swoich martwych towarzyszy, co zapewne nie wpływało dobrze na ich morale.

Męstwo walczących do upadłego żołnierzy Leonidasa dało czas Ateńczykom, którzy opuścili miasto i skryli się na wyspie Salaminie. Strzegła jej ogromna grecka flota, złożona z ponad trzystu pięćdziesięciu okrętów. Kiedy perska armada wpłynęła do cieśniny, przywitały ją charakterystyczne dla tego miejsca wiatry, niespodziewanie silne prądy morskie i podwodne skały rozpruwające kadłuby. Na dodatek z boków przypuściły szturm małe, szybkie, zwrotne statki Greków, wspomagane gradem bomb z płonąca smołą. Ściśnięte w wąskim przesmyku setki perskich statków wpadały na siebie, łamały wiosła. Patrzący na to wszystko z pobliskiego wzgórza Kserkses, król królów, musiał mieć wyjątkowo niewyraźną minę. Okazało się, że w starciu perskiej ilości z grecką jakością zwycięstwo tej drugiej nie podlega dyskusji. Dumny władca stracił w jeden dzień dwieście okrętów i ochotę do walki. Zbliżała się zima, trzeba było wracać do Azji.

## irańska sinusoida

W czwartym wieku przed Chrystusem na obrzeżach Grecji pojawił się utalentowany i ambitny wódz, Aleksander Macedoński, który podbił greckie miasta i zorganizował nowoczesną armię. Persja wciąż jednak dzierżyła w tamtych czasach palmę pierwszeństwa jako największa potęga ówczesnego świata i niewiele wskazywało, że sytuacja szybko się zmieni. Skarbiec w Persepolis był pełny, armia wielka, a kolejni szachowie co rusz wpływali na losy Grecji, opowiadając się to po stronie Aten, to po stronie ich konkurentów ze Sparty. Jednak na dworze panowały marazm, zepsucie obyczajów, egoizm i intrygi. Elitom zajęтым zabawą i gromadzeniem majątku nie chciało się nawet zadbać o armię, więc w wojsku zaczęli uzyskiwać wpływy greccy najemnicy.

Kiedy Aleksander wyruszył na podbój Wschodu, miasta w Jonii zaczęły masowo przechodzić na stronę bliższych kulturowo Greków, a wielkie perskie armie rozbijano w pył. Po raz kolejny ilość przegrywała z jakością. Małe oddziały Aleksandra, komunikujące się podczas bitew dzięki szybkim kurierom na koniach, atakowały co rusz inne miejsca, klinem wdzierały się między powolne, zbyt duże i mające kłopoty z koordynacją ruchów wojska perskie. W każdej z potyczek przypominały one ociężałego potwora, którego liczne kończyny plątały się, blokowały nawzajem, nie pozwalając skorzystać z całej swojej mocy.

Potężna Persja zwała się jak domek z kart. Jak się później okaże, stanie się to jej specjalnością. Co kilkaset lat będzie się odradzać i upadać, wciąż na nowo.

Historia Iranu jest jak sinusoida. Imperium raz jest we władaniu połowy antycznego świata, stoi u bram Aten, po czym zostaje zupełnie rozbite przez niewielką armię macedońską. Potem znowu się odbudowuje, pręży muskuły, nadmuchuje, kładzie pokotem niezwyciężone rzymskie legiony, poniża samego cesarza Waleriana, który jako jedyny z władców Rzymu umiera w niewoli, służąc szachowi Szapurovi jako podpórka podczas wsiadania na konia. Mija jednak trzysta lat i sięgające od Egiptu po Indie i Chiny królestwo perskie pada od jednej ofensywy Bizancjum. Nie traci co prawda niepodległości, ale staje się kolosem na glinianych nogach, z przerażoną, egoistyczną arystokracją, która zamiast myśleć o państwie, zaczyna na wszelki wypadek ukrywać swe kosztowności.

Właśnie wtedy u południowych granic Persji pojawiają się zjednoczone przez Mahometa plemiona arabskie. Okazuje się, że ci niedawni koczownicy mają kilkudziesięciotysięczną armię, są złączeni marzeniem o łupach oraz nową religią, zaszczepioną im przez nieznanego bliżej proroka. Na dodatek posiadają odważnych

dowódców i doskonałych strategów, których brakuje w pogrążonej w bezwładzie Persji. Wystarczy jedenaście lat i Persja utraci nie tylko niepodległość, ale też zoroastryjską wiarę, choć trzeba przyznać, że dopiero po trzystu latach od podboju Irańczycy staną się w większości muzułmanami. Wielowiekowe dziedzictwo kulturowe zapewniało im przez lata nie tylko siłę zdolną do zachowania własnego języka, literatury i obyczajów, ale również pomogło stworzyć najpierw autonomiczne, a po przyjęciu szyizmu rzeczywiście niezależne państwo, które przez wieki, cyklicznie, rosło w siłę i słabło, czasem w niezwykle zaskakującym tempie.

Na początku XVIII wieku, zaledwie dziewięćdziesiąt lat po śmierci potężnego szacha Abbasa, najsilniejszego władcy Azji, pięknie wystylizowana armia perska została rozbita przez przyodziane w skóry i koce wojska afgańskie, które na osiem lat zajęły Isfahan. Honor kraju uratował wtedy Nader, syn chłopca i byłego rozbójnika. Najpierw zasłynął jako dowódca pięcioletniego oddziału, gnębiącego najeźdźców, potem stał się wpływowym generałem, aż w końcu zabił szacha Tahmaspa II i sam objął władzę. W dalszych latach jego żyłka awanturnicza wcale nie osłabła. Zaatakował Uzbeków, splądrował indyjskie Delhi, podbił Oman i Bahrajn. Wszystkie te wyczyny bardziej jednak przypominały rozbójnicze wyprawy z czasów młodości niż przemyślaną politykę władcy dużego kraju. W końcu szach zginął z ręki oficera własnej armii, działającego na zlecenie siostrzeńca Nadera. Rozpoczął się długi okres chaosu. Kolejni liderzy plemienni (czasem perscy, czasem azerscy, czasem kurdyjscy, luryjscy lub turkmeńscy) obalali się nawzajem, zmieniali stolice jak rękawiczki, tworzyli rachityczne dynastie, które padały jak muchy, ustępując miejsca następnym uzurpatorom. Nie było szans, by w tym mętliku stworzyć prawdziwy organizm, z państwowotwórczą arystokracją, szlachtą i mieszczanami. Tytuły i wysokie funkcje łatwiej było kupić niż odziedziczyć, a przymierający głodem chłopcy i koczowniczy pasterze, zastraszeni kupcy i rzemieślnicy patrzyli na władzę jak na coś nieprzewidywalnego i szalonego. W takiej atmosferze nie było mowy, by w kraju stworzył się prawdziwy naród, prawdziwe społeczeństwo, gotowe walczyć o wolność z najeźdźcami. Dla wielu poddanych szacha Persja była miejscem do mieszkania, ale na pewno nie domem.

To wtedy na dobre utrwalił się w Iranie fatalistyczny obraz dziejów, pełnych zdrady, prywaty i przemocy. Zaskakująco dobrze korespondował on z losami coraz bardziej idealizowanych męczenników, imamów Alego i Hosejna.

W centrum tej wizji świata istnieje jakiś mityczny, idealny, mesjanistyczny Iran, a naokoło niego czają się ciemne siły, które wciąż dążą do jego zdrady. Czasem zdrajcy ci czają się w naszym domu, czasem nadchodzą z zewnątrz, obiecują pomoc i ukrywają prawdziwe

intencje. Wielu Irańczyków potrafi podać dziesiątki przykładów z historii, potwierdzających spiskową teorię dziejów. Ta swoista paranoja zaważyła na losach rewolucji i współczesnego Iranu.

## **Teheran płonie po raz pierwszy...**

Pod koniec XVIII wieku Bliskim Wschodem zainteresowały się na trwałe Rosja, Anglia i Francja. Persja, choć w skali lokalnej uchodziła za silnego gracza, nie miała szans w konfrontacji z europejskimi potęgami, które przechodziły właśnie rewolucję przemysłową. Kiedy władający wówczas krajem turkmeńscy Kadżarowie wdali się w wojnę z Rosją, szybko ulegli pięć razy mniej licznym wojskom, przysłanym przez cara Mikołaja. Generał Iwan Paskiewicz miał przy sobie artylerię i elitarną piechotę z bronią palną. Z łatwością poradził sobie ze staroświecką perską jazdą.

Sukcesy Petersburga obudziły natychmiast Londyn, który w tym czasie kończył kolonizację Indii. Anglikom nie uśmiechało się, że Rosjanie namawiają Kadżarów na rekompensowanie strat podbojami w Afganistanie, i kiedy tylko wojska perskie ruszyły na Herat, spotkały się z natychmiastowym kontruderzeniem. Brytyjczycy wysadzili desant na plażach Zatoki Perskiej i dali takiego łupnia szachowi, że zmuszony był błagać o pokój.

Wzorem Indii Persja stawała się typowym kolonialnym zaściankiem. Rolą każdej kolonii było w tamtym czasie dostarczanie do centrali surowców za bezcen i otrzymywanie w zamian tanich wytworów nowoczesnego, europejskiego przemysłu, które rujnowały miejscowe rzemiosło i handel. Kolonizatorzy oczywiście nie mogli zrobić wszystkiego sami. Potrzebowali pokornych, perskich namiestników, którzy zorganizowaliby im rządy na miejscu, wierząc jednocześnie, że oto tworzą podwaliny państwa, które za jakiś czas będzie tak samo bogate jak Anglia. Szachowie brali więc pożyczki (i łapówki), które głównie przejadali, uzależniając się coraz bardziej od europejskich władców i coraz liczniejszej kasty brytyjskich oraz rosyjskich doradców. Stawali się marionetkami, budząc nienawiść wśród klepiących biedę rodaków: kupców, rzemieślników, chłopów i mułłów. Ci ostatni stopniowo stawali się siłą, wokół której gromadził się naród.

Pomagała im w tym ważna cecha szyizmu - istnienie hierarchii duchowej. W przeciwieństwie do rozczłonkowanego i podporządkowanego władzy świeckiej sunnizmu, kler szyicki stworzył niezależną od państwa strukturę, w dużej mierze zresztą dzięki samym szachom. Duchowni i szyicki teolodzy (ulemowie) byli umieszczani w szkołach, sądownictwie i administracji rządowej, pobierali dla szacha podatki, otrzymywali pieniądze na budowę meczetów, prowadzenie religijnej propagandy i pomoc społeczną. Stworzyli też dość scentralizowaną strukturę. Co prawda nie istnieje w niej żaden szyicki Watykan z islamskim „papieżem”, jednak najważniejsi ajatollahowie z Quom, Maszhadu i Nadżafu od

wieków stanowią dla wiernych drogowskaz. I to właśnie duchowni w czasach największej dominacji Rosjan i Anglików organizowali opór przeciwko obniżaniu ceł na produkty z zagranicy i przyznawaniu Europejczykom wyłączności na obrót niektórymi produktami. Szachowie początkowo nie przejmowali się protestami. W ręce obcokrajowców szły koncesje na wydobywanie surowców mineralnych, tworzenie banków, emitowanie pieniędzy, połów ryb i kawioru na Morzu Kaspijskim. W końcu Anglia i Rosja poczuły się tak pewnie, że postanowiły podzielić Persję na dwie strefy wpływów i środkowy pas neutralny. Londyn miał kontrolować południowy wschód, a Petersburg północ kraju.

Miarka się przebrała, gdy jeden z angielskich biznesmenów otrzymał monopol na uprawę tytoniu i handel nim. Oznaczało to, że hodujący go dotychczas rolnicy oraz sprzedawcy muszą zwinąć interes. Doszło do starć w Szirazie, Tabrizie, Maszhadzie i Teheranie, po których rząd ugiął się i cofnął koncesję. Nie uspokoiło to kleru, kupców bazarowych oraz coraz liczniej szcych demokratów i socjalistów. Bunty mnożyły się, aż w końcu Teheran, młoda stolica państwa, zapłonął po raz pierwszy w swojej historii prawdziwym gniewem. Demonstracje były tak liczne i tak częste, że latem 1906 roku Mozzafar adDin, jeden z najłagodniejszych szachów w historii Iranu, obiecał narodowi konstytucję, pierwszą na Bliskim Wschodzie i drugą - po Filipinach - w całej Azji. Powstał parlament, zaczęto tworzyć gazety i niezależne stowarzyszenia.

Wydawało się, że kraj powoli zaczyna wychodzić z feudalizmu i podporządkowania europejskim mocarstwom. Kadżarom sprzyjał wybuch I wojny światowej, sympatia ze strony Niemiec oraz upadek carskiej Rosji. Nie sprzyjali Anglicy, którzy zdecydowali o zmianie rodziny panującej. Szef wojsk angielskich w Teheranie, generał Edmond Ironside, zaczął podjudzać do buntu Rezę Chana, jednego z najbardziej wpływowych dowódców w perskiej armii.

Fotografie Rezy przedstawiają mężczyznę silnego jak tur. Wysoki, barczysty, surowe, zimne spojrzenie, ściągnięte brwi, sumiaste wąsy. Wygląda na takiego, co jak sobie coś postanowi, to będzie dążył do celu po trupach. A Rezie zamarzyło się stworzenie nowoczesnego, scentralizowanego państwa, na wzór Turcji, reformowanej wówczas twardą ręką przez generała Kemala Atatürka. Aby spełnić to pragnienie, Reza obalił ostatniego z Kadżarów i zaczął budowę nowego państwa, czego symbolem stało się żądanie, by narzuconą przed wiekami nazwę Persja zamienić na tę, której używali miejscowi, czyli Iran. W kraju powstały linie kolejowe, zakłady przemysłowe, uniwersytety, teatry. Kobiety poszły po raz pierwszy w historii do szkół, a koczownicy, stanowiący wówczas 25 procent ludności (dziś już tylko 2 procent), w brutalny sposób zostali zmuszeni do przejścia na osiadły tryb życia.



Reza uważał, że źródłem zacofania Iranu jest religia. Postanowił więc na siłę zsekularyzować naród. Duchownym odbierano majątki, zakazano świętowania Aszury i odbywania pielgrzymek do Mekki. Po miastach i wsiach zaczęły krążyć policyjne komanda, zrywające kobietom czadory, a mężczyznom turbany. Dla większości Irańczyków, prostych i religijnych, takie tempo wprowadzania cywilizacji było bolesną obrazą tradycji. Nikt im niczego nie chciał tłumaczyć, każdy protest łamano przemocą, wtrącaniem do więzień i torturami.

Liberalnym i socjalistycznym zwolennikom nowoczesności wcale nie było łatwiej. Postrzegali reformy szacha jako powierzchowne. Ich marzenia o prawdziwej demokracji kończyły się w tych samych salach tortur, w których zamęczano zwolenników tradycyjnych wartości.

Reza nie zwracał uwagi na protesty, miał swoją wizję i był niezwykle ambitnym władcą. Choć sięgnął po tron za zgodą Anglików, marzył o uniezależnieniu się od najsilniejszego z ówczesnych imperiów. Zaczął coraz częściej spoglądać w stronę Berlina. Podobali mu się zarówno niemieccy inżynierowie, wspomagający irański przemysł i górnictwo, jak i twarde rządy nazistów. Wszystko zawaliło się w 1941 roku, kiedy Niemcy napadli na Rosję Sowiecką. Anglicy natychmiast zorientowali się, że liczni w Iranie hitlerowscy agenci starają się stworzyć tu bazę do ataków na radziecki Kaukaz. Dwa miesiące później cały kraj został nagle zajęty przez wojska brytyjskie i Armię Czerwoną, które nie miały najmniejszego zamiaru oddawać Niemcom kraju zasobnego w ropę. Rezę zmuszono do abdykacji, a nowym szachem został jego syn Mohammad.

Iran stracił niepodległość, choć w przeciwieństwie do szacha naród łatwo nie zaakceptował tego upokorzenia. Wstyd i gniew z powodu uległości młodego władcy stały się po wojnie zarzewiem ruchu oporu, który domagał się od Anglików równego traktowania, a zwłaszcza sprawiedliwego podziału zysków z wydobycia ropy. Kiedy cieszący się ogromną popularnością premier Mohammad Mosaddeq wbrew szachowi przekonał parlament do ogłoszenia nacjonalizacji przemysłu naftowego, sytuacja wymknęła się spod angielskiej kontroli. I wtedy Teheran zapłonął po raz drugi w swojej niezbyt długiej historii. W stolicy odbywały się nieustanne demonstracje przeciwko Pahlawiemu i Brytyjczykom. Wydawało się, że kraj ma po raz pierwszy od wieków szansę na rzeczywistą niepodległość. Nadzieje te rozwiął zamach stanu, zorganizowany przy udziale amerykańskich i brytyjskich służb specjalnych. Mosaddeq został aresztowany i zmarł w niewoli po czternastu latach. Do władzy powrócił szach.

Mohammad Reza Pahlawi próbował odzyskać zaufanie Irańczyków, ogłaszając tak

zwaną białą rewolucją. Znacjonalizował lasy i zbiorniki wodne, których było zawsze mało w pustynnym kraju, kupił od feudałów część ziemi rolnej i odsprzedał ją potem tanio chłopom, którzy otrzymali na ten cel nisko oprocentowane pożyczki. Dawni latyfandyści na pociechę otrzymali możliwość nabycia udziałów w fabrykach, a robotnicy gwarancję podwyżek. Rozpoczęto walkę z analfabetyzmem, kobietom przyznano prawo udziału w wyborach, pojawiły się też w administracji rządowej, parlamencie i sądownictwie. Pierwszą sędzią w historii Iranu została Szirin Ebadi.

Reformy jednak lepiej wyglądały na papierze niż w rzeczywistości. Zmiany własnościowe ani nie zadowolili wydziedziczonych feudałów, ani niepiśmiennych chłopów, którzy otrzymywali małe kawałki i musieli się zmagać z czymś kompletnie niezrozumiałym - kredytem. W rezultacie wielu sprzedało ziemię i uciekło szukać szczęścia do miast. Tam gnieździł się w ruderach, hodowali swój gniew i gdy nadszedł odpowiedni czas, stali się jedną z głównych sił islamskiej rewolucji.

Szach w tym czasie marzył, by Iran został piątą militarną potęgą na ziemi. Jego kraj był trzy razy większy niż Francja, sześć razy większy od Wielkiej Brytanii. Nie ograniczał go żaden parlament, żaden rząd czy budżet. Na dodatek miał ropę i miliardy petrodolarów z jej sprzedaży. Wierzył więc w plany do gonienia Zachodu w ciągu jednej dekady. Sprowadzał najnowsze brytyjskie czołgi i amerykańskie samoloty oraz helikoptery. Kupował uzbrojenie, zanim zeszło ze stołów kreślarskich, kupował komputery. Przywożono je setkami, by zarządzały nieszczególnie zautomatyzowanymi fabrykami, ledwie zipięcymi z powodu niedoborów prądu (szach zapomniał, że zakładom potrzeba prądu, toteż nie budował elektrowni). Do obsługi nowoczesnego sprzętu oczywiście brakowało lokalnych specjalistów, więc kraj zalały dziesiątki tysięcy świetnie opłacanych, zagranicznych doradców i wojskowych z rodzinami, a dumni z natury Irańczycy po raz kolejny w historii poczuli się obywatelami drugiej kategorii.

Nie wszystkie działania szacha pozbawione były sensu. Kraj mimo wszystko zmieniał swój charakter, być może najszybciej w Azji. Z prymitywnego, zacofanego, rolniczohodowlanozemieślniczego państwa stawał się krajem przemysłowym, oczywiście na miarę zapóźnionego wobec świata regionu. Przybywało ludzi wykształconych, świadomych swoich praw. Tyle że szach nie zauważył, że ta nowa kasta ma ambicje podobne do marzeń wszystkich wyedukowanych ludzi na ziemi i nie akceptuje ani pogardy Pahlawiego dla demokracji i swobód obywatelskich, ani niekompetencji i korupcji wśród jego urzędników. Szachowi zaczęła rodzić się światła opozycja: liberalna, nacjonalistyczna, socjalistyczna. Z drugiej strony gwałtowna westernizacja kraju i odziedziczona po ojcu pogarda dla „ciemnoty”

przysporzyły Pahlawiemu tysiące zajadłych wrogów wśród kleru i związanej z nim biedoty oraz konserwatywnych, niezwykle wpływowych kupców bazarowych, którzy cierpieli z powodu promowania obcych firm.

W 1971 roku szach naprawdę przesadził. W antycznych stolicach Persji: Pasargadach i Persepolis, zorganizował obchody 2500-lecia irańskiej monarchii. Przy okazji narzucił krajowi nowy kalendarz, gdzie jako rok zerowy określono domniemaną datę objęcia władzy przez szacha Cyrusa Wielkiego. Dla ajatollahów był to jasny przekaz - Pahlawi nienawidzi islamu i chce powrotu monarchii w stylu zoroastryjskim. Do tego doszedł widok dwustu pięćdziesięciu czerwonych mercedesów, wożących gości z całego świata. Damy obwieszane złotem i brylantami, elegancy panowie we frakach, przepiórcze jaja, kawior, figi, trufle, pieczone pawie, sorbety lodowe, najdroższe szampany i koniaki. Zarówno irańskie elity intelektualne, jak i plebs czuli, że w Iranie trwa nieustająca uczta. Tyle że zaproszono na nią wszystkich oprócz samych Irańczyków. Oni mogli sobie co najwyżej zobaczyć skrót imprezy w telewizji.

Na każdy głos sprzeciwu szach miał jedną odpowiedź - sześćdziesiąt tysięcy agentów tajnej policji Sawak, w której utworzeniu pomagali mu doradcy z amerykańskiej CIA oraz izraelskiego Mossadu, traktującego Iran jako sojusznika w zdominowanym przez Arabów regionie.

Więzienia powoli zapępniały się przeciwnikami monarchii. Aresztowanych przypalano żelazkami i rażono prądem, wybijano im zęby i wrywano paznokcie, bito pejcem po piętach i wlewano wrzątek do odbytu. Jednak wbrew powszechnej po rewolucji opinii, że Sawak uśmiercił dziesiątki tysięcy opozycjonistów, udokumentowanych ofiar reżimu jest niecałe cztery tysiące, w tym większość z nich zginęła w wyniku zamieszek. Szacha bardziej od morderstw interesowało łamanie psychiki więźniów i późniejsze nagrywanie ich „dobrowolnych” spowiedzi na taśmy, które emitowano w radiu i telewizji.

Kiedy na Zachód dotarły doniesienia o nasilającej się w Iranie przemocy, amerykański prezydent Jimmy Carter zaczął wysyłać sygnały, że jego poparcie nie jest dane raz na zawsze, i nalegał na choć częściowe respektowanie praw człowieka. Pahlawi z rzadka jednak i niechętnie słuchał rad i próśb sojusznika. Żył w sztucznym świecie. Doradcy utrzymywali go w przekonaniu, że naród kocha swojego monarchę, a opozycja jest bandą skłóconych krzykaczy, bez żadnego realnego poparcia. Nikt nie potrafił uświadomić szachowi, że Irańczycy mają dość rodu Pahlawich, a na jego miejsce znaleźli już prawdziwego duchowego przewodnika. Był nim charyzmatyczny ajatollah i poeta, Ruhollah Chomeini. Wgnany z Iranu w 1964 roku za swe niepokorne przemówienia, prowadził walkę z medresy w irackim

Nadžafie. Nie musiał już obawiać się więzienia, więc mówił bez ogródek to, co w głębi duszy myślał naród. Nie prosił o reformy, tylko walił między oczy, prosto z mostu: „Ludzie, obudźcie się, szach musi odejść!”. Jego kazania nagrywano na kasety i przemycano do Iranu, gdzie stawały się prawdziwymi przebojami. Dzięki kopiującym taśmy mułom i kupcom bazarowym Cho meini docierał do milionów zwykłych ludzi, podczas gdy demokraci i socjaliści grzęzli w walkach frakcyjnych i mówili językiem raczej niezrozumiałym dla niewykształconego społeczeństwa.

Pod koniec lat siedemdziesiątych nie było jednak mowy o konflikcie Chomeiniego ze świeckimi środowiskami opozycyjnymi. Wręcz przeciwnie, demokraci postrzegali ajatollaha jako sojusznika, który zaniesie głos wolności „pod strzechy”, po czym spocznie na laurach i uda się na zasłużoną emeryturę do Quom. Kiedy więc tuż przed rewolucją Chomeini przyjechał do Paryża, gdzie mieściło się centrum irańskiej emigracji, witano go z wielką radością. Pod jego domem co chwila parkowały auta z politykami i ekipami telewizyjnymi. Ajatollah stał się ulubieńcem europejskich mediów, prawdziwym celebrytą.

## Teheran płonie po raz trzeci

Zryw rewolucyjny zaczął się od artykułu w prasie. W styczniu

1978 roku gazeta „Ettela't” opublikowała podpisany pseudonimem artykuł *Iran a czerwona i czarna kolonizacja*, który ponoć został napisany przez ministra informacji. Z tekstu wynikało, że Chomeini atakuje szacha, bo tak naprawdę jest cudzoziemcem hinduskiego pochodzenia i za pośrednictwem Arabów otrzymuje na swoją kampanię pieniądze z Wielkiej Brytanii. Zarzuty były tak niemądre, że prawie nikt nie dał im wiary, a wściekli na prowokację studenci szkół koranicznych w Quom wyszli na ulice. W dwudniowych rozruchach zginęło siedemdziesiąt osób, kolejnych sto straciło życie w Tabrizie. Zamieszki wybuchały co chwila gdzie indziej. Tłum atakował pomniki szacha, niszczył kojarzone z Zachodem banki i kina. Kiedy jednak w Abadanie czterysta osób spłonęło podczas pożaru w kinie Rex (po podłożeniu ognia ktoś zamknął drzwi wyjściowe), po kraju rozeszła się wieść, że była to tak naprawdę prowokacja Sawaku. Nikt do dziś nie udowodnił tej tezy, ale w 1978 roku nie liczyły się już fakty, tylko to, co o szachu myśleli ludzie.

- To wszystko stało się tak nagle, że zaskoczyło każdego z nas - opowiadał mi irański reżyser Mohsen Machmalbaf, uchodźca polityczny. Przed rewolucją jako nastolatek należał do radykalnej islamskiej bojówki. Trafił za kratki w 1974 roku, po tym jak zaatakował nożem policjanta na ulicy. - Pamiętam, że osiem miesięcy przed powrotem Chomeiniego do Iranu siedziałem w celi z Mohammadem Alim Radżajim, przyszłym prezydentem islamskiej republiki. Obaj byliśmy przekonani, że trwające za murami zamieszki zostaną po raz kolejny stłumione, a na obalenie szacha poczekamy jakieś dwadzieścia lat.

A jednak Machmalbaf się mylił. Szach, choć wysyłał na demonstrantów wojsko i policję, wstrzymywał się z użyciem całej siły. Był już wtedy ciężko chory na raka, liczył się ze śmiercią i nie chciał, by jego małoletni syn przejmował władzę po rzezi na ulicach. Próbował dogadywać się z opozycją, obiecywał wolne wybory, nowe reformy gospodarcze, zwolnił szefa Sawaku. Powołał też nowy rząd, na którego czele stanął wykształcony w Paryżu opozycjonista Szapur Bachtiar. Premier rozwiązał tajną policję, zniósł cenzurę, wypuścił więźniów politycznych, cofnął zgodę na sprzedaż ropy Izraelowi, a przede wszystkim - zezwolił Chomeiniemu na powrót.

Po drugiej stronie barykady potraktowano te posunięcia jako dowód bezradności szacha, a nie ofertę zawarcia pokoju. Opozycja widziała przed sobą już nie tyrana, ale

schorowanego, przerażonego starca. Generałowie armii widzieli to samo i stracili nagle ochotę do radykalnych działań, za którymi wcześniej optowali. Zresztą w tym czasie wielu żołnierzy i policjantów nie chciało już słuchać ich rozkazów, bratało się z demonstrantami, dezercerowało. Na ulicach stolicy zbierały się coraz większe tłumy. Drugiego grudnia 1978 roku padł rekord - dwa miliony. Stało się jasne, że Teheran zapłonął po raz trzeci w swojej historii i tego pożaru nie da się ugasić.

Szesnastego stycznia 1979 roku sytuacja była już tak dramatyczna, że szach postanowił czasowo opuścić Iran. Przez następne miesiące pielgrzymował od Egiptu, przez Maroko, Bahamy, Meksyk, USA, aż do Panamy, by w końcu zatoczyć pętlę i wrócić do Kairu, do wypróbowanego przyjaciela - Anwara asSadata. Zmarł w Egipcie półtora roku później i został tam pochowany z honorami.

W tym czasie w Iranie wypadki toczyły się w ekspresowym tempie. Pierwszego lutego 1979 roku Chomeini w otoczeniu swojego sztabu i zachodnich dziennikarzy (zabranych jako ubezpieczenie na wypadek planów zestrzelenia samolotu) wyładował w Teheranie, witany przez kilka milionów Irańczyków. Zapytany przez jednego z reporterów, co czuje, wracając po piętnastu latach emigracji, odrzekł: „Nic”. Tylu ludzi zginęło z jego imieniem na ustach, a on nic nie czuje?

To „nic” najlepiej pokazywało stan umysłu ajatollaha i jego charakter. Żadnych oznak radości z obalenia tyranii, zawsze surowe oblicze, wzrok unikający rozmówcy lub kamery, tak jakby Chomeini bał się, że ktoś może wdrzeć się do jego głowy i odkryć w niej prawdziwe plany. Wtedy jeszcze nawet najbliżsi doradcy nie wiedzieli, co tak naprawdę oznacza termin „islamska republika”, powtarzany przez ajatollaha. Większość myślała, że w centrum będzie republika, a przymiotnik „islamska” stanie się tylko dookreśleniem. Wyszło na odwrót.

Abolhasan Banisadr, jeden z paryskich opozycjonistów i zarazem pierwszy porewolucyjny prezydent Iranu, twierdził w swoich późniejszych wspomnieniach, że w prywatnych rozmowach Chomeini wyraźnie dawał mu do zrozumienia, iż porzucił wypracowaną w przeszłości ideę, wedle której do powrotu Mahdiego Iranem powinien rządzić duchowy przywódca, dbający o zgodność świeckich rządów z prawem szari'atu. Wybór Banisadra na prezydenta oraz Mehdiego Bazargana (dawnego towarzysza Mosaddeq) na premiera z pozoru potwierdzał demokratyczne nastawienie ajatollaha. Ale apetyt rośnie w miarę jedzenia. Chomeini szybko pojął, że tłumy na ulicach nie interesują dyskusje polityków na temat kształtu przyszłej republiki. Demonstrantów o wiele bardziej napędzała irracjonalna wiara w moc sprawczą przywódcy - czyli jego samego. Nie przypadkiem miliony Irańczyków

szczerze uwierzyły w plotkę, że w przeddzień rewolucji na tarczy księżyca ukazał się zarys twarzy ajatollaha.

Rewolucje nie szanują umiarkowania. Promują ludzi twardych, fanatycznie przekonanych o swojej racji, niekoniecznie najbardziej wartościowych czy wrażliwych na krzywdę. Rewolucje wynoszą na piedestał radykałów, którzy nie zaprzatają sobie głowy nazbyt skomplikowanymi dywagacjami. Oni doskonale wiedzą, gdzie leży prawda. Za właściwe przekonania uznają tylko te, które sami wyznają. Każdy, kto ma jakieś wątpliwości, jakiś inny pogląd, szybko staje się wrogiem. Radykał będzie dużo mówił o wolności, ale chodzić mu będzie głównie o wolność wedle jego definicji, wolność dla niego samego. Historie wszystkich rewolucji uczą, że taka wolność szybko okazuje się ułudą, a dzisiejsi rewolucjoniści nazajutrz fundują społeczeństwu nową wersję starej niewoli. Tak też było w Iranie. Po obaleniu reżimu szacha gazety wypełniły się zdjęciami z krwawych egzekucji, a zemsta stała się najważniejszym z ludzkich pragnień. Głosy nawołujące do zakończenia rzezi traktowano jak oznakę słabości, a nawet załączek zdrady. Coraz mniej ludzi chciało słuchać umiarkowanych polityków, bo uważano, że za bardzo przypominają zachodnich liberałów. W siłę rosły skrzydła: chomeiniści z jednej i lewicowcy z drugiej strony.

Właśnie wtedy krążący po świecie szach otrzymał zgodę na wjazd do USA na leczenie postępującej choroby nowotworowej. Irańczycy, domagając się od miesięcy ekstradycji Pahlawiego, wpadli w furję. Islamscy studenci zaatakowali ambasadę USA, wzięli pięćdziesięciu dwóch zakładników i rozpoczęli trwającą piętnaście miesięcy okupację. Jak wspominał później Ibrahim Asqarzade, jeden z przywódców ataku na ambasadę (i, jak to często w Iranie bywa, późniejszy, wielokrotnie represjonowany przeciwnik islamskiej republiki), w ścisłym kierownictwie studentów początkowo było wiele wątpliwości co do decyzji o okupacji. Wśród przeciwników znalazł się m.in. Mahmud Ahmadineżad, który twierdził, że taka akcja tylko wzmocni wpływy ZSRR w Iranie.

Dla umiarkowanej ekipy Bazargana, która usiłowała doprowadzić do ugody z Zachodem, atak na ambasadę był jak grom z jasnego nieba. Chomeini poparł bowiem akcję studentów i uczynił z niej oręż walki z demokratami. Bazargan uznał, że nie jest w stanie rządzić w takich warunkach i podał się do dymisji.

Chomeini był inteligentnym graczem, usuwającym przeciwników powoli, jednego po drugim. Długo nie zdradzał swoich planów zamiany Iranu w teokrację. By wyeliminować przeciwników marzących o wolnym rynku i republice bez przymiotników, gotów był sprzymierzyć się nawet z socjalistami. Nie eksponował różnic ideologicznych, ale podkreślał, że łączy go z lewicą zgoda co do potrzeby nacjonalizacji gospodarki i trwałego odwrócenia

się od Zachodu. Jak wspomina profesor Azar Nafisi, autorka słynnej książki *Czytając Lolitę w Teheranie*, lewicujący studenci teherańskich uczelni brali słowa Chomeiniego za dobrą monetę. Chodzili podekscytowani po terenie amerykańskiej ambasady, gardłowali przeciwko „liberałom”, a wieczorem wychodzili na dachy domów, modlili się na klęczkach lub krzyczeli wniebogłosy: „Allahu Akbar!”. Żyli w świecie ułudy, naiwnie wierząc, że obalenie szacha oznacza wolność. W głowach im się nie mogło pomieścić, że ktoś, kto szczerze nienawidzi tego despoty Pahlawiego, sam może być despotą.

O swoim naiwnym podejściu do Chomeiniego opowiada między innymi wspomiana już Szirin Ebadi. Na początku rewolucji, kiedy ajatollah wzywał do usuwania minis trów szacha z gabinetów, Ebadi wdarła się wraz z grupą postępowych sędziów do pokojów szefa wymiaru sprawiedliwości. Zastała tam jednak tylko starego, doświadczonego urzędnika, który bardzo się zdziwił, że właśnie Ebadi, pierwsza w dziejach Iranu kobieta sędzia, bierze udział w tej awanturze.

To pani! Dlaczego właśnie pani się tu znalazła? - zapytał surowym tonem. - Czy pani nie wie, że popiera ludzi, którzy pozbawią panią pracy, jeśli dojdą do władzy?

- Wolę być wolną Iranką niż zniewoloną prawniczką - rzuciłam, przekonana do głębi o własnej nieomyślności.

Kilka miesięcy później Ebadi straciła prawo orzekania w sądach i nie było nikogo, kto odważyłby się przeciwko temu zaprotestować. Nawet najodważniejsi opozycjoniści nabrali wody w usta. Za to na ulice wyległy tłumy brodatych mężczyzn z zadaniem zaprowadzenia moralnego ładu według wzorców z VII wieku. Krawat i woda kolońska były teraz symbolem zachodniego zepsucia, a kobieta biegnąca po schodach lub jedząca lody na ulicy - oznaką rozwiązłości. Ludzie, którzy jeszcze nie tak dawno byli motorem rewolucji, nagle stali się bierni, zastraszeni i na wszelki wypadek palili w domach zachodnią literaturę. Szczególnie przerażało ich, że tak wielu Irańczykom podobały się nowe reguły. Zacofane, pełne analfabetów społeczeństwo tak naprawdę nie słyszało wcześniej zbyt wiele na temat demokracji i wolnych wyborów lub traktowało je podejrzliwie, jako wymysł Zachodu. Lud irański dopiero wychodził z epoki feudalizmu i dlatego o wiele bardziej niż w kartkę do głosowania wierzył w Chomeiniego. Ledwie minął rok, a świat stanął na głowie. Jakiś mądry Irańczyk wymyślił wtedy powiedzenie: „Przed rewolucją bawiliśmy się i piliśmy wino otwarcie, a modliliśmy się w ukryciu. Teraz modlimy się otwarcie i obowiązkowo, a bawimy się i pijemy w konspiracji”.

Jedynymi, którzy stawili zdecydowany opór, byli Mudżahedini Ludowi, wyznawcy przedziwnej mieszanki islamu i marksizmu. Uważali, że prawdziwy szyita powinien walczyć



nie tylko z dyktaturą monarchy, kapitalizmem i uzależnieniem od USA, ale również z klerykalizmem. W czerwcu 1981 roku dokonali zamachu bombowego na siedzibę chomeinistów, zabijając siedemdziesiąt osób, w tym prawą rękę przywódcy rewolucji, ajatollaha Behesztego, czterech ministrów oraz dwudziestu pięciu parlamentarzystów. Dwa miesiące później ten sam los spotkał nowego premiera Mohammada Bahonara oraz prezydenta Mohammada Radżaiego, który miesiąc wcześniej zastąpił zbyt niezależnego Banisadra.

Akcje mudżahedinów były spektakularne, ale nic trwałego z nich nie wynikało. Nie udało im się pociągnąć za sobą narodu, który albo obawiał się wszystkiego, co kojarzyło się z marksizmem, albo nie akceptował graniczącej z terroryzmem brutalności mudżahedinów oraz ich autorytarnej struktury wewnętrznej, która raczej nie wróżyła zaprowadzenia demokratycznych porządków w Iranie w przypadku ich zwycięstwa. Na dodatek kilka miesięcy wcześniej wybuchła wojna z Irakiem i większość ludzi skupiła się wokół władzy. Trudno się dziwić.

## **kiedy Saddam zrzuca sarin, świat odwraca głowę**

Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Iranu, byłem przekonany, że w wojnie z Irakiem musiało zginąć kilka milionów ludzi. W każdym irańskim mieście natknęliśmy się na cmentarze wojenne oraz dziesiątki pomników, statuetek i murali z wizerunkami bohaterów. Kiedy jednak sięgnąć do danych liczbowych, okazuje się, że ośmioletnia batalia była co prawda najdłuższą wojną okopową w historii świata, jednak w porównaniu z innymi konfliktami XX wieku nie przyniosła przerażających strat ludzkich. Poza okresowymi, krwawymi i zazwyczaj nieudanymi ofensywami była to w zasadzie wojna pozycyjna. Irańczyków zginęło w niej od trzystu pięćdziesięciu do ośmiuset tysięcy (najbardziej wiarygodne dane mówią o pięciuset tysiącach zabitych), Irakijczyków - od dwustu pięćdziesięciu do czterystu tysięcy. Jeśli porównamy to ze śmiercią milionów Żydów, Chińczyków, Polaków, Rosjan, Ukraińców i Białorusinów podczas drugiej wojny światowej, irańskie przekonanie o wyjątkowo krwawym rachunku krzywd mogłoby zostać uznane za skłonność do przesady i wyolbrzymiania cierpienia. A jednak Irańczycy mają powody, by w szczególny sposób wspominać tę właśnie wojnę.

Saddam Husajn zaatakował Iran 22 sierpnia 1980 roku. Wybrał doskonały moment. Porewolucyjny Iran zerwał ze wszystkimi dotychczasowymi sojusznikami, a potężna armia szacha była w rozsypce. Oficerowie trafiali do więzień lub uciekali za granicę, nowoczesnego sprzętu nie miał kto obsługiwać. Iracki dyktator był więc pewny, że jednym ruchem załatwi kilka spraw. Jego kraj, potęga naftowa, cierpiał z powodu bardzo wąskiego i łatwego do zablokowania dostępu do Zatoki Perskiej, jedyne szlaku transportu ropy. Planując wojnę, Saddam liczył nie tylko na poszerzenie wybrzeża, ale też na zajęcie przygranicznego, irańskiego centrum naftowego w Abadanie. Pretekstem do jego aneksji miała być mieszkająca tu duża społeczność arabska.

Ale ropa była tylko pierwszym z dwóch ważnych powodów. Irakijczyków bardzo niepokoiły przemówienia Chomeiniego, zapowiadającego eksport rewolucji za granicę, do islamskich krajów rządzonych przez skorumpowane, świeckie reżimy. Husajn zdawał sobie doskonale sprawę, że jeśli nowa władza w Teheranie okrzepnie, Bagdad może stać się pierwszym celem. Jego sunnicka partia Baas rządziła krajem, w którym 60 procent mieszkańców wyznawało szyizm, ponadto na terytorium Iraku leżały dwa najświętsze dla szyitów miasta: Nadżaf z mauzo leum imama Alego oraz Karbala z grobem imama Hosejna.

Irakijczycy liczyli, że atakując znieczeka, osiągną sukces, jednak nie docenili

charyzmy Chomeiniego i setek tysięcy wolontariuszy, gotowych zginąć na froncie za wodza i ojczyznę. Nie minęły dwa lata, a Husajn zrozumiał, że nigdy nie pokona Iranu. Zaproponował Chomeiniemu rozejm, jednak przywódca rewolucji był już wtedy przekonany o zbliżającym się nieuchronnie zwycięstwie, planował szybkie „wyzwolenie” Karbali i dalszy marsz w stronę Palestyny. Postawił więc warunki nie do spełnienia - osądzenie irackiego dyktatora przed międzynarodowym trybunałem i wypłatę stu pięćdziesięciu milionów dolarów odszkodowania.

- Gdyby nie szaleństwo Chomeiniego, mój syn miałby teraz żonę i dzieci, a ja byłabym szczęśliwą babcią - powiedziała mi sześćdziesięcioletnia Parwin, którą spotkałem na Beheszte Zahra, największym z teherańskich cmentarzy. Parwin przysła jak co miesiąc na grób syna Sohraba, który zginął 16 lutego 1984 roku, w drugim dniu nieudanej ofensywy na iracką Basrę. Trafił go odłamek pocisku artyleryjskiego, kiedy wraz ze swoim oddziałem forsował w łodzi frontową rzekę. - Wysłałam na wojnę syna, a wrócił z niej okaleczony korpus ze strzępami twarzy i nóg. Do końca życia będę się obwiniać o jego śmierć. Mówiłam mu przecież, że tak trzeba, wierzyłam w każde słowo Chomeiniego. Pamiętam, jak kiedyś młodsza siostra Sohraba wróciła ze szkoły i oburzała się, że nauczycielka wypytuje ich, u kogo w domu stoją ciemne, wysokie butelki z długimi szyjkami. Oczywiście chodziło o wino. Mała Negar wiedziała, że nauczycielka chce zrobić z dzieci donosicieli, i strasznie się zdenerwowała. A Sohrab tłumaczył jej cierpliwie, że tak trzeba, że władza musi ścigać grzeszników, że w kraju jest pełno wrogów, którzy chcą nas otumanić, więc musimy codziennie walczyć. Ja stałam obok z mężem i byłam dumna, że wychowałam tak mądrego, świadomego syna. Dziś nie mogę sobie tego darować. Nie mogę zrozumieć, że byłam tak naiwna, tak głupia. Nie umiem sobie wybaczyć, że zrobiłam z syna fanatyka. - Parwin gładzi fotografię dziecka na grobie i zanosi się szlochem, a ja stoję obok bezradny i nawet nie mogę jej objąć. To przecież „obca” mi kobieta i prawo zabrania nam kontaktu fizycznego. Nie ma znaczenia, że w tej jednej chwili Parwin jest mi bliska jak własna matka. Stoimy jeszcze przez chwilę, po czym Mehdi, mój irański przyjaciel, z którym kilka godzin wcześniej zwiedzałem cmentarz mudżahedinów na Chawaranie, bierze mnie pod pachę i idziemy w milczeniu ku wyjściu, bardzo długą aleją pośród setek bliźniaczo podobnych do siebie grobów, pośród setek Sohrabów.

Po odrzuceniu oferty Saddama Husajna Iran ponawiał ofensywy wojsk pancernych i szturmę fal ludzkich, złożonych z młodych żołnierzy i basidżów. Irak coraz częściej odpowiadał atakami lotniczymi na irańskie miasta. Ponieważ żadna ze stron nie była w stanie osiągnąć przewagi, wojna trwała w nieskończoność. W Iranie nikt nie potrafił wytłumaczyć

Chomeiniemu, że hasło „Wojna! Wojna aż do zwycięstwa!” jest mrzonką rujnującą kraj. Dopiero po ośmiu latach ajatollah dał się przekonać Haszemie mu Rafsandżanemu i zgodził się na rozejm, co gorzko potem wspominał: „Czułem się, jakbym wypił szklankę trucizny”.

W tym samym czasie okazało się, że wojowniczy, rewolucyjny Iran otacza coraz większy mur niechęci. Nie cierpiał go Zachód, arabscy sąsiedzi i blok sowiecki. Wszyscy bali się rozlania islamskiej rewolucji na Bliski Wschód oraz azjatyckie republiki radzieckie. Chociaż to Iran padł ofiarą napaści, doszło do przedziwnego sojuszu, w którego efekcie do Bagdadu płynęły pieniądze z Arabii Saudyjskiej, Kuwejtu, Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Włoch oraz broń i dane wywiadowcze z USA, Wielkiej Brytanii, Francji i ZSRR.

Do Iraku docierały też amerykańskie, singapurskie i francuskie komponenty, które zamieniano w broń chemiczną: sarin i gaz musztardowy. Husajn używał ich zarówno na froncie, jak i w atakach lotniczych na irańskie wioski. Świat, który w późniejszych latach tak kategorycznie potępiał irackiego dyktatora za używanie gazów bojowych przeciwko powstańcom kurdyjskim, nie zrobił nic, gdy od tych samych gazów ginęły tysiące irańskich żołnierzy i cywilów. ONZ ograniczyła się do jednej deklaracji, zbojkotowanej zresztą przez Stany Zjednoczone.

Bolesne poczucie osamotnienia i niesprawiedliwości ciągnęło się do samego końca wojny. Półtora miesiąca przed zawieszeniem broni doszło do krwawego wydarzenia, które teoretycznie nie miało nic wspólnego z działaniami zbrojnymi. Trzeciego lipca 1988 roku pływający po Zatoce Perskiej amerykański krążownik USS „Vincennes” zestrzelił lecący do Dubaju irański airbus z dwustu dziewięćdziesięcioma pasażerami. Załoga statku pomyliła cywilny samolot z wojskowym myśliwcem. Nawet jeśli oficjalna wersja jest prawdziwa, to dowódca krążownika nie wykorzystał wielu możliwości poprawnej identyfikacji airbusa. Kapitan William Rogers miał opinię człowieka z wyraźnymi problemami emocjonalnymi, marzącego od dawna, by „dokopać” Irańczykom. Jak twierdzili dowódcy innych amerykańskich statków, Rogers już dwa tygodnie wcześniej w prowokacyjny sposób podpływał do irańskich kanonierek lub nakazywał helikopterom przelatywać tuż obok nich.

Stany Zjednoczone wyraziły skruchę, jednak Rogers nigdy nie poniósł odpowiedzialności, zamiast tego został odznaczony przez prezydenta George’a Busha jednym z najważniejszych medali przyznawanych amerykańskim żołnierzom.

- Miałam wtedy dwanaście lat i przyjechałam z rodzicami na wycieczkę do Isfahanu - wspomina Azade. - Pamiętam, jak zbiegałam po schodach z grupą dzieciaków, drąc się przeraźliwie, aż nagle w holu zobaczyliśmy tłum otaczający telewizor. Kiedy do mnie dotarło, co się stało, namówiłam rówieśników, byśmy zaczęli się na zagranicznych turystów, którzy

mieszkali w naszym hotelu. Wskoczyliśmy na nich zza rogu i darliśmy się: „Śmierć Ameryce!!!” Nie było ważne, że przed nami stali zaskoczeni Niemcy. Cały Zachód wydawał nam się tak samo wrogi. Nawet jeśli moi rodzice pałali nienawiścią do islamskiego reżimu, w obliczu wojny to przestało się liczyć. Nasz kraj był osamotniony, zostawiony na pastwę losu przez cały świat. Zabijano sarinem naszych cywilów i nikt tego nie chciał dostrzec. Dziś myślę, że Saddam Husajn bardzo pomógł zachować władzę islamistom. Zawsze jak ktoś napada na twój kraj, skupiasz się wokół swojego rządu, jakkolwiek by on był. I pozwalasz mu na wiele.

Kiedy Iran zdecydował się na rozejm, w kraju panował już terror. Sawak został zastąpiony przez nową służbę - Wewak, która okazała się jeszcze bardziej krwawa. Zatrzymanych nie tylko torturowano, ale też odmawiano im jedzenia, pozbawiano snu, wyprowadzano na pozorowane egzekucje, zamykano w izolatkach lub w małych, przypominających trumny skrzyniach. Pokazywano sfalszowane gazety z rzekomymi zeznaniami przyjaciół aresztowanych, grożono gwałtami, na żonach i córkach. Więźniowie, nawet jeśli wychodzili na wolność, bardzo często byli psychicznie złamani, popadali w głęboką depresję, cierpieli na psychozy. Wielu z nich powtarzało, że w porównaniu z represjami Wewaku więzienia szacha jawiły się jako niewinne sanatoria. Woleli spędzić w nich dziesięć lat niż dziesięć miesięcy w aresztach islamskiej republiki.

Kiedy za kraty trafiały młode kobiety, na dodatek dziewice, stanowiło to pewien kłopot dla reżimu. W islamie zabijanie takich osób jest surowo zakazane, dziewice są święte i w przypadku śmierci idą od razu do nieba. Ale i na to znalazł się sposób. Zdeprawowani przemocą urzędnicy wydawali policjantom i strażnikom więziennym zgody na zaślubianie dziewcząt. Zaraz po wymuszonej ceremonii aresztantki były gwałcone, a potem zabijane i wysyłane do piekła.

O ile za szacha do irańskich więzień trafiali tylko przeciwnicy polityczni, o tyle teraz władza była gotowa skazywać za wszystko, co uznała za niezgodne z zasadami i obyczajami islamskiej republiki. Zbudowane za Pahlawiego mroczne więzienie Ewin tuż przed rewolucją mogło przetrzymywać półtora tysiąca więźniów. Po rewolucji zaczęło się gwałtownie rozbudowywać, by w końcu móc pomieścić piętnaście tysięcy osób. Ale i tego było mało. Areszty i więzienia powstawały jak grzyby po deszczu.

- W dzieciństwie mieszkałam przy jednym z takich miejsc - opowiadała mi pewnego wieczoru Żinus, teherańska plastyczka. - Bardzo często zza muru dochodziły mnie odgłosy egzekucji. Potem słyhać było jeszcze pojedyncze strzały. Jak wytłumaczył mi ojciec, strażnik dla pewności dobijał każdego ze skazanych. Dla zabawy liczyłam te strzały, a

następnego dnia sprawdzałam w gazecie listę wykonanych wyroków śmierci. Byłam bardzo niezadowolona, jeśli nie zgadzała się z moimi wyliczeniami. Wyobrażasz to sobie? Byłam małą dziewczynką, a zupełnie nie robiło na mnie wrażenia mordowanie ludzi pod moim domem. To było coś normalnego, codziennego. Złościło mnie tylko to, że nie pasowały mi rachunki.

## **bahaickie państwo podziemne**

Terror porewolucyjny odciął Iran od świata tak samo gwałtownie, jak wcześniej szach próbował ten sam świat dogonić. Zamarło życie intelektualne, kobiety znikły ze sfery publicznej, kawiarnie zamknięto, ulice się wyludniły, każda forma aktywności mogła być uznana za niebezpieczną. Władza wciąż potrzebowała nowego wroga. Rewolucja nie mogła tak po prostu się skończyć, tym bardziej że obiecany raj jakoś nie nadchodził, a Iran nie chciał zamieniać się w krainę szczęśliwości. Gospodarka była słaba, a urzędnicy i kler niekompetentni i skorumpowani. Niewydolność islamskiej republiki przykrywano informacjami o kolejnych wykrywanych spiskach. Wiele z nich przypisano bahaitom, ponadtrzytysięcznej, największej mniejszości religijnej Iranu.

Mirza Hosejn Ali Nuri doznał objawienia w 1848 roku, w więzieniu. Siedział wtedy w podziemnej celi za przynależność do charyzmatycznego ruchu, który odciął się od islamu i głosił potrzebę stworzenia na gruzach wszystkich wielkich mono teistycznych religii jednego wyznania, które połączyłoby narody świata w oczekiwaniu na zbawiciela. Nuri sądził, że wiara przechodzi stopniowo, poprzez ciąg proroków (Kriszna, Abraham, Budda, Jezus, Mahomet), na coraz wyższe poziomy. Każdy czas i miejsce mają swojego mistrza, który dostosowuje nauki do możliwości intelektualnych wyznawców. Nuri miał być kolejnym z proroków, naznaczonym przez Boga. To właśnie głos boży wymógł na nim, by zmienić imię na Bahauallah (Chwała Boga). Jego charyzma była tak wielka, że w krótkim czasie stanął na czele tysięcy wiernych. Bahaici głosili pokój, jedność wszystkich ludzi, równość kobiet i mężczyzn. Nigdy nie stworzyli kasty duchowieństwa, by nie ulec pokusie dominacji. Domagali się za to powszechnej, obowiązkowej edukacji i utworzenia ogólnoświatowego rządu, złożonego z przedstawicieli wszystkich narodów. Ich normy obyczajowe zakazywały spożywania alkoholu i narkotyków, uprawiania seksu pozamałżeńskiego i homoseksualnego, bardzo surowo potępiały zbrojną przemoc, krzywoprzysięstwo oraz plotkarstwo.

Od samego początku bahaici cierpieli prześladowania. Radykalni muzułmanie nie mogli im wybaczyć, że traktują Mahometa jako jednego z wielu proroków. W Iranie zaczęło dochodzić do pogromów, jednak po rewolucji prześladowania przybrały formę instytucjonalną, mimo że bahaici ściśle przestrzegali zasady unikania zaangażowania w politykę, którą traktowali jak truciznę wyniszczającą dusze. Bahaitów wtrącano do więzień za udział w niegroźnych dla systemu religijnych zgromadzeniach, posądzano o związki z władzami Izraela, brutalnie niszczone cmentarze. Majątki konfiskowano lub palono,

odmawiano dostępu do wyższego wykształcenia i posad w administracji państwowej. Od 1979 roku ponad dziesięć tysięcy bahaitów straciło pracę, a ponad dwieście osób zostało skazanych na śmierć. Te religijne represje były czymś niespotykanym w Iranie. O ile bowiem islamska republika gotowa jest karać śmiercią za odchodzenie muzułmanów od wiary, o ile część ajatollahów uważa, że rękę należy podawać innowiercom w rękawiczce (albo ją potem umyć), o tyle szyicki system w zasadzie stara się respektować podstawowe prawa mniejszości religijnoetnicznych. Nawet Żydzi mogą kultywować swoją wiarę i obrzędowość, co pozytywnie wyróżnia Iran na tle krajów arabskich - mimo zadeklarowanej nienawiści do Izraela Żydzi w Iranie mają synagogi, a także zagwarantowane miejsce dla swojego reprezentanta w parlamencie, tak samo zresztą jak zoroastrianie i chrześcijanie. Tym ostatnim, w większości Ormianom, pozwala się nawet produkować alkohol, oczywiście wyłącznie na własny użytek.

Samira pochodzi z rodziny teherańskich bahaitów. Bogaci jeszcze przed rewolucją, w 1981 roku stracili cały majątek: setki hektarów ziemi nad Morzem Kaspijskim, liczne tartaki. Dziś większość rodziny mieszka w Stanach Zjednoczonych, a do wyjazdu szykuje się młode pokolenie, które dość ma kolejnych represji. Samira jest w tym towarzystwie kimś szczególnym. Zaprzestała praktyk religijnych, żyje sama, bez męża i mimo trzydziestu trzech lat na karku nie ma zamiaru zakładać rodziny.

Jest wczesny, ciepły, czerwcowy wieczór 2009 roku, na większości placów w centrum Teheranu trwają ostatnie demonstracje przedwyborcze. Samira jest w wyjątkowo dobrym nastroju. Przed chwilą mijaliśmy tłumek zwolenników Mehdiego Karrubiego z fioletowymi przepaskami na przegubach rąk. Wykrzykiwali hasła domagające się równouprawnienia kobiet i mniejszości religijnych, w tym bahaitów. W Iranie publiczne wyrażenie takiego postulatu jest oznaką wyjątkowej odwagi. A że właśnie idziemy na kolację do wuja Samiry, dziewczyna liczy, że entuzjazm młodych ludzi stanie się silnym orężem w dyskusji. Ona sama chce iść głosować przeciwko Ahmadineżadowi, ale wuj, wszyscy jego krewni i przyjaciele zgodnie podtrzymują starą bahaicką tradycję nieuczestniczenia w życiu politycznym Iranu.

- Te wybory to tylko strata czasu. Prześladowania były i będą, dopóki istnieje islamska republika. Nie ma znaczenia, czy rządził będzie Karrubi czy Ahmadineżad. Nawet lepiej, jeśli wygra ten drugi. Nasi bracia i siostry nie będą się przynajmniej ludzić. Nie ma nic gorszego niż zawiedzione nadzieje. - Wuj Abbas szybko redukuje entuzjazm Samiry.

W kolacji uczestniczy kilkanaście osób. Jest wśród nich starszy mężczyzna, Babak, jeden z bahaickich liderów. Spokojny, wyciszony. Przesiedział w więzieniu półtora roku za nauczanie religii wśród młodzieży (według rządowej propagandy: szerzenie antypaństwowej



zarazy). Nie była to oczywiście młodzież muzułmańska, tylko bahaicka, ale islamska republika i tak uważa, że kolejne pokolenia bahaitów to coś na kształt bomby z opóźnionym zapłonem. Babak przyjął swój los jak dar od Boga. Choć przebywał w celi z czterema zatwardziałym rabusiami, udało mu się nawet w ich duszach odnaleźć pokłady człowieczeństwa.

- Wszyscy byli muzułmanami i na początku patrzyli na mnie wrogo. Spodziewali się jakiegoś szaleńca, który w nocy będzie się modlił do demonów. Potem sami zaczęli pytać o zasady naszej wiary, a ja cierpliwie wyjaśniałem. Bardzo uważałem, by nie popadać w misjonarski ton, bo mógłbym dostać kolejny wyrok - opowiadał Babak. - Pewnego dnia jeden ze współwięźniów podszedł do mnie i powiedział, że mnie szanuje i że jak ktoś mi coś zrobi, to on mu głowę urwie. Inaczej nie potrafił wyrazić swojej wdzięczności za to, że po raz pierwszy od lat ktoś z nim porozmawiał o naprawę ważnych rzeczach.

Po kolacji idę pomóc zmywać naczynia. Wzbudza to śmiech wśród żeńskiej części towarzystwa.

- Na pewno nie jesteś bahaitą? W Iranie dla muzułmanina taka czynność jest czymś poniżającym. U bahaitów kobiety mają podobny status do mężczyzn, więc taki widok nie jest dziwny, ale jak wiesz, my jesteśmy poza nawiasem. Staraj się uważać, gdzie myjesz te naczynia i kto wtedy na ciebie patrzy. Inaczej będziesz miał kłopoty - śmiała się żona gospodarza.

Mimo ciągłych szykan krewni Samiry wyglądają na szczęśliwych ludzi. Trochę jest w tym egzaltacji i pachnącego sekciarstwem przekonania, że należą do ekskluzywnego klubu, który znalazł się najbliżej Boga. Ale jednocześnie mają w sobie dużo ciepła, są wobec siebie solidarni, jeden za drugiego poszedłby w ogień.

W trakcie toczącej się spokojnie rozmowy (po raz pierwszy od wielu dni jestem w domu, w którym wybory nie są najważniejszym tematem) dostrzegam, jak młodsza część gości, jedno po drugim, podchodzi do wielkiego stołu ustawionego z boku salonu. W końcu dowiaduję się, że czterej chłopcy i dziewczyna nie są członkami rodziny, ale studentami gospodarza, niegdyś profesora uniwersytetu. Mieszkanie bywa siedzibą czegoś na kształt „latającego uniwersytetu”, a ja mam ogromne szczęście, bo zajęcia zawsze odbywają się w tajemnicy i nie ma zwyczaju, by zapraszać na nie kogokolwiek spoza środowiska. Wuj Abbas udostępnił swój apartament przed wieloma laty, by umożliwić wykształcenie młodym bahaitom, dla których drzwi irańskich szkół wyższych pozostają od lat zamknięte. Bahaicki uniwersytet umożliwia studiowanie literatury, prawa, psychologii, medycyny, chemii, biologii, inżynierii cywilnej, architektury, muzyki i najnowszych technologii komputerowych.

Posiada własne biblioteki, a nawet laboratoria prowadzone przez wykładowców, którym odebrano prawo pracy na państwowych uczelniach.

Wszystko odbywa się w skrajnej konspiracji, ponieważ już raz, w 1998 roku, irańskie władze próbowały zlikwidować uczelnię. Zorganizowały wtedy najazd na ponad pięćset ba haickich domów, aresztowały trzydziestu sześciu wykładowców i skonfiskowały wszystkie napotkane komputery. Trzeba było wielu miesięcy, by odbudować całą strukturę.

- Prowadzimy wykłady, ćwiczenia, organizujemy kolokwia, zaliczenia, egzaminy - wylicza wuj Abbas. - Dla wielu młodych ludzi, którzy mają dość Iranu i chcą wyjechać, nauka tutaj to przepustka na niejedną amerykańską uczelnię. Choć nie działamy legalnie, certyfikaty wydawane przez nas są gwarancją wysokiego poziomu i umożliwiają kontynuację studiów w USA.

Trafiam akurat na tajne komplety z zakresu architektury. Studenci uczą się projektowania. Dwudziestojednoletni Hamid jest w stałym kontakcie ze stowarzyszeniem bahaitów w amerykańskiej Georgii i liczy, że już za rok będzie studentem tamtejszego uniwersytetu.

- Mógłbym wyrzec się swojej wiary, przejść na islam i studiować w Iranie. Ale jeśli odwrócę się od Boga, to kim będę?

## raj dla transseksualisty

Po kolacji jedziemy z Samirą taksówką w stronę placu Wanak. Droga dłuży się niemiłosiernie, bo wszędzie są korki. W końcu ruch zupełnie zamiera. Wanak jest zapchany zwolennikami Musawiego, szybciej tam dojedziemy, niż dojeżdżemy. Tuż przed placem Samira stuka mnie w ramię i pokazuje kremową kamienicę po drugiej stronie ulicy.

- Tu mieszkał jeszcze kilka lat temu mój nauczyciel angielskiego, Mahmud. Pewnego dnia zniknął, a ja dopiero po paru miesiącach dowiedziałam się, że uciekł za granicę z powodu jednego z sąsiadów, który zaczął go szantażować. Mahmud był gejem - wyjaśniła mi Samira. - W Iranie chyba tylko oni mają gorzej od bahaitów.

W latach siedemdziesiątych niektórzy homoseksualiści liczyli, że już niedługo będą mogli się ujawnić. Szach Mohammad Reza Pahlawi wsadzał do więzienia duchownych i demokratów, ale gejami się nie zajmował. Uznał ich za nieliczny, niegroźny folklor, nadający Iranowi nieco zachodniego sznytu. Po rewolucji duchowni natychmiast zabrali się do robienia obyczajowych porządków. Dziś za kontakty homoseksualne grozi kara śmierci, ale tylko w przypadku mężczyzn. Lesbijkom przypada w udziale „zaledwie” sto batów. To chyba jedyny przykład irańskiego przepisu, który łagodniej traktuje kobiety niż mężczyzn. Ale to i tak nic w porównaniu z kolejną osobliwością. Irańskie prawo, sankcjonujące zabójstwa gejów, równocześnie wyjątkowo łaskawie patrzy na transseksualistów. Sam Chomeini wydał fatwę, w której uznał, że osoby, które nie akceptują swojej płci, mogą poddać się operacji jej zmiany. Od tego czasu transseksualizm nie jest traktowany jako zboczenie, ale jako uleczalny defekt. Zabieg ma pomóc zagubionemu człowiekowi w odnalezieniu swojej tożsamości. Rząd udziela nawet pożyczek sięgających połowy kosztów operacji. Tylko Tajlandia może się pochwalić większą liczbą przypadków zmiany płci.

Iran trafił do światowej czołówki także dzięki innym zabiegom związanym z życiem erotycznym. W połowie lat osiemdziesiątych, kiedy kobiety w Iranie rodziły średnio po siedmioro dzieci, ajatollahowie zaczęli martwić się, że wyż demograficzny doprowadzi po latach do katastrofy na rynku pracy. Wydali więc zgodę, by mężczyźni używali prezerwatyw, a kobiety poddawały się operacjom podwiązki jajników. Jak na państwo religijne była to wyjątkowo „nowatorska” decyzja. Obecnie przeciętna irańska kobieta rodzi poniżej dwójki dzieci, co gwarantuje, że w niedalekiej przyszłości liczba mieszkańców Iranu po raz pierwszy od wieków zacznie się zmniejszać, a społeczeństwo starzeć. Zupełnie jak w Europie.

Cieężko zrozumieć Iran. Przykłady niezwykłego jak na islamskie kraje liberalizmu

sąsiadują z niebywałą wprost brutalnością. Na sporządzanej co roku przez Amnesty International czarnej liście krajów stosujących karę śmierci Iran od lat jest „srebrnym medalistą”. Pierwszeństwo za każdym razem przypada Chinom. W 2008 roku dokonano tam tysiąc siedmiuset osiemnastu egzekucji. Iran w tym samym czasie powiesił i rozstrzelał trzysta czterdzieści sześć osób: za morderstwa, gwałty, porwania dla okupu, przemyt i handel narkotykami, homoseksualizm albo sprzeniewierzenie się islamskiej religii. Następne w kolejności są Arabia Saudyjska, USA i Pakistan.

Teoretycznie wielu kar śmierci można by w Iranie uniknąć, gdyby rodziny ofiar zdecydowały się wybaczyć sprawcy i zamienić egzekucję na finansowe zadośćuczynienie ze strony krewnych zabójcy (zazwyczaj równowartość kilkudziesięciu tysięcy dolarów). Niestety, takie akty łaski zdarzają się rzadko. Duża część Irańczyków wciąż wierzy, że morderstwo wymaga srogiej zemsty. Jej pragnienie jest tak silne, że odbiera ludziom resztki litości. Bywa, że rodziny ofiar domagają się udziału w egzekucjach. I to aktywnego.

Dziesiątego października 2009 roku w Teheranie powieszono dwudziestodwuletniego Behnuda Szodżajego, skazanego za zabójstwo w ulicznej bójce rówieśnika Ehsana. Choć sprawca w chwili przestępstwa miał zaledwie siedemnaście lat, sąd uznał, że jedyną dopuszczalną karą będzie dla niego śmierć przez powieszenie.

- Spędziliśmy pół nocy pod więzieniem Ewin z pikietą, między nami była matka Nedy, której śmierć stała się symbolem zielonej rewolucji - opowiadała mi przez telefon Azade. - W pewnym momencie pojawiła się matka Ehsana, która szła do więzienia, by wziąć udział w egzekucji zabójcy. Zaczęliśmy przekonywać ją, by okazała Behnudowi miłosierdzie. I udało się! Kobieta obiecała, że zastopuje wyrok. W Iranie krewni ofiary mogą to zrobić niemal do ostatniej chwili. Kiedy jednak po dwóch godzinach wyszła do nas znowu, dowiedzieliśmy się, że zmieniła zdanie i osobiście wykopała krzesło spod szubienicy Behnuda. Po prostu za zgodą sądu go zabiła!

Z racji liczby wykonywanych egzekucji Iran jest wciąż pod ostrzałem świata. Ale grozę budzi również sposób wykonywania kar śmierci. Najczęstszą metodą jest wieszanie skazanych na małych dźwigach samochodowych. Skazani „spadają” z niedużych wysokości, przez co ich kręgi nie pękają. Umierają powoli, dusząc się w konwulsjach, na oczach zaproszonych przez władze widzów.

Wciąż zdarzają się też, choć na szczęście jednostkowe, przypadki wykonywania wyroków śmierci przez ukamienowanie. Jedna z takich egzekucji miała miejsce w grudniu 2008 roku w Maszhadzie. Dwaj mężczyźni, skazani za wielokrotne cudzołóstwo, zostali zakopani w ziemi po pas i obrzuceni kamieniami. Nie były one zbyt duże, żeby zbyt szybko

nie spowodowały śmierci.

## wilcze oczy Persa

Brutalność islamskiego reżimu zupełnie zatarła w pamięci świata obraz Iranu jako antycznej cywilizacji, w której kwitły architektura, sztuka, poezja, filozofia, medycyna, astronomia, matematyka. Starożytna Persja stała się czymś odległym, zamkniętym i martwym, bez kontaktu ze współczesnym Iranem, kojarzącym się niemal wyłącznie z prymitywną przemocą. Iran stał się marką, która nie budzi szacunku i podziwu, ale strach i głęboką niechęć. Kultura masowa, spragniona jednoznacznych symboli, chętnie korzysta z tak ukształtowanego obrazu. Jesienią 2008 roku na ekrany kin wszedł *Zapaśnik* Darrena Aronofskiego. Film opowiada o Ramie, podnoszącym się z moralnego upadku dawnym mistrzu amerykańskiego wrestlingu, którego gra Mickey Rourke. W ostatniej scenie Ram bierze rewanż na starym przeciwniku, Irańczyku o wdzięcznym pseudonimie Ajatollah. Oczywiście czarny charakter musi zachowywać się nie fair, widzimy więc, jak próbuje dusić Rama drzewcem irańskiej flagi. Na szczęście nasz bohater umiejętnie wyzwala się z opresji, łamie flagę, wyrzuca ją w trybuny i zwycięża.

Rok przed premierą *Zapaśnika* przebojem był inny amerykański film z Iranem w tle - *300* Zacka Snydera. Ta opowieść przenosi nas do starożytności, ale nie po to, by pokazywać wielkość perskiej cywilizacji. O wiele bliżej mamy tu do stereotypów stworzonych przez Herodota, choć nawet one w porównaniu z *300* wydają się bardzo delikatne i nieszkodliwe. W filmie opowiadającym o bitwie pod Termopilami Persowie ukazani zostali jako bestie. Pierwszy raz spotykamy ich przy okazji poselstwa do Sparty, kierowanego przez czarnoskórego (!) wojownika. Towarzyszący mu żołnierze mają na głowach turbany przesłaniające prawie całe twarze. Bardziej jednak niż wojowników z antycznych rzeźb w Persepolis przypominają młodszych o tysiąc lat arabskich najeźdźców lub wręcz współczesnych talibów. Nawet kiedy walczą, nie zdejmują z głów turbanów, choć trudno sobie wyobrazić, jak znieśliby trudy bitwy, mając cały czas zakryte nosy i usta.

Pochód armii Kserksesa to przerażający marsz smutnego tłumu, poganianego wciąż batami. Na specjalnych platformach żołnierze transportują skute łańcuchami, półczłowiecze, dzikie monstra, które w odpowiedniej chwili spuszczone są, jak ze smyczy, na Spartan. Elitę Persów stanowią w filmie doborowe oddziały gwardzistów, zwanych - zgodnie z prawdą - Nieśmiertelnymi. Ci z kolei mają na twarzach budzące grozę srebrne maski. W szale bitewnym jednemu ze Spartan udaje się ściągnąć zasłonę z twarzy wroga i jego oczom ukazuje się cała prawda o Persach. Mają spiłowane, przypominające kły zęby, wilcze oczy i

twarze z naroślami, jakby byli zarażeni trądem. Zamiast mówić, charczą. Są niemal bliźniaczo podobni do Freddiego Kruegera, bohatera krwawego cyklu horrorów *Koszmar z ulicy Wiązów*.

Niemniej oryginalny jest perski władca Kserkses. W *300* pokazano go jako wielkoluda, obwieszono go łańcuchami oraz dziesiątkami kolczyków powbijanych w najróżniejsze miejsca. Na dodatek jego zachowanie dokładnie odpowiada wizerunkowi homoseksualisty z antygejowskich agitek. Jest jednocześnie zniewieściały i sadystyczny. Kiedy w filmie spotyka dzielnego spartańskiego przywódcę Leonidasa, próbuje go obłapiać od tyłu, co budzi dość jednoznaczne skojarzenia.

Jak na tle potwornych Persów wyglądają Spartanie? Widzimy ich jako atletycznych, szlachetnych przystojniaków, którzy w obronie swoich kobiet gotowi są sprzeciwić się największemu imperium świata. Po prostu niczego tak nie kochają jak wolności. Wszystko to piękne, tylko niewiele ma wspólnego z rzeczywistością. Spartanie rzeczywiście kochali wolność, ale wyłącznie swoją. Od wieków historykom znany jest termin: *he loci*. To pojmani podczas łupieżczych wypraw jeńcy, przeważnie mieszkańcy sąsiadujących ze Spartą prowincji, których ściągano tysiącami i traktowano zupełnie jak niewolników. Co prawda nie można ich było, jak w Rzymie, sprzedawać na wolnym rynku, ale tylko dlatego, że stanowili własność państwową.

W jednej z pierwszych scen *300* widzimy króla Leonidasa, który jako dziecko przechodzi *agoge*, czyli katorżnicze szkolenie, mające uczynić z niego niezwykłego wojownika. Według współczesnych norm powinniśmy nazwać *agoge* torturami fizycznymi wspartymi praniem mózgu, ale na potrzeby filmu *agoge* to rytuał zaszczepiania w młodym żołnierzu kodeksu honorowego. Ostatnim elementem szkolenia młodego Leonidasa jest wyprawa w góry, gdzie zmuszony jest walczyć o życie z monstrualnej wielkości wilkiem. Prawda historyczna o końcowym rytuale *agoge* jest zupełnie inna. Młodzieńców wysyłano nie przeciwko dzikim zwierzętom, ale przeciwko helotom. Mordując bezbronnych niewolników, młodzi Spartanie mieli oswoić się z widokiem krwi, z okrucieństwem i brakiem litości. Czasem wskazywano im też konkretnych helotów. Mieli eliminować najbardziej wyróżniające się jednostki, które mogłyby kiedyś stanąć na czele powstania niewolników.

W *300* sportretowano też kobiety. Te perskie sprowadzone są do roli przedmiotów zapewniających atrakcje erotyczne. Te spartańskie są dumne i niezależne. I choć rzeczywiście w Sparcie kobiety w niektórych sprawach dorównywały mężczyznom (czasem nawet walczyły w wojnach), to jednak praw obywatelskich nie miały. Pod tym względem los kobiet w Persji wcale nie był gorszy. Tamtejsze niewiasty mogły na przykład zajmować się handlem

i posiadać własne nieruchomości.

Po premierze filmu głos zabrało kilkunastu historyków i publicystów, którzy boleli nad fałszywym, czarnobiałym obrazem dziejów oraz powielaniem stereotypów na temat Irańczyków, zmagających się i bez tego z poważnymi problemami wizerunkowymi. Niemal wszyscy podkreślali, że skryte za turbanami bestie, kierowane przez szalonego sadomasochistę Kserksesa, kojarzą się im wyłącznie ze współczesnymi terrorystami z AlKaidy. Bestie te zostały świadomie skontrastowane z miłującymi wolność atletami, przypominającymi dzielnych amerykańskich chłopców zaprowadzających porządek w Iraku i Afganistanie. Autorzy filmu zadbali nawet o to, by okrzyk bojowy Spartan brzmiał jak słynne zawołanie „hura!!!” amerykańskich marines.

Twórcy *300* z lekceważeniem odnosili się do krytyki. Twierdzili, że ich dzieło to alegoryczna przypowieść o walce dobra ze złem i nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie uczył się z niego historii. Czyżby? Wiedza o antycznej Persji to zazwyczaj parę zdań w ramach szkolnego kursu na temat starożytności. Niewielu ludzi ma ochotę na zgłębianie prawdy poprzez studia i fachowe książki. Obraz świata kształtowany jest z dużo większą siłą przez popkulturę i media elektroniczne. Stąd też dla wielu, nawet wykształconych ludzi Iran nie różni się dziś specjalnie od Iraku, a w prasie światowej co rusz zdarzają się lapsusy w rodzaju zaliczania Iranu do państw arabskich.

Antyirańskie uprzedzenia nie są wyłączną domeną popkultury. Trafiły też do amerykańskiego prawodawstwa. W 2004 roku, niedługo po odebraniu Pokojowej Nagrody Nobla, Szirin Ebadi otrzymała propozycję wydania w USA swoich wspomnień. Okazało się to jednak niemożliwe, gdyż amerykańskie sankcje nałożone na Iran obejmowały również zakaz publikacji książek, napisanych przez obywateli tego kraju. Nie miało znaczenia, że Ebadi jest od lat jednym z największych przeciwników irańskiego reżimu. Trzeba było aż procesu sądowego, wytoczonego amerykańskiemu rządowi, by zmienić absurdalny przepis, który wszystkich Irańczyków traktował jak niebezpiecznych ekstremistów.



## **nawet cocacola może być islamska**

Nakładanie sankcji na Iran zaczęło się po ataku teherańskich studentów na ambasadę amerykańską w 1979 roku. W ramach odwetu Stany zablokowały około dwunastu miliardów dolarów, zgromadzonych przez szacha na amerykańskich kontach. Większość pieniędzy potem zwrócono, ale do poprawy stosunków nigdy nie doszło. Kiedy wyszło na jaw, że Iran finansuje zbrojne akcje libańskiego Hezbollahu, na Teheran zaczęto nakładać surowe kary. Kraj został pozbawiony możliwości zakupu najnowszych technologii, odmawiano mu pożyczek, zamrożono zagraniczne konta firm i osób powiązanych z irańskim programem atomowym lub Gwardią Rewolucyjną, przestano wydawać wize na Zachód. Czołowym teherańskim bankom zablokowano częściowo możliwość kontaktowania się z międzynarodowymi instytucjami finansowymi. Do dziś w Iranie nie można korzystać nawet z popularnych kart kredytowych Visa i MasterCard.

O ile można zrozumieć motywy większości sankcji, o tyle ich efekty są już wątpliwe. Szykanowany przez USA i Unię Europejską za rzekome wspieranie programu atomowego, irański Banke Mellī ma się bardzo dobrze. W 2009 roku stał się największą instytucją finansową islamskiego świata, wyprzedzając największy bank Arabii Saudyjskiej. Trzecie i czwarte miejsce zajęły w tym zestawieniu dwa kolejne giganty z Teheranu: Banke Mellat i Banke Saderat, które również podlegają sankcjom. Niektórzy analitycy uważają, że trudności w prowadzeniu inwestycji na Zachodzie tylko pomogły irańskim bankom, które dzięki separacji uniknęły angażowania się w ryzykowne operacje giełdowe, a tym samym uchroniły się od kryzysu, jaki dotknął cały światowy system finansowy. Inna sprawa, że są one do tego stopnia uzależnione od nieudolnego rządu, że kłopoty to tylko kwestia czasu, choćby z powodu milionów pożyczonym państwowym firmom, które nie mają najmniejszej ochoty na spłatę długów.

Sankcje, choć w założeniu miały godzić w irański establishment i jego tajne operacje finansowe na świecie, tak naprawdę odbiły się przede wszystkim na Irańczykach przeciwnych reżimowi. Setkom irańskich naukowców zabroniono w ostatnich latach uczestnictwa w międzynarodowych projektach badawczych, a irańskiej młodzieży (najczęściej antyreżimowym emigrantom) uniemożliwiono podejmowanie studiów na kierunkach ścisłych w USA, Szwecji i Holandii. Nawet przy założeniu, że pośród studentów trafiłby się jakiś zwolennik Ahmadineżada, trudno sobie wyobrazić, jakież to tajemnice mógłby wykraść z uniwersyteckich laboratoriów, by przydały się one potem w niezwykle skomplikowanym

procesie produkcji bomby atomowej.

Najbardziej niezrozumiałym przykładem sankcji są drakońskie ograniczenia w zakupie cywilnych samolotów. Pod koniec rządów szacha Iran sprowadził z USA nowoczesną flotę boeingów i airbusów. Po rewolucji Amerykanie zakazali jednak obu fabrykom sprzedawania do Iranu zarówno części zamiennych, jak i nowych maszyn. Teheran może dziś nabywać jedynie używane podzespoły i samoloty, na dodatek wyłącznie przez pośredników. W efekcie po irańskim niebie latają coraz bardziej zdezelowane maszyny, zastępowane co najwyżej cieszącymi się nie najlepszą opinią rosyjskimi tupolewami. Od czasu wprowadzenia sankcji irańskie linie lotnicze zanotowały ponad dwieście katastrof, w których zginęło dwa tysiące osób. Irańczycy żartują, że stewardesy winny pozdrawiać pasażerów następującą formułą: „Witamy na pokładzie Iran Air i życzymy udanej ostatniej podróży”.

W sierpniu 2009 roku, po kolejnym wypadku tupolewa, w którym zginęło stu sześćdziesięciu ośmiu pasażerów, irański rząd zdecydował o przyjęciu nowej strategii. Będzie kupował z Rosji tylko maszyny wyprodukowane według bardzo rygorystycznych specyfikacji. Coraz częściej podnoszą się jednak głosy, że gdyby rządowi Iranu naprawdę zależało na bezpieczeństwie podróżnych, poradziłby sobie bez trudu. Wiele krajów korzysta bowiem z rosyjskich samolotów, ale katastrofy zdarzają się tam o wiele rzadziej niż w Iranie. Prawdziwą przyczyną licznych awarii ma być fakt, że władze w Teheranie przymykają oko na sposób przeprowadzania przeglądów technicznych, a także szkolenia pilotów i mechaników. Gnębią też irańskie linie lotnicze, każąc im utrzymywać nierentowne trasy i nie pozwalając podnosić cen biletów, co odbija się na inwestycjach w bezpieczeństwo. Spiskowe teorie głoszą wręcz, że Iranowi na rękę są katastrofy, gdyż służą jako instrument rządowej propagandy, pokazującej antyhumanitarny aspekt amerykańskich sankcji.

Myśląc o trwającej od dziesięcioleci zimnej wojnie Waszyngtonu i Teheranu, zawsze zadawałem sobie pytanie: jak to możliwe, że w Iranie tak łatwo można natknąć się na najważniejszy symbol amerykańskiej dominacji nad światem. Chodząc po Teheranie i patrząc na antyamerykańskie graffiti, ma się poczucie wyjątkowego absurdu, gdy tuż obok w sklepie stoją na półkach butelki z charakterystycznymi, czerwono-białymi naklejkami. Ekspansja cocacoli (a także pepsi) jest w Iranie tak gwałtowna, że już 40 procent miejscowego rynku napojów chłodzących wpadło w amerykańskie sidła.

Jak to możliwe, że Amerykanie nie przerwali dostaw do wroga? I jak to możliwe, że ajatollahowie, intonujący przy byle okazji okrzyk „Śmierć Ameryce!”, patrzą spokojnie na tę inwazję? Może dlatego, że koncentraty do produkcji coli i pepsi przybywają z Irlandii, wyspy

zielonej jak kolor islamu i od lat będącej symbolem walki ze znieprawdowaną Wielką Brytanią? Takie tłumaczenie zakrawa na kpinę, jednak faktem jest, że w styczniu

2009 roku jeden z dyrektorów firmy produkującej w Iranie colę, Mehdi Sadzadjan, stwierdził: „Zawsze kupujemy koncentrat do naszych napojów w Irlandii. Nie mamy żadnych związków z amerykańską CocaColą i mieć nie będziemy”. Trudno uwierzyć, ale to wyjątkowo naciągane tłumaczenie jest oficjalnym stanowiskiem Iranu, który co roku płaci półtora miliona dolarów irlandzkiej spółce córce amerykańskiego giganta, i to wyłącznie za prawa do używania nazwy marki.

Jak nie wiadomo, o co chodzi, to oczywiście chodzi o pieniądze, a konkretnie o tak zwane bonjady. To cieszące się ogromnymi wpływami organizacje, w teorii charytatywne. Rozlały się po Iranie po rewolucji i miały wspomagać rodziny ofiar reżimu szacha oraz krewnych żołnierzy, którzy zginęli w wojnie z Irakiem. Stąd ich działalność obfitowała w liczne subsydia rządowe i zwolnienia podatkowe. Bonjady z czasem przepoczwarzyły się w prawdziwe imperium finansowe, które zdominowało część irańskiej gospodarki. Dziś jest to sieć ponad stu wielobranżowych organizacji, czerpiących zyski z wielu źródeł, od uprawy soi i bawełny aż po budowę statków. Kierują inwestycjami nie tylko w Iranie, ale podpisują w imieniu rządu zagraniczne kontrakty realizowane na Bliskim Wschodzie, w Afryce i Rosji. Pod ich kontrolą jest co najmniej 10 procent gospodarki Iranu. Bonjady są od lat powszechnie krytykowane przez irańską klasę średnią za marnotrawienie gigantycznych pieniędzy, korupcję i dławienie wolnego rynku. Przy systemie zwolnień podatkowych i wyjątkowo silnego powiązania ideologicznego z władzą prywatne podmioty nie są w stanie z nimi konkurować.

Ajatollah Abbas Waez Tabasi jest szefem Fundacji Imama Rezy, zarządzającej fabrykami cocacoli, ale także zakładami produkującymi leki, autobusy i tekstylia oraz spółkami paliwowymi, kopalniami, cukrowniami, piekarniami, mleczarniami, farmami zwierzęcymi, sadami, przedsiębiorstwami budującymi wodociągi w Libanie oraz mosty w Syrii. W sumie do bonjadu należy pięćdziesiąt sześć firm i dwa uniwersytety.

Tabasi nazywany jest sułtanem Chorasanu, dużej prowincji na północnym wschodzie kraju. Jej stolicą jest drugie pod względem wielkości miasto Iranu, trzymilionowy Maszhad. Można powiedzieć, że Tabasi jest właścicielem tej metropolii, gdyż do jego bonjadu należy dwie trzecie gruntów w Maszhadzie, w tym perełka w samym jego centrum: mauzoleum Imama Rezy. Niemal każdy z prawie dwudziestu milionów pielgrzymów, przybywających co roku do sanktuarium, za punkt honoru wyznacza sobie przekazanie choćby niewielkiej darowizny na utrzymanie kompleksu świątynnego.

Tabasi to jedna z najbardziej wpływowych postaci współczesnego Iranu. Przyjaźni się z Haszemim Rafsandżanim, jest członkiem Zgromadzenia Ekspertów, nadzorującego działalność ajatollaha Chameneiego, należy również do Rady Ustalania Właściwego Porządku, która rozstrzyga spory między parlamentem a Radą Strażników Konstytucji. Nic dziwnego, że fabryki cocacoli są w Iranie nie do ruszenia. Każdy, kto chciałby nakazać ich zamknięcie, musiałby stawić czoło Tabasiemu, duchownemu technokracie, dla którego nie ma żadnej sprzeczności w opiekowaniu się najświętszym irańskim sanktuarium i sprzedaż amerykańskiej zarazy.

Nie wszystkim podoba się działalność ajatollaha. Na przykład duchownym związanym z innym potężnym bonjadem, Fundacją Ciemniejących i Okaleczonych. Należy do niej m.in. słynna irańska marka ZamZam, która kontroluje połowę rynku napojów chłodzących. Wielu wpływowych ajatollahów związanych z bonjadem od lat lobbuje u Alego Chameneiego, domagając się wyrzucenia z Iranu cocacoli. Na razie jednak Tabasi trzyma się mocno. Być może dlatego, że jego syn jest równocześnie mężem córki Chameneiego. A być może dlatego, że sam napój zamzam też nie jest kryształowo czystym produktem. Napój w smaku do złudzenia przypomina pepsi - i to nieprzypadkowo. Firma produkująca zamzam jeszcze przed rewolucją była po prostu spółką córką amerykańskiej filii Pepsi Co., po upadku szacha zaś przeszła w ręce bonjadu i zaczęła produkować zamzam, prawie nie zmieniając receptury. Smak amerykańskiego produktu próbowano zamaskować nazwą, która pochodzi od źródła świętej wody w Mekce.

Dziś zamzam nie tylko walczy o utrzymanie pierwszeństwa przed napierającą cocacolą, ale próbuje opanować rynki w świecie arabskim. Korzysta przy tym z okresowych fal nienawiści do Ameryki, które przelewają się regularnie przez Bliski Wschód. W 2002 roku w Arabii Saudyjskiej wierni przybywający na roczną pielgrzymkę do Mekki wymusili na rodzinie królewskiej bojkot cocacoli i pepsi. Miejsce po amerykańskich gigantach zajął natychmiast zamzam, co nie za bardzo ucieszyło szejków, dla których szyicki Iran od lat jest największym konkurentem politycznoekonomicznym w regionie. Typowo irański paradoks - zdobywać zagraniczne rynki dzięki nienawiści do USA i wykorzystywać do tego firmę o amerykańskich korzeniach.

## **atomowa małpa z brzytwą**

Życiorys Abbasa Abdiego jest jednym z najbardziej fascynujących rozdziałów w historii współczesnego Iranu. W 1979 roku, jeszcze w czasach studenckich, Abdi był islamskim radykałem i jednym z pierwszych, którzy wdarli się na teren amerykańskiej ambasady. Z czasem jednak przekonał się, jak bardzo był naiwny, wierząc w czarnobiały świat, z zawsze złą Ameryką i zawsze dobrymi szyickimi duchownymi. W 1999 roku to jego odważne artykuły sprawiły, że dziennik „Salam” stał się najważniejszym głosem ruchu reformatorskiego, wspierającym rząd Chatamiego. A kiedy zdominowany przez fundamentalistów sąd zamknął gazetę, w jej obronie na ulice Teheranu wyszły tysiące studentów, doprowadzając do największych zamieszek od czasów rewolucji.

Abbas Abdi jest specjalistą od wywoływania kłopotów. Po utracie licencji dziennikarskiej założył biuro badania opinii publicznej. W 2002 roku jego instytut przeprowadził ankietę, której wyniki doprowadziły do szału islamskie władze. Wynikało z nich, że 74 procent Irańczyków opowiada się za wznowieniem stosunków dyplomatycznych ze Stanami Zjednoczonymi. To był policzek dla duchownych, którzy z nienawiści do „wielkiego szatana” uczynili jeden z wyznaczników nowego irańskiego społeczeństwa. Miesiąc trwało, zanim rząd wpadł na pomysł, co zrobić z Abdim. Wszyscy pamiętali go jako jednego z legendarnych zdobywców amerykańskiej ambasady, trudno więc było zarzucić mu służenie imperialistom. A jednak po kilku tygodniach Abdi został uznany za płatnego szpiega Ameryki. Dostał pięć lat więzienia, wyszedł po dwóch.

Według ostatnich badań Instytutu Gallupa (2008) Irańczycy są do tego stopnia zmęczeni ciągłymi atakami rządu na Stany Zjednoczone, że na złość ajatollahom stali się najbardziej proamerykańskim narodem na Bliskim Wschodzie. Lubią USA dużo bardziej niż mieszkańcy Egiptu czy Arabii Saudyjskiej, krajów, które są sojusznikami Ameryki w tym regionie. Irańczykom niespecjalnie nawet przeszkadza obecność marines w sąsiednim Iraku. W przeciwieństwie do Arabów, dla których priorytetem jest wycofanie wojsk USA z Bagdadu, Irańczykom dwukrotnie bardziej zależy na przywróceniu wymiany gospodarczej, technologicznej i naukowej oraz na amerykańskich inwestycjach w ich kraju. Irańczycy wiedzą, że rozwój ich państwa jest niemożliwy, jeśli będą wciąż odwróceny od Zachodu.

Te same badania przeprowadzone w USA wykazały, że przeciętny Amerykanin postrzega Iran jako swojego największego wroga. Groźniejszego niż Korea Północna, Afganistan, Pakistan, Rosja i Wenezuela razem wzięte. Mieszkańcy Stanów Zjednoczonych

są przeświadczeni, że Iran to kraj szaleńców, których głównym celem jest jak najszybsze wyprodukowanie broni jądrowej i dokonanie spektakularnego, samobójczego ataku na Tel Awiw i Waszyngton.

Jak to możliwe, że kraj, któremu de facto nigdy nie udowodniono prac nad bronią nuklearną, uważany jest przez Zachód za zagrożenie większe niż Korea Północna, która taką broń już posiadała i na dodatek od kilkudziesięciu lat jest rządzona przez nieobliczalną rodzinę Kimów? Odpowiedź wydaje się prosta. Jest nią najważniejszy sojusznik USA - Izrael. Ajatollahowie już w latach sześćdziesiątych miotali obelgi w stronę Żydów, uważając ich za cichych, ale bliskich przyjaciół znieawidzonego szacha. Pahlawi, mimo że w kilku wywiadach zalił się na żydowskie lobby rządzące amerykańskimi mediami i finansjerą, jednocześnie zafascynowany był dynamizmem i siłą młodego państwa izraelskiego. Cieszył się z wygrywanych przez nie wojen z Arabami, uważał bowiem, że największą klęską w historii Iranu był najazd muzułmański, który złamał wielką cywilizację. Wiele razy zastanawiał się nad formalnym uznaniem Izraela, jednak nigdy nie zdecydował się na ten krok. Nie przeszkadzało mu to jednak wbrew Arabom sprzedawać Tel Awiwowi ropę i w zamian przyjmować broń oraz specjalistów z Mossadu, którzy szkolili tajną policję, Sawak.

„W pewnym sensie byliśmy władcami Sawaku” - stwierdził w 2006 roku Eliezer Tsafirir, ostatni przed rewolucją szef misji Mossadu w Iranie. W czasach Pahlawiego w Teheranie urzędowało też stałe przedstawicielstwo izraelskie, pełniące funkcję nieoficjalnej ambasady, wciąż przyjeżdżały delegacje, na czele z izraelskimi premierami i ministrami obrony. Dla Żydów, otoczonych przez kraje arabskie, Turcja i Iran wydawały się naturalnymi sojusznikami, rozbijającymi solidarność muzułmańską. Szczególną rolę przypisywano szachowi jako przeciwnikowi zbrojącego się na potęgę, antyizraelsko nastawionego Saddama Husajna. Dziś zakrawa to na ponury żart, ale właśnie Izrael był państwem, które zgodziło się stworzyć dla Iranu system rakiet „Jerycho”, o zasięgu do ośmiuset kilometrów. Trwające testy nowej broni przerwała jednak rewolucja. I wtedy też zmienił się stosunek Iranu do Izraela.

Ajatollah Chomeini, jak wielu innych, przekonany był o żydowskim spisku rządzącym światem. Jakoś nie zwracał uwagi, że w czasach starożytnych Persowie darzyli Żydów przyjaźnią, o czym można się przekonać choćby na kartach Biblii. Nie tylko uwolnili ich z niewoli babilońskiej, nie tylko żydowska księżniczka Estera uprzedziła swojego męża Kserksesa o zamachu na jego życie, ale jeszcze na koniec trzej kapłani zoroastrijscy z irańskiego Kaszanu (zwani w Biblii Trzema Królami) jako pierwsi złożyli hołd najślynniejszemu z Żydów, Jezusowi. Dla Chomeiniego wszystko to było mniej ważne niż izraelskie państwo: ten syjonistyczny rak, wtłoczony przez Anglików w sam środek

muzułmańskiej ziemi.

Antysemityzm Chomeiniego miał jednak również wymiar taktyczny. Tuż przed rewolucją, kiedy Egipt zaczął prowadzić z Izraelem rozmowy pokojowe, Chomeini postanowił wykorzystać niechęć arabskiej ulicy do ugody z państwem żydowskim. Irańczycy jako szyici, a zarazem naród z odmiennym językiem i przekonaniem o swojej wyższości kulturowej, nigdy nie cieszyli się wśród Arabów przesadną sympatią. Teraz jednak mogli zacząć się przedstawiać jako jedyni obrońcy islamu, zdradzonego przez chodzące na pasku USA arabskie dyktatury, które dogadują się z Żydami i traktują religię z dystansem.

Chomeini był ogarnięty wizją ogólnoswiatowej, islamskiej rewolucji, a droga do niej wiodła przez bunt mieszkańców krajów arabskich, rządzonych w większości przez ześwieczonych satrapów. Szczególne miejsce zajmowały w tej układance Palestyna i Liban, zaangażowane w walkę z Izraelem. W przypadku Libanu Iran mógł zresztą uchodzić za naturalnego obrońcę z racji dużej społeczności szyickiej w tym kraju. Dlatego właśnie Chomeini zdecydował się zbroić i szkolić Hezbollah, a z antysemityzmu uczynił filar polityki zagranicznej.

W czasie prezydentury Chatamiego Izrael nieco odetchnął od agresywnej retoryki, tym większym więc szokiem było wejście na scenę polityczną Ahmadineżada z jego poglądami na temat Holokaustu i Izraela. Nowy prezydent zaczął domagać się zlikwidowania „syjonistycznego reżimu” oraz publicznie powątpiewał w ludobójstwo Żydów. Jednocześnie zarzucał Zachodowi hipokryzję i zadawał pytania: „Jeśli nawet Holokaust jest prawdą i zdarzył się w Europie, to dlaczego mocarstwa zachodnie w ramach pokuty nie stworzyły na swoim kontynencie państwa dla ofiar ludobójstwa? Dlaczego pozbyły się problemu, podrzucając go Palestyńczykom i doprowadzając do tego, że teraz oni są mordowani i wyganiani z domów?”.

Ahmadineżadowi udało się nawet znaleźć sojuszników wśród samych Żydów. Ostentacyjnie spotykał się z kontrowersyjnymi rabinami skupionymi wokół Neturei Karta, ruchu, który sprzeciwiał się tworzeniu osobnego państwa żydowskiego przed nadejściem Mesjasza. Ich przywódca zaszokował opinię publiczną, nazywając Ahmadineżada obrońcą pokoju.

Dla Izraela nowa władza irańska stała się ogromnym wyzwaniem. Nie chodziło jednak tylko o wygłaszane co rusz obelgi i okrzyki „Śmierć Izraelowi!”, wznoszone nawet w parlamencie. O wiele bardziej niepokojące było to, co mogło w przyszłości pójść za słowami - bomba atomowa.

Historia irańskiego programu nuklearnego sięga końca lat pięćdziesiątych. To wtedy

Amerykanie zgodzili się pomóc szachowi w budowie pierwszej elektrowni jądrowej, a w 1967 roku dostarczyli mu nawet reaktor badawczy. Warunkiem było podpisanie układu o nierozprzestrzenianiu broni masowego rażenia, co Iran uczynił. Pięć lat przed swoim upadkiem Pahlawi zdążył jeszcze podpisać z Niemcami umowę o budowie elektrowni w Buszehrze, a także porozumienie z Francją, która miała dostarczać wzbogaconego uranu.

Rewolucja przerwała wszystkie plany. Zachód nie chciał współpracować z rządem Chomeiniego, zainteresowania nie było też z drugiej strony. Ajatollahowie, zasobni w ropę, uznali, że energia jądrowa jest niepotrzebna i kosztowna, a o bombie atomowej wyrażali się wyjątkowo krytycznie. Uważali ją za imperialistyczny, szatański wynalazek, którego celem jest mordowanie cywilów, nie wojska.

Powrót do programu nuklearnego nastąpił u schyłku wojny z Irakiem, oficjalnie - by zdywersyfikować źródła energii i przygotować się na koniec naftowej prosperity. Rozpoczęto współpracę z Chinami, potem Rosja zgodziła się dokończyć elektrownię w Buszehrze, porzuconą przez Niemców. Świat nie przejmował się Iranem aż do sierpnia 2002 roku, kiedy przebywający na emigracji mudżahedini ujawnili dokumenty świadczące o tym, że Iran w tajemnicy wybudował zakład wzbogacania uranu w Natanzu i fabrykę ciężkiej wody oraz reaktor plutonowy w Araku. Później zaczęły dochodzić sygnały o kolejnych, umocnionych, czasem wręcz podziemnych laboratoriach, rozproszonych po całym kraju. Wyszło też na jaw, że ojciec pakistańskiej bomby atomowej, Abdul Kadir Chan, dzielił się swoją wiedzą z Irańczykami.

Teheran znalazł się pod ostrzałem, choć kategorycznie twierdził, że energia atomowa potrzebna jest mu wyłącznie po to, by produkować paliwo do elektrowni oraz dostarczać pluton i uran do celów naukowych i medycznych, głównie produkcji izotopów wykorzystywanych w leczeniu raka. Zachód był zdania, że plany budowy sieci elektrowni to jedynie przykrywka dla stworzenia bomby. Inaczej nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego kraj, mający obowiązek informować Międzynarodową Agencję Energii Atomowej (MAEA) o swoich działaniach, tworzy tajne laboratoria i odmawia dostępu do niektórych obiektów ekspertom agencji.

Po wielu miesiącach negocjacji, groźbach kolejnych sankcji oraz pojawiających się przeciekach o możliwości ataku lotniczego ze strony USA i Izraela Iran się ugiął. Prezydent Chatami - po uzyskaniu zgody Chameneiego - zdecydował się zawiesić program atomowy na prośbę Francji i Niemiec. Irańczycy, nawet ci nastawieni wrogo do ajatollahów, uznali się jednak za ofiarę szantażu. Mówili: „Spójrzcie naokoło nas. Bombę atomową zbudował potajemnie Izrael, Pakistan i Indie, kraje, które nigdy nie przystąpiły do układu o



nierozprzestrzenianiu broni jądrowej i nigdy nie wpuściły na swój teren żadnej inspekcji. Jakoś nikt nie zamierza ich atakować ani karać sankcjami. My zaś wciąż jesteśmy sygnatariuszami traktatu i współpracujemy z ONZ. Dlaczego tylko nas się szykanuje?”.

Kiedy do władzy doszedł Ahmadineżad, prace w Natanzu i Araku znowu ruszyły z kopyta. Od tego czasu trwa nieustanna przepychanka. Iran raz wyrzuca inspektorów MAEA lub opóźnia zgodę na inspekcje w zakładach nuklearnych, to znów zmienia taktykę i zaprasza na kontrole. Raz uzgadnia z Zachodem optymistycznie brzmiące porozumienia, po czym nagle z nich rezygnuje. Najważniejszym jednak problemem jest fakt, że mimo usilnych starań nikomu nie udało się dotychczas zdobyć żadnego dowodu, iż Teheran rzeczywiście pracuje nad bombą. Podkreśla to często wieloletni szef MAEA i zarazem laureat Pokojowej Nagrody Nobla, Egipcjanin Mohamed ElBaradei. Podobnie jak były doradca prezydenta Jimmy’ego Cartera, profesor Zbigniew Brzeziński, uważa on, że Irańczycy nie są szaleńcami i nawet jeśli czasem wypowiadają zbyt dużo groźnie brzmiących słów, to wcale nie znaczy, że pójdą za nimi czyni. W lutym 2009 roku w wywiadzie dla CNN ElBaradei stwierdził: „Oni są bardzo twardymi klientami. Od tysięcy lat mają doświadczenia w handlu. Wiedzą, czego żądać i jaką cenę uzyskać. Są inteligentnymi negocjatorami. Myślą strategicznie, bez emocji, długoterminowo”.

Według ElBaradeiego, nie należy przesadzać z zagrożeniem ze strony Iranu z powodu prac nad wzbogacaniem uranu. Podobne badania prowadzi się obecnie w trzynastu innych państwach (między innymi w Japonii, Australii, Argentynie, Korei Południowej, Brazylii, RPA), ale światowa opinia publiczna w ogóle się tym nie przejmuje, choć na przykład południowych Koreańczyków przyłapano na tajnym wzbogacaniu uranu do poziomu wykorzystywanego raczej w celach militarnych niż cywilnych.

Były szef MAEA proponuje, by zamiast wciąż stosować podwójne standardy i naciskać na Iran, zagwarantować mu raczej bezpieczeństwo, gdyż w obecnej chwili kraj ten czuje się poważnie zagrożony. Nie dość że broń atomowa jest w całym sąsiednim regionie (Rosji, Chinach, Izraelu, Pakistanie, Indiach), to na dodatek Iran został oskrzydłony ze strony Ameryki, której wojska są zarówno w Iraku, jak i w Afganistanie, w sumie dwieście tysięcy żołnierzy. Iran patrzy na nie z obawą, pamiętając sponsorowany przez CIA przewrót z 1953 roku.

ElBaradei jest zdania, że nawet jeśli Iran myśli o własnej broni jądrowej, to wyłącznie po to, by zapewnić sobie bezpieczeństwo, a nie zrealizować jakąś szaloną wizję ataku na Izrael, co przecież niechybnie skończyłoby się apokaliptycznym odwetem Tel Awiwu. Dlatego tak bardzo niepokoi go ciągle rozważany w Izraelu scenariusz wyprzedzającego

ataku na irańskie ośrodki nuklearne. Nie wystarczyłoby zbombardowanie Natanzu czy Araku. Żeby choć na kilka lat powstrzymać irański program atomowy, Izrael musiałby zrównać z ziemią co najmniej kilkanaście ośrodków, często rozmieszczonych pośród gęstych skupisk ludności. „Jeśli coś takiego nastąpi, cały region zamieni się w kulę ognia” - powiedział w kwietniu 2009 roku w wywiadzie dla „New York Timesa” ElBaradei. W jego opinii właśnie izraelski atak mógłby sprowokować ajatollahów do wydania decyzji o przyjęciu „kursu zderzeniowego”: produkcji broni masowego rażenia, wypowiedzeniu wojny Izraelowi i sprowokowaniu kolejnej palestyńskiej intifady.

Na razie informacje o irańskich próbach pozyskania bomby są oparte bardziej na trudnych do zweryfikowania opiniach niż na faktach. Najbardziej wiarygodny raport powstał w listopadzie

2007 roku i sygnowało go szesnaście amerykańskich agencji wywiadowczych, które jednoznacznie stwierdziły, że jesienią 2003 roku Iran zawiesił wszelkie prace nad bombą. Tak naprawdę jedynym niezaprzeczalnym faktem pozostaje to, że Irańczycy zbudowali pierwszą elektrownię atomową i myślą o następnych. Reszta to tylko spekulacje. Podobne domniemania doprowadziły jednak w 2003 roku do ataku na Irak, choć - jak się później okazało - kraj ten nie dysponował żadną bronią masowego rażenia, mimo że Amerykanie byli o tym święcie przekonani, a Colin Powell pokazywał w ONZ zdjęcia satelitarne przenośnych laboratoriów, produkujących rzekomo broń chemiczną, oraz powtarzał plotki o kupowaniu przez Irak uranu w Nigrze. Po inwazji na Bagdad okazało się, że historia o afrykańskim uranie była wyszana z palca, a jedyną bronią chemiczną, jaką kiedykolwiek posiadał Irak, były gaz musztardowy i sarin, przygotowany w latach osiemdziesiątych dzięki komponentom przysłanym z USA i Francji. A potem użyty przeciwko Irańczykom i Kurdom.

Dziś tę samą rolę „czarnego luda” odgrywa Iran. W światowych mediach co rusz wybucha atomowa histeria, która ukazuje Teheran pod postacią nieobliczalnej mały z brzytwą, marzącej o wysadzeniu w powietrze całej planety. Jako żywo przypomina to propagandę z końca 2002 roku, kiedy wierzono bezkrytycznie nawet w tak absurdalne opowieści jak ta, że Saddam Husajn jest sojusznikiem AlKaidy. Znaczących problematyki, próbujących przypominać, że fanatyk religijny Osama bin Laden zawsze pogardzał świeckim dyktatorem z Bagdadu - szybko zakrzyczano. Każdy głos przeciwko wojnie był traktowany jako opinia mięczaka, który nie rozumie, że Saddam jest nowym Hitlerem i trzeba go zatrzymać bez względu na koszty. Zastosowano prostą, ale skuteczną regułę: kłamstwo powtórzone sto razy w końcu staje się prawdą.

Obecnie podobną atmosferę tworzy się wokół Iranu. Dlatego każda irańska próba

rakietowa wywołuje w zachodniej prasie tytuły: *Iran zbroi się na potęgę* albo *Kolejny krok w stronę bomby*. Tymczasem fakty są takie, że rządony przez despotów Iran wcale nie jest krajem ogarniętym manią zbrojeń. Kiedy wgłębimy się w szczegóły raportów analityków z Waszyngtonu i Londynu, których nie należy raczej podejrzewać o lekceważenie zagrożenia ze strony Teheranu, okaże się, że Iran wydaje na zbrojenia ponad trzy razy mniej niż inne potęgi tego regionu: Turcja i Arabia Saudyjska oraz dwukrotnie mniej niż Irak czy Izrael. I choć irańskie wojsko pod względem liczebności (ponad pół miliona żołnierzy) uważane jest za ósmą armię świata, jej wartość bojowa pozostaje nieznana. To konglomerat przestarzałej broni amerykańskiej i brytyjskiej z czasów szacha, średniej klasy sprzętu rosyjskiego i chińskiego oraz własnych technologii: samolotów, czołgów, rakiet. Z takim uzbrojeniem Iran nie jest w stanie prowadzić ofensywnych akcji przeciwko światowym potęgom, ale ma potencjał, by się bronić. Posiada m.in. dobrze przeszkolone jednostki specjalne oraz fanatyczną Gwardię Rewolucyjną, która gwarantuje, że w przypadku agresji z zewnątrz stawi zaciekły opór i nie rozplynie się we mgle, jak to się stało z gwardzistami Saddama Husajna w 2003 roku. Wszystko to, wraz z wpływami Iranu w Hezbollahu i Hamasie, sprawia, że gdyby Stanom Zjednoczonym lub - co bardziej prawdopodobne - Izraelowi przyszło na myśl zaatakowanie irańskich obiektów atomowych, skutki byłyby trudne do wyobrażenia. W wyniku bombardowań zginęłyby tysiące cywilów, co wzmocniłoby popularność władz i dało im pretekst do rozprawienia się z prodemokratyczną opozycją. Iran byłby też zdolny do odwetu, blokując wąską cieśninę Ormuz w Zatoce Perskiej, co sparaliżowałoby zupełnie transport ropy naftowej, płynącej z państw arabskich na Zachód, oraz doprowadziłoby do gwałtownego wzrostu cen i ogólnoświatowego kryzysu. Kasandrycznych wizji jest dużo więcej. Iran mógłby odpalić rakiety dalekiego zasięgu w stronę Izraela lub ostrzelać go z libańskiego terytorium. Mógłby też wzniecić kolejne palestyńskie powstanie, zaatakować Amerykanów w Iraku i Afganistanie oraz zorganizować falę zamachów terrorystycznych na całym świecie. W przeszłości już to robił, choćby w 1994 roku w Buenos Aires, gdzie wspólna akcja brygad AlQuds i libańskiego Hezbollahu doprowadziła do śmierci osiemdziesięciu pięciu żydowskich emigrantów.

Rozważając kwestię irańskiego atomu, warto zauważyć jeszcze jedną rzecz. Władza w Teheranie bardzo się oburza na doniesienia, przypisujące jej plany zbudowania bomby jądrowej, ale z drugiej strony doskonale wie, że nieustanny szum w mediach podnosi jej znaczenie na świecie. Może więc odpowiednio wykorzystać atomową histerię w rozmowach z Zachodem. Na przykład godząc się na układ: „My kończymy ze wzbogacaniem uranu, a wy przestajecie się interesować prawami człowieka na naszym podwórku”. Taki scenariusz byłby

dla milionów Irańczyków, spragnionych wolności i demokracji, najgorszą z możliwych opcji.

## **razem przeciwko talibom i AlKaidzie**

W powszechnym przeświadczeniu mieszkańców Zachodu Iran jest pariasem społeczności międzynarodowej, skazanym na egzotyczne sojusze z państwami pokroju Wenezueli, Sudanu czy Białorusi. Tymczasem prawda jest o wiele bardziej skomplikowana. Gigantyczne źródła ropy i gazu pozwalają irańskiemu reżimowi na budowanie sieci przyjaznych kontaktów z dziesiątkami państw, które łączy zapotrzebowanie na energię. Irańska nafta już teraz napędza rozwój Chin (wymiana gospodarcza wzrosła między 2007 i 2008 rokiem o połowę), a także Japonii, Korei Południowej, Indii i Indonezji. W kolejce stoi też głodny gazu i ropy oraz Pakistan. To jest główny powód, dla którego ze strony mocarstw azjatyckich nie płyną niemal żadne słowa krytyki pod adresem Teheranu. Iran wzmacnia też swoją pozycję w Ameryce Południowej, niechętniej USA. Delegacje z Teheranu coraz częściej odwiedzają nie tylko Wenezuelę, ale także Boliwię, Ekwador, Brazylię i Nikaraguę, oferując sojusz polityczny oraz wspólne interesy.

Stany Zjednoczone doskonale zdają sobie sprawę z siły, jaką stanowi ofensywa Iranu w miejscach, gdzie wpływy USA słabną. Nie przypadkiem w grudniu 2008 roku ajatollah Chamenei znalazł się na jedenastym miejscu listy najbardziej wpływowych postaci współczesnego świata, sporządzonej przez „Newsweek”.

Co ciekawe, przed rewolucją takie samo znaczenie przypisywano w Waszyngtonie szachowi Pahlawiemu, choć z zupełnie innych powodów. USA uznawały go za żandarma regionu oraz - jak stwierdził prezydent Jimmy Carter - „wyspę stabilności w morzu chaosu”. W 1979 roku wyspę nawiedziło tsunami, które odwróciło sytuację o sto osiemdziesiąt stopni. A jednak pomimo otwartej, skrajnej wrogości w historii najnowszej zdarzały się momenty, w których oba państwa wspominały lepsze czasy i blisko, aczkolwiek potajemnie, ze sobą współpracowały.

W 1985 roku, w środku wojny irackoirańskiej, Waszyngton zaakceptował sprzedaż do Iranu rakiet przeciwlotniczych i przeciwczołgowych o wartości stu milionów dolarów. Zrobił to pomimo ścisłych sankcji oraz cichego opowiedzenia się USA po stronie Saddama Husajna. Pieniądze otrzymane z Teheranu spożytkowano potem na wsparcie dla nikaraguańskiej partyzantki walczącej z lewicowym rządem. Kiedy skandal wyszedł na jaw, ochrzczono go mianem afery IranContras.

Celem tajnej transakcji, w której jako pośrednicy początkowo występowali Izraelczycy (!), było uzyskanie pomocy Iranu w negocjacjach z Hezbollahem,

przetrzymującym siedmiu porwanych obywateli USA. Amerykanie otrzymali też obietnicę ze strony niezidentyfikowanej do dziś grupy wpływowych polityków irańskich, że zrobi ona, co w jej mocy, by osłabić radykalny, antyamerykański kurs w otoczeniu Chomeiniego. Ostatecznie z planów niewiele wyszło. Hezbollah oswobodził co prawda czterech zakładników, jednak za moment doszło w Libanie do porwania trzech następnych Amerykanów. Tajemnicza zaś „wpływowa grupa” w irańskim rządzie nie okazała się aż tak wpływowa, by temu zapobiec. Amerykanie stracili zapał do negocjacji, a za chwilę cała afera wyszła na jaw.

Tabu zostało jednak przełamane. Właśnie dlatego Amerykanie i Irańczycy kolejny raz nawiązali z sobą kontakt, gdy w siłę urosła AlKaida.

Dla wielu, nawet wykształconych ludzi na świecie organizacja Osamy bin Ladena jest radykalniejszą wersją tego samego zagrożenia, które stanowi Iran. Tymczasem w trójkącie USA-Iran-AlKaida Teheran i Waszyngton stoją zazwyczaj po tej samej stronie. Zarówno bin Laden, jak i fanatyczny przywódca afgańskich talibów mułła Omar zawsze uważali szyicki Iran za ognisko raka na zdrowym ciele sunnickiego islamu. Człowiek zaś numer dwa w AlKaidzie, Egipcjanin Ajman AlZawahiri, wielokrotnie posądział Teheran o ścisłą współpracę z USA w wojnie z talibami. Paradoksalnie, w stwierdzeniu tym było ziarno prawdy. Teheran przez wiele lat współpracował na terenie Afganistanu z konkurentami talibów, mudżahedinami Ahmada Szaha Masuda. Legendarny „Lew Pandzsziru” był przez Irańczyków zaopatrywany w broń, tak samo jak walczące w Heracie oddziały Ismaila Chana oraz plemię szyickich Hazarów.

Kiedy latem 1988 roku talibowie zdobyli afgańską twierdzę Mazare Szarif, dyplomaci z irańskiego konsulatu i przebywający wraz z nimi dziennikarz znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Zachował się dramatyczny zapis rozmowy telefonicznej irańskiego konsula, który siedząc w piwnicy, błagał Teheran o pomoc i do końca relacjonował atak talibów. Połączenie urywa się wraz z gwałtownymi okrzykami napastników, wdzierających się do pomieszczenia. Chwilę później talibowie zamordowali dziewięć osób.

Atak na konsulat wywołał wybuch gniewu w Iranie. Nad granicę z Afganistanem ściągnęło ponad siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy, jednak w ostatniej chwili rząd Chatamiego zgodził się odwołać inwazję na prośbę ONZ. Kto wie, być może gdyby doszło wtedy do ofensywy, Amerykanie nigdy nie przeżyliby zamachów na World Trade Center?

W czasie gdy talibowie rządili Afganistanem, Stany uznawały partyzantów legendarnego Masuda za frakcję prorosyjską i proirańską, a z talibami początkowo wręcz flirtowały, licząc na to, że z ogarniętego chaosem kraju uczynią coś na kształt rządzonej

twardą ręką, radykalniejszej wersji Arabii Saudyjskiej. Amerykańskie koncerny paliwowe na czele z UNOCALem liczyły już pieniądze z planowanego rurociągu, który miał transportować przez Afganistan turkmeński gaz, zmierzający w stronę portu w pakistańskim Karaczi.

Kiedy 11 września 2001 roku AlKaida zaatakowała Stany Zjednoczone, a George W. Bush zapowiedział odwet, Iran okazał się nagle bardzo pożądanym sojusznikiem. Zaczęły się tajne negocjacje, w których Teheran stał się dostarczycielem informacji wywiadowczych o pozycjach zajmowanych przez talibów oraz kanałem kontaktowym między Amerykanami i Sojuszem Północnym Masuda. Już po ataku Amerykanów na Afganistan Irańczycy polowali też na uciekających przez granicę bojowników AlKaidy, po czym odsyłali ich z powrotem w kajdankach. W tym czasie doszło nawet do zaskakującej akcji, owianej przez lata tajemnicą. Irańskie i amerykańskie służby specjalne wspólnie pomogły zorganizować powstanie przeciwko talibom w zachodnioafgańskim mieście Herat, które od wieków znajdowało się w orbicie kulturowych wpływów Iranu. Jego mieszkańcy, w większości Tadzycy, mówią w dari, który jest odmianą języka perskiego.

Przy pełnej akceptacji Amerykanów komandosi z irańskich brygad AlQuds przypuścili 12 listopada 2001 roku szturm na dowództwo talibów w Heracie. Było to sygnałem dla pięciu tysięcy bojowników Ismaila Chana, którzy bardzo szybko opanowali miasto i całą prowincję.

Bitwa o Herat wydawała się dobrym wstępem do dalszej współpracy, zwłaszcza w kontekście faktu, że prezydentem Iranu był wtedy reformator Chatami. Jednak niespodziewanie rok później Iran trafił do słynnej „osi zła”, czyli stworzonej przez prezydenta Busha listy najbardziej niebezpiecznych państw na świecie. Jeden z najbliższych współpracowników Busha, były zastępca sekretarza obrony Paul Wolfowitz, próbował nawet udowodniać, że Iran współpracuje z AlKaidą. Efekt tej niemądrej kampanii był taki, że w Iranie skończyły się reformy Chatamiego, władzę przejął radykał Ahmadineżad, a kraj wszedł w orbitę Rosji i Chin. Na koniec Amerykanie zaczęli znajdować pod swoimi afgańskimi bazami irańskie miny. Do dziś nie wiadomo, czy dostały się one tam określoną drogą z rąk przemysłowców, czy też za wiedzą władz w Teheranie.

Paradoksem amerykańskiego podboju Iraku i Afganistanu jest fakt, że najwięcej korzyści z tych operacji odniosła irańska dyktatura. To ona zyskała najbardziej na obaleniu zniechęconego reżimu talibów, nawiązując z nowym rządem w Kabulu przyjazne stosunki i stając się czwartym pod względem wielkości partnerem gospodarczym oraz pożądanym inwestorem.

Jeszcze większe korzyści Iran czerpie z pozbycia się rękami Amerykanów swojego odwiecznego wroga Saddama Husajna. Do głosu w Iraku doszli po raz pierwszy w XX wieku szyici, a ogromne wpływy w rządzie uzyskali byli opozycjoniści i duchowni, którzy przez lata przebywali na emigracji w Iranie. Nawet Muqtada AlSadr, organizator antyamerykańskich powstań w Iraku, który początkowo uchodził za zwolennika niezależności od Iranu, stał się w końcu jednym z najważniejszych ogniw proirańskiego lobby. Rozpoczął nawet studia religijne w Quom.

Oczywiście przesadą byłoby twierdzenie, że Iran nie ma problemów w polityce zagranicznej. Ma, i to bardzo wiele. Podstawowy problem stanowi Europa - kraina marzeń dla Irańczyków, modlących się o dzień, w którym zaczną sprzedawać jej ocean swojego gazu. Obecne sankcje i niechęć europejskich rządów wobec Ahmadineżada i Chameneiego wciąż blokują decyzje o miliardowych inwestycjach na irańskim rynku ze strony euro pejskich koncernów. Nawet w takich krajach, jak Niemcy i Włochy, tradycyjnie handlujących z Iranem mimo panującego tam reżimu, po ostatnich represjach wobec opozycji zainteresowanie inwestycjami wyraźnie spadło. Traci na tym Teheran, a zyskuje Moskwa.

Rosja od lat prowadzi niezwykle inteligentną grę, której głównym celem jest utrzymanie w Teheranie dotychczasowego reżimu, z jego antyzachodnim kursem. Dopóki bowiem Iranem rządzą radykałowie, dopóty będą potrzebowali rosyjskiego bodyguarda, który nie pozwoli na zbyt surowe sankcje ONZ i nie zaakceptuje militarnej akcji przeciwko Chameneiemu i Ahmadineżadowi. Dla Rosji jest to idealne rozwiązanie. Zapewnia Moskwie wpływy polityczne w Teheranie i jednocześnie gwarantuje, że jeszcze długo perski gaz nie będzie zagrożeniem dla zysków Gazpromu. Kłopot w tym, że islamski reżim coraz bardziej się chwiewie, a coraz więcej Irańczyków zdaje sobie sprawę, że są jedynie przedmiotem w wielkiej geopolitycznej grze Kremla. Kiedy zaraz po kontrowersyjnych wyborach z czerwca 2009 roku, w dniach największych zamieszek Mahmud Ahmadineżad wybrał się w pierwszą zagraniczną podróż do Rosji, zostało to odebrane jako wiernopoddańczy gest i jednocześnie wyraz akceptacji Moskwy dla przemocy wobec opozycji. Niemal natychmiast do repertuaru demonstrantów trafiło hasło: „Śmierć Rosji!” i stało się jednym z częściej powtarzanych. Na złość władzom, lubującym się w życzeniach zgonu dla USA, Anglii i Izraela.

Pomimo oficjalnie deklarowanej przyjaźni w dłuższej perspektywie sojusz Teheranu z Moskwą jest jednak nie do utrzymania. Rosjanie już teraz nie sprawiają wrażenia zanadto wiernych sojuszników i kiedy tylko mają w perspektywie jakieś korzyści ze strony Zachodu, natychmiast zapominają o zawartych z Iranem kontraktach na dostawy broni raketowej lub o pracach wykończeniowych w elektrowni atomowej w Buszehrze. Ważniejsze jest jednak, że



Iran i Rosja są dla siebie naturalną konkurencją, gdyż handlują dokładnie tymi samymi surowcami, a ponadto znajdują się w cichym sporze o podział Morza Kaspijskiego. Utrzymujący się w tej kwestii pat jest na rękę Moskwie. Nie pozwala Teheranowi na wymarzone poszerzenie wód terytorialnych, co pozwoliłoby dostać się do złóż gazu, leżących tuż za obecną granicą morską.

Jeśli tylko Iran spuści z tonu w sprawie programu atomowego i przestanie prześladować opozycję, w nagrodę otrzyma zapewne możliwość nieskrępowanego handlu z Zachodem. Jedną z pierwszych inwestycji będzie wtedy potężny gazociąg Nabucco. Trasa jest już właściwie zaprojektowana, a Iran od Europy oddziela jedynie Turcja. To jednak nie stanowi żadnego problemu, gdyż Turcja (a także sąsiednie Gruzja i Armenia) od lat jest w bardzo dobrych stosunkach z Iranem, i to nie tylko na polu dyplomatycznym i gospodarczym, ale również czysto ludzkim. Turcja to jeden z bardzo niewielu krajów, które nie wymagają od Irańczyków wiz, przez co stała się ulubionym kierunkiem ich wakacyjnych podróży. Na dodatek, jako członek NATO i kraj niechętny Rosji, jest dziś oknem na świat, naturalnym pomostem łączącym Iran z Zachodem.

Najbardziej skomplikowane relacje polityczne łączą dziś Iran ze światem arabskim. Nie przypadkiem w wielomilionowym Teheranie można bez trudu znaleźć kościoły i synagogi, ale nie sposób natrafić na choćby jeden sunnicki meczet. Podczas moich podróży po Iranie rzadziej zdarzało mi się spotykać ludzi złorzeczących na Izrael niż na Arabów. Nieraz miałem wrażenie, że był to wręcz rasizm. Irańczycy uważają Arabów za ludzi prymitywnych, pozbawionych kultury, a zwolennicy opozycji, często ludzie wykształceni, obarczają ich odpowiedzialnością za wszelkie nieszczęścia, mające swe źródło w narzuceniu islamu przed wiekami. Wielu Irańczyków lubi też podkreślać, jak daleko w sensie etnicznym są od siebie obie nacje. To akurat prawda. Niewiele osób zdaje sobie sprawę, że językowi farsi (jako indoeuropejskiemu) o wiele bliżej do polskiego niż do arabskiego. Jeszcze mniej ludzi ma świadomość, że już w samej rodzinie języków indoeuropejskich farsi jest bliższym krewnym polskiego niż na przykład niemiecki.

Jedyny trwały sojusz Iranu w świecie arabskim to przymierze z Syrią, zaangażowaną w konflikt palestyńskoizraelski. Wypadkową tej przyjaźni jest pakt Iranu z libańskim Hezbollahem, radykalną reprezentacją szyitów, którzy stanowią niemal trzy dziesiętprocentową mniejszość religijną w tym kraju. Za pieniądze z Teheranu Hezbollah prowadzi wojnę z Izraelem, ale jednocześnie odbudowuje Bejrut. Dla rządu Iranu jest to powód do dumy, dla dużej części społeczeństwa - przyczyna wstydu przed całym światem. Irańczycy nie rozumieją, dlaczego zmagający się z kryzysem rząd woli wysyłać pieniądze do

Libanu i Strefy Gazy, zamiast pomagać kilkunastu milionom irańskich biedaków, żyjących za mniej niż dwa dolary dziennie.

Właśnie sprawa mieszania się Iranu w sprawy Libanu i Palestyny jest jedną z głównych przyczyn niechęci ze strony dwóch najsilniejszych państw arabskich: Arabii Saudyjskiej i Egiptu.

Egipt stał się wrogiem Iranu za swój sojusz z szachem pod koniec jego rządów i zaofiarowanie mu bezpiecznej przystani u schyłku życia Pahlawiego. Nienawiść jeszcze wzrosła, gdy egipski prezydent Hosni Mubarak uznał, że jedynym sposobem rozwiązania problemów z Izraelem są rozmowy pokojowe, a nie wojny, w których Żydzi zresztą zawsze wygrywali. Radykałowie z Teheranu uznali rozsądne posunięcie Mubaraka za zdradę islamu. Symbolem ich stosunku do Kairu była przez wiele lat ulica imienia Chalida Allslambuli, zabójcy egipskiego prezydenta Anwara asSadata. Nazwę zmienił dopiero w 2003 roku prezydent Chatami.

Równie długa jest wojna dyplomatyczna z Arabią Saudyjską. Co prawda ostatnio konflikt jakby ucichł, jednak oba kraje wciąż mają zupełnie odmienne interesy. Saudowie są konkurentami Iranu na rynku handlu ropą, posiadają na swoim terytorium bazy wojsk USA, w połowie lat dziewięćdziesiątych byli też uwikłani w sponsorowanie antyirańskich talibów, a wcześniej finansowali Saddama Husajna. Dla władz Iranu są dziś najlepszym przykładem na hipokryzję Ameryki, która lamentuje nad łamaniem praw człowieka przez ajatollahów, ale jednocześnie na swojego najlepszego islamskiego sojusznika (i zarazem potężnego dostarczyciela ropy) namaściła brutalny reżim saudyjski, w którym kobiety oraz mniejszości religijne (głównie szyici i chrześcijanie) nie mają prawie żadnych praw. Wspólne interesy kazały Stanom Zjednoczonym przymknąć oko nawet na fakt, że piętnastu z dziewiętnastu zamachowców, którzy dokonali ataków terrorystycznych 11 września 2001 roku, było Saudyjczykami.

Podobne zarzuty o hipokryzję Iran kieruje w stronę USA za ich sojusz z Egiptem. Ameryka od lat wspiera rządy prezydenta Mubaraka, podsyła mu na przesłuchania więźniów z Guantánamo i nie przejmuje się faktem, że w kraju tym od 1981 roku obowiązuje stan wyjątkowy, powszechnie łamane są prawa człowieka, dziennikarze trafiają nieustannie do aresztów, a wolne wybory to fikcja.

Kiedy latem 2009 roku wyjeżdżałem z Iranu, na międzynarodowym lotnisku imienia Imama Chomeiniego spotkałem Asima, eleganckiego egipskiego biznesmena, prowadzącego na całym Bliskim Wschodzie interesy dla dużej spółki budowlanej ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Asim powiedział mi ciekawą rzecz na temat Egiptu i Iranu.

- Patrząc chłodno, Iran jest w ogonie państw islamskich. Krwawy reżim, nienawiść do Zachodu, ciągle majstrowanie przy atomie, niemal zupełny brak turystów. Czy może być coś gorszego? - zastanawiał się Egipcjanin. - Ale z drugiej strony, spójrz na mój kraj. Niby wszystko jest normalne, turystów cała masa, a po ulicach nie biegają żadni basidzowie. Gdyby jednak w Egipcie zrobić wolne wybory, wygaliby religijni radykałowie. Przykre, ale prawdziwe. Za to Iran jest zupełnie inny, gotowy do zmiany. Gdyby dać mu możliwość swobodnego wyboru, na pewno poradziłby sobie. Z jego bogactwem i tą wspaniałą młodzieżą zamieniłby dzisiejsze piekło w raj.

## epilog

Piekło i Raj. Ile razy myślę o Iranie, zawsze te dwa przeciwieństwa stają mi przed oczami, a granica między nimi jest płynna. Jak ruchy szyi, ramion i bioder w irańskim tańcu. Teraz, kiedy Asim poszedł szukać swojego samolotu do Dubaju, siedzę sam i zastanawiam się, gdzie ja właściwie jestem? Czym jest Iran? Czy to nastoletni basidż w panterce, którego obserwowałem lornetką z dachu kamienicy, jak wygrażał pałką tłumowi? A może stojący po drugiej stronie ulicy jego rówieśnik, w modnych džinsach, zielonej przepasce na głowie i z kamieniem w ręku? Student Uniwersytetu Szarifa, który jeździ na wykłady własnym peugeotem, czy też może biedak z nieotynkowanej kamienicy koło polskiego cmentarza na Dulabie? Zdeterminowane emancypantki, które spotykałem w teherańskich galeriach i w wegetariańskiej restauracji przy Iranian Artists Forum, czy może bardziej ich zamknięte w domach rówieśniczki ze wsi pod Qazwinem, Maszhadem lub Zahedanem? Biznesmeni ze szklanych wieżowców niedaleko placu Wanak czy koczownicy spod Szirazu? Wilgotny, zielony Gilan z polami ryżowymi czy piekielna pustynia Daszte Lut?

Iran to mozaika przeciwności, istny węzeł gordyjski. Można go przeciąć nożycami kolejnej rewolucji, o czym nikt specjalnie tu nie marzy, można latami rozsupływać, jak chce większość. Jedno jest pewne. „Strzeżcie się westchnienia zranionego serca. Powiew z serc uciskanych może zmienić bieg świata”, jak napisał w XIII wieku perski poeta Sa'di. Dlatego nie mam wątpliwości, że Iran kiedyś się zmieni. Będzie to jednak proces długi, zależny w takim samym stopniu od determinacji opozycji, jak i od procesów zachodzących wewnątrz władzy. Dziś wiele wskazuje na to, że demokraci pogodzili się już z myślą, że ich droga do wolności będzie długa. Dlatego ich metody nakierowane są na tworzenie społeczeństwa obywatelskiego, starającego się stopniowo rozmiękczać władzę, zamęczać ją powtarzającymi się protestami, ale z wykorzystaniem pokojowych środków. Odpowiadanie przemocą na przemoc policji i basidżów jest bowiem spełnieniem życzeń najtwardszego jądra islamskiego systemu, marzącego, by pewnego dnia rozprawić się z demokratami metodą krwawej łaźni à la Tiananmen. Jeśli jednak opozycji uda się zachować charakter ruchu pokojowego, którego najcięższym narzędziem walki są kamienie (a nie bomby), istnieje wielka szansa, że liderzy opozycji nie zginą w tajemniczych okolicznościach, a wewnątrz władzy zaczną się rysować coraz głębsze pęknięcia.

Islamska Republika Iranu nie jest monolitem. Pośród najważniejszych ajatollahów istnieje grupa zdecydowanie niechętna dyktatorskiej władzy, skupiona wokół Jusefa

Sanaiego, oraz lobby „realistów”, których symbolem jest Haszemi Rafsandżani, pragnący stopniowego otwarcia Iranu na świat. Również wrogo nastawionemu do Zachodu środowisku fundamentalistów daleko do jednorodnego obrazu. Tajemnicą poliszynela jest, że takim ludziom, jak przewodniczący parlamentu Ali Laridżani czy wpływowy burmistrz Teheranu Mohammad Qalibaf, nie w smak jest kariera nieobliczalnego Ahmadineżada oraz jego niezbyt kompetentnego gabinetu, nieumiejącego sprostać kryzysowi gospodarczemu, a tym samym odpływowi licznych wciąż zwolenników islamskiej republiki. Co bystrzejsi konserwatyści wiedzą, że wraz ze słabnącą z każdym miesiącem pozycją starzejącego się duchowego przywódcy zbliżać się będzie nieuchronnie czas przesilenia i wyboru nowej drogi.

Ogromną rolę w tych wszystkich procesach mogą odegrać robotnicy, którzy coraz śmielej tworzą zręby ruchu związkowego, napędzanego kryzysem i ciągnącymi się miesiącami opóźnieniami w wypłatach pensji. Związkowcy mają już nawet swoich pierwszych bohaterów, na czele z Mansurem Osanlu, wielokrotnie więzionym liderem Syndykatu Teherańskich Kierowców.

Co na to wszystko siły zbrojne? Coraz częściej dochodzą słuchy, że lekceważona, zepchnięta na margines polityczny ponadpółmilionowa armia nie stanowi stuprocentowo pewnego bastionu, gwarantującego obronę systemu. Poziom zaufania władzy do wojska jest na pewno o wiele niższy niż do Gwardii Rewolucyjnej, będącej w tej chwili jedynym gwarantem, że islamska republika przetrwa każdą falę protestów. Jednak w łonie samej gwardii zaczną zapewne zachodzić coraz głębsze zmiany. Jej wierność systemowi opiera się bowiem nie tylko na fanatyzmie, lecz także na sile ekonomicznej całej masy przedsiębiorstw, podległych generałom i prowadzących interesy na całym świecie. Jeśli Zachód zdoła zachwiać tym imperium, wprowadzając po raz pierwszy w historii skuteczne sankcje, skierowane bezpośrednio w zagraniczne interesy gwardzistów, ich wpływy mogą ulec stopniowej erozji.

Wszystkie te procesy są możliwe, gdyż Iran, mimo okresów ogromnego terroru, nigdy nie stał się dyktaturą w stylu birmańskim czy północnokoreańskim. Zawsze w łonie teherańskiej władzy ścierały się różne poglądy, czego najlepszym dowodem była w przeszłości choćby liberalna prezydentura Chatamiego, a ostatnio - niezdecydowanie władz, co zrobić z liderami zielonej rewolucji. Gdyby Iran był opanowany wyłącznie przez twardogłowych ajatollahów i ich gwardyjskich ochroniarzy, przywódcy ruchu już dawno zostaliby skazani na śmierć, a na ulicach irańskich miast stałyby czołgi. Ta ostatnia opcja - wprowadzenia czegoś na kształt stanu wojennego - jest wciąż możliwa, jednak wydaje się rozwiązaniem jedynie na krótką metę i raczej zniechęci do reżimu miliony niezdecydowanych

dotąd Irańczyków.

Jak długo potrwa proces agonii systemu? Nie sposób przewidzieć. Irańczycy zawsze mieli problemy z kolektywnym działaniem, brakiem liderów i skłonnością do popadania w depresję, nawet w obliczu drobnych porażek. Będzie to zapewne działać na korzyść reżimu, jednak nie mam wątpliwości, że któregoś dnia na słynnym bazarze piątkowym, gdzie za niewielkie pieniądze można dziś kupić prawdziwe skarby, spotkam tłum Europejczyków. Przetrzebią stosy kolorowych, turkmeńskich ubrań i pięknej biżuterii. Sprzedawcy podniosą ceny. Przybysz nie będzie już gościem, któremu trzeba przychylić nieba, dać herbaty. Stanie się zwykłym, krzykliwym, wiecznie spoconym i narzekającym turystą, którego można oskubać za jego ignorancję. Pewnie westchnę wtedy: „To już nie to co kiedyś”. Pomruczę pod nosem. Ale nie będę żałował.

## **podziękowania**

Dziękuję za pomoc w napisaniu tej książki moim irańskim przyjaciołom, którzy ryzykowali więzienie, oprowadzając mnie po „płonącym” Teheranie. Wielu z nich, w trosce o ich bezpieczeństwo, musiałem zmienić imiona. Dziękuję Karolinie Ziębie i Tumadżowi Tahbazowi za wspaniałe dni spędzone w ich mieszkaniu w Pradze i cierpliwość w tłumaczeniu mi skomplikowanych meandrów irańskiej rzeczywistości. Dziękuję Renacie RusekKowalskiej za lekcje farski, dzięki którym udało mi się parę razy wsiąść do właściwego autobusu i zrobić zakupy w sklepie. Najbardziej jednak dziękuję Anicie Andrzejewskiej. To dzięki Tobie przestałem patrzeć na Iran jak na kraj pełen szaleńców. Bez Ciebie tej książki by nie było.

## **bibliografia**

- Karen Armstrong, *Krótką historia islamu*, przeł. Jarosław Włodarczyk, Wrocław 2004
- Nicolas Bouvier, *Oswajanie świata*, przeł. Krystyna Arustowicz, Warszawa 2005
- Ana M. Briongos, *Iran. W jaskini Ali Baby*, przeł. Pola Sobaś, Warszawa 2007
- Andrew Burke, Mark Elliott, *Iran*, Footscray 2008
- Franco Cardini, *Europa a islam. Historia nieporozumienia*, przeł. Bogumiła Bielańska, Kraków 2006
- Shirin Ebadi, *Broniłam ofiar. Pamiętnik z Iranu*, przeł. Małgorzata Szubert, Warszawa 2007
- Mircea Eliade, *Historia wierzeń i idei religijnych*, przeł. Stanisław Tokarski, Warszawa 1988
- Herodot, *Dzieje*, przeł. Seweryn Hammer, Warszawa 2005
- Meir Javedanfar, Yossi Melman, *Nuklearny sfinks. Iran Mahmuda Ahmadineżada*, przeł. Aleksandra Amal ElMaaytah, Warszawa 2008
- Barbara Kaim, *Sztuka starożytnego Iranu*, Warszawa 1996
- Ryszard Kapuściński, *Podróże z Herodotem*, Kraków 2004
- Ryszard Kapuściński, *Szachinszach*, Warszawa 1982
- Nikki R. Keddie, *Współczesny Iran. Źródła i konsekwencje rewolucji*, przeł. Ivonna Nowicka, Kraków 2007
- Piotr Kłodkowski, *O pęknięciu wewnątrz cywilizacji*, Warszawa 2005
- Azadeh Moaveni, *Honeymoon in Tehran. Two Years of Love and Danger in Iran*, New York 2009
- Azadeh Moaveni, *Lipstick Jihad. A Memoir of Growing Up Iranian in America and American in Iran*, New York 2005
- Azar Nafisi, *Czytajac Lolitę w Teheranie*, przeł. Ivonna Nowicka, Joanna Pierzchała, Warszawa 2005
- Houchang Nahavandi, *Upadek i śmierć szacha Iranu. Relacje i dokumenty*, przeł. Zofia JózefowiczNiedźwiecka, Warszawa 2008
- John Perkins, *Hitman. Wyznania ekonomisty od brudnej roboty*, przeł. Eryk Czajkowski, Warszawa 2006
- Ahmed Rashid, *Dżihad. Narodziny wojującego islamu*, przeł. Andrea Falkowska,



Maciej Falkowski, Warszawa 2003

Ahmed Rashid, *Talibowie*, przeł. Dominika Chylińska, Adam Lipszyc, Jadwiga Piątkowska, Kraków 2002

Marjane Satrapi, *Persepolis*, przeł. Wojciech Nowicki, Kraków 2006

Marjane Satrapi, *Wyszywanki*, przeł. Wojciech Nowicki, Kraków 2008

Elaine Sciolino, *Persian Mirrors: The Elusive Face of Iran*, New York 2000

Bogdan Składanek, *Historia Persji*, Warszawa 2004

Joseph Stiglitz, *Globalizacja*, przeł. Hanna Simbierowicz, Warszawa 2006

Małgorzata Stolarczyk, *Iran. Państwo i religia*, Warszawa 1997

Sylwia Surdykowska, *Idea szahadatu w kulturze Iranu*, Warszawa 2006

Vanna Vannuccini, *Różowy to kolor Persji. Sen o islamskiej demokracji*, przeł. Joanna Skoczylas, Warszawa 2007

Tony Wheeler, *Przeklęta ziemia*, przeł. Grzegorz Fik, Warszawa 2008

*Arcydziela sztuki perskiej ze zbiorów polskich*, red. Tadeusz Majda, Warszawa 2002

*Dywan perski*, wybór i przekład Władysława Dulęby, Kraków 1977

*Drugi dywan perski*, wybór i tłum. Władysław Dulęba, Kraków 1980

*Kolacja cyprysu i ognia. Współczesne opowiadania irańskie*, wybór i przekład Ivonny Nowickiej, Warszawa 2002

*Pieśni miłosne Hafiza*, wybór i przekład Władysława Dulęby, Kraków 1979

*Polskie dzieci na tułaczyczych szlakach 1939-1950*, red. Janusz Wróbel, Joanna Żelazko, Warszawa 2008

*Transit Tehran. Young Iran and Its Inspirations*, red. Malu Halasa, Maziar Bahari, London 2009

